





**Jules Verne**

**W KRAINIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**



*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*  
*Ilustracje Férat et Beaurepaire*  
*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*  
*Poznań 1925*



© Andrzej Zydorczak



## *SPIS TREŚCI*

### *Cześć pierwsza*

*Rozdział I Wieczór w Fort Reliance.*

*Rozdział II Hudson's bay fur Company.*

*Rozdział III Odmarznięty uczyony.*

*Rozdział IV Faktoria.*

Rozdział V Z fortu Reliance do fortu Entreprise.

Rozdział VI Pojedynek Wapitisów.

Rozdział VII Koło Polarne.

Rozdział VIII Jezioro Wielkiego Niedźwiedzia.

Rozdział IX Burza na jeziorze.

Rozdział X Rzut oka w przeszłość.

Rozdział XI Wzdłuż wybrzeża.

Rozdział XII Słońce o północy.

Rozdział XIII Fort Nadziei.

Rozdział XIV Kilka wycieczek.

Rozdział XV Piętnaście mil od przylądka Bathurst.

Rozdział XVI Dwa strzały.

Rozdział XVII Nadejście zimy.

Rozdział XVIII Noc polarna.

Rozdział XIX Sąsiedzkie odwiedziny.

Rozdział XX Gdzie rtęć zamarza.

Rozdział XXI Niedźwiedzie polarne.

Rozdział XXII W ciągu pięciu miesięcy.

Rozdział XXIII Zaćmienie 18 lipca 1860 r.

## **Cześć druga**

Rozdział I Pływający fort.

Rozdział II Gdzie znajduje się wyspa?

Rozdział III Podróż dookoła wyspy.

Rozdział IV Nocne obozowisko.

Rozdział V Od 25 lipca do 20 sierpnia.

Rozdział VI Dziesięciodniowa burza.

Rozdział VII Ogień i krzyk.

Rozdział VIII Wycieczka Mrs. Pauliny Barnett.

Rozdział IX Przygody Kalumah.

Rozdział X Prąd Kamczatki.

Rozdział XI Wyjawienie tajemnicy.

Rozdział XII Przygotowania do podróży.

Rozdział XIII Poprzez pole lodowe.

Rozdział XIV Miesiące zimowe.

Rozdział XV Ostatnia wycieczka.

Rozdział XVI Ruszenie kry.

Rozdział XVII Lawina.

Rozdział XVIII Wszyscy do pracy.

Rozdział XIX Morze Berynga.

Rozdział XX Na pełnym morzu.

Rozdział XXI W którym wyspa staje się wysepką.

Rozdział XXII Cztery dni następne.

*Rozdział XXIII Na lodowcu.*

*Rozdział XXIV Zakończenie.*



**Jules Verne**

**W KRAINIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**

**(Rozdział I-V)**

*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*  
*Ilustracje Férat i Beaurepaire*  
*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*  
*Poznań 1925*



© Andrzej Zydorczak



## Część PIERWSZA



# Rozdział I

## *Wieczór w Fort Reliance.*



wego to wieczora – 17 marca 1859 – kapitan Craventy urządził wieczorną zabawę w forcie Reliance.

Niech czytelnik jednak nie sądzi, że była to uroczystość dworska, wielki bal, raut wspaniały lub festyn z orkiestrą. Przyjęcie u kapitana Craventy nosiło cechę skromniejszą, chociaż kapitan nie szczędził starań, aby uczynić je możliwie świetnym.

Istotnie, pod kierunkiem kaprała Joliffe, wielki salon na parterze zmienił całkowicie swój wygląd. Ściany, z pni drzew zaledwie ociosanych i położonych poziomo, przykryte były po większej części flagami angielskimi, umieszczonemi w czterech rogach i bronią, wziętą z arsenału miejscowego. Na suficie z długich, czarniawych, chropowatych belek, wspartych na poprzecznicach pierwotnie umocowanych, dwie lampy o reflektorach blaszanych, kołyszące się na swych łańcuchach jak dwa pajaki, rozświetlały zaciemnioną atmosferę sali. Z wąskich okien, poczęści przypominających strzelnice, a pokrytych



gęstym szronem, zwieszały się zwoje czerwonej, gustownie ułożonej materji, budząc zachwyt zaproszonych gości. Co zaś do podłogi z grubych tarcic dębowych, kapral Joliffé nie omieszkiał jej zamieść starannie stosownie do okoliczności. W salonie nie utrudniały swobody ruchów ani fotele, ani sofy, ani krzesła, ani żadne inne dodatki nowoczesnego umeblowania. Stały tam proste ławki drewniane, ustawione pod ścianą, ciężkie pieńki zaledwie ociosane i dwa stoły o grubych nogach. Ale zato ściana wewnętrzna, w której znajdowały się drzwi o jednym skrzydle, prowadzące do sąsiedniego pokoju, ozdobiona była w sposób zarówno bogaty jak malowniczy. Wisiały na niej w największym porządku najwspanialsze futra, których dobozem nie mogłyby się pochwalić nawet najpiękniejsze wystawy Regent Street lub Prospektu Newskiego. Zdawałoby się, że cała fauna okolic podbiegunowych miała tu swych najprzedniejszych przedstawicieli. Futra wilków, szarych i białych niedźwiedzi, bobrów, wydr, piżmowców, gronostajów, niebieskich lisów, nęciły wzrok swą okazałością. Nad tą wystawą unosiła się dewiza misternie wykrojona w pomalowanym kawałku tektury, – dewiza słynnego Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej.

### Propelle cutem.

– Doprawdy, kapralu Joliffé, – rzekł kapitan Craventy do swego podwładnego – przeszedłeś sam siebie!

– I ja tak myślę, kapitanie, – odparł kapral. – Lecz oddajmy sprawiedliwość każdemu. Część pochwał pańskich należy się mistress Joliffé, która niemało mi w tem pomogła.

– Zręczna to kobieta.

– Nie ma sobie równej, panie kapitanie.

Na środku salonu stał piec ogromny, napoły ceglany, napoły kaflowy, z rurą blaszaną, przechodzącą przez sufit i unoszącą z sobą kłęby czarnego dymu. Piec ten syczał, chrapał, rozżarzał się pod wpływem węgla dorzucanego ustawicznie przez żołnierza, któremu powierzono tę czynność. Od czasu do czasu prąd wiatru dostawał się do komina, uniemożliwiając doń dostęp dymu, i zmuszając go do powrotu do pieca, skąd wydobywał się gęstymi kłębami na salę. Obłok dymu zaciemniał światło lampy, osiadając sadzą na belkach sufitu. Drobna ta niedogodność jednak nie wzruszała bynajmniej zaproszonych gości. Ciepło pieca wynagradzało to w zupełności, tem bardziej, że silny mróz w połączeniu z wiatrem północnym dotkliwie czuć się dawał nazewnątrz.

Burza szalała dookoła domu. Śnieg padający w zamrzniętych płatkach objął się o szron szyb. Przeciągły świst wiatru, przedostającego się przez szczeliny drzwi i okien, zamieniał się w ostre odgłosy, ustępując nagle miejsca niezwyklej ciszy, jak gdyby rozszalały żywioł potrzebował zaczerpnąć tchu. Cisza ta jednak trwała chwil tylko kilka, poczem nawałnica powracała ze zdwojoną siłą. Dom trząsł się w swej podstawie, tarcice podłogi trzeszczały, belki sufitu pękały. Ktoś mniej przyzwyczajony od zaproszonych gości do tych wstrząsów atmosferycznych, mógł być sądzić, że niebawem cała siedziba runie. Lecz obecni nie zwracali prawie uwagi na nawałnicę, a nawet gdyby ich była

zaskoczyła na dworze, nie przestraszyliby się jej wcale na podobieństwo owych ptaków morskich, które wśród zawiei śnieżnych czują się w swoim żywiole.

Wszelako z obecnych wyłączyć należy dwie kobiety, które nie były zwykłymi mieszkankami fortu Reliance. Załoga tego fortu składała się z kapitana Craventy, porucznika Jasper Hobson, sierżanta Long, kaprała Joliffé i około sześćdziesięciu żołnierzy i urzędników Towarzystwa. Niektórzy z nich byli żonaci, jak, między innymi, kapral Joliffé, szczęśliwy małżonek zwinnej i żywej Kanadyjki, niejaki Mac Nap, Szkot ożeniony ze Szkotką, i John Raë, który ożenił się był niedawno z Indjanką z okolicy. Wszyscy oni, bez różnicy stanowiska, oficerowie, żołnierze i urzędnicy, podejmowani byli owego wieczora przez kapitana Craventy.

Dodać należy, że załoga fortu Reliance nie była jedyną uczestniczką uroczystości. Sąsiednie forty – a w tych okolicach sąsiedztwo liczy się na setki mil odległości – dostały i przyjęły również zaproszenie kapitana Craventy. Znaczna liczba urzędników lub pośredników przybyła z fortów Providence i Resolution, należących do obwodu jeziora Niewolnika, a nawet z fortu Chipewan i z fortu Liard, położonych bardziej na południe. Bo też była to okazja nielada dla samotników zabłąkanych w pustynnych strefach podbiegunowych!

Oprócz tych gości na sali znajdowało się kilku zaproszonych przywódców Indjan. Tubylcy ci utrzymywali ciągle stosunki z faktorjami, którym dostarczali, po większej części drogą

wymiany, futra, stanowiące przedmiot handlu dla Towarzystwa. Byli to Indianie Chippeways, ludzie silni, wspaniałej budowy, odziani w kaffany skórzane i płaszcze futrzane wysokiej wartości. Twarze ich, napół czerwone, napół czarne, przypominały swym wyglądem postacie djabłów występujących zwykle w tem ubarwieniu w zaczarowanych widowiskach Europy. Na ich głowach wznosiły się pióropusze z piór orlich, rozwiniętych jak wachlarz seniority, i chwiejących się za każdym poruszeniem ich czarnych włosów. Przywódcy ci nie przyprowadzili z sobą żon, tych nieszczęśliwych „squaws”, skazanych na życie niewolnicze.

Taki był skład towarzystwa na przyjęciu u kapitana fortu Reliance. Nie tańczono z powodu braku orkiestry, lecz obfity bufet zastępował z powodzeniem tę konieczną rozrywkę balów europejskich. Na stole wznosił się piramidalny pudding, przyrządzony własną ręką Mrs. Joliffé; był to olbrzymi stożek ścięty, złożony z mąki i tłuszczu reniferowego i wołowego, wynagradzający brak jajek, mleka i cytryny swą niezmierną wielkością. Pomimo, że Mrs. Joliffé nie przestawała obdzielać nim towarzystwo, rozmiary jego nie zdawały się zmniejszać wcale. Na stole figurowały również stosy sandwiczów, u których suchary morskie zastępowały cienkie kawałki chleba angielskiego; między dwa suchary, które pomimo swej twardości nie opierały się zębom Chippeways'ów, wsunęła Mrs. Joliffé cienkie paski „corn-beef”, rodzaju wędzonej wołowiny, mającej zastąpić szynkę jorską, i kawałki naszpikowanego trufkami indyka, naśladując w tem bufety europejskie. Co do

napojów, to rozdawano whisky i gin, rodzaj wódki zbożowej, w kieliszkach cynowych, nie mówiąc już o wspianiałym ponczu, mającym być podanym na zakończenie uroczystości, o której wspominać będą długo Indianie w swych wigwamach.

To też nie szczędzono pochwał małżonkom Joliffé! Zresztą zasłużyli na nie w pełni. Ileż trudu i uprzejmości włożyli w to przyjęcie! Z jaką hojnością rozdawali napoje! Jak wyprzedzali życzenia każdego! Nie miano czasu ani poprosić, ani nawet zapragnąć czegokolwiek! Po sandwiczach następował pudding, po puddingu – whisky lub gin!

– Nie, dziękuję, mistress Joliffé.

– Pan jest zbyt dobry, panie kapralu, niech pan mi pozwoli odetchnąć.

– Mistress Joliffé, zaręczam pani, że już oddychać nie mogę.

– Panie kapralu, robisz ze mną, co ci się podoba.

– Nie, tym razem proszę pani, jest to niepodobieństwo!

W ten to sposób odpowiadano na zaproszenia uprzejmej pary małżonków. Nalegali oni jednak z taką wytrwałością, że najodporniejsi poddać im się musieli. Jedzono więc i pito bezustanku! Rozmowy stawały się coraz głośniejsze! Żołnierze, urzędnicy rozprawiali z coraz większą żywością to o polowaniu to o handlu. Ileż nowych zamiarów powzięto na przyszłość! Cała fauna okolic podbiegunowych nie byłaby w stanie zadowolić tych przedsiębiorczych myśliwych! Zdawało się, że niedźwiedzie, lisy, wiewiórki, niedźwiedzie, już pod ich łupem! Że czasy bobru

isy, piznowce padają już pod ich kulaми! Ze szczyty, dooty, gronostaje, kuny, wpadają tysiącami w nastawione na nich łapki! Że futra piętrzyły się już w składach Towarzystwa, i że cieszy się ono w tym roku niebywałym zyskiem! A podczas gdy gorące napoje coraz bardziej podniecały wyobraźnię Europejczyków, Indjanie, poważni i milczący, zbyt dumni, by się zachwycać, zbyt ostrożni, by obiecywać, z pobłażaniem słuchali potoku ich wymowy, wchłaniając wielkimi łykami ognistą wodę kapitana Craventy.

Kapitan uszczęśliwiony ożywieniem biednych tych ludzi, poniekąd odciętych od świata zamieszkałego, przechadzał się wesoło wśród zaproszonych gości, odpowiadając na wszystkie zadane mu pytania dotyczące się uroczystości temi słowy:

– Pytajcie Joliffe’a! pytajcie Joliffe’a!

Zwracano się więc do Joliffe’a, który miał uprzejmą odpowiedź dla każdego.

O niektórych osobach wchodzących w skład załogi fortu Reliance musimy podać poszczególne wzmianki, one to bowiem stały się igraszką okoliczności strasznych, których przewidzieć nie mógł być najprzezorniejszy z ludzi. Należy więc, między innymi wymienić porucznika Jasper Hobson, sierżanta Long, małżonków Joliffe i dwie nieznanne, na które szczególniejszą uwagę zwracał kapitan podczas odbywającej się uroczystości.





Porucznik Jasper Hobson liczył czterdzieści lat wieku. Małego wzrostu, szczupły, nie odznaczający się wielką siłą fizyczną, posiadał w sobie niewyczerpany zapas energii moralnej, która górowała ponad wszystkie okoliczności i wypadki. Był on „dzieckiem Towarzystwa.” Jego ojciec, major Hobson, Irlandczyk z Dublina, który go osierocił przed kilku laty, mieszkał długi czas wraz ze swą małżonką w forcie Assiniboine. Tam też urodził się Jasper Hobson. Dzieciństwo swe i młodość przepędził swobodnie u podnóża gór Skalistych. Wychowany surowo przez ojca, odznaczał się zimną krwią i odwagą dojrzałego człowieka już w wieku młodzieńczym. Jasper Hobson nie był myśliwym, lecz żołnierzem, oficerem rozumnym i dzielnym. Podczas walk, które staczać musiało Towarzystwo w Oregonie ze współzawodniczącymi z niem Towarzystwami amerykańskimi, Jasper Hobson odznaczył się gorliwością i odwagą, zdobywając w krótkim czasie stopień porucznika. Na skutek tego odznaczenia, powierzono mu właśnie dowództwo wyprawy na północ. Wyprawa ta miała na celu zbadanie północnych okolic jeziora Wielkiego Niedźwiedzia i postawienie fortu na krańcu amerykańskiego lądu. Wyjazd porucznika Jasper Hobson był naznaczony na początek kwietnia.

Jeżeli porucznik przedstawiał sobą skończony typ oficera, to sierżant Long, lat pięćdziesięciu, z brodą podobną do włókien kokosu, był typem żołnierza dzielnego i posłusznego z natury, nie znającego nic prócz rozkazu, nie zastanawiającego się nad nim nigdy, nawet gdy mógł się wydać osobliwy, nie rozumjącego wcale, gdy chodziło o spełnienie obowiązku służbowego; słowem maszyna w mundurze, lecz maszyna doskonała, nie podlegająca zepsuciu, działająca ustawicznie bez żadnego zmęczenia. Być może sierżant Long był nieco surowy dla swych ludzi, tak zresztą jak dla siebie samego. Nie znosił najdrobniejszego wykroczenia przeciwko dyscyplinie, karząc nielitościwie najłżejsze przewinienie, sam zaś karany nie był ani razu. Należy jednak zaznaczyć, że rozkazywał tylko na skutek swego urzędowego obowiązku, bo w rzeczywistości nie lubił dawać rozkazów. Słowem był to człowiek stworzony do posłuszeństwa, a to unicestwianie swej osoby pasowało dobrze do jego biernego usposobienia. Z takich to ludzi składają się najpotężniejsze armie. Są to liczne ręce na usługi jednej jedynej głowy. Czyż nie to stanowi treść każdej prawdziwej siły? Bajka wymyśliła dwa typy: Briarée sturęką i Hydrę stugłową. Gdy dwa te potwory walczą z sobą, kto zwycięży? Briarée.

Kaprała Joliffé znamy już nieco. Mógł być nieraz zbyt gorliwy, gorliwość ta wszakże przykrą nie była. Byłby może raczej marszałkiem dworu, niż żołnierzem. Sam to zresztą przyznawał. To też tytułował się chętnie „kapralem do szczególnych zleceń”, lecz tym zleceniom nie byłby podolał, gdyby nie energiczna pomoc małej Mrs. Joliffé: to znaczy że słuchał we wszystkim



swjej żony, choć przyznać się do tego nie chciał nigdy, mówiąc prawdopodobnie jak filozof Sancho: „Rada kobiety niewiele warta, ale trzeba być warjatem, aby do niej nie przywiązywać wagi”.

Obcym żywiołem na zebraniu były, jak to już powiedzieliśmy, dwie kobiety, mniej więcej czterdziestoletnie. Jedna z nich zasługiwała na zaliczenie jej w poczet najślawniejszych podróżniczek. Współzawodniczka Pfeifferów, Tinneuszów, Hommaire de Hell'ów – Paulina Barnett, tak bowiem nazywała się podróżniczka, doczekała się niejednej zaszczytnej wzmianki na posiedzeniach Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Ona to, posuwając się wzdłuż rzeki Bramaputry, dotarła aż do gór Tybetu, dosięgnąwszy zaś do nieznanego zakątka Nowej Holandji od zatoki Łabędziej do zatoki Karpentaria, wykazała zalety niezwyklej podróżniczki. Była to kobieta wysokiego wzrostu, owdowiała od piętnastu lat. Żądza podróży gnała ją ustawicznie w kraje nieznanne. Jej głowa okolona długim zwojem włosów, siwiejących miejscami, wyrażała niezwykłą energię. Jej wzrok, nieco krótki, krył się za szklami w oprawie srebrnej, spoczywającymi na nosie długim i prostym, o nozdrzach ruchomych, jak gdyby „wciągających w siebie przestrzeń”. Jej postawa, należy przyznać, była raczej męską, a cała jej postać, aczkolwiek pozbawiona wdzięku kobiecego, wyrażała moc siły moralnej. Była to Angielka z hrabstwa York, dość majątna i wydająca większą część swych dochodów na swe niezwykle wyprawy. I jeżeli znajdowała się obecnie w forcie Reliance, to dlatego, że chęć zbadania nowych okolic zawiadła ją w te strony

ciatego, że ciągle zważała nowych okolic zawiozła ją w te strony podbiegunowe. Po zwiedzeniu stref podzwrotnikowych, chciała z kolei osiągnąć ostatecznych granic stref północnych. Obecność jej w forcie była niezwykle zdarzeniem. Dyrektor Towarzystwa polecił ją listownie kapitanowi Craventy, który stosownie do treści listu, miał jej ułatwić zamiar dostania się do wybrzeży oceanu Lodowatego. Przedsięwzięcie nielada! Należało iść śladami Hearne'ów, Mackensie, Raë'ów, Franklinów. Na ileż trudów, niebezpieczeństw narażała się kobieta w tym strasznym klimacie podbiegunowym, przed jakim cofnęło się tyłu podróżników, nie mówiąc o tych, którzy zginęli! Ale niezajoma, przebywająca w tej chwili w forcie Reliance, nie była to zwykła kobieta: była to Paulina Barnett, laureatka Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

Dodamy, że sławnej podróżniczce towarzyszyła Madge, służąca, a raczej odważna, przywiązana i oddana jej całkowicie towarzyszka, Szkotka dawnych czasów, a z którą Caleb mógłby się ożenić bez ujmy dla swej godności. Madge, wysokiego wzrostu i silnej budowy, była około pięciu lat starsza od swej pani. Obydwie kobiety mówiły do siebie po imieniu. Paulina uważała Madge za swą starszą siostrę; Madge odnosiła się do Pauliny jak do swej córki. Słowem dwie te kobiety stanowiły jedność.

Ażeby zaś wszystko powiedzieć jak było, zaznaczyć musimy, iż kapitan wydał ten wieczór na cześć Pauliny Barnett i dla niej to podejmował dzisiaj swych urzędników i Indjan z plemienia Chippeways. Istotnie, podróżniczka miała towarzyszyć

oddziałowi porucznika Jasper Hobson w jego wyprawie na północ. Na cześć więc Pauliny Barnett w wielkim salonie faktorji rozlegały się radosne okrzyki.

Jeżeli zaś podczas tego pamiętnego wieczoru spalono centnar węgla, to dlatego, że termometr Fahrenheita wskazywał dwadzieścia cztery stopnie poniżej zera ( $-32^{\circ}$  Celz.) i że fort Reliance jest położony na  $61^{\circ}47'$  szerokości północnej, to jest o cztery stopnie od koła Polarnego.



## Rozdział II

### *Hudson's bay fur Company.*



anie kapitanie?

- Słucham, mistress Barnett.
- Co pan sądzi o poruczniku Jasper Hobson?
- Sądzę, że oficer ten zajdzie daleko.

– Co pan rozumie przez te słowa: zajdzie daleko? Czyżby to miało znaczyć, że przejdzie osiemdziesiąty równoleżnik?

Pytanie to wywołało mimowolny uśmiech na ustach kapitana Craventy. Rozmawiali w pobliżu pieca, podczas gdy inni goście zajęci byli przechodzeniem od stołu z żywnością do stołu z napojami.

– Proszę pani, odpowiedział kapitan, co tylko leży w mocy ludzkiej, tego dokona Jasper Hobson. Towarzystwo poleciło mu zbadać północne swe posiadłości i założyć faktorję na granicy amerykańskiego lądu. Jestem pewny, że wywiąże się dobrze ze swego zadania.

– Wielka odpowiedzialność ciąży na nim! – odezwała się podróżniczka.

– W istocie, lecz Jasper Hobson nie cofnął się nigdy przed spełnieniem obowiązku bodaj najcięższego.

– Ufam panu, panie kapitanie, – odpowiedziała Paulina Barnett – i przekonam się o tem naocznie. Ale na skutek jakich pobudek Towarzystwo chce założyć faktorję na granicy oceanu Lodowatego?

– Bardzo poważnych, – odpowiedział kapitan – a dodam podwójnie poważnych. Prawdopodobnie w bliskim czasie Rosja odstąpi swe posiadłości Stanom Zjednoczonym,<sup>1</sup> a wtedy stosunki handlowe Towarzystwa zostaną niezmiernie utrudnione z portami oceanu Spokojnego, jeżeli droga na północo-zachód odkryta przez Mac Clure'a nie stanie się dostępną dla przejazdu.

Właśnie w tym celu wyrusza Jasper Hobson, admiralicja bowiem posyła okręt mający zwiedzić wybrzeże amerykańskie od cieśniny Berynga do zatoki Koronacji, granicy wschodniej, poza którą ma być założona nowa faktoria. Jeżeli przedsięwzięcie się uda, stanie się ona ważną placówką, skupiającą w sobie cały handel północny futrami. Przewiezienie futer przez terytorja indyjskie pociąga za sobą znaczną stratę czasu i ogromne koszty, tymczasem transport parowcami od nowego fortu do oceanu Spokojnego uskuteczniiony być może w kilka dni.

– Istotnie, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett – będzie to wielkie udogodnienie, jeżeli droga na północo-zachód okaże się dostępna. Ale, zdaje mi się, że pan wspominał o podwójnych pobudkach?

– Druga pobudka, – ciągnął dalej kapitan, – tyczy się samego istnienia Towarzystwa. Pozwoli pani, że przypomnę jej w kilku słowach powstanie tego Towarzystwa. Zrozumie pani wtedy, dlaczego tak kwitnące ongi, dziś zagrożone jest w swej podstawie.

Istotnie, kapitan Craventy odpowiedział w kilku słowach dzieje tego słynnego Towarzystwa.

Zdawiendawna człowiek posługiwał się skórą i futrem zwierząt dla swego okrycia. Handel więc futrami sięga czasów bardzo odległych. Zbytek tego rodzaju odzieży rozwinał się nawet do tego stopnia, że zostały wydane prawa, ograniczające wszelkie nadużycia w tym względzie. W XII wieku zabroniono futer białych i siwych, jak również i popielic.

W 1553 Rosja założyła kilka faktoryj w swoich stepach północnych, a niebawem towarzystwa angielskie poszły za jej przykładem. Handel kunami, gronostajami, sobolami, bobrami i t.p. odbywał się za pośrednictwem Samojedów. Ale za rządów królowej Elżbiety używanie futer zbytkownych było ściśle ograniczone na skutek woli królewskiej, ta więc gałąź handlu przez kilka lat nie miała żadnego zbytu.

2 maja 1670 Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej otrzymało przywilej handlu futrami. Niektórzy z akcjonariuszów tego towarzystwa należeli do najznakomitszych rodów, jak księżę Yorku, księżę Albermale, hrabia Shaftesbury i t.p. Kapitał Towarzystwa wynosił wówczas zaledwie osiem tysięcy czterysta funtów szterl. Współzawodniczyły z nim Towarzystwa prywatne, których francuscy przedstawiciele, zamieszkali w Kanadzie, urządzali wyprawy ryzykowne, lecz bardzo zyskowne. Nieustraszeni ci myśliwi, znani pod nazwą „podróżników kanadyjskich” stanowili tak poważną konkurencję dla nowopowstałego Towarzystwa, że byt jego został poważnie zagrożony.

Ale zdobycie Kanady wpłynęło na zmianę tego niefortunnego położenia. W trzy lata po wzięciu Quebec’u, w 1766, handel futrami ożywił się wielce. Kupcy angielscy oswoili się z trudnościami tego rodzaju handlu; zaznajomili się ze zwyczajami kraju, przyzwyczajeniami Indjan i ze sposobem jakim tubylcy skuteczniali zamianę, zyski jednak Towarzystwa nie powiększyły się wcale. Co więcej, około 1784, kupcy z

Montreal zrzęśli się w celu wspólnego poszukiwania futer, tworząc potężne Towarzystwo Północno-Zachodu, które zgromadziło w sobie wszystkie przedsiębiorstwa tego rodzaju. W 1798 obrót Towarzystwa dochodził do sumy sto dwadzieścia tysięcy funtów szterl. i byt Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej był znów zagrożony.

Zaznaczyć należy, że Towarzystwo Północno-Zachodnie nie cofało się przed żadnym czynem nieetycznym, jeżeli chodziło o ich interes. Wyzyskiwali oni swych własnych urzędników, korzystali z nędzy Indian, źle obchodzili się z nimi, doprowadzili ich do pijaństwa, aby rabować ich dobytek, łamiąc tem prawo wydane przez parlament, które zakazywało sprzedaży napojów wysokowych na terytorjach tubylców. W ten to niegodziwy sposób zbierali znaczne zyski, pomimo konkurencji Towarzystw amerykańskich i rosyjskich, a między innymi „Towarzystwa Amerykańskiego dla Handlu Futrami” powstałego w 1809 z kapitałem miliona dolarów a które eksploatowało okolice na zachód od gór Skalistych.

Ze wszystkich tych Towarzystw jednak Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej było najbardziej zagrożone. Dopiero 1821 r. zdołało ono, po długich debatach nad umową, przejąć prawa swego dawnego współzawodnika Towarzystwa Północno-Zachodniego, nadając sobie nazwę: Hudsons bay fur Company.

Obecnie poważne to Towarzystwo ma tylko jednego współzawodnika w postaci Towarzystwa Amerykańskiego dla handlu futrami Saint-Louis. Posiada ono liczne faktorie

rozrzucone na przestrzeni trzech milionów siedmuset tysięcy mil kwadratowych. Najważniejsze jej faktorie znajdują się nad zatoką James, przy ujściu rzeki Severn, w południowej stronie i w pobliżu granicy Górnej Kanady, nad jeziorami Athapeskow, Winnipeg, Wyższem, Methye, Buffalo, nad brzegiem rzek Colombia, Mackenzie, Saskatchewan, Assimpoil i t.d. Fort York, górujący nad rzeką Nelson, która wpada do zatoki Hudsonskiej, jest główną placówką Towarzystwa i głównym składem futer. Oprócz tego w 1842 wzięło ono w dzierżawę za cenę roczną dwustu tysięcy franków, faktorie rosyjskie Ameryki Północnej. Eksploatuje ono również, na własny rachunek, olbrzymie przestrzenie między rzeką Mississipi a oceanem Spokojnym. Posłało ono w różnych kierunkach nieustraszonych podróżników, jak Hearn'a, który odkrył Coppermine w pobliżu morza Polarnego w 1770 r.; Franklina, od 1819 do 1822, który zwiedził wybrzeże amerykańskie na przestrzeni pięciu tysięcy pięciuset pięćdziesięciu mil; Mackenzie, który po odkryciu rzeki, noszącej jego nazwisko, dotarł do 52°24' szerokości północnej wybrzeża oceanu Spokojnego. W latach 1833 i 34 wysłało ono do Europy następujące ilości skór i futer:

Bobry..... 1,074

Pargaminy i młode bobry ..... 92,288

Piżmowce..... 694,092

Borsuki..... 1,069

--- --



Niedźwiedzie.....	7,451
Gronostaje.....	491
Rybaki.....	5,296
Lisy.....	9,937
Ostrowidze (lynx).....	14,255
Kuny.....	64,490
Tchórze.....	25,100
Wydry.....	22,303
Szczurki.....	713
Łabędzie.....	7,918
Wilki.....	8,484
Wółwereny.....	1,571

Podobna obfitość futer musiała zapewnić Towarzystwu Zatoki Hudsonskiej zyski bardzo znaczne, niestety jednak, cyfry te nie utrzymały się długo i od dwudziestu lat podlegają stopniowemu zmniejszaniu.

O przyczynie tego powolnego upadku interesów Towarzystwa mówił właśnie kapitan Craventy Mrs. Paulinie Barnett.

– Do 1837 bez wątplenia stan interesów Towarzystwa był świetny. W tym roku jeszcze wywóz futer osiągał cyfry dwu milionów trzystu pięćdziesięciu tysięcy. Lecz odtąd zmniejszała

się ciągle i obecnie cyfra ta zmniejszyła się o połowę.

– I czemu należy przypisać ten znaczny spadek wywozu futer?  
– spytała Paulina Barnett.

– Opustoszeniu wywołanemu przez zbytnią gorliwość i dodam, niedbalstwo myśliwych. Nastawiano łapki i wybijano zwierzyńę bez przerwy i bez żadnego wyboru. Nie oszczędzono nawet samiec brzemiennych. Z tego to powodu zwierzęta o futrach cennych stawały się coraz rzadszą rzeczą. Wydra znikła prawie zupełnie i znajduje się obecnie tylko poblizu wysp północnej części oceanu Spokojnego. Bobry schroniły się małemi oddziałkami do najbardziej oddalonych brzegów rzek. To samo dzieje się z innymi drogocennymi zwierzętami. Łapki, dawniej zawsze przepelnione, obecnie są puste. Ceny futer rosną coraz bardziej i to w chwili, gdy futra są nader poszukiwane. To też myśliwi zniechęcają się i tylko niektórzy z nich, najodważniejsi i niestrudzeni, dosięgają niekiedy granic amerykańskiego ładu.

– Rozumiem obecnie, – odezwała się Paulina Barnett – dlaczego Towarzystwo przywiązuje taką wagę do założenia faktorji na wybrzeżu oceanu Północnego, skoro zwierzęta schroniły się poza koło Polarne.

– Tak, pani, – odrzekł kapitan. – Zresztą Towarzystwo było zmuszone do przeniesienia bardziej na północ ośrodka swej działalności, gdyż, lat temu dwa, parlament angielski uszczuplił osobliwie jego posiadłości.

– Jakże uzasadniono to uszczuplenie?

– Przyczyną ekonomicznej natury wielkiego znaczenia, i na którą zwrócić musieli uwagę mężowie stanu Wielkiej Brytanji. Istotnie Towarzystwu nie chodziło bynajmniej o kulturę tych krain. Przeciwnie. W jego własnym interesie utrzymywać musiało swoje tereny w stanie nieuprawnym. Wszelka próba wykarczowania gruntu, mogąca spłoszyć zwierzęta, była przez nie surowo zabroniona. Jego monopol zatem jest wrogiem wszelkiego rolnego przedsiębiorstwa. Co więcej, wszelkie sprawy nie dotyczące się jego przemysłu, są nielitościwie odrzucane przez radę administracyjną. To samowładztwo, poniekąd nieetyczne, zmusiło parlament do wydania odpowiednich praw, i w 1857, komisja wyznaczona przez sekretarza stanu kolonji orzekła, że należy przyłączyć do Kanady wszystkie ziemie podatne dla uprawy, mianowicie, dorzecze rzeki Czerwonej, okręgi Saskatchewanu i pozostawić mu tylko ziemie nie przedstawiające pola do uprawy. W rok po tym dekrete Towarzystwo straciło całą zachodnią część gór Skalistych, która przechodziła pod bezpośrednią władzę Colonial-Office, a tem samem wyłamywała się z pod władzy Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej. Z tego to powodu Towarzystwo, zanim się wyrzeknie handlu futrami, chce najpierw zbadać te strony północne, prawie jeszcze nieznanne, i znaleźć drogę łączącą je z oceanem Spokojnym.

Mrs. Paulinę Barnett zajęły niezmiernie przyszłe zamiary Towarzystwa. Postanowiła być obecną założeniu fortu na wybrzeżu morza Polarnego. Kapitan Craventy byłby jej może

udzielił bliższych szczegółów, gdyż lubił opowiadać, lecz przerwało rozmowę głośne oświadczenie kaprała Joliffe, iż ma zamiar z pomocą Mrs. Joliffe zająć się przygotowaniem ponczu. Wiadomość tę przyjęto okrzykami zadowolenia. Czara – a raczej basen – napęczniona cennym płynem zawierała nie mniej niż dziesięć kwart wódki. Na dnie spoczywały kawałki cukru, na wierzchu zaś pływały plasterki cytryny. Nie pozostawało nic więcej jak tylko zapalić to morze alkoholu, to też kapral z lontem zapalonym w rękę, oczekiwał rozkazu kapitana z taką powagą, jak gdyby chodziło o zapalenie miny.



– Dalej, Joliffe! – rzekł w tej chwili kapitan Craventy.

Płomień dotknął płynu, który zagorzał ku radości obecnych.

W dziesięć minut później pełne szklanki ponczu krążyły po sali. Amatorów na nie nie brakowało, jak to się zwykle dzieje z akcjami, skoro idą w górę.

– Hurra! Hurra! mistress Paulina Barnett. Hurra! kapitan Craventy!

Craveny!

W chwili, gdy wesołe te wiwaty rozlegały się po sali, jakieś krzyki dały się słyszeć na dworze. Goście umilkli natychmiast.

– Sierzancie Long, zobacz co się stało!

Na rozkaz swego naczelnika, sierżant postawiwszy na stole niedokończoną szklanę, spiesźnie opuścił salę.



## Rozdział III

### *Odmarznięty uczony.*



dy sierżant Long doszedł do wąskiego korytarza prowadzącego do drzwi zewnętrznych – krzyki wyraźniej doszły jego uszu. Stukano gwałtownie do bramy podwórza okolonego grubą drewnianą zagrodą. Śnieg na grubość stopy pokrywał ziemię. Sierżant, brnąc po kolana w tej warstwie białej, z oczami zamkniętymi z powodu nawałnicy, smagany do krwi mroźnym wiatrem, szedł ukosem przez podwórze do bramy.

– Któż u diabła może przyjść na taki czas! – mówił sobie sierżant Long, zdejmując metodycznie, możnaby powiedzieć „dyscyplinarnie” ciężkie sztaby bramy. – Tylko Eskimosi zdolni są do wycieczek podczas takiego mrozu!

– Otwórzcie wreszcie, otwórzcie! – wołano.

– Otwieramy, – odpowiedział sierżant Long, który rzeczywiście przeciągał swą czynność.

Nareszcie wrota bramy otworzyły się nawewnątrz i sierżant został nawpół przewrócony sankami zaprzężonemi w sześć psów, które przemknęły jak błyskawica. Mało brakowało, aby godny Long nie był zmiądzony, podniósł się jednak bez skargi, zamknął wrota i powrócił do domu krokiem zwykłym, to jest czyniąc siedemdziesiąt pięć kroków na minutę.

Niebawem zjawili się kapitan Craventy i porucznik Jasper Hobson, którzy nie zważając na silny mróz przyglądali się sankom białym od śniegu, które zatrzymały się przed nimi i z których wyszedł natychmiast człowiek cały spowity w futra.

– Czy to fort Reliance?

– Tak – odpowiedział kapitan.

– Czy pan jest kapitanem Craventy?

– Tak jest. A kim pan jesteś?

– Kurjerem Towarzystwa.

– Czy pan przybywa sam?

- Nie. Prowadzę podróżnika.
- Podróżnika! I pocóż przybywa?
- Zobaczyć księżyc.

Usłyszawszy tę odpowiedź kapitan zastanowił się, czy nie ma do czynienia z warjatem, co zresztą było prawdopodobne w tych okolicznościach. Lecz nie miał czasu podzielić się swem zapatrywaniem. Kurjer wyciągnął z sanek bezwładną masę, rodzaj worka pokrytego śniegiem, i chciał go zaciągnąć do domu, gdy kapitan go zapytał:

- Co to za worek?



- To mój podróżnik! – odpowiedział kurjer.
- Co za podróżnik?
- Astronom Tomasz Black.
- Ależ on zamarł.
- To też trzeba go odciąć

Przy pomocy sierżanta, kaprała i kurjera wniesiono Tomasza Black do domu. Złożono go w pokoju na pierwszym piętrze, w którym panowało znośne ciepło dzięki rozżarzonemu piecowi. Do rozciągniętego na łóżku astronoma zbliżył się kapitan i wziął go za rękę.

Była zupełnie zmarznięta. Odrzuciwszy koce i futra w które był związany jak pakunek, zobaczył przed sobą człowieka pięćdziesięcioletniego, grubego, małego wzrostu, siwowego z brodą nieogoloną, z zamkniętymi oczami, z ustami jak gdyby sklejonemi gumą. Człowiek ten nie oddychał wcale lub tak słabo, że oddech jego nie byłby zmącił powierzchni zwierciadła. Joliffé rozbierał go szybko, obracał na wszystkie strony, powtarzając:

– Ależ, panie! ależ, panie! czy pan nie przyjdzie do siebie?

Przyjezdny zdawał się być już trupem. Kapral Joliffé uważał, że pozostaje tylko skapać go w gorejącym ponczu, aby przywrócić mu uleciałe ciepło.

Bardzo szczęśliwie wypadło dla Tomasza Black, że porucznik Jasper Hobson był innego zdania.

– Śniegu! – zawołał sierżant Long, – kilka garści śniegu!

Tego produktu nie brakowało w forcie. Podczas nieobecności sierżanta Joliffé rozebrał astronoma. Ciało nieszczęśliwego było pokryte bielejącymi plamami wskazującymi na gwałtowne przeniknięcie ciała mrozem. Było rzeczą konieczną powrócić



dobieg krwi do porażonych części. Tego to spodziewał się porucznik, zalecając silne tarcie śniegiem. Jest to znany w tych stronach polarnych środek dla pobudzenia obiegu krwi podczas strasznych mrozów, tamujących go tak samo, jak tamuje on bieg rzek.



Sierżant Long i Joliffe zaczęli nacierać śniegiem nowoprzybyłego tak silnie, jak prawdopodobnie nie był nacieranym nigdy w życiu. Nie był to bowiem masaż zwykły, lecz gwałtowne tarcie, przypominające raczej dotknięcie zgrzeblem, niż pieszczotę ręki.

Podczas pocierania gadatliwy kapral przemawiał ciągle do zamarniętego podróżnika:

– Ależ, panie, ależ, panie. Co panu przyszło do głowy dać się tak wyziębic? No, niechże pan nie będzie tak uparty!

Prawdopodobnie Tomasz Black musiał być bardzo uparty, gdyż po półgodzinnem nacieraniu nie dawał znaku życia. Zaczęto już powątpiewać o skuteczności masażu i miano już zaprzestać

tej nużącej czynności, gdy biedny człowiek westchnął kilkakrotnie.

– Żyje! przychodzi do siebie! – zawołał Jasper Hobson.

Po rozgrzaniu ciała z zewnątrz, pomyślano również o wewnętrznym ciepłe. To też kapral Joliffe spiesznie przyniósł kilka szklanek ponczu. Przybyły doznał prawdziwej ulgi; policzki się zaróżowiły, oczy odzyskały wyraz, usta się poruszyły, tak że kapitan miał nadzieję dowiedzenia się wreszcie od Tomasza Black, poco tu przybył i dlaczego w tak opłakanym stanie.

Tomasz Black starannie owinięty kocami, podniósł się napół, oparł się na łokciu i głosem osłabionym spytał:



– Czy to fort Reliance?

– Tak, – odpowiedział kapitan.

– A kapitan Craventy?

– To ja i dodam, witam pana. Czy mogę jednak spytać poco

pan przybył do fortu Reliance'?

– Aby zobaczyć księżyc! – odpowiedział kurjer, który zapewne przywiązywał wagę do tej odpowiedzi, skoro powtarzał ją po raz drugi.

Zresztą było to po myśli Tomasza Black, gdyż potwierdził te słowa ruchem głowy. Poczem zapytał znów:

– A porucznik Hobson?

– Służę panu, – odezwał się porucznik.

– Pan nie wyjechał jeszcze?

– Jeszcze nie.

– A zatem nie pozostaje mi nic więcej, jak podziękować panu i spać do jutra rana!

Kapitan więc i jego towarzysze odeszli, pozostawiając w spokoju osobliwego gościa. W pół godziny później goście rozeszli się do swych siedzib, czy to w obrębie fortu, czy też poza jego obrębem.

Nazajutrz Tomasz Black czuł się prawie zupełnie dobrze. Silny jego organizm oparł się zabójczej działalności ostrego mrozu. Kto inny nie byłby się wyzwolił z jego uścisku, lecz astronom nie poddawał się zwykłym prawom ludzkim.

Któż więc był ten osobliwy astronom? Skąd przybywał? Dlaczego przedsięwziął tę podróż poprzez terytorja Towarzystwa podczas tej srogiej zimy. Co znaczyła odpowiedź kuriera: zobaczyć księżyc! Czyż księżyc nie świeci wszędzie i

niejaki. zobaczycie księżyc. Czyż księżyc nie świeci wszędzie i czyż trzeba go oglądać aż w strefach podbiegunowych?

Podobne pytania zadawał sobie kapitan Craventy. Po rozmowie jednak z nowym gościem trwającej nazajutrz godzinę całą, ciekawość swą zaspokoił w zupełności.

Tomasz Black był istotnie astronomem pracującym w obserwatorium w Greenwich, tak świetnie prowadzonym przez p. Airy. Nie był on teoretykiem w całym znaczeniu tego słowa, lecz umysłem żywym i rzutkim, który oddany swym obowiązkom od lat dwudziestu, przyczynił się niemało do rozwoju wiedzy astronomicznej. W życiu prywatnym Tomasz Black był niczem. Zatopiony w badaniach niebieskich żył na niebie nie na ziemi, słowem był to potomek tego dobrodusznego uczonego z Lafontaine'a, który wpadł do studni. Rozmawiać z nim było można jedynie o gwiazdach i konstelacjach. Człowiek ten powinien był zamieszkać w lunecie. Ale gdy zaczął wpatrywać się w niebo, wtedy równego sobie nie miał na całym świecie! Z jakąż niestrudzoną cierpliwością stawał przed lunetą! Gotów był miesiącami całymi badać pojawienie się zjawiska kosmicznego! Specjalnością jego były meteory i gwiazdy błądzące, a odkrycia jego w tej dziedzinie meteorologii zasługiwały na wzmiankę. To też ile razy chodziło o drobiazgowość badania, o dokładne wyliczenia, zwracano się do Tomasza Black, który posiadał bystrość wzroku wyjątkową. Umieć badać zjawiska nie wszyscy potrafią. Dlatego to nikt dziwić się nie powinien, że nie kto inny tylko Tomasz Black był wybrany dla zbadania zjawiska, które zajęło do najwyższego stopnia świat astronomiczny.

Wiadomo, że podczas całkowitego zaćmienia słońca księżyc otoczony jest świetlnym wieńcem. Ale co wywołuje ten wieniec? Czy istnieje on w rzeczywistości? Czy nie jest to raczej załamanie się promieni słonecznych w pobliżu księżyca? Jest to zagadnienie, na które dotąd nie odpowiedziały przeprowadzone badania.

W roku 1706 astronomowie starali się po raz pierwszy opisać tę świetlną aureolę. Louville i Halley badali ją podczas całkowitego zaćmienia słońca w 1715, Maraldi w 1724, Antonio de Ulloa w 1778, Bouditch i Ferrer w 1806, lecz teorie ich okazały się tak sprzeczne z sobą, że nie mogły służyć za dane naukowe. Co zaś do całkowitego zaćmienia słońca z 1842, uczeni wszystkich narodowości Airy, Arago, Peytal, Laugier, Mauvais, Otto, Struve, Petit, Baily i inni szukali rozwiązania tego zagadnienia, ale pomimo ścisłości badań „rozbieżne wyniki osiągnięte jak mówi Arago, z badań dokonanych w różnych miejscowościach przez wytrawnych astronomów przy jednym i tem samym zaćmieniu, utrudniły tak to zagadnienie, że niepodobna dojść do żadnego pewnego wniosku co do przyczyny tego zjawiska”. Od tego czasu niejedno zaćmienie było badane, a pomimo to nie osiągnięto żadnego rezultatu.

Wszelako zagadnienie to zajmowało zanadto umysły uczonych, aby miano je zarzucić. Postanowiono je rozwiązać za wszelką cenę. Otóż nadarzała się ku temu nowa sposobność. Całkowite zaćmienie słońca przypadające na najdalszą część Północnej Ameryki, na Hiszpanję, północną Afrykę i t.d. miało

nastąpić 18 lipca 1860 r. Astronomowie różnych krajów mieli równocześnie zająć się badaniem zjawiska w rozmaitych punktach dotkniętych całkowitem zaćmieniem słońca. Tak więc Tomasz Black był wyznaczony dla zbadania zaćmienia w północnej części Ameryki. Miał się przeto znaleźć w tych samych warunkach, w jakich byli astronomowie angielscy w Szwecji i Norwegji podczas zaćmienia słońca 1851 roku.

Nietrudno się domyślić, że Tomasz Black przyjął nader chętnie uczynioną mu propozycję. Miał równocześnie zbadać, o ile to możliwe, naturę protuberancyj czerwonych, zjawiających się w różnych punktach ziemskiego satelity. Jeżeli astronom z Greenwich potrafi dowieść przyczyny tych zjawisk, zyska sobie zasłużenie pochwałę całego uczonego świata Europy.

Tomasz Black przygotował się odpowiednio do wyjazdu. Dostał listy polecające do głównych przedstawicieli Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej. Dowiedział się również, że właśnie ma się odbyć wyprawa do granic lądu amerykańskiego, aby założyć tam nową faktorię. Była to sposobność, nie do pominięcia. Tomasz Black wyruszył, przepłynął Atlantyk, wysiadł w Nowym Jorku, poprzez jezioro dostał się do fortu na rzece Czerwonej, a stąd, od fortu do fortu, na sankach, pod przewodnictwem kurjera Towarzystwa, pomimo zimy, pomimo mrozu, pomimo wszelkich możliwych niebezpieczeństw podobnej podróży, przybył 17 marca do fortu Reliance w okolicznościach już nam wiadomych.

Do dowiedzenia się o zjawiskach astronomicznych i o zjawiskach

PO dowiedzeniu się o zamiarach astronoma, kapitan Cravenly oddał się cały na jego usługi.

– Ale dlaczego, panie Black, pilno było tak panu przyjechać o tej porze, skoro zaćmienie słońca nastąpi dopiero w 1860, to jest dopiero w roku przyszłym?

– Kapitanie, – odpowiedział astronom, – dowiedziałem się, że Towarzystwo wysła wyprawę na wybrzeże amerykańskie poza siedemdziesiąty równoleżnik, nie chciałem więc ominąć sposobności podróży z porucznikiem Hobson.

– Panie Black, – odezwał się kapitan, – gdyby porucznik już był wyruszył, czułbym się w obowiązku towarzyszenia panu aż do samych granic morza Polarnego.

Poczem powtórzył astronomowi, że może liczyć w zupełności na niego i że jest on mile widzianym gościem w forcie Reliance.



## Rozdział IV

### *Faktorja.*





Jeziro Niewolnicze jest jedno z najrozleglejszych jezior części lądu amerykańskiego, znajdującej się poza sześćdziesiątym pierwszym równoleżnikiem. Długość jego wynosi dwieście pięćdziesiąt mil, szerokość zaś – pięćdziesiąt. Jezioro to położone jest ściśle na  $61^{\circ}25'$  szerokości geograficznej i  $114^{\circ}$  długości zachodniej. Cała otaczająca je okolica zniża się stopniowo, dążąc długimi pochyłościami do wspólnego ośrodka zajętego przez jezioro.

Położenie tego jeziora wśród okolicy obfitującej w zwierzęta o drogocennych futrach zwróciło uwagę Towarzystwa w samym jego zawiązku. Oprócz tego liczne rzeki, wpadające lub wypływające zeń, jak Mackenzie, rzeka Siana, Atapeskow i t.p. podnosiły niezwykle jego znaczenie. To też na jego wybrzeżach zbudowano kilka ważnych fortów, między innymi fort Providence na północy i fort Resolution na południu. Fort Reliance zajmował kraniec północno-wschodni jeziora w odległości nie większej niż trzysta mil od Chesterfield, długiego i wąskiego ujścia portowego, utworzonego przez wody zatoki Hudsonskiej.

Jeziro Niewolnicze jest jak gdyby usiane małymi wysepkami, wznoszącymi się nad sto do dwustu stóp nad poziomem, a złożonymi przeważnie z granitu i gnejsu. Na północnym wybrzeżu ciągną się gęste lasy, granicząc z tą jałową i mroźną częścią lądu, która nie bez przyczyny została nazwana Ziemią Przekłątą. Natomiast wybrzeże południowe o pokładzie wapiennym jest płaskie, bez pagórków, bez najmniejszych



wapniowym jest piasek, bez pogórkow, bez najmniejszej wydatności gruntu. Z tej to strony zarysowuje się granica, której nie przekraczają nigdy olbrzymie przeżuwacze Ameryki podbiegunowej, jak bawoły i bizony, których mięso stanowi wyłącznie prawie pożywienie myśliwych kanadyjskich lub tubylczych.

Lasy północnego wybrzeża odznaczają się wspaniałą bujnością i różnaitością. Roślinność tak piękna, w strefie tak oddalanej nie wyda się nam bynajmniej rzeczą dziwną, gdy sobie przypomnimy, że szerokość geograficzna jeziora Niewolniczego nie jest wyższa od szerokości, na której znajduje się Sztokholm w Szwecji, lub Christjanja w Norwegji. Należy tylko zaznaczyć, że linje ciepłostanu przechodzące przez miejscowości, których temperatura jest jednakowa, nie są zależne od równoleżników ziemskich i dlatego, na pewnej danej szerokości w Ameryce jest chłodniej, niż w Europie. W kwietniu w Nowym Jorku ulice są pokryte jeszcze śniegiem, pomimo, że New York leży na tym samym równoleżniku co Azorskie wyspy. Warunki klimatyczne zależą od natury, lądu, od jego położenia w stosunku do oceanów jak również od części składowych samego gruntu.

Fort Reliance, podczas lata, nurza się w masie zieleni, rozweselającej oko po smutnych dniach zimowych. Drzew nie brakowało w lasach, składających się jedynie z topoli, sosen i brzoź. Na wysepkach jeziora wspaniałe wierzby zwieszały swe gałęzie. W laskach kryła się wielka obfitość zwierzyny nawet podczas zimy. Bardziej na południe myśliwi z fortu z powodzeniem polowali na bizony, łosie i pewnego gatunku

jeżozwierze z Kanady, których mięso jest doskonałą strawą. Wody jeziora Niewolniczego obfitowały w różnego rodzaju ryby, jak pstragi, dosięgające niezwykłych rozmiarów, szczupaki, żarłoczne miętusy, pewnego gatunku lipienie, zwane przez Anglików „błękitną rybą”, niezliczone zastępy „tittamegs”, zwanych przez naturalistów „corregou biały”. Mieszkańcy zatem fortu Reliance nie potrzebowali się zbytnio kłopotać o pożywienie i byleby byli zaopatrzeni na zimę w futra na podobieństwo lisów, kun, niedźwiedzi i innych zwierząt, mogli z łatwością znieść ostrość klimatu.

Fort, w ścisłym znaczeniu tego słowa, składał się z domu drewnianego piętrowego, służącego za mieszkanie komendanta i oficerów. Naokoło tego domu wznosiły się domki dla żołnierzy, skład Towarzystwa i kantory, służące za miejsce wymiany. Mała kapliczka, w której brak było tylko pastora, i prochownia dopełniały całokształtu budowli fortu. Zabudowania te otoczone były zagrodą drewnianą, wysokości dwudziestu stóp, stanowiącą rozległy równoległobok z czterema małymi basztami o dachu spiczastym. Fort przeto był dostatecznie zabezpieczony przed możliwością napadu. Ostrożność ta była konieczną w czasach, gdy Indianie, zamiast być dostawcami Towarzystwa, walczyli o niepodległość swego terytorjum. Ostrożność ta była również potrzebna ze względu na agentów i żołnierzy i innych współzawodniczących Towarzystw, którzy rościli sobie niegdyś prawo do posiadania i eksploatawania tej bogatej w futra krainy.

Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej liczyło wówczas około

tysiąca ludzi. Rozporządzało ono pełnią władzy wobec swych urzędników i żołnierzy, a nawet przysługiwało mu prawo życia i śmierci. Dowódcy faktorji mogli, według uznania, wyznaczać wielkość zapłaty i cenę artykułów żywnościowych oraz cenę futer. Dzięki temu przywilejowi, mogli nieraz ciągnąć zyski w stosunku do trzystu na sto.

Z poniżej podanego wykazu, wyjętego z Podróży kapitana Robert Lade, można będzie się przekonać, w jakich warunkach dokonywała się wymiana przedmiotów z Indjanami, którzy są obecnie najlepszymi myśliwymi Towarzystwa. Skóra bobra służyła w tym czasie za zasadniczą jednostkę podaży i popytu.

Indjanie płacili:

za strzelbę.....	10	skór bobrowych
„pół funta prochu.....	1	„„
„cztery funty ołowiu.....	1	„„
„siekiere.....	1	„„
„sześć noży.....	1	„„
„funt wyrobów szklanych.....	1	„„
„ubranie z galonami.....	6	„„
„ubranie bez galonów.....	5	„„
„ubranie kobiece z galonami....	6	„„

„funt tytoniu.....	1	„„
„pudełko prochu.....	1	„„
„grzebień i zwierciadło.....	2	„„

Od kilku lat jednak, skóra bobra stała się rzeczą tak rzadką że jednostka monetarna musiała ulec zmianie. Obecnie skóra bizona stanowi podstawową jednostkę handlu. Indjaninowi zjawiającemu się w formie wypłacają agenci tyle znaczków drewnianych ile przyniósł on skór, Indjanin zaś natychmiast w tym samym formie zamienia te znaczki na wyroby gotowe. W ten sposób Towarzystwo, które zresztą wyznacza dowolnie wartość przedmiotów wymiany, osiąga znaczne zyski.

Takie to zwyczaje panowały w różnych faktorjach, a tem samem w formie Reliance. Mrs. Paulina Barnett mogła je zbadać dokładnie podczas swej bytności trwającej do 16 kwietnia.

Podróżniczka i porucznik Hobson rozmawiali z sobą często, tworząc najwspanialsze projekty i postanawiając nie cofać się przed żadnem niebezpieczeństwem. Astronom Tomasz Black rozmawiał wtedy tylko, gdy chodziło o cel jego podróży. Sprawa wieńca świetlnego i protuberancj czerwonych nie wychodziła mu z myśli. Włożył on całe swe życie w rozwiązanie tego zagadnienia, a oddawał mu się z takim zapalem, że nawet podróżniczka zaczęła się gorąco intersować badaniem tego zjawiska. Z jakąż niecierpliwością oczekiwali oboje na chwilę przekroczenia koła Polarnego i iakże oddalona im sie zdawała

data 18 lipca 1860 r., szczególnie dla niecierpliwego astronoma z Greenwich!

Przygotowania do odjazdu mogły zacząć się dopiero w połowie marca. Zajęły one przeszło miesiąc, gdyż wyprawa do stref podbiegunowych wymaga nielada trudu. Należało pomyśleć o wszystkim: o żywności, ubraniu, naczyniach, narzędziach, broni i amunicji.

Oddział, którym dowodził porucznik Jasper Hobson, miał się składać z jednego oficera, dwu podoficerów i dziesięciu żołnierzy, z których trzech żonatyh zabierało żony z sobą. Oto lista ludzi wybranych przez kapitana Craventy wśród najenergiczniejszych i najodważniejszych:

1. porucznik Jasper Hobson,
2. sierżant Long,
3. kapral Joliffé,
4. Petersen, żołnierz,
5. Belcher, żołnierz,
6. Raë, żołnierz,
7. Marbre, żołnierz,
8. Garry, żołnierz,
9. Pond, żołnierz,
10. Mac Nap, żołnierz,

11. Sabine, żołnierz,

12. Hope, żołnierz,

13. Kellet, żołnierz,

Mrs. Raë,

Mrs. Joliffë,

Mrs. Mac Nap.

Nienależący do załogi fortu:

Mrs. Paulina Barnett,

Madge,

Tomasz Black.

Ogółem dziewiętnaście osób, które należało zaopatrzyć należycie na tę długą i uciążliwą podróż, wymagającą przebycia kilku setek mil poprzez okolicę pustynną i mało znaną.

To też w przewidywaniu tej wyprawy Towarzystwo pomyślało o zgromadzeniu potrzebnych dla niej różnorodnych zapasów. Dwanaście sanek z odpowiednim zaprzęgiem psów stało w pogotowiu. Pojazdy te, bardzo pierwotne, zbudowane były z mocnych a lekkich desek, połączonych z sobą poprzecznym wiązadłem. Wystający kawałek drzewa, kabłąkowaty i podniesiony na końcu na podobieństwo łyżwy, ułatwiał sankom rozgarnianie śniegu bez zbytniego zagłębiania się w nim. Sześć psów, zaprzężonych parami, stanowiło siłę pociagową każdego sanek, siłę wytrzymałą i pewną, gdyż

mogącą przebyć piętnaście mil na godzinę.

Odzienie podróżników składało się ze skór reniferowych podszytych grubym futrem. Na ciele mieli wełnianą tkaninę, chroniącą ich od gwałtownych zmian atmosferycznych, tak częstych w tych stronach podbiegunowych. Każdy z nich, mężczyzna czy kobieta, miał na nogach buty ze skóry fokowej, zszyte wysuszonemi ścięgnami zwierzęcemi z niebywałą sprawnością przez tubylców. Obuwie to jest całkiem nieprzemakalne i bardzo dogodne w chodzeniu z powodu swej giętkości. Do podeszew można było przytwierdzać narty z drzewa sosnowego długości trzech do czterech stóp, coś w rodzaju przyrządów utrzymujących człowieka na śniegu najbardziej miękkim i pozwalającym na szybkie poruszanie się po śniegu. Czapki futrzane i pasy ze skóry danieliej dopełniały tego dziwnego stroju.

Co się tyczy broni, składała się ona z karabinków jednego typu, z pistoletów i szabli wojskowych; narzędzia zaś stanowiły siekiery, piły, toporki i inne przyrządy używane w ciesielstwie. Oprócz tego zabrano wszystkie przybory potrzebne do urządzenia faktorji w tych wyjątkowych warunkach, między innymi: piec, żelazny piecyk, dwie pompy powietrzne ze zbiornikiem przeznaczone do wentylacji, jeden „halkett-boat”, rodzaj łódki gumowej, którą się napelnia powietrzem, w razie potrzeby.

Co do żywności, to można było liczyć na myśliwych. Niektórzy z żołnierzy oddziału byli zręcznymi obławnikami

zwierzyny, a reniferów nie brak w tych stronach podbiegunowych. Całe plemiona Indjan i Eskimosów, pozbawione chleba i wszelkiego innego pożywienia, żywią się wyłącznie ich mięsem, zarówno obfitem jak smacznym. Wszelako, ponieważ trzeba było przewidywać nieuniknione opóźnienie i trudności wszelkiego rodzaju, zabrano pewną ilość żywności, jak mięso bizona, łosia, daniela, zdobyte podczas długich obław w południowej stronie jeziora, „corn-beef”, mogące przechowywać się nieskończenie, jak również preparaty wyrobu Indjan, w których mięso zmiążdżone i obrócone w proszek nieuchwytny, zachowuje wszystkie składniki pożywcze w postaci niezmiernie zmniejszonej. W ten sposób przygotowane mięso nie potrzebuje ani gotowania ani pieczenia, a stanowi pożywienie bardzo posilne.

Co do napojów, to porucznik Hobson zabierał kilka baryłek wódki i wisky z postanowieniem zresztą obchodzenia się bardzo ostrożnie z temi płynami wyskokowemi, które są szczególnie szkodliwe dla zdrowia w zimnych strefach. Natomiast Towarzystwo zaopatrzyło go w apteczkę przenośną i znaczną ilość „lime juice”, cytryn i różnych innych owoców, niezbędnych dla leczenia skorbutu, tak niebezpiecznego w tych stronach, i dla zapobiegania tej chorobie. Zresztą w wyborze ludzi zwracano uwagę na to, aby nie byli oni zbyt szczupli lub też ociężali, przyzwyczajeni zaś przez długie lata do ostrości klimatu, mogli łatwiej znosić trudy wyprawy do oceanu Lodowatego. Oprócz tego byli to ludzie chętni, odważni i nieustraszeni, którzy dobrowolnie brali udział w podróży. Zapewniono im podwójną



placę przez cały czas pobytu na krańcach lądu amerykańskiego, o ile będzie można ustalić się poza siedemdziesiątym równoleżnikiem.

Sanki nieco wygodniejsze przygotowano dla Mrs. Pauliny Barnett i jej wiernej Madge. Dzielna kobieta nie chciała tego wyróżnienia, musiała jednak ulec naleganiom kapitana, który zresztą spełniał tylko polecenie Towarzystwa.

Tomasz Black miał jechać pojazdem, który go przywiózł do fortu Reliance wraz ze swym małym bagażem uczonego. Przyrządy astronoma, nieliczne zresztą, – luneta dla badań zjawisk księżycowych, sekstant do mierzenia szerokości geograficznej, chronometr dla oznaczania długości geograficznej, kilka map, kilka książek, – mieściły się doskonale na sankach, i Tomasz Black był spokojny, że psy nie zostawią go w drodze.

Nie potrzebujemy dodawać, że nie zapomniano również o żywności dla zwierząt. Ogółem było siedemdziesiąt dwa psy, istne stado, które należało karmić w drodze. To też myśliwi oddziału mieli zajmować się dostarczaniem im stawy. Psy owe, rozumne i silne, kupione były od Indian Chippeways'ów celujących w tresowaniu tych zwierząt.

Przygotowania do odjazdu szły nader sprawnie. Porucznik Jasper Hobson oddawał im się z niezrównanym zapalem. Dumny ze swej misji, oddany całą duszą wyprawie, nie zaniedbał niczego, co mogłoby zapewnić jej powodzenie. Kapral Joliffe, zawsze niezmiernie zaafierowany, pracował bez wielkiego skutku. lecz obecność jego żony była i miała być bardzo

użyteczna dla całej wyprawy. Mrs. Paulina Barnett polubiła ją bardzo. Była to kobieta rozumna i żywa, Kanadyjka o blond włosach i wielkich, łagodnych oczach.

Kapitan Craveny oczywiście dołożył wszelkich starań, aby wyprawie nie zbywało na niczem. Instrukcje, które otrzymywał od naczelników Towarzystwa dowodziły, jaką wagę przywiązuje ono do założenia factorji poza siedemdziesiątym równoleżnikiem. Można więc było śmiało twierdzić, że wszystko co było w ludzkiej mocy zrobiono, aby osiągnąć cel wyprawy. Ale czy natura nie stanie wpoprzek zamiarom dzielnego porucznika? Tego nikt przewidzieć nie mógł.



## Rozdział V

### *Z fortu Reliance do fortu Enterprise.*



astała wiosna. Warstwa śniegu, pokrywająca pagórki, tajała powoli, ukazując gdzie niegdzie zieleniejące tło ich zboczy. Ptaki wodne, jak błędnie nierzawie, szukały

ici z doczy. Ptaki wędlowice, jak łabędzie, ciurzewie, ony o łysej głowie i inne, nadciągały z południa. Pączki nabrzmiwały na gałęziach wierzb, brzoź i topoli. Na rozległych sadzawkach utworzonych tu i ówdzie przez tajanie śniegu pływały kaczki o główkach czerwonych, jeden z licznych gatunków Ameryki Północnej. Nurzyki zaś, zimorodki i inne północne ptaki odlatywały do zimnych stref. „Musaraigni” małe, mikroskopijne myszki, wielkości orzecha, wychodziły z nor, rysując na ziemi dziwaczne linje spiczastemi ogonami. Promienie słońca upajały swą mocą wiosenną! Natura rozkosznie uśmiechnięta budziła się z długiego snu zimowego. Nadejście wiosny witane jest w okolicach podbiegunowych z głębszą radością, niż w innych stronach kuli ziemskiej.

Odwiłz jednak nie była zupełna. Jakkolwiek termometr Fahrenheita wskazywał czterdzieści i jeden stopień ( $\pm 5^{\circ}$  Cels.) warstwa śnieżna nie traciła swego oporu z powodu panujących w nocy chłódów. Okoliczność ta jednak była pomyslna dla podróżnych, gdyż ułatwiała jazdę sankami.

Lód na jeziorze trzymał się jeszcze mocno. Myśliwi z fortu, korzystając z tych rozległych zamrożonych przestrzeni, od miesiąca już tropili zwierzynę. Mrs. Paulina Barnett z zachwytem patrzyła na zręczne posługiwanie się mieszkańców fortu nartami. Uzbrojeni w to „obuwie na śnieg” mogli byli z powodzeniem współzawodniczyć z koniem w biegu. Idąc za radą kapitana Craventy, podróżniczka zaopatrzyła się w tego rodzaju przyrządy i po pewnym czasie posługiwała się nimi zręcznie.

Od kilku już dni do fortu przybawali oromadnie Indianie w

Całkiem już bliżej do celu przybywał grono ludzi mając w celu zamiany na wyroby fabryczne swej upolowanej w zimie zdobyczy. Nie była ona wszakże zbyt obfita w tym roku. Futer kun i „wison’ów”, nie brakowało, lecz bobrów, wyder, ostrowidzów, gronostajów, lisów była zato mała liczba. Towarzystwo okazało się więc bardzo przezorne, urządzając wyprawę na północ do stron nieznanych, do których nie dotarła jeszcze chciwość ludzka.



16 kwietnia zrana porucznik Hobson i jego oddział byli gotowi do wymarszu. Droga między jeziorem Niewolniczem, a jeziorem Wielkiego Niedźwiedzia, znajdującym się poza kołem Polarnem, była już znana. Miano dotrzeć do fortu Confidence, położonego na krańcu północnym jeziora. Następnie zaś Jasper Hobson zamierzał zatrzymać się w forcie Enterprise oddalonym o dwieście mil na północo-zachód na brzegu małego jeziora Snure, gdzie można było zaopatrzyć się w żywność. Porucznik spodziewał się, robiąc piętnaście mil dziennie, dotrzeć doń w pierwszych dniach maja.

Po tym postoju oddział miał najkrótszą drogą dostać się do wybrzeża amerykańskiego, a stąd wyruszyć na przylądek Bathurst. Było umówione, że za rok kapitan Craventy przyśle do tego przylądka konwój z zapasem żywności i że kilku ludzi z oddziału wyjedzie naprzeciwko tego konwoju, aby mu wskazać miejsce, gdzie nowy fort został założony. Tym sposobem przyszłość faktorii była zabezpieczona, a porucznik i jego towarzysze, dobrowolni wygnańcy, nie byłiby pozbawieni kontaktu, choć zrzadka, z bliźnimi.

16 więc kwietnia zrana, sanki zaprzężone czekały przed bramą na podróżnych. Kapitan Craventy, zebrawszy odjeżdżających żołnierzy, żegnał ich serdecznymi słowami, zalecając wzajemne wspomaganie się wobec niebezpieczeństw i posłuszeństwo dla dowódcy, które było nieodzownym warunkiem powodzenia wyprawy, wymagającej poświęcenia i abnegacji. Okrzykiem hurra odpowiedziano na przemówienie kapitana, a po krótkim pożegnaniu każdy zajął miejsce w sankach dla niego przeznaczonych. Jasper Hobson i sierżant Long jechali na czele. Za nimi Mrs. Paulina Barnett i Madge, która doskonale posługiwała się długim batem eskimoskim, zakończonym rzemykiem ze stwardniałego ścięgna. Tomasz Black i jeden z żołnierzy, Kanadyjczyk Peterson, zajmowali trzecie miejsce w szeregu. Reszta sanek z żołnierzami i kobietami sunęła w tyle. Kapral Joliffé i Mrs. Joliffé byli w arjergardzie. Stosownie do rozkazu Jasper Hobson'a każdy z powożących miał trzymać się wyznaczonego miejsca i znajdować się w jednostajnej odległości od innych sanek, aby nie wywoływać

zamieszania. Istotnie zderzenie się sanek pędzących z całą szybkością mogło stać się przyczyną nieszczęśliwego wypadku.

Opuszczając fort Reliance, Jasper Hobson udał się w prostym kierunku na północo-zachód. Musiał najpierw przejechać przez rzekę, łączącą jezioro Niewolnicze z jeziorem Wolmsley. Rzeka zamrznięta i pokryta śniegiem nie różniła się bynajmniej od rozległej białej równiny. Jednostajny, śnieżny kobierzec pokrywał całą okolicę, a sanki, uniesione sprawnymi zaprzęgami, mknęły rączo po tej warstwie stwardniałej.

Pogoda sprzyjała, lecz powietrze było bardzo chłodne. Słońce, nisko nad horyzontem, zakreślało na niebie łuk niezmiernie wydłużony. Promienie słoneczne, odbijające się jaskrawo w śniegu, dostarczały więcej blasku, niż ciepła. Na szczęście najłżejszy podmuch wiatru nie zakłócał spokoju atmosfery, więc mróz był znośny aczkolwiek twarze uczestników wyprawy, którzy nie przywykli do ostrości podbiegunowego klimatu, odczuwały go dotkliwie.



– Podróż nasza zaczyna się pomyślnie, – odezwał się Jasper Hobson do sierżanta, który siedział obok niego nieruchomy jak gdyby stał na bacność. – Niebo jasne, temperatura znośna, zaprzęgi pędzą jak ekspresy, więc o ile pogoda trwać będzie, dojedziemy bez przeszkód. Cóż myślisz o tem, sierżancie Long?

– To samo co pan, panie poruczniku – odpowiedział sierżant, żywe echo swego dowódcy.

– Czy zdecydowałeś się jak ja, sierżancie, – ciągnął dalej Jasper Hobson, – dotrzeć do najodleglejszego krańca północy?

– Wystarczy, abyś rozkazał, panie poruczniku.

– Wiem o tem, sierżancie, wiem, że wystarczy wydać ci rozkaz, abyś go spełnił. Gdyby wszyscy nasi ludzie mogli zrozumieć jak ty całą doniosłość tej wyprawy i oddać się duszą i ciałem sprawom Towarzystwa! Ach, sierżancie Long, wiem, że gdybym ci dał rozkaz niemożliwy do spełnienia...

– Niema rozkazu niemożliwego, panie poruczniku.

– Jakto! A gdybym ci kazał iść do bieguna Północnego?

– Poszedłbym

– I powrócić!... – dodał Jasper Hobson śmiejąc się.

– Powróciłbym – odpowiedział prosto sierżant Long.

Gdy w ten sposób rozmawiali z sobą porucznik Hobson i jego sierżant, w sankach Mrs. Pauliny Barnett odbywała się również wymiana zdań przy każdym zwolnieniu biegu jazdy

spowodowaniem większym wzniesieniem gruntu. Dwie te dzielne kobiety, zakapturzone w czapkach futrzanych i napoły zakopane w grubym futrze niedźwiedziem, przyglądały się dzikiej naturze i białym sylwetkom lodowców rysującym się na horyzoncie. Oddział minął już był pagórki, wznoszące się na wybrzeżu północnym, jeziora Niewolniczego, których szczyty pokryte były wykrzywionymi szkieletami drzew. Przed nimi ciągnęła się nieskończona równina, której ciszę przerywał tylko krzyk unoszących się nad nią ptaków, a przeważnie łabędzi spieszących na północ. Ich białe pióra mieszały się z białością śniegu tak, że oko odróżniłoby ich nie mogło, gdyby nie odlatywały od czasu do czasu, odcinając się żywo swą białością od szarawego tła otaczającej ich atmosfery.

– Co za osobliwa okolica! – mówiła Paulina Barnett. – Jakże różni się od zieleniejących równin Australji! Czy pamiętasz, moja dobra Madge, upał panujący nad wybrzeżem jeziora Karpentaria i martwe niebo bez najmniejszego obłoka, bez najlżejszej chmurki?

– Moja córko, – odpowiedziała Madge, – nie posiadam jak ty daru pamięci. Ty zachowujesz swoje wrażenia, ja – zapominam o moich.

– Jakto, Madge, – zawołała Paulina Barnett, – nie pamiętasz tropikalnych upałów Indyj i Australji? Czyżbyś wykreśliła ze swej pamięci wspomnienie tortur, jakie przechodziłyśmy, będąc pozbawione kropli wody w pustyni, lub będąc narażone na działanie promieni słonecznych, które przepalały nas do kości, tak że nawet nie potrafiliśmy ulei naszego ciała...



tak że nawet noc nie przynosiła ulgi naszym cierpieniom!

– Nie, Paulino, nie, – odpowiedziała Madge, zawijając się jeszcze szczelniej w swe futro, – nie pamiętam tego wcale! I jakże mogłabym pamiętać cierpienia, o których wspominasz, jak upał, pragnienie, szczególnie w tej chwili, gdy lód otacza nas zewsząd i gdy wystarczy wychylić rękę z sanek, aby nabrać w nią całą garść śniegu? Mówisz mi o upale, gdy marzniemy pod futrem niedźwiedziem! Wspominasz o żarze promieni słonecznych, gdy tu słońce kwietniowe nie jest w stanie rozpuścić kropel rosy zmarzniętej na naszych wargach! Nie, córko moja, nie dowódź mi, że gdziekolwiek istnieje ciepło, nie wmawiaj we mnie, że kiedykolwiek uskarżałam się na upał, bo wierzyć temu nie będę!

Mrs. Paulina nie mogła powstrzymać śmiechu.

– A więc jest ci bardzo zimno, Madge?

– Istotnie, jest mi bardzo zimno, moja córko, ale nie narzekam na nic. Przeciwnie zdaje mi się, że ten klimat musi być bardzo zdrowotny i jestem pewna, że będę czuła się doskonale na północnym krańcu Ameryki! Doprawdy piękny to kraj!

– Tak, Madge, zachwycający kraj, pomimo że nie widziałyśmy jeszcze wszystkich jego cudów. Ale niech wyprawa nasza dotrze do granic oceanu Północnego, niech nadejdzie zima ze swymi zwałami lodu, ze swym całunem śnieżnym, zawiejami podbiegunowymi, zorzą północną, wspaniałymi konstelacjami, nocami sześciomiesięcznymi, zrozumiesz dopiero, o ile dzieło Stwórcy jest wszędzie i zawsze niespożyte!

W ten sposób mówiła Paulina Barnett, unosząc się żywą wyobraźnią. W tych stronach oddalonych, w tym ostrym klimacie widziała tylko twórczą siłę natury, objawiającą się w najpiękniejszych swych zjawiskach. Zapal podróżniczy brał górę nad rozsądkiem. W tych stronach podbiegunowych widziała jedynie wstrząsające piękno tyle razy opiewane przez sagi germańskie i pieśni bardów z czasów Osjana. Madge jednak, bardziej pozytywna, nie ukrywała przed sobą ani niebezpieczeństw, na które była narażona wyprawa do tych okolic podbiegunowych, ani cierpień, na które skazywało je zimowanie w odległości mniej niż trzydziestu stopni od bieguna.

I, w istocie, ludzie bardziej zahartowani, niż dwie te kobiety, wytrzymać nie mogli trudów, niedostatku, tortur moralnych i fizycznych w tym nieubłaganym klimacie. Wprawdzie, wyprawa porucznika Jasper Hobson nie miała dotrzeć do najwyższej szerokości kuli ziemskiej, jak również nie chodziło bynajmniej o dotarcie do bieguna, podążenie śladami Parry'ch, Ross'ów, Mac Clure'ów, Kane'ów, Morton'ów. Wszelako poza kołem Polarnem nie brak trudności do zwalczenia, zarówno jak i nad samym biegunem Północnym. Jasper Hobson miał dotrzeć tylko powyżej siedemdziesiątego równoleżnika. To prawda. Ale nie zapominajmy, że Franklin i jego nieszczęśliwi towarzysze zginęli z powodu chłodu i głodu, nie przekroczywszy nawet sześćdziesiątego ósmego stopnia północnej szerokości!

W sankach Mr. et Mrs. Joliffé rozmawiano o zgoła innych rzeczach. Być może, że kapral przed wyjazdem oblał zbyt

szczodrze chwilę pożegnania, dość że, o dziwo! sprzeczał się ze swą małżonką. Tak, sprzeczał się z nią, a to było rzadkością.

– Nie! mistress Joliffé, – mówił kapral, – nie! nie obawiaj się niczego. Powozić sankami jest rzeczą tak łatwo jak powozić zwykłym wózkiem, i niech djabli mnie porwą, jeżeli nie potrafię powozić psami!

– Nie zaprzeczam twej zęczności, – odpowiedziała Mrs. Joliffé. – Radzę ci tylko być uważniejszym w ruchach. Wyprzedziłeś już wszystkich, a słyszę, jak porucznik Hobson woła, abys się trzymał w arjergardzie.

– Pozwól mu wołać, mistress Joliffé, pozwól mu krzyzczeć!...

Przy tych słowach kapral, smagnawszy psy uderzeniem bata, popędził jeszcze szybciej sankami.

– Uważaj, Joliffé, – napominała go żona. – Nie tak szybko! Zbliżamy się do pochyłości.

– Do pochyłości! – odparł kapral. – Nazywasz to pochyłością, mrs. Joliffé. Przeciwnie, to się wznosi!

– Powtarzam ci, że to się pochyła!

– A ja dowodzę, że się wznosi! Patrz, patrz jeno jak psy ciągną!

Tymczasem psy wcale nie ciągnęły. Pochyłość gruntu przeciwnie była bardzo wydatna. Sanki mknęły z zawrotną szybkością, wyprzedzając coraz bardziej resztę oddziału. Mr. i Mrs. Joliffé nodskakiwali co chwila. Włhoie. snowodowane

nierównością warstwy śnieżnej, stawały się coraz częstsze. Małżonkowie, podrzucani, to na prawo, to na lewo, uderzali się co chwila o siebie. Ale kapral nie zwracał uwagi ani na rady żony, ani na wołania porucznika Hobsona. Porucznik Hobson, wiedząc, czym skończyć się może ta szalona jazda, podążył szybciej, aby dopędzić nieostrożnego kaprala, a za nim podążyła reszta podróżnych.

Ale kapral pędził w najlepsze! Szybkość jazdy upajała go! Gestykulował, krzyczał, wywijał batem, jak sportsmen skończony.

– Co to za znakomite narzędzie ten bat! – wołał, – i jak doskonale umięją się nim posługiwać Eskimosi.

– Ale ty nie jesteś Eskimosem, – wołała Mrs. Joliffé, starając się napróżno zatrzymać rękę nieostrożnego woźnicy.

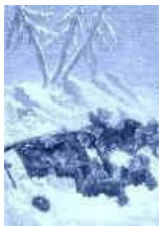
– Powiedziano mi, – ciągnął dalej kapral, – że Eskimosi potrafią dosięgnąć nim psa w miejscu, w którym chcą go uderzyć. Mogą nawet końcem rzemyka odtrącić mu kawałeczek ucha, jeżeli im się podoba. Spróbuję i ja...

– Nie próbuj, Joliffé, nie próbuj! – wołała młoda kobieta, z przestrawieniem.

– Nie obawiaj się niczego, mistress Joliffé. Oto właśnie ten pies na prawo w trzeciej parze zaczyna brykać. Muszę go nauczyć!...

Ale widać kapral za mało jeszcze był „Eskimosem”, lub też

nie dość sprawnie umiał obchodzić się z batem, którego długi rzemień sięga na cztery stopy poza zaprzęgiem, gdyż bat rozwinął się ze świstem i zwracając się wtył niezręcznym uderzeniem, okręcił się około szyi mistrza Joliffé, tak że jego czapka futrzana uniosła się w powietrzu. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie to grube nakrycie głowy, kapral byłby oberwał sobie kawałek własnego ucha.



W tej chwili psy rzuciły się w stronę, sanki przewróciły się i para małżeńska znalazła się w śniegu. Na szczęście warstwa śnieżna była gruba, więc wyszli cało z wypadku. Ale co za wstyd dla kaprała! Jakim wzrokiem spojrzała na niego małżonka! Jakimi wymówkami obdarzył go porucznik.

Sanki podniesiono, ale odtąd ster powożenia, jak ster gospodarstwa, należał do Mistress Joliffé. Kapral, niezmiernie zawstydzony, musiał zgodzić się na ten dekret, poczem karawana wyruszyła w dalszą drogę.

Dwa tygodnie upłynęło od tego wypadku. Podróżni nasi przy

wciąż sprzyjającej pogodzie i temperaturze znosnej dojechali 1-go maja bez żadnej przygody do fortu Enterprise.



1 Przewidywania te w istocie sprawdziły się.



**Jules Verne**

**W KRAINIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**

**(Rozdział VI-X)**

*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*  
*Ilustracje Férat i Beaurepaire*  
*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*  
*Poznań 1925*



© **Andrzej Zydorczak**



## **Część PIERWSZA**

### **Rozdział VI**

*Pojedynek Wapitisów.*



Odległość dwustu mil dzieli fort Enterprise od fortu Reliance. Podróżni, korzystając z długiego dziennego mroku, jechali prawie bez przerwy z niesłychaną szybkością, tak że strudzeni niezmiernie dotarli do wybrzeża jeziora Snure, na którym był położony fort Enterprise.

Fort ten, zbudowany zaledwie lat kilka temu, przez Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej, był właściwie stacją żywnościową małego znaczenia dla oddziałów towarzyszących wyprawom na futra, które wyruszały z okolic jeziora Wielkiego Niedźwiedzia oddalonego na północo-zachód o blisko trzysta mil.

Załoga fortu składała się z dwunastu żołnierzy. Posiadał on tylko jeden dom drewniany okolony zagrodą drewnianą. Była to siedziba bardzo pierwotna, towarzysze jednak porucznika Hobson spędzili w niej z zadowoleniem dwa dni, wypoczywając po trudach podróży.

Powolna wiosna północna dawała znać o sobie. Śnieg topniał miejscami, chłód nocny stawał się mniej dotkliwy. Gdzieś wśród śniegu ukazywały się mchy i trawy, a nawet bezbarwne kwiatki wychylały wilgotne swe korony z pośród kamyków. Pojawienie się tych rzadkich okazów północnej przyrody, budzącej się do życia po długim śnie zimowym, miła była dla oka



znużonego jednostajnością białej warstwy śnieżnej.



Mrs. Paulina Barnett i Jasper Hobson skorzystali z wywczasu, aby zwiedzić brzegi małego jeziora. Oboje kochali przyrodę i zachwycali się nią z całym zapalem. Przypatrywali się obsuniętym lodowcom i potokom spływającym pod działaniem promieni słonecznych. Jezioro było jeszcze zamrożone. Żadne pęknięcie nie wskazywało na bliskie ruszenie kry. Spiętrzone na jego powierzchni masy lodowe, osuwając się powoli, przybierały malownicze kształty szczególnie, gdy promienie słoneczne, załamując się na ich brzegach, zabarwiały się różnorodnie. Zdawało się, że jakaś wszechmocna ręka rozbiła łuk tęczy i rozrzuciła go kawałkami na zmarznięte bryły lodu.

– Widok ten jest niezwykle piękny! nieprawdaż panie Hobson? – mówiła Paulina Barnett, zwracając się do towarzystwa. – Tęczowe zjawisko zmienia się do nieskończoności, zależnie od miejsca, z którego je podziwiamy. Czy nie wydaje się panu, jak mnie, że stoimy przed olbrzymim

kalejdoskopem? Lecz może ten widok tak dla mnie nowy już nie sprawia na panu wrażenia?

– O, nie, – odpowiedział porucznik. – Aczkolwiek urodziłem się w tych północnych stronach i spędziłem wśród nich młodość moją, nie przestaję podziwiać ich wspaniałej piękności. Ale jeżeli zachwyty pani jest tak wielki na widok tej okolicy oświetlonej promieniami słońca, to jest wtedy gdy pod jego wpływem zmienia się wygląd kraju, cóż będzie w takim razie, gdy pani zobaczy te okolice wśród wielkich mrozów zimowych? Przyznam się pani, że słońce tak cenne dla stref umiarkowanych, psuje mi krajobraz mego północnego ładu!

– Doprawdy? – odezwała się Paulina Barnett z uśmiechem. – A ja sądzę, że jednak słońce jest bardzo pożądanym towarzyszem podróży i że nie należy się uskarżać na ciepło, którem nas obdarza nawet w tych strefach polarnych.

– Ja, proszę pani, – odparł Jasper Hobsen, – należę do rzędu osób, które twierdzą, że Rosję trzeba zwiedzać w zimie, a Saharę w lecie. Wtedy poznaje się właściwy charakter kraju. Nie! słońce jest ciałem niebieskim stref wyniosłych i krajów gorących! O trzydzieści stopni od bieguna, doprawdy nie jest ono na swoim miejscu! Niebo tej krainy to niebo czyste zimne, niebo gwiazdziste, oświetlone niekiedy blaskiem zorzy północnej. Jest to kraina nocy, nie dnia, i ta długa noc podbiegunowa gotuje dla pani niejedną zachwyty i niejedną niespodziankę!

– Panie Hobson, – zagadnęła porucznika jego towarzysza, –

czy pan zwiedził strefy umiarkowane Europy i Ameryki?

– Zwiedziłem, i oceniam je jak na to zasługują. Ale zawsze powracałem do mojej rodzinnej ziemi z tem większym zapalem i oddaniem. Jestem człowiekiem zimna i doprawdy nie uważam to sobie za zasługę, że umiem je znosić. Nie oddziaływa na mnie wcale i, jak Eskimos, mogę przebywać miesiące całe w domu ze śniegu.

– Pan mówi, panie Hobson, o tym strasznym wrogu z zapalem, który rozgrzewa serce! Mam nadzieję, że stanę się godną pana, i jak daleko pan sięgnie na północ, pójdę z panem wszędzie.

– Przyjemnie mi to słyszeć z ust pani, i oby wszyscy moi towarzysze, kobiety i mężczyźni, okazali się tak dzielnymi, jak pani! Z boską pomocą zaszlibyśmy daleko!

– Ale dotąd nie może się pan uskarżać. Podróż zaczęła się pod dobrym znakiem: żadnej nie mieliśmy dotąd przeszkody, czas nam sprzyja, temperatura znośna. Wszystko za nami przemawia.

– Zapewne, – odrzekł porucznik, – ale właśnie to słońce, którem się pani tak zachwyca, podwoi wkrótce trud i niebezpieczeństwo naszej podróży.

– Co pan chce przez to powiedzieć, panie Hobson?

– Chcę przez to powiedzieć, że jego działanie zmieni niebawem wygląd kraju, że gdy lód stopnieje, pozbawieni będziemy oładkiej powierzchni na której sunęły sanki z

Łęczyły gładkiej powierzchni, na której białe śniegi z łatwością, że grunt stanie się twardy i wyboisty, że psy unosić nas nie będą z lotnością strzały, że rzeki i jeziora powrócą do stanu płynnego i że będziemy musieli je okrążyć lub przejeżdżać w bród. Wszystkie te zmiany, dzięki działaniu słońca, przemienia się dla nas w opóźnienie, trudy, zmęczenie, niebezpieczeństwa, z których najmniejsze będzie śnieg usuwający się z pod naszych stóp, lub lawiny spadające ze szczytu gór lodowych! Oto czego nam dostarczy to słońce wznoszące się coraz bardziej nad horyzontem! Niech pani dobrze zapamięta, co pani powiem. Z czterech żywiołów starożytnej kosmogonji potrzebny nam jest tylko jeden, potrzebny, konieczny i niezbędny, a jest nim powietrze. Trzy inne, jak ziemia, ogień i woda nie powinny dla nas istnieć! Są one przeciwne istotnej naturze tych stref podbiegunowych!

Porucznik przesadzał bez wątpienia. Mrs. Paulina Barnett mogłaby z łatwością odeprzeć jego dowodzenie, ale nie uczyniła tego, gdyż z przyjemnością słuchała jego mowy pełnej zapału. Przekonała się bowiem, że porucznik kochał gorąco kraj, dokąd zaprowadzić ją miało zrzadzenie losu, a to było najlepszą rękojmią, że nie cofnie się on przed żadną przeszkodą.

A jednak przewidywania Jasper Hobson'a co do ujemnego działania słońca miały sprawdzić się niebawem. 4 maja oddział wyruszył w dalszą drogę. Termometr nawet wśród nocy wskazywał trzydzieści dwa stopnie Fahrenheita, co odpowiada zeru Celsjusza. Na rozległych równinach odwilż była zupełna. Całun śnieżny zamieniał się w potok wodny. Nierówność gruntu

formacji skalistej powodowała wstrząśnienia sanek, a tem samem podróży. Psy zmuszone były do powolnej jazdy i można było bez obawy oddać lejce w ręce nieostrożnego kaprała Joliffe. Ani jego wołania, ani uderzenia nie byłyby w stanie pobudzić do szybszego biegu zmęczonych zwierząt.

Droga była tak ciężka, że podróżni, chcąc ulżyć psom, odbywali ją w części pieszo. Ten rodzaj lokomocji zresztą dogadzał myśliwym, gdyż zbliżano się do okolic Ameryki, które obfitują w zwierzynę. Mrs. Paulina Barnett i jej wierna Madge śledziły z zajęciem pracę myśliwych. Tomasz Black przeciwnie odnosił się do niej z całą obojętnością. Jeżeli przybył do tych okolic, to nie poto, aby zajmować się polowaniem na wizony lub gronostaje, lecz aby badać księżyc w chwili, gdy jego krag zasłoni tarczę słoneczną. To też gdy zjawiał się nad horyzontem, niecierpliwym astronom pochłaniał go oczami. Z tego to powodu porucznik pewnego dnia odezwał się do niego w te słowa:

– No, cóż, panie Black! gdyby niepodobnym zbiegiem okoliczności, księżyc nie zjawił się na schadzkę 18 lipca 1860, byłby pan niemiłe zmartwiony!

– Panie Hobson, – odpowiedział poważnie astronom, – gdyby księżyc popełnił ten nietakt, pociągnąłbym go do odpowiedzialności!

Głównymi myśliwymi oddziału byli żołnierze Marbre i Sabine, obaj mistrze w swym zawodzie. Sprawność ich była niezrównana i najzawołani myśliwi indyjscy nie byłiby ich prześcignęli bystrością wzroku i zręcznością ręki. Byli

oblawnikami i myśliwymi jednocześnie; znali doskonale wszelkie łapki i sidła stosowne do kun, wyder, wilków, lisów, niedźwiedzi i t.p. Żaden wybieg nie był im obcy. To też kapitan Craventy wiedział co robi, przydzielając do oddziału porucznika Hobsona tak sławnych myśliwych jak Marbre i Sabine.

Ale podczas drogi ani Marbre ani Sabine nie mieli sposobności do nastawiania łapek. Rozporządzając zaledwie godziną lub dwiema wolnego czasu, musieli się zadowolić tylko bronią ręczną. Wszakże szczęście im sprzyjało, gdyż udało im się zabić jednego z wielkich przeżuwaczy fauny amerykańskiej rzadko spotykanych na tej geograficznej wysokości.

Pewnego dnia, 15 maja, obaj myśliwi, porucznik Hobson i Mrs. Paulina Barnett zboczyli o kilka mil na wschód od swej drogi. Za pozwoleniem porucznika Marbre i Sabine podążyli świeżo wytropionymi śladami, porucznik zaś nietylko, że ich upoważnił do tego, lecz poszedł za nimi w towarzystwie Mrs. Pauliny Barnett.

Ślady te kazały przypuszczać, że kilka większych danieli mknęło tą drogą. Zresztą było to rzeczą pewną. Marbre i Sabine nie mylili się nigdy w tym względzie, a nawet mogli byli wymienić, do jakiego gatunku należały te przeżuwacze.

– Obecność tych zwierząt w tej okolicy zdaje się zadziwiać pana? – spytała Mrs. Paulina Barnett porucznika.

– Istotnie, – odparł Jasper Hobson, – gdyż rzadko je spotkać można poza pięćdziesiątym siódmym stopniem szerokości.

Zwykle polujemy na nie na południe od jeziora Niewolnika w okolicy, gdzie oprócz pędów wierzby i topoli pewnego rodzaju, dzikie róże, są ulubionym pożywieniem danieli.

– Należy więc przypuszczać, że te przeżuwacze jak również zwierzęta o cennych futrach, tropione przez myśliwych, uciekają do tych spokojniejszych okolic.

– Inaczej nie mogę sobie objaśnić ich obecności na wysokości sześćdziesiątego piątego równoleżnika, – odpowiedział porucznik, – o ile wszakże nasi myśliwi nie omylili się co do ich natury i pochodzenia tych śladów.

– Nie, panie poruczniku, – odezwał się Sabine, – nie! Marbre i ja nie omyliliśmy się. Są to ślady danieli, które my, myśliwi, nazywamy czerwonymi danielami, tubylcy zaś „wapiti”.

– Jest to rzeczą najpewniejszą w świecie, – dodał Marbre. – Tacy starzy obławnicy jak my, nie mogliby się omylić. Zresztą, czy pan nie słyszy, panie poruczniku, tych osobliwych gwizdań?

Jasper Hobson i jego towarzyszka stali w tej chwili u podnóża małego wzgórka, na którego zbocze, prawie zupełnie ogołoczone ze śniegu, można było wnieść się łatwo. To też podróżni zaczęli się na nie wspinać, podczas gdy gwizdania zwierząt wznagały się coraz bardziej, przerywane od czasu do czasu ryczeniem podobnym do ryczenia osła.

Jasper Hobson, Mrs. Paulina Barnett, Marbre i Sabine, dostawszy się na szczyt pagórka, spojrzeli na rozciągającą się u ich stóp na wschodzie równinę. Nierówny grunt białł miejscami,

ale jasna zielona barwa odcinała się widocznie od plam śnieżnych. Ogołoczone krzaki wystawały tu i ówdzie. Na horyzoncie rysowały się wyraźnie wielkie góry lodowe, odbijając od szarawego tła nieba.

– Wapiti! wapiti! – zawołali jednogłośnie Sabine i Marbre, wskazując na zwartą grupę zwierząt znajdujących się od nich o ćwierć mili na wschód.

– Ale cóż one robią? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– Biją się, – odezwał się Jasper Hobson. – Czynią to zazwyczaj, gdy słońce rozgrzewa ich krew! Jeszcze jedno ujemne działanie promiennej gwiazdy

Ze szczytu, na którym stali Jasper Hobson, Mrs. Paulina Barnett i ich towarzysze, z łatwością mogli przyjrzeć się tym zwierzętom. Były to wspaniałe okazy tego rodzaju danieli, który jest znany pod nazwą jeleni o rogach okrągłych, jeleni amerykańskich, sam, danieli szarych i danieli czerwonych. Zgrabne te zwierzęta odznaczają się cienkimi nogami. Sierść ich brunatna pokryta jest gdzie niegdzie plamami czerwonymi, których barwa latem staje się jaskrawa. Po białych rogach bujnie się rozwijających można było poznać groźnych samców, samice bowiem nie posiadają wcale tej ozdoby. Watipi dawniej przebywały w całej Ameryce północnej i Stanach Zjednoczonych. Ale od czasu jak zaczęto karczować te ziemie, wraz z lasami znikły również wapiti, szukając bezpieczniejszego pobytu w spokojnych okręgach Kanady. Lecz i tu spłoszono je niebawem tak, że musiały się przenieść do okolic zatoki



Hudsonskiej.

Że watipi jest zwierzęciem raczej stref zimnych, to jest rzeczą pewną; ale, jak to słusznie zauważył porucznik, nie przebywa on zwykle na ziemiach położonych ponad pięćdziesiątym siódmym równoleżnikiem. Jeżeli więc grupa tych zwierząt doszła aż do tej szerokości, prawdopodobnie uciekała ona przed Chippeways'ami, którzy prześladowali ją bezlitośnie.



Tymczasem walka wapitis'ów przeciągała się z zacięłością. Nie spostrzegły w swem wojowniczym zaślepieniu myśliwych, więc Marbre i Sabine mogli się zbliżyć do nich bez obawy i celować.

Porucznik Hobson zachęcał do tego.

– Niech pan wybaczy, panie poruczniku – odparł Marbre. – Ale musimy oszczędzać naszych nabojów. Zwierzęte te walczą ze sobą na życie i śmierć, zwyciężone więc będą do nas należały.

– Czy watipi mają jaką wartość handlową? – spytała Mrs.

Paulina Barnett.

– A jakże, – odpowiedział Jasper Hobson; – ich skóra, nie tak gruba jak skóra zwykłego daniela, jest bardzo ceniona. Natarta tłuszczem i mózgiem tego zwierzęcia, staje się bardzo miękka i znosi zarówno dobrze posuchę, jak wilgoć. To też Indianie nie omijają żadnej sposobności, aby nabyć skórę wapitis'ów.

– Mięso ich musi być strawą doskonałą?

– Nie szczególną, – odpowiedział porucznik, – a nawet bardzo mierną. Mięso to jest twarde, niesmaczne; tłuszcz krzepnie natychmiast po wyjęciu go z pieca i zastyga na zębach. Jest to więc mięso nieposzukiwane i bezwarunkowo daleko gorsze od mięsa zwykłych danieli. Wszelako, w dniach głodu, służy jako pożywienie narówni z każdym innym mięsem.

Mrs. Paulina Barnett i Jasper Hobson rozmawiali od kilka minut, gdy nagle walka wapitis'ów ustała. Czyżby wyczerpały swe siły, czy też dostrzegły myśliwych? Tak czy inaczej, w tej samej chwili cała gromadka, za wyjątkiem dwu wyniosłych wapitis'ów, uciekła na wschód z nieźrównaną chyżością. W mgnieniu oka znikły, tak że najbardziej rączy koń nie mógłby był ich dogonić.

Dwa daniela, pozostałe na polu walki, przedstawiały sobą wspaniały widok. Z głową spuszczoną, z rogami dotykającymi rogów przeciwnika, z nogami tylnymi osadzonymi w ziemi, mierzyły się z sobą. Na podobieństwo dwu przeciwników, którzy korzystając z sposobności zetknięcia się z sobą, osaczają

której korzystając z sposobności zraniła się z sobą uszczepiając się wzajemnie, przestępowały z nogi na nogę, jak gdyby były przykute do siebie.

– Co za zaciekłość! – zawołała Mrs. Barnett.

– Tak, – rzekł porucznik. – Są to zaciekle zwierzęta, które zapewne chcą załatwić dawne porachunki.

– Ale czyż nie jest to chwila odpowiednia, aby zbliżyć się do nich, gdy wściekłość je zaślepią? – spytała podróżniczka.

– Mamy jeszcze czas, – odpowiedział Sabine. – Daniele te będą nasze! Gdybyśmy byli o trzy kroki od nich, ze strzelbą w rękę, nie opuściłyby swego miejsca.

– Doprawdy?

– Tak jest w istocie, – odezwał się Jasper Hobson, – przypatrzysz się bliżej walczącym, i czy to od naszej broni, czy od zębów wilków, zginą wcześniej lub później w tem samym miejscu, które zajmują obecnie!

– Nie rozumiem na czem pan opiera swe twierdzenie, panie Hobson, – rzekła Mrs. Barnett.

– Niech więc pani zechce się zbliżyć – odparł porucznik i niech pani nie obawia się spłoszyć tych zwierząt. Jak to słusznie powiedział nasz myśliwy, nie mogą one uciec.

Mrs. Paulina Barnett wraz z Sabine, Marbre i porucznikiem, zeszła z pagórka. W kilka minut później znaleźli się wszyscy w pobliżu pola walki. Wąpitisy nie drgnęły. Bodły się bez przerwy

głową, jak dwa walczące kozły, lecz zdawały się być nierozłącznie związane z sobą.

Istotnie w zapale walki rogi ich splotły się tak silnie, że oderwać ich od siebie nie mogły bez złamania. Wypadki tego rodzaju nie są rzadkością na terenach myśliwskich i często spotkać można te bujne rogi leżące na ziemi splątane niepowrotnie. Zwierzęta w ten sposób tak uwięzione umierają w krótkim czasie z głodu, lub stają się łatwą pastwą dzikich zwierząt.

Dwa wystrzały zakończyły walkę zaciętych zwierząt. Marbre i Sabine zdjęli na poczekaniu ich skórę, zabierając ją z sobą, dla wilków zaś i niedźwiedzi pozostawili krwawiącą masę mięsna.



## Rozdział VII

### *Koło Polarne.*



ddział posuwał się ciągle w kierunku północno-zachodnim, lecz przehvc mógł zaledwie osiem do dziesięciu mil

dziennie, gdyż psy, których powstrzymać nie było można na początku podróży, obecnie, zmęczone uciążliwą drogą, zaledwie podolać mogły swemu zadaniu. Jasper Hobson jednak naglił, o ile to było możliwe, do pośpiechu, chcąc jak najprędzej dostać się do krańca jeziora Wielkiego Niedźwiedzia, gdzie położony był fort Confidence. Tu bowiem miał zasięgnąć potrzebnych wskazówek do dalszej wyprawy. Chciał się dowiedzieć, czy Indianie, koczujący w pobliżu północnego wybrzeża jeziora, nie sięgają również wybrzeży oceanu i czy ocean Północny jest dostępny o tej porze roku. Były to pytania, od których pomyślnego rozstrzygnięcia zależało założenie nowej faktorii.

Okolica, przez którą przejeżdżali nasi podróżni, była pokryta siecią wód, po większej części dopływów dwu głównych rzek, płynących z południa na północ ku oceanowi Lodowatemu, jedna, na zachód, rzeka Mackenzie, druga na wschód, Coppermine-river. Między temi dwiema arteriami ciągnęły się jeziora, jeziorka i liczne stawy. Ich powierzchnia obecnie nie ścięta, była niemożliwą do przebycia. Musiano zatem je okrążyć, co przedłużało znacznie drogę. Stanowczo porucznik miał słuszność, dowodząc, że zima jest porą jedynie odpowiednią dla stron podbiegunowych, gdyż wtenczas są one właściwie dostępne. Mrs. Paulina Barnett przekonała się o tem niejednokrotnie.

Okolica ta, stanowiąca część Ziemi Wyklętej, była zupełnie niezamieszkała, jak zresztą przeważnie wszystkie północne strony łądu amerykańskiego. Obliczono istotnie, że liczba

ludności nie wykazuje nawet jednego mieszkańca na dziesięć mil kwadratowych. Mieszkańcy ci, nie licząc garstki tubylców, są to agenci lub żołnierze w liczbie kilku tysięcy, należący do rozmaitych Towarzystw zajmujących się handlem futrami. Ludność ta grupuje się przeważnie w południowych okręgach w pobliżu faktorji. To też podróżni nasi nie natrafili na żaden ślad ludzki podczas swej drogi. Jedyne napotkanemi śladami były ślady przeżuwaczy i gryzoniów. Spostrzeżono również kilka niedźwiedzi niezwykle groźnych w stronach polarnych. Mrs. Barnett dziwiła się, że ilość ich jest tak mała, sądząc bowiem z opisów przypuszczała, że w strefach północnych groźnych tych zwierząt znajdować się musi sporo, skoro poławiacze wielorybów zatoki Bafińskiej, zarówno jak poławiacze z Grenlandji i Szpicbergu, są ustawicznie napadani przez nie.

– Niech pani poczeka do zimy, – odpowiedział porucznik Hobson; – chłód a wraz z nim głód sprowadzi ich może zbyt wielką ilość!

Wreszcie po długiej i uciążliwej drodze, podróżni dotarli 23 maja do granicy koła Polarnego. Wiadomo, że równoleżnik ten, oddalony o  $23^{\circ}27'57''$  od bieguna północnego, tworzy linię matematyczną, poza którą nie sięgają promienie słoneczne, gdy świetlne to ciało opisuje swój łuk w południowej półkuli. Od tego więc miejsca wyprawa wchodziła na terytorjum stref podbiegunowych.

Szerokość tę sprawdzono starannie przy pomocy dokładnych przyrządów astronomicznych, któremi posługiwał się Jasper Hobson – profesor astronomji i jak Thomson Black Mrs. Barnett

HOBSON z równą sprawnością jak TOMASZ BLACK. MRS. BAMEU obecna przy czynności z zadowoleniem stwierdzić mogła, że przekroczy koło Polarne, czemu dziwić się nie można było wcale.

– Przeszła pani dwa równiki w swych poprzednich podróżach, – rzekł porucznik, – a teraz znajduje się pani na granicy koła Polarnego. Mało podróżników pochwalić się może tak różnorodną dziedziną swych wypraw! Jedni upodobali sobie strefy gorące: Afryka i Australia stanowią przeważnie pole ich badań. Do tych należą Barth, Buxton, Livingstone, Speek, Douglas, Stuart. Drudzy przeciwnie zapalili się do stron podbiegunowych, dotąd nieznanych, jak Mackenzie, Franklin, Penny, Kane, Parry, Raë; śladami tych ostatnich kroczymy obecnie. Należy więc się pani uznanie za tak wszechstronną działalność.

– Musimy wszystko zobaczyć w życiu, lub przynajmniej starać się o to, abyśmy wszystko zobaczyli, – odrzekła podróżniczka. – Zdaje mi się, że trudności i niebezpieczeństwa są wszędzie jednakie. Jeżeli w tych stronach podbiegunowych nie potrzebujemy się obawiać gorączek panujących w krajach gorących, zagrażających zdrowiu upałów, okrucieństw plemion murzyńskich, zato musimy tu walczyć z wrogiem nie mniej strasznym, bo z zimnem nieubłaganem. Co zaś do dzikich zwierząt, te znajdują się pod każdą szerokością i przypuszczam, że białe niedźwiedzie, nie są bardziej uprzejme dla podróżników, niż tygrysy Tybetu lub lwy Afryki. A zatem to samo niebezpieczeństwo, te same przeszkody spotykamy poza kołem

Polarnem, co i w pasie podrównikowym. Są okolice, które długo bronić się będą przed śmiałymi wyprawami podróżników.

– Zapewne, – odpowiedział Jasper Hobson, – ale przypuszczam, że strony podbiegunowe dłużej opierać im się będą. W stronach podzwrotnikowych nieprzebytą narazie zaporą dla podróżników są tubylcy i wiem, że wielu ich padło ofiarą barbarzyńców afrykańskich, lecz jestem pewny, że wkońcu cywilizacja weźmie górę nad nimi. W stronach zaś podbiegunowych przeciwnie. Tu nie mieszkańcy ostudzą zapał badacza, lecz sama natura, która oporem swych lodów broni do siebie dostępu i która swym okrutnym chłodem paraliżuje działalność ludzką!

– Więc pan sądzi, że tajemnice stref gorących Afryki i Australji będą prędzej odkryte, niż tajniki tej strony lodowatej?

– Jestem tego pewny, – odrzekł porucznik, – a pogład mój opieram na faktach. Najsilniejsi odkrywcy okolic podbiegunowych, jak Parry, Penny, Franklin, Mac Cluze, Kane, Morton nie przekroczyli osiemdziesiątego trzeciego równoleżnika, a więc przeszło siedem stopni dzieliło ich jeszcze od bieguna. Przeciwnie Australję zwiedził nieustraszony Stuart od południa do północy, Afrykę zaś – tak groźną dla podróżników – zwiedził doktor Livingstone od zatoki Loanga do ujścia Zambezi. Mamy więc prawo twierdzić, że strony podzwrotnikowe są bardziej przystępne dla ich zbadania, niż okolice podbiegunowe.

– Czyż pan sądzi, panie Hobson, że człowiek będzie mógł



kiedykolwiek dotrzeć do samego bieguna?

– Bez wątpienia – odpowiedział Jasper Hobson; – niejedyn podróznik lub podrózniczka, – dodał z uśmiechem, – nie zawahają się przed tem zadaniem. Wszelako, zdaje mi się, że, aby dostać się mogli do tego punktu kuli ziemskiej, w których krzyżują się wszelkie południki, powinni móc rozporządzać nowymi środkami lokomocji. Są żeglarze, którzy twierdzą, że morze na biegunie Północnym nie jest pokryte lodem; jeżeli tak jest w istocie, to w każdym razie trudno dotrzeć do niego i niewiadomo, czy ciągnie się do samego bieguna. Zresztą zdaje mi się, że otwarte morze przedstawiałoby jeszcze więcej trudności dla podróznika. Ja osobiście wołałbym zawsze liczyć na trwałą podstawę, czy miałyby to być podstawa lodowa, czy skalna, gdyż wtedy mógłbym, przy pomocy wypraw kolejnych, urządzić składy żywności i węgla coraz bliżej bieguna, i tym sposobem, z biegiem czasu, z odpowiednią sumą pieniędzy, z pomocą ludzi, którzyby może życie swe złożyć musieli w ofierze dla rozwiązania tego wielkiego naukowego zagadnienia, sądzę, że osiągnąłbym tę niedostępną dotąd część kuli ziemskiej.

– Podzielał w zupełności pańskie zdanie, – odpowiedziała Paulina Barnett – i gdyby pan miał zamiar kiedykolwiek stawić mężnie czoło trudom i niebezpieczeństwom takiej wyprawy, nie obawiałabym się i ja wcale i podążyłabym z panem, ażeby zatknąć sztandar Zjednoczonego Królestwa na szczycie bieguna Północnego! W każdym razie w tej chwili mamy inny cel przed sobą.

– Oczywiście, – odpowiedział Jasper Hobson. – Ale skoro nowy fort stanie na granicy lądu amerykańskiego, a tem samem Towarzystwo urzeczywistni swój zamiar, być może, że fort ten stanie się punktem wyjścia dla wyprawy na dalszą północ. Zresztą, jeżeli zwierzęta o drogocennych futrach będą zmuszone do ucieczki w te odległe strony, będziemy musieli podążyć za nimi!

– O ile wszakże kosztowna moda na futra nie przeminie wreszcie, – dodała Paulina Barnett.

– O, proszę pani, – zawołał porucznik, – znajdą się zawsze ładne kobiety, którym się zachce sobolowej mufki, lub peleryny z wizona i trzeba będzie zadowolić ich zachcenia!

– Obawiam się tego, – odpowiedziała ze śmiechem podróżniczka, – i jest rzeczą bardzo możliwą, że pierwszy odkrywca bieguna Północnego dotrze do tego punktu dopiero śladami kuny lub srebrzystego lisa!

– Nie wątpię o tem bynajmniej, – odezwał się Jasper Hobson. – Jest to właściwością natury ludzkiej, że chęć zysku zaprowadzi ją dalej i szybciej, niż bodziec naukowy.

– Jakto, i to pan, pan to mówi, panie Hobson!

– Czyż nie jestem tylko najzwyczajszym urzędnikiem Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej, a czyż Towarzystwo nie poświęca swych pieniędzy i swych ludzi jedynie w celu zwiększenia swych dochodów?

– Pani Hobson, – ocupara Paulina, – znam pana natyie, abym twierdzić mogła, że w razie potrzeby pan byłby gotów poświęcić się duszą i ciałem dla nauki. Gdyby wiedza geograficzna wymagała od pana dotarcia do bieguna, nie zawahałby się pan ani chwili. Ale, – dodała z uśmiechem, – jest to sprawa dalekiej przyszłości. W tej chwili dotarliśmy do koła Polarnego i mam nadzieję, że przekroczymy je bez trudności.

– Nie mogę odpowiedzieć pani narazie, – rzekł porucznik, spoglądając na niebo. – Pogoda od kilku dni zaczyna mnie niepokoić. Niech pani spojrzy na szarawe tło nieba. Mgła ta zamieni się niebawem w śnieg, a jeżeli wiatr dać pocznie, możemy doczekać się nielada zawiei. Doprawdy byłbym rad dostać się jak najprędzej do jeziora Wielkiego Niedźwiedzia!

– W takim razie, – odpowiedziała Paulina Barnett, powstając, – nie traćmy czasu, i wyruszajmy natychmiast.

Porucznik nie potrzebował podniety. Gdyby w jego otoczeniu znajdowali się byli tylko ludzie tej miary, co on, byłby dążył naprzód, nie tracąc ani dnia, ani nocy. Lecz nie mógł żądać tego od innych, czego żądał od siebie. Musiał z konieczności liczyć się siłami innych, jeżeli nie zwracał uwagi na swoje. I dlatego to dopiero po kilkogodzinnym wypoczynku oddział wyruszył w dalszą drogę.





Droga, którą sunęły sanki, nie nadawała się niestety do szybkiej jazdy. W okolicy tej, miejscami wzniesionej, miejscami poprzerzynanej wąwozami, napotymano to na ogromne bloki granitowe, to olbrzymie góry lodowe, które utrudniały niezwykle bieg zwierząt. Były one tak umęczone, że bat woźnicy nie wywierał na nie żadnego skutku.

To też porucznik i większa część oddziału musieli iść przeważnie pieszo, popychając a nawet podtrzymując sanki, gdy pod wpływem nagłej spadzistości gruntu zbyt się chyliły. Był to nieustanny trud, na który wszakże nikt się nie skarżył. Jeden tylko Tomasz Black, zajęty cały swą przewodnią myślą, nie schodził wcale z pojazdu, gdyż z powodu swej tuszy nie mógłby być podolać temu uciążliwemu zajęciu.

Odkąd przekroczono koło Polarne grunt widocznie uległ zmianie, stając się skalisty. Oczywiście było rzeczą, że na skutek jakiegoś wstrząśnienia geologicznej natury, został on pokryty wielkimi blokami granitu. Wszakże nie był on pozbawiony roślinności. Na zboczach pagórków, w miejscach zabezpieczonych od wiatrów północnych widniały nietylko kępy krzewów i krzaków, lecz nawet drzewa, jak sosny, świerki, wierzby i brzozy, które świadczyły o podatności tej zamarznętej olewy do podtrzymywania roślinności. Jasner Hobson nie wątpił że

głoby do podziwiania roślinności. Jasper Hobson nie wątpił, że nie zabraknie mu okazów flory podbiegunowej na granicy morza Lodowatego. Były mu one potrzebne zarówno dla budowy fortu, jak i dla zapewnienia mu opału. Każdego z uczestników wyprawy uderzyła różnica między tą okolicą stosunkowo żyzniejszą od nieskończonych równin śnieżnych, ciągnących się od jeziora Niewolnika do fortu Enterprise.

Wieczorem żółtawa mgła stała się gęstsza. Wiatr się zerwał. Niebawem śnieg zaczął padać grubemi płatkami i po kilku chwilach ziemia pokryła się całunem śnieżnym. Nie ubiegła godzina, gdy warstwa śnieżna dosięgała stopy grubości, a ponieważ nie marzł, lecz zamieniał się w płynne błoto, sanki sunęły po nim z wielką trudnością, zanurzając się przednią swą częścią w miękkiej tej masie, która zatrzymywała ich bieg co chwila.

Okolo ósmej wieczorem wiatr zaczął dać z niezmierną gwałtownością. Śnieg, to zrywając się w górę, to padając na ziemię, tworzył jedną gęstą wirującą zasłonę. Psy popychane zawieją, oślepięone nawałnicą, nie mogły postąpić kroku. Oddział znajdował się wtedy w wąskim wąwozie wśród dwu gór lodowych, w którym burza szalała z niezrównanem natężeniem. Kawalki lodu, spadające z góry, zatrzymywały się na dnie wąwozu, uniemożliwiając przejście. Były to lawiny, z których najmniejsza mogła była zniaździć sanki wraz z całym ich dobytkiem. To też Jasper Hobson zrozumiał, że dalej posuwać się było niepodobieństwem. Naradziwszy się z sierżantem Long, nakazał postój. Ale należało znaleźć schronienie przed burzą,

która wciąż szalała. Dla Jasper Hobson'a i jego towarzyszy, przyzwyczajonych do wypraw podbiegunowych, nie stanowiło to żadnych trudności. Nie po raz pierwszy tego rodzaju nawałnica zaskoczyła ich kilka set mil od fortów Towarzystwa w miejscowości, gdzie nie było najmniejszego szałas Eskimosa lub lepianki indyjskiej.

– Do gór lodowych! – zawołał Jasper Hobson.



Zrozumieli go wszyscy. Chodziło o wyłobienie w tych masach lodowych „snowhouses”, domków śnieżnych, lub raczej otworów, do których skryć się miano podczas trwania burzy. Sikiery i noże poradziły szybko kruchej masie lodowców. W trzy kwadranse później dziesiątek jam o wąskich otworach, w których pomieścić się mogły dwie lub trzy osoby, był gotowy zupełnie. Co do psów, te odprzągnięto, pozostawiając ich własnemu losowi. Liczono na ich instynkt, który miał im ułatwić znalezienie schronienia pod śniegiem.

Przed dziesiątą cały oddział rozproszył się po śnieżnych

domkach. Ugrupowano się zależnie od wzajemnej sympatii. Mrs. Paulina Barnett, Madge i porucznik Hobson zajmowali jeden z domków. Tomasz Black i sierżant Long drugi. Resztę zajmowali pozostali. Schronienia te jeżeli nie wygodne, są przynajmniej ciepłe, i należy podać do wiadomości, że Indianie i Eskimosi nie znają innych schronisk nawet podczas największych mrozów. Jasper Hobson zatem i jego towarzysze mogli ze spokojem oczekiwać końca burzy, uważając jedynie, aby śnieg nie zasypał wejścia. To też nie omieszkali odgarniać go co pół godziny. Podczas zawiei porucznik i jego żołnierze zaledwie wyjrzeć na świat mogli. Na szczęście każdy z nich zaopatrzył się w dostatnią ilość żywności, więc nie cierpiano ani głodu ani chłodu.



Burza trwała dwie doby. Wiatr wył w wąwozie i strącał wierzchołki gór lodowych. Rozlegające się odgłosy, kilkakrotnie zdwojone przez odbijające je echa, wymownie świadczyły o coraz większej ilości spadających lawin. Jasper Hobson mógł nie bez powodu, obawiać się, że na jego drodze staną

nieprzewyciężone przeszkody. Z temi odgłosami mieszał się dobrze mu znany poryk i porucznik nie ukrywał wcale przed swą odważną towarzyszką, że niedźwiedzie znajdować się muszą w wąwozie. Ale na szczęście zwierzęta te zajęte walką z szalejącym żywiołem, nie zbliżyły się do schronienia podróżnych. Ani psy, ani sanki zagrzebane w warstwie śnieżnej nie zwróciły ich uwagi.

Noc z 25 na 26 maja była jeszcze straszniejsza. Gwałtowność huraganu doszła do takiej miary, że można było się obawiać zaważenia gór lodowych. Istotnie wielkie te masy drżały w swych podstawach. Straszna śmierć czekała podróżnych przygniecionych tym lodowym zwałem. Lód pękał z przeraźliwym odgłosem, tworząc w górach szczeliny, podkopując ich trwałość. Na szczęście masa lodowa okazała się wytrzymałą a ku końcowi nocy na skutek jednego z tych zjawisk tak częstych w stronach podbiegunowych, raptowny mróz osłabił moc zawieci, i cisza zapanowała w powietrzu wraz z pierwszą zapowiedzią brzasku dziennego.



## Rozdział VIII

### *Jezioro Wielkiego Niedźwiedzia.*



róż, który tak szczęśliwie przeciwstawił się szalejącej burzy, a który zjawia się często w pierwszych dniach maja nawet w strefach umiarkowanych, wpłynął na zamrożenie grubej warstwy śnieżnej. Droga stała się możliwą do przebycia, to też podróżnicy wyruszyli w dalszą podróż, prześlizgując się szybko po stwardniałej powierzchni.

Zamiast jednak trzymać się dawniej wytkniętego północnego kierunku, musieli zboczyć na zachód, dążąc poniekąd równoległe do koła Polarnego. Porucznik, jak wiadomo, chciał dostać się do fortu Confidence, położonego na najwyższym krańcu jeziora Wielkiego Niedźwiedzia. Panujący mróz ułatwiał znakomicie spełnienie jego zamiarów. Drogę przebyto szybko bez żadnej przeszkody, tak że 30 maja gromadka podróżnych dotarła do Faktorji.

Fort Confidence i fort Good-Hope, położone nad rzeką Mackenzie, były najbardziej na północ wysuniętymi placówkami Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej w tym czasie. Fort Confidence, zbudowany na północnym krańcu jeziora Wielkiego Niedźwiedzia i posiadający pierwszorzędne znaczenie, miał ułatwioną komunikację z fortem Franklin, położonym na południowym jego krańcu, przez wody tego jeziora, zamrożone w zimie, w lecie zaś dostępne dla żeglugi. Nie mówiąc o codziennej zamianie towarów, prowadzonej z myśliwymi indwiskimi. faktorie te. a szczególnie fort Confidence.

eksploatowały na swoją rękę wybrzeża jeziora Wielkiego Niedźwiedzia. Jezioro to, istne morze śródziemne, rozciąga się na przestrzeni kilku stopni geograficznych wzdłuż i wszerz. O zarysie bardzo nieprawidłowym, ścieśnione pośrodku dwoma wrzynającymi się weń ostremi przylądkami, tworzy ono w swej części północnej rozległą trójkąt. W ogólnym zarysie przypomina rozciągniętą skórę przeżuwacza bez głowy.

Na krańcu „prawej łapy” zbudowany był fort Confidence, prawie o dwieście mil od zatoki Koronacji, jednego z tych olbrzymich ujść, które rozdwiająją tak kapryśnie północne wybrzeże Ameryki. Znajdował się więc nieco poza kołem Polarnem, lecz o trzy stopnie poniżej siedemdziesiątego równoleżnika, powyżej którego miało Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej zamiar założenia nowego fortu.

Fort Confidence, w swym całokształcie, podobny był do innych faktoryj położonych bardziej na południe. Składał się z domu dla oficerów, z pomieszczeń dla żołnierzy, ze składu dla futer, otoczonych zagrodą drewnianą. Kapitan dowodzący fortem był wtedy nieobecny. Wyruszył był wraz z garstką Indian i żołnierzy na wschód na poszukiwanie okolic bardziej obfitujących w zwierzynę, gdyż ostatnimi czasami wyniki polowania okazały się nikłe. Drogocennych futer brakowało w zupełności. Natomiast upolowano wielką ilość wyder, dzięki sąsiedztwu jeziora; ten zbiór jednak został wysłany do centralnych południowych faktoryj, tak że składy fortu Confidence były puste narazie.

W zastępstwie kapitana sierżant Felton przyjął podróżnych. Podoficer ten był właśnie szwagrem sierżanta Long. Oddał się on cały na usługi porucznika, który postanowił parę dni przepędzić w forcie Confidence, aby jego towarzysze odpocząć nieco mogli. Z powodu wyjazdu części załogi miejsca nie brakowało. Ludzie i psy znalazły wygodne pomieszczenie. Najokazalszy pokój głównego domu oddano Mrs. Paulinie Barnett, która była bardzo zadowolona z gościnności sierżanta Felton.

Pierwszem staraniem Jasper Hobsona było dowiedzieć się, czy jaki zastęp Indjan nie koczuje w tej chwili na wybrzeżach jeziora Wielkiego Niedźwiedzia.

– Owszem, panie poruczniku, – rzekł sierżant. – Dano nam znać, że na przeciwległej stronie północnego wybrzeża znajduje się obozowisko Indjan-Zająców.

– W jakiej odległości od fortu? – spytał Jasper Hobson.

– Około trzydziestu mil, – odrzekł sierżant Felton. – Czy chciałby pan wejść w stosunki z tymi tubylcami?

– Tak – rzekł Jasper Hobson. – Indjanie ci mogą mi dostarczyć pewnych wiadomości o okolicy graniczącej z morzem Lodowatym, a ciągnącej się aż do przylądka Bathurst. Jeżeli miejscowość ta okaże się dogodną, mam zamiar założyć tam naszą nową faktorię.

– Nic łatwiejszego, panie poruczniku, – odparł sierżant Felton – nad dostanie się do obozowiska Zająców.

– Czy wybrzeżem jeziora?

– Nie, przez samo jezioro. Jest ono dostępne dla żeglugi obecnie i wiatr sprzyja. Możemy służyć panu łodzią i sternikiem, który zawiezie pana w kilka godzin do obozowiska.

– Dobrze, sierżancie, – rzekł Jasper Hobson. – I jeżeli to możebne jutro.

– Kiedy pan zechce, panie poruczniku, – dokończył sierżant Felton.

Wyjazd został naznaczony na rano następnego dnia. Dowiedziawszy się o tem Mrs. Paulina Barnett prosiła porucznika, aby pozwoił jej towarzyszyć sobie, na co Jasper Hobson odpowiedział, jak łatwo się było domyślić, z najżywszą gotowością.

Korzystając z wolnego dnia Mrs. Paulina Barnett, Jasper Hobson, dwu czy trzech żołnierzy, Madge, Mrs. Mac Nab i Joliffe pod przewodnictwem sierżanta Felton udali się na zwiedzenie nadbrzeżnych okolic jeziora. Okolice te nie były pozbawione zieleni. Na szczytach pagórków widniały gdzie niedzie drzewa iglaste w rodzaju sosen szkockich. Drzewa te wznosiły się na czterdzieści stóp nad poziomem gruntu; dostarczały one mieszkańcom fortu opału podczas długich miesięcy zimowych. Grube ich pnie, otoczone giętkimi gałęziami, uwydatniały się swą barwą szarawą bardzo zamięnną. Ciągąc się jednak długą zwartą linią aż do wybrzeży jeziora, nie ożywiały krajobrazu. Miedzy temi drzewami rodzaj

trawy białej pokrywał ziemię, przenikając powietrze łagodnym zapachem tymianku. Sierżant Felton objaśniał podróżnych, że ta trawa, silnie pachnąca, mieni się „trawą-kadziłem”, zresztą słusznie, jak można się było o tem przekonać, rzucając ją na rozżarzone węgle.

Podróżni, uszedłszy kilkaset kroków od fortu, przybyli do małej przystani otoczonej wysokimi granitowymi skałami, które ją chroniły od fali jeziora. Tu to znajdowała się flotylla portu Confidence, składająca się z jednej łodzi rybackiej, tej samej łódki, która miała zawieźć nazajutrz rano Jasper Hobson'a i Paulinę Barnett do obozowiska Indjan. Z tej przystani można było ogarnąć wzrokiem większą część jeziora, pagórki lesiste, zakręty wybrzeża pełnego przyłądków i ostoi, falującą pod wpływem podmuchów wiatru wodę, i kilka gór lodowych zarysowujących się jeszcze na horyzoncie. Na południu ciągnęło się jezioro nakształt morza, którego woda zdawała się łączyć z niebem w blasku promieni słonecznych.

Rozległa przestrzeń wodna jeziora Wielkiego Niedźwiedzia, wybrzeża usiane kamieniami i granitowymi blokami, zbocza pokryte trawą, szczyty pagórków zakończone kępami drzew świadczyły o obecności świata roślinnego i zwierzęcego. Na wodzie pływały różnego rodzaju kaczki, kwacząc hałaśliwie, jak zimorodki, świstacze, arlekiny, „stare kobiety”, których dziób nie zamykał się nigdy. Kilka setek puffin'ów i murzyków przelatywały w szybkim locie we wszystkich kierunkach. Pod osłoną drzew przechadzały się dumnie orły morskie, wysokości

dwu stop, rodzaj sokołów o podbrzuszu szaro-popielatym, o łapkach i dziobie niebieskich, o oczach żółto-pomarańczowych. Gniazda tych ptaków, przyczepione do splotu gałęzi, a utworzone z traw morskich, były ogromnych rozmiarów. Myśliwy Sabine zdołał zabić parę tych olbrzymich ptaków, których rozpiętość skrzydeł dochodziła do sześciu stóp, – pyszne okazy ptaków wędrujących, żywiących się wyłącznie rybą, które wędrują na zimę aż do zatoki meksykańskiej, a w lecie przebywają w najwyższych strefach Ameryki północnej.

Najbardziej jednak zajęło podróżnych schwytanie wydry, którego futro oceniano na kilkaset rubli.

Futro tych wodoziemnych zwierząt było dawniej bardzo poszukiwane przez Chińczyków. Z czasem wszelako popyt na te futra zmniejszył się znacznie na rynkach Niebieskiego cesarstwa, zato na rynkach Rosji cieszą się zawsze wielką wziętością. To też kupcy rosyjscy, eksploatujący całą Nową Kornualję aż do granic oceanu Polarnego, polują bezustannie na wydry morskie, przez co stają się one coraz rzadsze. Chroniąc się przed myśliwymi, zwierzęta te uciekają aż do wybrzeży Kamczatki i na wyspy archipelagu Berynga.

– Ale, – dodał sierżant Felton, kończąc swe opowiadanie – wydry amerykańskie są również cenne, a za te, które znajdują się na wybrzeżu Wielkiego Niedźwiedzia, płacą od dwustu pięćdziesięciu do trzystu franków za sztukę.

Istotnie są to wspaniałe zwierzęta. Jedno z nich, dopiero co zabite przez samego sierżanta, nie ustępowało wcale wydrom

Kamczatki. Zwierzę to, długości dwu stóp i pół od końca pyszczka do końca ogona, miało nogi pletwiaste, krótkie, futro brunatnawe, z barwą ciemniejszą na grzbiecie, sierść jedwabistą, długą i połyskującą.

– Piękna zdobycz, sierzancie! – odezwał się porucznik Hobson, pokazując Mrs. Paulinie Barnett futro zabitego zwierzęcia.

– W samej rzeczy, – odpowiedział sierżant – i gdyby każdy dzień przyniósł nam jedną taką zdobycz, nie potrzebowalibyśmy się skarżyć. Ale ileż czasu zabiera tropienie tych zwierząt pływających i zanurzających się z niezmierną szybkością! Wychodzą one na poszukiwanie żeru tylko w nocy, w dzień bowiem opuszczają bardzo rzadko swe legowiska w pniu drzewa lub wydrążeniu skały, legowiska niezmiernie trudne do wykrycia nawet przez najwytrawniejszych myśliwych.

– Czy te wydry stają się również coraz rzadsze? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– Tak, pani – odpowiedział sierżant – a z chwilą gdy zwierzęta te znikną, zyski Towarzystwa zmniejszą się znacznie. Wszyscy myśliwi pożąдают tej zwierzyny, szczególnie zaś Amerykanie, którzy stanowią dla nas bardzo poważną konkurencję. Czy nie spotkał pan, panie poruczniku, na drodze jakiego agenta z Towarzystw amerykańskich?

– Żadnego, – odpowiedział Jasper Hobson, – Czyż odwiedzają oni te okolice znajdujące się na tak wysokiej szerokości?

– Bardzo często, panie poruczniku, i trzeba się mieć od nich dobrze na baczności.

– Czyż ci agenci byliby rozbójnikami? – spytała Palina Barnett.

– Nie, pani, – odpowiedział sierżant, – ale są to groźni współzawodnicy, nie uchylający się od strzałów, gdy zwierzyny jest mało. Ośmielam się nawet twierdzić, że jeżeli uda się Towarzystwu założyć fort na granicy łądu amerykańskiego, pójdą oni niebawem za jego przykładem, ci przekłeci Amerykanie!

– Eh! – odpowiedział porucznik, – tereny myśliwskie są rozległe, a pod słońcem jest dość miejsca dla każdego. Co do nas zacznijmy najpierw, dopóki stopy nasze czuć będą pod sobą stałą ziemię, i niech Pan Bóg nas strzeże!

Po trzygodzinnej wycieczce wędrowcy powrócili do fortu Confidence. Wieczera, złożona z ryby i świeżego mięsa czekała na nich w wielkiej jadalni fortu. Podziękowawszy sierżantowi za smaczny posiłek i porozmawiawszy z nim chwil kilka, goście udali się na spoczynek.

Nazajutrz, 31 maja, Mrs. Paulina Barnett i Jasper Hobson byli już na nogach o piątej rano. W tym dniu bowiem mieli zwiedzić obozowisko Indjan. Porucznik zaproponował Tomaszowi Black, aby im towarzyszył. Ale astronom wolał pozostać w forcie, gdyż miał zamiar zająć się badaniami astronomicznymi i wymierzeniem



dokładnej szerokości i długości geograficznej fortu Confidence. Mrs. Paulina Barnett i Jasper Hobson byli więc zmuszeni odbyć sami przeprawę przez jezioro pod przewodnictwem starego marynarza, nazwiskiem Norman, który pozostawał od lat wielu na służbie Towarzystwa.

Obaj podróżni w towarzystwie sierżanta Felton udali się do przystani, gdzie czekał na nich stary Norman. Łódź, do której wsiedli, była prostą łodzią rybacką bez pomostu, długości szesnastu stóp, opatrzoną na sposób małego kutra. Pogoda sprzyjała, lekki wiatr północno-wschodni ułatwiał im żeglugę. Sierżant Felton pożegnał podróżnych przepraszając, że nie może opuścić fortu pod nieobecność kapitana. Po odwiązaniu łodzi, wydostawszy się z przystani, pomknęli szybko na otwarte wody.

Podróż ta była tylko przechadzką i to nader miłą przechadzką. Stary marynarz, mało mówny z natury, sterował w milczeniu w tyle łodzi. Mrs. Paulina Barnett i Jasper Hobson siedzieli na bocznych ławkach, przypatrywali się krajobrazowi rysującemu się przed ich oczyma. Łódź płynęła stroną północną jeziora w odległości prawie trzech mil od wybrzeża, trzymając się prostego kierunku. Można więc było łatwo ogarnąć wzrokiem pochyłą linię lesistych pagórków, obniżającą się zwolna ku Zachodowi. Z tej strony jeziora okolica była zupełnie płaska, ciągnąca się w nieskończoność. Całe to wybrzeże stanowiło uderzający kontrast z przeciwległym wybrzeżem, tworzącym kąt ostry, w głębi którego wznosił się fort Confidence, obramowany zielenią jodeł. Na południu i zachodzie wody jeziora oświetlone ukośnie padającymi promieniami

słońca, połyskiwały miejscami; za nimi topniejące góry lodowe, całokształt bloków srebrzystych oślepiły wzrok silnym odbiciem światła. Kry nie było ani śladu. Jedyne topniejące te góry, którym zaledwie podolać mogło świetne ciało niebieskie, zdawały się walczyć ze słońcem polarnym, opisującym łuk dzienny niezmiernie wydłużony a pozbawionem jeżeli nie blasku to ciepła.

Mrs. Paulina Barnett i Jasper Hobson rozmawiali o tem wszystkim, wymieniając swe wrażenia i wzbogacając nimi swój umysł, podczas gdy łódź, prawie bez kołysania, płynęła szybko po gładkiej powierzchni wód.

Wistocie łódź, która wyruszyła była o szóstej rano, o godzinie dziewiątej zbliżała się już prawie do celu podróży. Obozowisko Indian położone było na krańcu północno-zachodnim jeziora. Przed dziesiątą łódź doń dotarła i stary Norman zatrzymał ją przy bardzo urwistym, lecz nie zbyt wysokim brzegu.



Porucznik i Mrs. Paulina Barnett wysiedli natychmiast. Dwu

czy trzech Indjan wybiegło na ich spotkanie, a między nimi ich przywódca z piórami na głowie, który przemówił do nich w mowie angielskiej, dość rozumiałej.

Indjanie-Zajęce, zarówno jak Indjanie Miedziani, Indjanie-Bobry i inni, należą do plemienia Chippeways'ów, różnią się tem samem mało od swych ziomków zwyczajami i strojem. Utrzymują oni dość częste stosunki z faktorjami, przez co ucywilizowali się przynajmniej o tyle, o ile ucywilizować się może człowiek w stanie dzikim. Zanoszą oni do fortów zdobycz swą myśliwską, otrzymując wzamian artykuły pierwszej potrzeby, których od kilku lat nie wyrabiają sami. Są oni poniekąd na żołdzie Towarzystwa, które dostarcza im środków do życia, nic też dziwnego, że zatracili swą cechę swoistą. Ażeby spotkać plemię tubylców, na którychby zetknięcie się z Europejczykami nie pozostawiło śladu, należy wznieść się do tych podbiegunowych okolic, gdzie przebywają zwykle Eskimosi.

Eskimos, zarówno jak Grenlandczyk, jest prawdziwym dzieckiem stref polarnych.

Mrs. Paulina Barnett i Jasper Hobson udali się do obozowiska Indjan-Zajęców, położonego o pół mili od brzegu. Zastali w niem około trzydziestu tubylców, mężczyzn, kobiet i dzieci, żyjących z rybołówstwa i polowania w okolicach jeziora. Indjanie ci dopiero co przybyli ze stron północnych lądu amerykańskiego, mogli więc służyć porucznikowi wiadomościami, wprawdzie niedokładnemi, o obecnym stanie wybrzeża w okolicach siedemdziesiątego równoleżnika.

Porucznik dowiedział się, nie bez zadowolenia, że nie zauważono w przeciągu kilku lat ostatnich ani jednego oddziału, zarówno europejskiego, jak amerykańskiego na kresach morza polarnego i że o tej porze roku morze to nie jest zamrożone. Co zaś do przylądka Bathurst, do którego zdążył porucznik, nie znali oni go wcale. Ich przywódca zresztą mówił o okolicy położonej między jeziorem Wielkiego Niedźwiedzia i przylądkiem Bathurst, jak o stronie trudnej do przebycia, dość skalistej i poprzecinanej rzekami obecnie niezamrożonymi. Radził porucznikowi, aby trzymał się rzeki Coppermine, na północo-wschód od jeziora, jako najkrótszej drogi dla osiągnięcia morza Polarnego. Dosięgnąwszy bowiem tego morza, łatwiej będzie posuwać się jego wybrzeżem, a wtedy Jasper Hobson będzie mógł sobie wybrać najdogodniejsze miejsce dla założenia fortu.

Jasper Hobson podziękował przywódcy, a ofiarowawszy mu kilka podarunków, pożegnał się z nim. Przed odjazdem, w towarzystwie Mrs. Barnett, zwiedził okolice obozowiska, poczem około trzeciej po południu powrócono do łodzi.



## Rozdział IX

### *Burza na jeziorze.*



tary marynarz oczekiwał z pewną niecierpliwością na powrót swych pasażerów, pogoda bowiem od godziny uległa zmianie: Wygląd nieba, nagle przeinaczony, mógł być zaniepokoić człowieka przywykłego do badania wiatru i obłoków. Słońce z za mgły gęstej pokazywało tarczę bladawą bez blasku i promieni. Wiatr ustał, a jednak słychać było odgłos wzburzonych fal na południu. Wszystkie te zjawiska atmosferyczne, zapowiadające jakąś zmianę, ukazały się z szybkością właściwą tym stronom polarnym.

– Jedźmy, panie poruczniku, jedźmy! – zawołał stary Norman, spoglądając z niepokojem na mgłę wiszącą nad ich głowami. – Nie mamy chwili do stracenia. Niebo zapowiada się groźnie.

– Istotnie, – rzekł Jasper Hobson, – wygląd nieba zmienił się dziwnie. Nie zauważyliśmy tego.

– Czy obawiacie się burzy? – spytała podróżniczka Norman'a.

– Obawiam się, – odrzekł marynarz, – a burze na jeziorze Wielkiego Niedźwiedzia bywają groźne. Huragany na niem są tak straszne jak na oceanie Atlantyckim. Ta nagła mgła nie rokuje nic dobrego. Wszelką możliwą jest rzeczą, że burza nie nadejdzie przed trzema lub czterema godzinami. a do tego czasu

dopłyniemy do fortu Confidence. Ale jedźmy natychmiast, gdyż łódź nie jest bezpieczną wśród skał wystających z wody.

Porucznik Hobson ufając doświadczeniu starego marynarza, wszedł do łodzi wraz z swą towarzyszką.

W chwili jednak, gdy łódź miała być odepchnięta od brzegu, Norman, jak gdyby wiedziony przeczuciem, szepnął do siebie:

– Może lepiej byłoby poczekać!

Usłyszawszy te słowa Jasper Hobson spojrzął na starego marynarza, siedzącego już przy sterze. Gdyby był sam, nie wahałby się ani chwili. Ale ze względu na obecność swej towarzyszki powinien być ostrożny. Podróżniczka domyśliła się, o co mu chodzi.

– Niech pan o mnie nie myśli, panie Hobson, – rzekła. – Jeżeli nasz dzielny marynarz uważa, że jechać można, jedźmy niezwłocznie.

– Jedźmy! – odrzekł Norman, odwiązując łódź i dążmy do fortu najkrótszą drogą.

Łódź wypłynęła na szerokie wody, ale przez godzinę nie uszła daleko, posuwając się wolno, gdyż żagiel miotany wiatrem, nie wiedząc w jaką stronę się ustalić, uderzał ciągle o maszt. Mgła stawała się coraz gęstsza. Łódź kołysała się pod wpływem wzburzonej fali, morze bowiem przed atmosferą „odczuło” zbliżający się kataklizm. Obaj pasażerowie siedzieli w milczeniu, podczas gdy stary marynarz, wyteżając wzrok, chciał przeniknąć

gęstą mgłę. Zresztą był gotowy na wszystko. Ze sznurem od żagla w ręku, oczekiwał wiatru, aby zwinąć żagiel jak najszybciej, o ile wiatr uderzy za gwałtownie.

Dotąd jednak walka żywiołów nie rozpoczęła się jeszcze, to też najlepszą było rzeczą, aby łódź płynąć mogła. Ale po godzinie żeglugi znajdowała się o nie całe dwie mile od obozowiska Indjan. Oprócz tego, niefortunne prądy powietrza od strony ziemi popychały ją na szerokie wody i z powodu mgły wybrzeże, znikło im z oczu. Okoliczność ta była bardzo niesprzyjająca, gdyż jeżeli wiatr miał się ustalić w północnej stronie jeziora, mała łódź, łatwo zbaczająca, mogła być uniesiona na środek jeziora.

– Zaledwie się ruszamy! – zauważył porucznik.

– Zaledwie – odpowiedział marynarz. – Wiatr nie ma stałego kierunku, obawiam się zaś, że jeżeli się ustali, to ze złej strony. Wtedy – dodał, wyciągając rękę w kierunku południowym, – możemy zajechać do fortu Franklin, zamiast do fortu Confidence.

– W takim razie, – odezwała się Paulina Barnett żartobliwie, – spacer nasz byłby dłuższy, nic więcej. Jezioro to jest wspaniałe i zasługuje doprawdy, aby zwiedzić od północy do południa. Przypuszczam, Normanie, że z fortu Franklina powrócić można!

– Tak, pani, o ile można się doń dostać, – powiedział stary Norman. – Ale burze trwające po dwa tygodnie nie są tu rzeczą rzadką, a gdyby nieszczęsny los zaprowadził nas do południowego wybrzeża nie mógłbym reczyć za powrót

porucznika do fortu Confidence przed miesiącem.

– Miejmy się więc na baczności, – rzekł porucznik, – gdyż podobne opóźnienie wpłynęłoby bardzo ujemnie na nasze zamiary. To też działaj z całą ostrożnością, kochany przyjacielu, a jeżeli potrzeba, dotrzyj jak najspieszniej do północnej strony jeziora. Przypuszczam, że Mrs. Paulina Barnett nie zawaha się przed dwudziestu do dwudziestu pięciu milową podróżą łodem.

– Gdybym nawet chciał powrócić w tę stronę, – odpowiedział Norman, – nie mógłbym tego dokonać obecnie. Niech pan sam osądzi. Wiatr jak gdyby skłaniał się w tę stronę. Mogę tylko spróbować jednego, dążyć na północno-wschód, a jeżeli wiatr nie pokrzyżuje moich zamiarów, mam nadzieję, że mi się to uda.

Okolo pół do piątej wszakże burza szaleć zaczęła. Przeciągłe świsty dały się słyszeć w górnych warstwach powietrza. Wiatr nie zniżał się jeszcze na powierzchnię jeziora, miało to jednak nastąpić niebawem. Dały się słyszeć krzyki przestraszonych ptaków przelatujących przez mgłę. Nagle, mgła ta rozdzieliła się, ukazując gęste, niskie chmury, poszarpane, porozrywane, prawdziwe mgliste łachmany, pędzone gwałtownie na południe. Obawy starego marynarza sprawdziły się. Wiatr dał z północy i miał niebawem zamienić się w huragan szalejący nad jeziorem.

– Baczność! – zawołał Norman, wyprężając szmat żagla tak, ażeby łódź stawiała opór wiatrowi pod działaniem steru.

Nawałnica rozpoczęła się na dobre. Łódź przechyliła się najpierw na bok, poczem podniosła się, osuwając się na grzbiet



fali. Od tej chwili kołysanie bałwanów wzmogło się znacznie. Na tych wodach stosunkowo nie głębokich fale, uderzając ciężko o dno jeziora, odbijały się następnie, sięgając niezwyklej wysokości.

– Na pomoc! na pomoc! – zawołał stary marynarz, starając się jak najspieszniej zwinąć żagiel.

Jasper Hobson, a nawet Mrs. Paulina Barnett starali się dopomóc Normanowi, ale bezskutecznie, gdyż nie byli obznajmieni z kierowaniem łodzią. Norman nie mógł puścić steru, a sznury do podnoszenia żagla znajdowały się na szczycie masztu. Co chwila zdawało się, że łódź się przewróci, gdyż woda wielką masą rozbijała się o jego bok. Niebo stawało się coraz to chmurniejsze. Zimny deszcz pomieszany z śniegiem padał ulewnie, a huragan ze zdwojoną siłą miotał pienistymi falami.

– Przetnijcie! przetnijcie jak najprędzej! – zawołał marynarz wśród wycia burzy.

Jasper Hobson, bez czapki, nie widząc nic z powodu ulewy, schwycił nóż Normana i przeciął sznur naprężony jak struna harfy. Ale rozmokły sznur nie był w stanie poruszyć się na blochu i reja pozostała na szczycie masztu.

Norman zatem chciał uciec na południe, nie mogąc oprzeć się sile wiatru, uciec, choć zamiar ten był bardzo niebezpieczny, gdyż szybkość fal przewyższała szybkość łodzi, uciec, choć ucieczka ta samą siłą żywiołu zaprowadzić go mogła do

południowego wybrzeża jeziora!



Jasper Hobson i jego dzielna towarzyszka zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie im grozi. Wątpiła ta łódź nie wytrzyma długo naporu wody, fale ją zdruzgoczą lub przewrócą. Ich życie było w ręku Boga.

A jednak ani porucznik, ani Mrs. Barnett nie oddawali się rozpacz. Trzymając się ławek, przemoczeni od stóp do głów zalewającą ich falą, padającym deszczem i śniegiem, spoglądali przed siebie, starając się przeniknąć otaczającą ich mgłę. Ziemia znikła z przed oczu. Obłoki i wody jeziora tworzyły jedną masę ciemną. Od czasu do czasu pytającym wzrokiem badali starego Normana, który, z drgającą powieką, zaciśniętymi zębami, ścisnął mocno ster, usiłując utrzymać łódź w kierunku wiatru.

Ale gwałtowność huraganu była tak wielką, że łódź płynąć dalej nie mogła. Fale napierające na nią z przodu byłyby ją zdruzgotały niechybnie. Już deski trzeszczeć zaczynały, a gdy wpadła całym swym ciężarem w zagłębienia fal, zdawało się, że

już w nich pozostanie.

– A jednak trzeba uciec! – szepnął stary marynarz.

I popychając sterem, ciągnąc linę żagla, obrócił przód łodzi na południe. Żagiel gwałtownie wyprężony uniósł łódź z zawrotną szybkością. Ale olbrzymie bałwany sunęły jeszcze chyżej i to stanowiło niebezpieczeństwo tej żeglugi z wiatrem w tyle. Całe masy płynne zagradzały drogę łodzi, zalewając ją ustawicznie. Należało co chwila wylewać z niej wodę z obawy zatonięcia. W miarę jak dążyli ku środkowi jeziora, fale stawały się groźniejsze. Huragan bowiem, nie znajdując na swej drodze żadnej zapory, czy to w postaci drzewa, czy pagórka, rozszalał na dobre. Chwilami, gdy następowało rozdarcie mgły, ukazywały się olbrzymie zwały lodowe wśród popychających je bałwanów, które również dążyły w stronę południową jeziora.

Było to pół do szóstej. Ani Norman, ani Jasper Hobson nie mogliby byli określić długości przebytej drogi, ani też jej kierunku. Nie byli już panami łodzi, zależała ona obecnie od kaprysu burzy.

W tej chwili, o sto stóp poza łodzią olbrzymi biało-grzywiasty bałwan podniósł się nagle nad wodą, tworząc przed sobą czarną przepaść. Łódź zawisła w otchłani pogłębiając się coraz bardziej. Olbrzymi bałwan zbliżał się, górując nad otaczającymi go falami i grożąc zalaniem statku. Norman, spostrzegł go również jak Jasper Hobson i Paulina Barnett. Z szeroko otwartymi oczami spoglądali oni na niechybną swą zgubę.

Istotnie bałwan zwał się na nich z całą siłą. przyskrwiałac tw

łodzi, która uległa straszemu wstrząsowi. Z okrzykiem na ustach porucznik i jego towarzysze zniknęli pod tą górą płynną. Prawdopodobnie przypuszczali, że łódź tonęła.

Łódź jednak zalana w trzech czwartych wodą, podniosła się, lecz stary Norman znikł.

Jasper Hobson wydał okrzyk rozpacz. Mrs Paulina Barnett obróciła się szybko ku niemu.

– Norman! – zawołał, pokazując na opustoszałe miejsce steru.

– Nieszczęśliwy! – szepnęła podróżniczka.

Jasper Hobson i Paulina Barnett zerwali się, nie zważając, że mogą być wyrzuceni z łodzi, która została uniesiona na szczyt fali. Ale nie dostrzegli go. Ani wołania, ani krzyku słyhać nie było. Na spienionej fali nie zjawilo się żadne ciało... Stary marynarz zginął pod falami.

Mrs. Paulina Barnett i Jasper Hobson zrozpaczeni usiedli na ławkach. Obecnie byli oddani sami sobie. Ale ani porucznik, ani jego towarzyska nie umieli władać sterem, a w położeniu, w jakim się znajdowali, nie poradziłby nawet zawołany marynarz! Łódź była igraszką fal. Naprężony żagiel unosił ją bez wytchnienia. Czyż Jasper Hobson mógł być wstrzymać jej bieg?

Położenie tych dwojga rozbitków, zaskoczonych burzą na wątej łódce bez sternika, było istotnie rozpaczliwe!

– Jesteśmy zgubieni, – rzekł porucznik.

- Nie, panie Hobson, – odpowiedziała dzielna podróżniczka.  
– Pomożemy sobie, Bóg nam pomoże.

Porucznik zrozumiał w tej chwili, kim była ta dzielna kobieta.

Najpierwszą rzeczą, którą należało dokonać, było wybranie wody z łodzi. Jeszcze jedno zalanie fali, a byłaby zatonała w mgnieniu oka. Zresztą chodziło o to, by ulżyć ciężarowi łodzi, gdyż wtedy mogła łatwiej unosić się na fali. Jasper Hobson więc i Paulina Barnett wzięli się spieszenie do opróżnienia wody z łodzi, narażając się tym ruchem na wpadnięcie do wody. Praca ta nie była łatwą, gdyż fale wznosiły się wciąż, więc łopatkami z rąk nie można było wypuścić ani na chwilę. Zadanie to przypadło głównie w udziale podróżniczce, porucznik bowiem musiał wziąć w ręce ster, utrzymując jako tako bieg łodzi w pewnym stałym kierunku.

Do wszystkiego noc, jeżeli zaś nie noc, – która pod tą szerokością geograficzną trwa zaledwie kilka godzin o tej porze roku – to zmrok wznagał się coraz bardziej. Niskie chmury, łącząc się z oparami, tworzyły gęstą mgłę zaledwie przepuszczającą nieco światła. Nie można było dostrzec nic na odległości dwu sążni od łodzi, a tem samem i płynących kawałków lodu, których uderzenie zdruzgotałoby łódź na drobne części. Otóż to nowe niebezpieczeństwo groziło podróżnym.

– Pan nie jest w stanie opanować steru, – panie Hobson? – spytała Paulina Barnett, gdy na chwilę ucichła nawałnica.

– Nie, pani, – odpowiedział porucznik – i pani musi być

przygotowana na wszystko.

– Jestem gotowa! – rzekła prosto odważna kobieta.

W tej chwili ogłuszający wstrząs dał się słyszeć. Żagiel, zerwany wiatrem, uleciał jak biały opar. Łódź uniesiona prądem, płynęła jeszcze czas jakiś; poczem zatrzymała się, a wtedy fale zakolysały ją jak łupiną. Jasper Hobson i Paulina Barnett czuli,, że ostatnia ich godzina nadeszła. Wyrzuceni z ławek, wstrząsani przeraźliwie, stracili prawie przytomność. Dwaj ci nieszczęśliwi rozbitkowie wśród tej mgły, tej ulewy deszczu ze śniegiem, nie mogąc przemówić do siebie, oczekiwali może przez godzinę śmierci, polecając się Opatrzności, która jedynie mogła ich ocalić.

Ile czasu błakali się podzrucani rozszalałym żywiołem, tego powiedziećby żadne z nich nie mogło, gdy olbrzymi zwał lodowy uderzył o łódź.

Był to blok lodu o ścianach prostopadłych i śliskich, z którym ręka walczyćby nie mogła. Uderzenie było tak nagłe, że ominąć go nie było można, a tak silne, że przód ludzi rozwarł się, wpuszczając wodę potokiem do swego wnętrza.

– Toniemy, toniemy! – zawołał Jasper Hobson.

Istotnie łódź pogrążała się, a woda sięgała już ławek.

– Pani! pani! – zawołał porucznik. Jestem tu... zostanę... przy pani!

– Nie, panie Jasper! – odpowiedziała Paulina Barnett. – Sam

pan może się ocalić... We dwoje zginiemy. Zostaw mnie pan, zostaw.

– Nigdy! – zawołał porucznik.

Ale zaledwie zdołał wymówić to słowo, gdy łódź, uderzona nową falą, przewróciła się.



Oboje zniknęli w wirze spowodowanym nagłym przewróceniem się łodzi, poczem po chwili wypłynęli na powierzchnię. Jasper Hobson płynął całą swą siłą, pomagając sobie jedną ręką, gdy drugą podtrzymywał swą towarzyszkę. Widoczne jednak było, że nie długo będzie się mógł opierać sile żywiołu i że zginie z tą, którą chciał ocalić.

W tej chwili osobliwe dźwięki rozległy się w powietrzu. Nie był to krzyk przestraszonych ptaków, lecz wołania wymawiane głosem ludzkim. Jasper Hobson, dobywając ostatek sił, uniosł się nad falami, aby rozejrzeć się dokoła siebie.

Ale w gęstej tej mgle dojrzeć nie mógł niczego. A jednak

słyszał wołania, które zbliżały się coraz bardziej. Czyżby znalazł się człowiek dość odważny, aby zechciał pospieszyć im z pomocą? W każdym razie jego wysiłki są próżne, gdyż przybędzie za późno. Zaplątany w swym ubraniu, porucznik czuł, że się pogrąża w otchłań wraz ze swą towarzyszką, nie mogącą już utrzymać głowy ponad wodą.

Wtedy ostatecznym wysiłkiem instynktu wiedziony zawołał raz jeszcze i znikł pod falą.

Jasper Hobson nie mylił się. Trzech ludzi błądzących po jeziorze, dostrzegło tonącą łódź i śpieszyło jej na pomoc. Ludzie ci – jedyni, którzy byli w stanie walczyć z gwałtownością podobnej burzy – znajdowali się w łodziach osobliwego rodzaju, mogących skutecznie oprzeć się naporowi wody.



Byli to trzej Eskimosi przymocowani silnie do swych kajaków.

Kajak jest długą łodzią, wydrążoną w kłodzie drzewa niezmiernie lekkiego, podniesioną z obu końców i przykrytą



skórami fok zszytymi ścięgnami cielecia morskiego. W środku łodzi znajduje się otwór, w którym mieści się Eskimos. Przywiązuje on swój nieprzemakalny kaffan do brzegu otworu w ten sposób, że kropla wody dostać się nie może do wnętrza łodzi. Kajak ów z łatwością poddający się ruchowi fal i powracający do równowagi za jednym pchnięciem wiosła, może istotnie wyjść zwycięsko w walce z rozszalonym żywiołem, podczas gdy każda inna łódź zdruzgotana by została.

Trzej Eskimosi, usłyszawszy ostatni okrzyk rozpaczny porucznika, przybyli w porę, aby wyciągnąć z otchłani rozbitków. Schwyciwszy ich silną ręką, położyli nawpół omdlałych każdego z osobna w poprzek kajaków. Późem osobliwe te łodzie przy pomocy wiosel sześciu stóp długości wypłynęły na środek jeziora.

W pół godziny później rozbitkowie złożeni byli na piaszczystem wybrzeżu o trzy mile od fortu Confidence.

Brak było tylko starego marynarza!



## Rozdział X

*Rzut oka w przeszłość.*

koło dziesiątej wieczorem Mrs. Paulina Barnett i Jasper Hobson stanęli u progu fortu Confidence. Witano ich z radością, gdyż miano ich za straconych. Radość ta jednak ustąpiła wnet miejsca głębokiemu smutkowi, skoro dowiedziano się o śmierci starego Normana. Zaczny ten człowiek cieszył się sympatją wszystkich, to też uczczono jego pamięć głębokim żalem. Co zaś do nieustraszonych i dzielnych Eskimosów, ci, przyjąwszy obojętnie serdeczne podziękowania porucznika i jego towarzyszki, nie chcieli nawet zejść do fortu. Zdawało im się, że ich czyn był rzeczą zupełnie naturalną. Nie pierwszy to raz spieszyli z pomocą rozbitkom, powrócili też natychmiast do swej żeglugi na jeziorze, na którym przebywali dniem i nocą, polując na wydry i ptaki morskie.

Po należytym wypoczynku Jasper Hobson postanowił wyruszyć w dalszą drogę 2 czerwca, o ile burza ustanie. Stało się zadość jego życzeniu, gdyż cisza zapanowała w powietrzu.

Sierżant Felton zaopatrzył mały oddział we wszystko, co posiadała faktorja. Kilka nowych zaprzęgów oddano mu na usługi oddziałowi, sanki doprowadzono do porządku, tak że podróżni mogli spokojnie podążać dalej.

2 czerwca rano sanki stały gotowe do drogi. Żegnano się serdecznie. Każdy z osobna podziękował sierżantowi Felton za gościnę, a Mrs. Paulina Barnett nie okazała się mniej wdzięczną od innych. Gorący uścisk dłoni, którym sierżant Long pożegnał

ca innych. Cierpiący wspaniałym, którym sierżant Long pożegnał swawagra, zakończył chwilę rozstania.

Każda para wsiadła do przeznaczonych jej sanek, tym razem jednak Jasper Hobson i Mrs. Paulina Barnett zajmowali ten sam pojazd, Madge zaś i sierżant Long jechali za nimi.

Idąc za radą wodza Indjan, Jasper Hobson postanowił jechać najkrótszą drogą, kierując się prostą linią od fortu Confidence do wybrzeża. Zbadawszy mapę tych okolic, zresztą bardzo niedokładną, uważał że najlepiej będzie, gdy trzymać się będzie brzegów Coppermine-river, rzeki dość wielkiego znaczenia, wpadającej do zatoki Koronacji.

Odległość między fortem Confidence a ujściem wynosi półtora stopnia, czyli osiemdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu mil. Głębokie wgłębienie, które tworzy zatoka, kończy się na północ przyładkiem Krusenstern, od tego zaś przyładka wybrzeża biegnie wprost na zachód aż do przyładka Bathurst, znajdującego się powyżej siedemdziesiątego równoleżnika.

Jasper Hobson zatem zmienił pierwotny kierunek, dążąc na wschód, aby tym sposobem w krótkim czasie dostać się linią prostą do rzeki.

Nazajutrz po południu, 3 czerwca, dostali się w istocie do Coppermine-river. Płynęła ona wartkim prądem przez szeroką równinę, zroszoną znaczną liczbą rzeczek, które przejechać w bród było łatwo. Sanki przeto mknęły z nieustanną szybkością. Podczas drogi Jasper Hobson opowiadał swej towarzysze historję kraju przez który przejeżdżali. Między nim a

podróżniczką zawiązała się serdeczna przyjaźń, do której byli upoważnieni swym stanowiskiem i wiekiem. Mrs. Paulina Barnett lubiła się kształcić, a wiedzona sama instynktem odkrywcy, z przyjemnością słuchała opowiadania o odkrywcach.

Jasper Hobson, znający na pamięć dzieje Ameryki Północnej, mógł zadowolić ciekawość towarzyszek.

– Lat temu osiemdziesiąt całe porzecze Coppermine było krainą nieznaną; jej odkrycie zawdzięczać należy agentom Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej. Tylko, jak to zwykle bywa w dziedzinie naukowej, szukając jednego znajdujemy drugie. Kolumb szukał Azji, znalazł zaś Amerykę.

– A czego poszukiwali agenci Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej? – spytała Mrs. Paulina Barnett. – czy tego sławnego przejścia północno-zachodniego?

– Nie, proszę pani, nie. W przeszłym wieku Towarzystwu to przejście nie było potrzebne wcale; przeciwnie, służyłoby raczej dla jego współzawodników. Mówią nawet, że w 1741 niejaki Christophe Middleton, któremu rząd angielski polecił był zbadanie tych okolic, był oskarżony publicznie o otrzymanie pięciu tysięcy funtów od Towarzystwa, aby oświadczył, że komunikacja morzem pomiędzy obu oceanami nie istnieje i istnieć nie może.

– Nie przynosi to chwały sławnemu Towarzystwu – zauważyła Mrs. Paulina Barnett.

– Bronić go nie będę w tym względzie – odpowiedział Jasper Hobson. – Dodam nawet, że parlament potępił mocno jego postępek, gdy w 1745 obiecał nagrodę dwudziestu tysięcy funtów za odkrycie tego przejścia. To też w tym samym roku dwaj nieustraszeni podróżni Milliam Moor i Francis Smith dosięgli do zatoki Repulse w nadziei odkrycia tego upragnionego przejścia. Ale zamiar ich nie udał się, i po półtorarocznej nieobecności powrócili do Anglii.

– Czyż inni podróżnicy nie wstąpili w ich ślady? – spytała Paulina Barnett.

– Nie, pani, i przez trzydzieści lat pomimo obiecanej nagrody nikt nie pomyślał o naukowej wyprawie do tej części lądu amerykańskiego, a raczej Ameryki angielskiej, gdyż tak należy ją nazywać. Dopiero w 1769 jeden z agentów Towarzystwa podjął nanowo usiłowania Moor'a i Smith'a.

– Towarzystwo zatem pozbyło się swych poglądów ciasnych i egoistycznych? – spytała Paulina Barnett.

– Nie jeszcze. Samuel Hearne, tak mienił się agent, nie miał innego celu nad zwiedzenia pokładów miedzi, o których istnieniu donieśli koczujący tubylcy. 6 listopada 1769 r. agent wyruszył z fortu K-cia Walji, położonego nad rzeką Churchill w pobliżu zachodniego wybrzeża zatoki Hudsonskiej. Samuel Hearne podążył śmiało na północo-zachód; ale chłód stał się tak dotkliwy, że po wyczerpaniu swych zapasów musiał powrócić do fortu. Na szczęście niepowodzenie nie zniechęciło go bynajmniej. 23 lutego następnego roku wyruszył ponownie.

zabierając z sobą kilku Indjan. Druga ta wyprawa była również uciążliwa. Często brak ryby i zwierzyny, na które liczył, dotkliwie czuć się dawał. Zdarzyło mu się razu pewnego, że za całe pożywienie służyły mu przez tydzień dzikie owce, kawałki starej skóry i kości palone. Zmuszony więc był znów powrócić do faktorji bez żadnego rezultatu. Ale dzielny podróżnik nie zrażał się wcale. Wyruszył po raz trzeci i wreszcie po dziewiętnastu miesiącach najrozmaitszych trudów odkrył 13 lipca 1772 Coppermine-river, sięgnąwszy aż do samego jej ujścia. Wtedy to oznajmił, że widział przed sobą wolne morze. Po raz to pierwszy dotarto do północnego wybrzeża Ameryki.

– Ale przejście północno-zachodnie, to jest bezpośrednia komunikacja między Atlantykiem i oceanem Spokojnym, odkryte nie zostało? – spytała Paulina Barnett.

– Nie, pani – odpowiedział porucznik – pomimo że nie jeden odważny żeglarz starał się o to! Phipps w 1773, James Cook i Clerke od 1776 do 1779, Kotzebue od 1815 do 1818, Ross, Parry, Franklin i tylu innych poświęciło się temu trudnemu zadaniu, lecz napróżno. Dopiero w ostatnich czasach Mac Cluze był jedynym człowiekiem, który przepłynął z jednego oceanu do drugiego przez morze Polarne.

– Istotnie, panie Jasper, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett – i jest to fakt, z którego my Anglicy dumni być możemy! Niech pan mi jednak powie, czy po wyprawie Samuela Hearne Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej, podniecone szlachetniejszymi pobudkami, nie pomyślało o wysłaniu innego podróżnika?

– Owszem, odpowiedział porucznik – i to dzięki temu Towarzystwu Franklin mógł odbyć swą podróż od 1819 do 1822 r. między rzeką Samuel Hearne a przyłądkiem Turnagain. Wyprawa ta nie obeszła się bez trudów i cierpień. Niejednokrotnie zabrakło zupełnie pożywienia. Dwaj Kanadyjczycy, zamordowani przez towarzyszy, zostali przez nich zjedzeni... Pomimo tylu cierpień kapitan Franklin nie mniej przebył pięć tysięcy pięćset pięćdziesiąt mil wybrzeża Północnej Ameryki dotąd nieznanego.

– Był to człowiek niezwyklej energii! – dodała Paulina Barnett – i dowiódł tego, gdy po tylu cierpieniach wyruszył ponownie na odkrycie bieguna Północnego!

– Tak, – odpowiedział Jasper Hobson – i odważny ten odkrywca znalazł okrutną śmierć na widowni swych odkryć. Wiadomo jednak obecnie, że nie wszyscy towarzysze zginęli wraz z nim. Wielu z tych nieszczęśliwych błąka się w tej chwili w mroźnych pustyniach! Ach! doprawdy nie mogę bez ścisnięcia serca myśleć o tem strasznem opuszczeniu tych biedaków! Musi nadejść dzień, – dodał porucznik z osobliwą pewnością i wzruszeniem, – dzień, w którym osiągnę tych ziem nieznanych, tej widowni strasznego wypadku.

– I w dniu tym, – odezwała się Paulina Barnett, ściskając rękę porucznika – ja towarzyszyć panu będę. Tak, nieraz przychodziło mi to samo na myśl, co i panu i serce moje narówni z pańskim współczuje ziomkom, wyglądającym może naszej

pomocy...

– Która zapewne będzie spóźnioną dla niektórych z nich – dodał porucznik – ale która kilku z nich ocali, niech pani będzie pewna!

– Niech Bóg pana wysłucha, panie Hobson! rzekła Paulina Barnett. – Dodam, że agenci Towarzystwa, mieszkający w pobliżu wybrzeża, mogą najłatwiej spełnić to zadanie ludzkości.



– Podzielał pani zdanie – odrzekł porucznik – gdyż agenci są przyzwyczajeni do ostrego klimatu stref północnych. Dowiedli tego nie w jednej okoliczności. Czyż nie oni to towarzyszyli kapitanowi Back w jego podróży z 1834, w której odkrył on Ziemię Wilhelma, tę właśnie ziemię, gdzie zginął Franklin tak tragicznie? Czyż nie do nas należeli dzielni Dease i Simpson, którym gubernator Zatoki Hudsonskiej polecił w 1838 zbadanie wybrzeży morza Polarne, skutkiem którego odkryto ziemię Wiktorja? Przypuszczam więc, że ostateczne odkrycie lądu podbiegunowego należeć będzie w przyszłości do naszego



Towarzystwa. Stopniowo zakładać będziemy faktorje coraz wyżej na północ – zależnie od ucieczki w te strony zwierząt o cennych futrach – i przyjdzie czas, że założymy faktorję na samym biegunie, na tym punkcie matematycznym, gdzie krzyżują się wszystkie południki kuli ziemskiej!

Podczas tych rozmów i następnych Jasper Hobson opowiadał swej towarzyszce o swoich własnych przygodach od chwili, gdy wstąpił do Towarzystwa, o walce ze współzawodniczącymi Towarzystwami, o swych usiłowaniach dotarcia do okolic nieznanych, północnych i zachodnich. Mrs. Paulina Barnett znów opowiadała o swoich podróżach podzwrotnikowych, o swoich zamiarach już spełnionych i mających się spełnić w przyszłości. Słowem między porucznikiem a podróżniczką odbywała się ciągła wymiana wspomnień, które skracaly długie godziny podróży.

Tymczasem sanki mknęły chyżo na północ. Dolina Coppermine'y stawała się coraz rozleglejszą w miarę jak zbliżano się do morza Polarnego. Boczne pagórki, coraz mniej urwiste, zniżały się stopniowo. Gdzie niegdzie kępy drzew iglastych urozmaicały monotonię tych osobliwych krajobrazów. Gdzie niegdzie kawałki lodu, wynykając się jeszcze z pod wpływu słońca, płynęły po rzece, ale ilość ich zmniejszała się z dnia na dzień, tak że łódź, a nawet szalupa mogłyby swobodnie żeglować po jej wodach, tem bardziej, że ani żadna grobla, ani nagromadzenie skał nie stawało na przeszkodzie. Łożysko Coppermine'y było szerokie i głębokie. Jej wody, niezmiernie czyste, a zwiększone przez taniecie śniegu, płynęły wartko nie

czyste, a związane przez ujemne śniegu, pływający warstwą, nie tworząc wszakże wirów. Jej bieg, z początku bardzo kręty, wyrównywał się stopniowo, rysując prostą linię na przestrzeni kilku mil. Co do brzegów, rozległych i płaskich, pokrytych drobnym twardym piaskiem, a gdzie niegdzie trawą niską i suchą, to nadawały się one dobrze do jazdy sankami w długim szeregu.

Oddział więc posuwał się z niezwykłą szybkością. Jechano dniem i nocą, o ile to wyrażenie da się zastosować do strony, nad którą słońce, zakreślając koło prawie poziome, nie zachodziło prawie wcale. Noc prawdziwa trwała tu nie całych dwie godziny, a świt następował o tej porze roku prawie natychmiast po zmroku. Pogoda zresztą była piękna, niebo czyste, choć nieco zamglone na horyzoncie, warunki zatem sprzyjały podróżnym.

Dwa dni jechano brzegiem rzeki Coppermine. Okolica nie obfitowała w zwierzęta o cennych futrach, lecz ptactwa była wielka ilość, można było liczyć na tysiące. Nieobecność kun, bobrów, gronostajów, lisów zaniepokoiła porucznika. Zapytywał siebie, czy nie opuściły one tych stron, jak to już miało miejsce w okolicach południowych, z powodu zbyt częstego na nie polowania. Było to prawdopodobne, gdyż spotykano ślady obozowisk, zagasłe ogniska, świadczące o dalszym czy bliższym pobycie myśliwych, tubylców lub innych. Fakt ten służył wymownym dowodem, że wyprawa Jasper Hobsona nie była zbyt uczynna i że dotarcie do ujścia Coppermine'y będzie jedną tylko częścią jego podróży. Pilno mu więc dotrzeć do wybrzeża,

odkrytego przez Samuela Hearne, to też czynił, co było w jego mocy, aby jazdę przyspieszyć.

Zresztą niecierpliwość Jasper Hobson'a dzielali jego towarzysze. Każdy z nich pospieszał, aby w jak najkrótszym czasie dostać się do wybrzeża morza Polarnego. Strona ta działała magnetycznie na odważnych podróżników. Urok rzeczy nieznannej nęcił ich wzrok. Być może, że prawdziwe trudy podróży zaczną się dopiero wraz z dotarciem do tego wybrzeża. Mniejsza o to. Wszyscy byli na nie przygotowani i odważnie szli na ich spotkanie. Podróż, którą odbywali obecnie, było to tylko przejście przez okolicę, która ich nie zajmowała wcale, dopiero wybrzeże morza Polarnego miało zwrócić na siebie uwagę. Dlatego każdy z nich chciał dostać się jak najprędzej do tych stron oddalonych zaledwie o kilkaset mil na zachód od siedemdziesiątego równoleżnika.

Wreszcie 5 czerwca, w cztery dni po opuszczeniu fortu Confidence, Jasper Hobson dojrzał rozległe ujście Coppermine-river. Wybrzeże zachodnie zakreślało zlekka linię krzywą, dążącą prawie bezpośrednio na północ. Wschodnie zaś przeciwnie zaokrąglало się aż do ostatnich granic horyzontu.





Jasper Hobson zatrzymał się natychmiast, wskazując towarzyszom morze bez granic.



**Jules Verne**

**W KRAJNIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**

# (Rozdział XI-VV)

*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*

*Ilustracje Férat i Beaurepaire*

*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*

*Poznań 1925*



© **Andrzej Zydorczak**



## Część PIERWSZA

### Rozdział XI

## Wzdłuż wybrzeża.



zerokie ujście, do którego dotarli podróżni po sześciotygodniowej podróży, tworzyło trapeisodalne wgłębienie, wyraźnie zarysowane w łądzie amerykańskim. W zachodnim jego kącie znajdowało się ujście Coppermine'y, we wschodnim zaś, przeciwnie, woda wrzynała się w łąd wąskim długim kanałem, nazwanym wejściem Bathurst. Z tej strony wybrzeże, postrzępione kapryśnie, z nieprzeliczoną liczbą przystani i przyładków urwistych i spiczastych, gubiło się w masie cieśnin, przesmyków, przejść, które nadają mapom stron polarnych wygląd tak osobliwy. Z drugiej strony, na lewo, od ujścia Coppermine'y wybrzeże ciągnęło się na północ, kończąc się przyładkiem Kruzenstem.

Wielki ten obszar wody, nazywający się zatoką Koronacji, był cały pokryty wyspami i wysepkami, stanowiącemi przedłużenie archipelagu księcia York.

Porozumiawszy się sierżantem Long, Jasper Hobson postanowił zatrzymać się tu przez jeden dzień.

Poszukiwanie miejsca odpowiedniego dla założenia faktorii miało rozpocząć teraz. Towarzystwo poleciło mu, ażeby, o ile to możliwe, faktoria zbudowaną została powyżej siedemdziesiątego

równoleżnika nad wybrzeżem morza Polarnego. Otóż, aby zadośćuczynić temu żądaniu, należało dotrzeć na zachód do miejsca, które znajdowałyby się na tej szerokości a należało do łądu amerykańskiego. W istocie, na wschód wszystkie rozdrobnione części łądu należały do terytorjum podbiegunowego, z wyjątkiem może ziemi Boothia, przez którą przechodzi siedemdziesiąty równoleżnik, ale której zarys geograficzny jest dotąd jeszcze wątpliwy.

Wyliczywszy dokładnie długość i szerokość geograficzną miejsca, w którym się znajdował, i sprawdziwszy je na mapie, Jasper Hobson stwierdził, że znajduje się przeszło o sto mil poniżej siedemdziesiątego stopnia. Ale poza przyładkiem Kruzenstern, wybrzeże, ciągnące się na północo-wschód, nagłym występem sięgało poza siedemdziesiąty równoleżnik, mniej więcej na sto trzydziestym południku, to jest właśnie na wysokości przyładka Bathurst, gdzie kapitan Craventy miał go odwiedzić. Do tego więc punktu należało dotrzeć i tam fort założyć, o ile potrzebne do tego materiały znajdą się na miejscu.

– Tam, sierzancie Long, – rzekł porucznik, pokazując podoficerowi mapę stron polarnych, – tam zadosyćuczynimy żądaniom Towarzystwa. W tem miejscu morze dostępne przez większą część roku, pozwoli okrętom z cieśniny Berynga dojeżdżać do fortu, dostarczać mu zapasów i wywozić jego zdobycze.

– Nie mówiąc już o tem, że z chwilą gdy nasi ludzie osiądą ponad siedemdziesiątym równoleżnikiem, uzyskają prawo do

podwójnej zapłaty.

– Jest to całkiem zrozumiałe – odparł porucznik, – i przypuszczam, że przyjmą ją bez szemrania.

– A zatem, panie poruczniku, nie pozostaje nam nic innego, jak udać się na przylądek Bathurst – rzekł prosto sierżant.

Ale ponieważ dzień wypoczynku był obiecany, wyruszono dopiero nazajutrz, 6 czerwca.

Druga ta część podróży miała być istotnie całkiem odmienna od pierwszej. Jazdę w szeregu utrzymać teraz nie było można, sanki sunęły wedle upodobania. Jechano wolno, zatrzymując się przy każdym zakręcie wybrzeża, a najczęściej musiano iść pieszo. Jednej rzeczy tylko wymagał porucznik Hobson od swego oddziału, to jest, aby nie oddalano się ponad trzy mile od wybrzeża i ażeby wszyscy znajdowali się w oddziale dwa razy dziennie, w południe i wieczorem. W nocy obozowano. W tym czasie pogoda dopisywała stale, a termometr wskazywał średnio 59 Fahrenheita (45° Cels.). Kilka razy nadciągały burze śnieżne, ale ponieważ trwały krótko, nie wpływały na spadek temperatury.

Od 6 do 20 czerwca podróżnicy nasi zwiedzili całą część wybrzeża, położonego między przylądkiem Kruzenstern, a przylądkiem Parry, ciągnącego się na przestrzeni przeszło dwustu pięćdziesięciu mil. Jeżeli zbadanie geograficzne tej strony nie pozostawiało nic do życzenia, tak że nawet Jasper Hobson mógł przy pomocy astronoma Tomasza Black sprostować niektóre pomniki w mapie hydrograficznej niemniej starannie



zobaczę później w kłopotliwej sytuacji, kiedy Sabine zbadał on sąsiednią okolicę ze specjalnego punktu widzenia Towarzystwa, mianowicie: czy obfitowała ona w zwierzynę? czy posiadała zarówno zwierzynę, mogącą służyć za pożywienie, jak i zwierzęta o cennych futrach? czy jej zasoby wystarczą na wyżywienie faktorji przynajmniej podczas pory letniej? Tego wszystkiego chciał się dowiedzieć porucznik Hobson i oto do jakich doszedł wniosków.

Zwierzyny w prawdziwym znaczeniu tego słowa – a do jakiej kapral Joliffe przywiązywał największą wagę – nie było wiele. Ptactwa, należące do licznych rodzajów kaczek, nie brakowało, lecz plemię gryzoni miało swych przedstawicieli w nielicznej garstce zajądów polarnych, których nie łatwo było osiągnąć. Zato niedźwiedzi powinno być niemało w tej stronie wybrzeża. Sabine i Mac Nap nieraz natrafiali na ich ślady. Niektóre z nich dostrzeżono i wytropiono, trzymały się jednak naogół zdaleka. W każdym razie podczas zimy zgłodniałe te zwierzęta musiały opuszczać swe legowiska letnie, dążąc tłumnie do niżej położonych wybrzeży morza Północnego.

– Otóż – zawyrokował kapral Joliffe, którego sprawa żywnościowa zajmowała bardzo – skoro niedźwiedź jest w spizarni, jest on strawą wcale nie do pogardzenia. Ale, skoro go w niej niema, jest to zwierzyna bardzo problematyczna, niepewna, i pragnąca dla myśliwych tego samego losu, jaki oni mu przeznaczają!

Kapral Joliffe mówił prawdę. Niedźwiedzie nie mogły zapewnić dostatecznej żywności załodze fortu. Na szczęście

okolicę tę odwiedzały zwierzęta użyteczniejsze od niedźwiedzi, doskonale jako strawa, i które służą Eskimosom i niektórym plemionom indyjskim za główne pożywienie. Są to renifery, i kapral Joliffe stwierdził z widocznym zadowoleniem, że ta część wybrzeża obfitowała w nie dowoli. Natura sama bowiem postarała się, aby je tu przyciągnąć, wydając gatunek mchu, na jaki renifer jest niezmiernie łakomy i który umie odszukać pod śniegiem, zadawałając się nim przez całe lato.



Jasper Hobson niemniej był zadowolony od kaprała, gdy dostrzegł liczne ślady tych przeżuwaczy, ślady te zaś są łatwe do rozróżnienia, gdyż spód kopyta renifera zamiast być równym, jest wypukły, jak u wielbłąda. Zwierzęta te łączą się w stada tak wielkie, że w niektórych stronach Ameryki, gdzie błądzą w stanie dzikim, dochodzą do tysięcy sztuk. Oswajają się jednak łatwo, a wtedy oddają faktorjom znaczne usługi, to dostarczając mleka doskonałego i bardziej pożywne niż mleko krowie, to ciągnąc sanki. Skóra ich jest niemniej użyteczna, gdyż jest bardzo gruba i podatna dla wszelkiego rodzaju ubrania: z sierci

wyrabiać można doskonale nici; mięso jest smaczne, nic więc dziwnego, iż jest to najcenniejsze zwierzę w tych strefach. To też Jasper Hobson, sprawdzwszy obecność reniferów, zachęcił się wielce do budowy factorji w tych stronach.

Niemniej był zadowolony z obecności zwierząt o cennych futrach. Na rzekach wznosiły się domki bobrów i pizmwoców. Borsuki, ostrowidze, gronostaje, wolwereny, kuny, wizony odwiedzały te okolice, nie prześladowane dotąd przez myśliwych. Obecność człowieka nie zdradziła się tu niczem, to też zwierzęta miały w tych okolicach spokój zapewniony. Natrafiono również na ślady wspaniałych lisów, niebieskich i srebrnych, gatunek coraz rzadszy i którego futra ceni się na wagę złota. Sabine i Mac Nap mieli sposobność upolować w tym czasie niejedną cenną zdobycz. Ale porucznik postąpił bardzo roztropnie, zakazując myśliwym tego rodzaju polowania. Nie chciał odstraszać zwierzęta przed zimą, to jest przed tą porą, gdy ich futro staje się gęściejsze, a przez to zyskuje na piękności. Zresztą było rzeczą zbyteczną obciążać sanki podczas jazdy. Sabine i Mac Nap wzięli pod uwagę te słuszne powody, niemniej jednak ręka zdrzała im nieraz, gdy spostrzegli jakiego sobola lub cennego lisa. Wszelako rozkaz Jasper Hobson'a był kategoriyczny i porucznik nie pozwolił, aby go przekroczone.

Myśliwi zatem w tym drugim okresie podróży mogli się pochwalić zdobyczą zaledwie kilku niedźwiedzi polarnych, ukazujących się nieraz w pobliżu jadącego oddziału. Zwierzęta te mięsożerne, nie będąc zgłodniałe, uciekały szybko, więc

dosięgnąć je było trudno. Wszelako jeżeli czworonożne zwierzęta tej okolicy nie ucierpiały zbyt od naszych podróży, nie można tego samego powiedzieć o plamieniu ptasim, które odpokutowało za całe królestwo zwierzęce. Zabito niejednego orła o głowie białej, ptaka olbrzymiego o przeraźliwym krzyku, sokoła-rybaka, zwykle gnieźdzącego się w uschniętych drzewach; gęś śnieżną o olśniewającej białości, rodzaj gęsi morskiej, najlepszy gatunek jadalny, kaczkę o głowie czerwonej i piersiach czarnych, wronę szarą, rodzaj sójki, niezwyklej brzydoty; niejednego zimoroda, niejedną kaczkę dziką i wiele innych z tego rodzaju skrzydlatego, który zagłuszał swym krzykiem echa skał polarnych. Ptaki te w nieprzeliczonej liczbie zamieszkują wybrzeże morza Lodowatego, tak że określić ich ilość byłoby niepodobieństwem.



Oczywiście myśliwi, którym zakazano polowania na czworonożne zwierzęta, obrócili cały swój zapal w stronę ptasiego królestwa. Kilka setek ptaków zostało zabitych podczas tych pierwszych dwu tygodni, służąc doskonałym

dotądkiem do corn-beef'u i sucharów.

Tak więc zwierząt nie było brak w okolicy. Towarzystwo mogło zapełnić swe składy, a załoga nie potrzebowała mieć próżnej spizarni. Ale dwie te okoliczności nie wystarczały dla założenia faktorji. Na tej wysokości geograficznej przedewszystkiem należało mieć zapewniony opał, aby móc skutecznie zwalczać mrozy podbiegunowe.

Na szczęście wybrzeże było lesiste. Pagórki, piętrzące się poza wybrzeżem były pokryte drzewami, wśród których górowała sosna. Grupy te drzew iglastych nieraz tworzyły lasy całe. Gdzie niegdzie też rosły kępami wierzby, topole, brzozy karłowate i liczne krzaki mącznic. O tej porze letniej drzewa te i krzewy były pokryte zielenią, wprawiającą w zdumienie wzrok przyzwyczajonych do zarysów surowych i monotonnych krajobrazów podbiegunowych. Na ziemi, u stóp pagórków rosła trawa niska, którą renifery jedzą chciwie i która stanowi ich pożywienie w zimie. Jak widzimy, porucznik mógł sobie tylko powinszować, że za teren swych badań obrał północno-zachodnią część ładu amerykańskiego.

Wspomnieliśmy już wyżej, że jeżeli nie brak było zwierząt w tej stronie, natomiast ludzi nie było tu wcale. Nie spotkano ani Eskimosów, którzy chętniej koczują w okręgach zbliżonych do zatoki Hudsonskiej, ani Indjan, którzy zwykle nie przekraczają koła Polarnego. I nic dziwnego. W tych oddalonych stronach wszelka wyprawa jest ryzykowna, gdyż albo zima przedłuża się ponad miarę, albo wraca niespodziewanie, a wtedy komunikacja

jest zupełnie przerwana. Łatwo domyślić się można, że porucznik Hobson nie skarżył się bynajmniej na nieobecność swych bliźnich, którzy mogli być jego współzawodnikami. Zależało mu na tem, aby kraina, do której dążył, była niezamieszkała, gdyż przedstawiała ona pewne schronisko dla zwierząt o cennych futrach, o jakie chodziło mu właśnie. Z myślami swemi dzielił się ze swą towarzyszką. Mrs. Paulina Barnett nie zapominała, że Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej okazywało jej największe względy, było zatem rzeczą naturalną, że serdecznie pragnęła, aby wyprawa Jasper Hobson'a zakończyła się pomyślnie.

Można sobie więc wyobrazić, jakie było rozczarowanie Jasper Hobson'a, gdy rankiem 20 czerwca znalazł się przed obozowiskiem, które musiało być niedawno opuszczone.

Znajdowało się ono w małej zatoce, noszącej nazwę zatoki Darnley, a leżącej na wschód od przylądka Parry. U stóp pagórka widniały słupy służące zapewne jako rodzaj oszańcowania, i stosy popiołu na miejscach, gdzie zagasty ogniska.

Wszyscy podróżni zebrali się koło tego obozowiska. Każdy z nich rozumiał, o ile odkrycie to musiało być przykre dla porucznika.

– Okoliczność to wcale niepożądana, – rzekł Jasper Hobson – i, zaiste, wołałbym spotkać na mej drodze całą rodzinę niedźwiedzi polarnych!

W każdym razie, ktokolwiek był w tych stronach, jest

– w naszym razie, kłopotliwie był w tych suoniach, jest obecnie już daleko – odezwała się Mrs. Paulina Barnett – i według wszelkiego prawdopodobieństwa, powrócił na południe, aby tam zająć się polowaniem.

– To zależy – odrzekł porucznik. – Jeżeli to byli Eskimosi, podążyli oni raczej na północ. Jeżeli zaś Indianie, to przyszedli zapewne zwiedzić to nowe pole myśliwskie, tak jak my to sami czynimy, i powtarzam, jest to dla nas bardzo niepożądane.

– Czy nie możnaby poznać do jakiej rasy należą ci wędrowcy? Czy są to północni Eskimosi, czy też południowi Indianie? Zdaje mi się, że te plemiona, tak różne pochodzeniem i zwyczajami muszą również mieć odmienne obozowiska.

Uwaga Mrs. Pauliny Barnett była słuszna i należało istotnie przyrzeć się dokładnie obozowisku.

Jasper Hobson i kilku jego towarzyszy zabrało się więc do obejrzenia opuszczonego stanowiska, szukając starannie jakiegokolwiek śladu lub przedmiotu, któreby mogły służyć im za wskazówkę. Ale nie zauważyli niczego szczególnego. Pozostałe kości zwierzęce niewiele mówiły. Jasper Hobson wracał niezadowolony, gdy usłyszał wołanie Mrs. Joliffe, która oddaliła się była o sto kroków na lewo.

Jasper Hobson, Mrs. Paulina Barnett, sierżant, kapral i kilku innych podążyła ku młodej Kanadyjce, która stała w milczeniu, przypatrując się z uwagą ziemi.

– Szukaliście państwo śladów? – rzekła – oto je macie!

Przy tych słowach Mrs. Joliffe wskazywała na liczne ślady kroków, doskonale zachowane na gruncie gliniastym.

Ślady te mogły być cenną wskazówką, gdyż stopy Indian i Eskimosów, zarówno jak i ich obuwie, różnią się od siebie wiele.

Ale przede wszystkim porucznika uderzył osobliwy układ tych śladów. Pochodziły one oczywiście z nacisku stopy ludzkiej, a nawet stopy obutej, ale, okolicznością niezrozumiałą było to, że nie zostały wyciśnięte obcasem a tylko podeszwą. Oprócz tego liczba śladów była znaczna i były one niezwykle pokrzyżowane, pomimo że zajmowały małą przestrzeń.

Jasper Hobson zwrócił na to uwagę swych towarzyszy.

– Nie są to ślady osoby chodzącej, – rzekł.

– Ani osoby skaczącej, ponieważ niema śladu obcasa – dodała Paulina Barnett.



– Nie, to są ślady osoby tańczącej, – odezwała się Mrs.



Joliffé.

Mrs. Joliffé nie myliła się. Po dokładnem przyjrzeniu się tym śladom nie ulegało wątpliwości, że są to ślady stóp męskich, których właściciel oddawał się sztuce choreograficznej – i to nie tańcowi ciężkiemu, zwartemu, przygniatającemu, lecz ruchom lekkim, zgrabnym i wesołym. Uwaga zatem Mrs. Joliffé okazała się bezsprzecznie prawdziwą. Ale któż mógł być na tyle wesołym osobnikiem, aby powziąć myśl lub uczuć potrzebę tańca i to tak rześkiego na granicy łądu amerykańskiego, na kilka stopni poniżej koła Polarnego?

- Nie jest to w żadnym razie Eskimos, – zauważył porucznik.
- Ani Indjanin! – zawołał kapral Joliffé.
- Tylko Francuz! rzekł spokojnie sierżant Long.

I jednogłośnie orzeczono, że jedynie Francuz zdolny był tańczyć po tej geograficznej wysokości kuli ziemskiej.



## Rozdział XII

*Słońce o północy.*



wierzenie sierżanta Long nie byłoli zbyt śmiałe? Czyż dlatego, że były to ślady lekkiego tańca, należało stąd wnioskować, iż jedynie Francuz mógł być do niego zdolny?

Porucznik Jasper Hobson wszakże podzielał zapatrywanie sierżanta, jak zresztą wszyscy obecni. I wszyscy uważali za rzecz pewną, że jakaś garstka wędrowców, wśród której znajdował się rodak Vestris'a<sup>1</sup> przebywała w tej miejscowości niedawno.

Odkrycie to oczywiście nie było po myśli porucznika. Jasper Hobson od tej pory nie wiedział, czy nie był wyprzedzony przez współzawodników i czy tajemnica Towarzystwa, jakkolwiek dobrze strzeżona, nie została odkryta w środowiskach handlowych Kanady lub Stanów Zjednoczonych.

To też Jasper Hobson był osobliwie zafrasowany, tem bardziej, że za daleko zaszedł, aby móc zawrócić z drogi.

Przy tej sposobności Mrs. Paulina Barnett zadała porucznikowi następujące pytanie:

– Panie Jasper, czyż spotyka się jeszcze Francuzów w okolicach północnego lądu?

– Spotyka się, – proszę pani, – jeżeli zaś nie Francuzów, to, co prawie na jedno wychodzi, Kanadyjczyków, pochodzących od dawnych władców Kanady, gdy Kanada należała do Francji, a przynajmniej trzeba, że są to nasi najzawziętsi współzawodnicy

– Przypuszczałam, – odezwała się podróżniczka, – że z chwilą przejęcia praw Towarzystwa północno-zachodniego, Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej nie miało współzawodników na lądzie amerykańskim.

– Przeciwnie, – rzekł Jasper Hobson – wprawdzie poza naszymi nie ma urzędowego Towarzystwa, któreby zajmowały się handlem futer, ale zato istnieją Towarzystwa prywatne zupełnie niezależne. Naogół są to towarzystwa amerykańskie, które bardzo słusznie posługują się dawnymi agentami francuskimi lub ich potomkami.

– Agenci ci zatem musieli być bardzo użyteczni? – zauważyła Mrs. Paulina Barnett.

– Zapewne, i to całkiem słusznie. Przez dziewięćdziesiąt cztery lata rządów Francji w Kanadzie, agenci francuscy brali ustawicznie górę nad naszymi agentami. Trzeba oddać sprawiedliwość nawet współzawodnikom.

– Szczególnie współzawodnikom! – dodała Mrs. Barnett.

– Tak... szczególnie... W owym to czasie myśliwi francuscy z Montrealu, ich głównej siedziby, udawali się na Północ z większą niż inni śmiałością. Przebywali oni latami całymi wśród plemion indyjskich. Żenili się tam niekiedy. Nazywano ich „bywalcami lasów” lub „podróżnikami kanadyjskimi”, oni zaś sami mienili się kuzynami i braćmi. Byli to ludzie odważni, zręczni, znawcy żeglugi rzecznej, bardzo dzielni, niefrasobliwi, naginający się do wszystkiego z oietkością właściwą ich rasie bardzo uczciwi

wszystkiego z grąbiuszą wabiącą ich łuski, bardzo cieżką, bardzo weseli i przy lada sposobności gotowi do śpiewu i tańca!

– Pan przypuszcza, że podróżni, na których ślad natrafiliśmy, przybyli w te strony oddalone tylko w celu polowania na futra?

– Nic innego przypuścić nie mogę – odpowiedział porucznik – i z pewnością poszukują oni jakich nowych okolic myśliwskich. Ale ponieważ wstrzymać ich nie możemy, postarajmy się przynajmniej jak najprędzej dojść do celu, poczem będziemy dzielnie walczyli przeciw wszelkim współzawodnikom!

Porucznik, pogodziwszy się z myślą tego współzawodnictwa, któremu zresztą przeciwstawić się nie mógł, naglił swój oddział do jazdy, aby jak najprędzej dostać się powyżej siedemdziesiątego równoleżnika. Miał nadzieję, że może jego współzawodnicy nie posuną się tak daleko.

Podróżnicy skierowali się o dwadzieścia mil na południe, aby objechać łatwiej zatokę Franklin'a. Okolica była pokryta zielenią. Ponieważ zaś spotykano po drodze zwierzęta i ptaki, które były już zwróciły ich uwagę, wywnioskowano więc, że muszą się one znajdować na całym wybrzeżu polarnem.

Morze dotykające do wybrzeża granic nie miało, o czym zresztą świadczyły najświeższe mapy, na których nie było widać zarysu żadnego lądu. Było to zatem wolne przestworze i tylko lody mogły stanąć na przeszkodzie żeglarzom cieśniny Berynga dla dotarcia do Bieguna.

4 lipca oddział okrążył drugą zatokę głęboko wrzynającą się w ziemię mianowicie zatokę Washburn i dosięgnął krańca

w zieleń, miałowicie zatokę wąską i dosięgnąć krańca nieznanego dotąd jeziora, ciągnącego się na przestrzeni dwu mil kwadratowych. Był to raczej rozległy staw o słodkiej wodzie, niż jezioro.

Sanki sunęły bez trudności. Wygląd okolicy zachęcał do założenia faktorji i należało przypuszczać, że położenie fortu zbudowane na krańcu przylądka Bathurst'a, mającego na swych tyłach małe jezioro, przed sobą zaś drogę przez cieśninę Berynga, to jest morze dostępne dla żeglugi podczas czterech lub pięciu miesięcy lata, będzie bardzo pomyślne dla wywozu futer i zaopatrywania fortu w potrzebne produkty.

Nazajutrz, 5 lipca, około trzeciej po południu oddział dotarł wreszcie do przylądka Bathurst. Należało sprawdzić, czy rzeczywiście przylądek znajduje się powyżej siedemdziesiątego równoleżnika, gdyż nie można było polegać w tym względzie na mapie. Tymczasem Jasper Hobson postanowił tu się zatrzymać.

– Cóż nam przeszkadza osiąść tu na dobre? – spytał kapral Joliffé. Pan przyzna, panie poruczniku, że miejsce to jest bardzo zachęcające?

– Zapewne zachęci was jeszcze bardziej, – odpowiedział porucznik Hobson – skoro pobierać będziecie podwójną gaźę!

– Bezsprzecznie – odparł kapral Joliffé – zresztą trzeba zastosować się do instrukcji Towarzystwa.

– Bądźcie więc cierpliwi do jutra, – dodał Jasper Hobson, – i o ile okaże się, o czem nie wątpię, że przylądek Bathurst istotnie znajduje się powyżej siedemdziesiątego równoleżnika, rozłożymy

znajduje się powyżej siedemdziesiątego rowidencznika, rozłożył tu nasz obóz!

Miejsce było, zaiste, odpowiednie dla budowy fortu. Brzegi jeziora okolone lasami pagórkami mogły dostarczyć w znacznej ilości sosny, brzozy i innych gatunków drzew potrzebnych do budowy, następnie zaś do opalania faktorii. Porucznik wraz z kilku towarzyszami, doszedłszy do samego krańca przylądka, zauważył, że na zachód wybrzeże pochyłało się, tworząc łuk bardzo wydłużony. Skały dość znacznej wysokości zamykały horyzont z tej strony. Co do wody jeziora przekonano się, że jest słodka, a nie słonawa, pomimo bliskiego sąsiedztwa morza. Ale wody słodkiej w żadnym razie nie byłoby zabrakło załodze fortu, gdyż mała rzeczka, o wodzie świeżej i czystej, płynęła w pobliżu, wpadając do oceanu Lodowatego, wąskim ujściem położonym o kilkaset kroków na południowo-wschód od przylądka Bathurst. Ujście to, zasłonięte nie skałami lecz dość osobliwym nagromadzeniem ziemi i piasku tworzyło port naturalny, w którym dwa lub trzy okręty mogły znaleźć dostateczne schronienie przed silniejszymi wiatrami pełnego morza. Ujście to mogło być w następstwie wykorzystane dla okrętów, które przybywać miały z cieśniny Berynga. Jasper Hobson przez uprzejmość dla podróżniczki nadał rzeczce nazwę Paulina-river, a małemu portowi nazwę Barnett, co wzruszyło wielce podróżniczkę.

Fort miał być zbudowany nieco w tyle krańca przylądka, aby dom i składy były zabezpieczone od najchłodniejszych wiatrów. Wyniosłość samego przylądka miała go chronić od tych

gwałtownych zawiei, które zdolne są w kilka godzin zasypać śniegiem całe siedziby ludzkie. Przestrzeń między podnóżem przylądka a jeziorkiem była dość rozległa, żeby na niej wznieść budowle wchodzące w skład faktorii. Można nawet było ogrodzić ją drewnianą palisadą, któraby się opierała o pierwsze występy skał, a na szczycie przylądka wznieść redutę, budowlę czysto obronną, lecz użyteczną w razie gdyby współzawodnicy chcieli osiąść w okolicy. To też Jasper Hobson z zadowoleniem zauważył, że obrona faktorii byłaby łatwą.

Pogoda była wtedy bardzo piękna, nawet było dość ciepło. Najmniejsza chmurka nie zasłaniała horyzontu, ani zenitu. Co do nieba stron polarnych, to nie przypomina ono bynajmniej czystego nieba stref gorących i umiarkowanych. Podczas lata w powietrzu unosi się prawie ustawicznie lekka mgła. O tem zaś, że w zimie wznoszą się góry lodowe, że ostry wiatr północny szaleje wśród skał, że noc czteromiesięczna pokrywa swym mrokiem ląd i morze nie pomyślał żaden z towarzyszy Hobsona, bo pogoda była wspaniała, krajobraz zielony, temperatura ciepła i niebo połyskujące.



Rozłożono tymczasowe obozowisko na samym brzegu jeziora. Mrs. Barnett, porucznik, Tomasz Black nawet i sierżant Long udali się na zwiedzenie okolicy. Powrócili zadowoleni, gdyż odpowiadała ich celowi w zupełności. Jasper Hobson oczekiwał z niecierpliwością następnego ranka, aby sprawdzić geograficzne położenie przylądka, a tem samem przekonać się, czy odpowiada warunkom żądanym przez Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej.

– Piękny to kraj – odezwał się astronom, zwracając się do porucznika, gdy zwiedzili całą okolicę. – Nie przypuszczałem nigdy, że tak zachwycająca kraina może istnieć powyżej koła Polarnego.

– Mył się pan, panie Black, wszak tu są najpiękniejsze strony świata! – rzekł Jasper Hobson – i chciałbym jak najprędzej sprawdzić długość i szerokość miejsca, gdzie obecnie przebywamy.

– Szerokość przedewszystkiem! – odezwał się astronom, zajęty wyłącznie przyszłym swem zaćmieniem. – Zdaje mi się, że pańscy towarzysze nie są mniej niecierpliwi, niż pan, panie Hobson. Podwójna gaża czeka ich, jeżeli osiadziecie, poza siedemdziesiątym równoleżnikiem.

– A panu, panie Black – spytała Mrs. Paulina Barnett, – czy nie zależy również, oczywiście w imię nauki, na przekroczeniu tego równoleżnika?



– Niezawodnie, niezawodnie, zależy mi na tem przekroczeniu, byle nie zbyt daleko. Według obliczeń najściślejszych rocznika astronomicznego, zaćmienie słońca, które mam zbadać, może być widziane całkowicie tylko nieco poza siedemdziesiątym równoleżnikiem. Oczekuję więc z równą jak porucznik niecierpliwością sprawdzenia położenia geograficznego przyładka Bathurst!

– Zdaje mi się jednak, panie Black, – rzekła podróżniczka, – że to zaćmienie słońca ma nastąpić dopiero 18 lipca?

– W istocie, 18 lipca 1860.

– A mamy obecnie 5 lipca 1859. A zatem dopiero za rok!

– Zgadzam się, proszę pani, – odpowiedział astronom. – Ale pani przyzna, że gdybym był wyjechał dopiero w przyszłym roku, mógłbym przybyć za późno!

– Istotnie, panie Black, – odparł Jasper Hobson, – i dobrze pan zrobił, wyjeżdżając tak wcześnie. Przynajmniej pan jest pewien zobaczyć swe zaćmienie. Przyznam się bowiem panu, że podróż, z fortu Reliance do przyładku Bathurst, odbyliśmy w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach. Nie doznaliśmy ani wielkiego zmęczenia, ani też zbytniego opóźnienia. Byłem pewny, że do tego wybrzeża dotrzemy dopiero w połowie sierpnia i gdyby zaćmienie miało nastąpić 18 lipca 1859, mógłby pan nie widzieć go wcale. Ale zresztą niewiadomo jeszcze, czy znajdujemy się rzeczywiście powyżej siedemdziesiątego równoleżnika.

– W każdym razie, kochany poruczniku, – rzekł Tomasz Black, – nie żałuję wcale podróży, którą odbyłem w pańskim towarzystwie i cierpliwie oczekiwać będę mojego zaćmienia do roku przyszłego. Jasnowłosa Febe jest dość wielka dama, przypuszczam, aby można było na nią zaczekać!

Nazajutrz rano, nieco przed południem, Jasper Hobson i Tomasz Black przygotowali się należycie do sprawdzenia położenia geograficznego przyłodka Bathurst. Dnia tego słońce uwypuklało się dostatecznie, aby można było zdjąć dokładny jego zarys. Zresztą w tej parze roku dosięga ono swego najwyższego punktu na niebie, co ułatwiało pracę obu badaczy.

Już dnia poprzedniego zrana wzięli oni rozmiar stopniowego wznoszenia się słońca nad horyzontem przy pomocy obliczenia kątów godzinowych, przez co sprawdzili długość geograficzną miejscowości. Ale Jasper Hobson'owi chodziło głównie o jej szerokość geograficzną.

Zbliżało się południe. Wszyscy uczestnicy podróży otoczyli dwu badaczy, zaopatrzonych w swe narzędzia pomiarowe. Oczekiwano z niecierpliwością rezultatu badań. I nic dziwnego. Od niego to bowiem zależało, czy przyłodek Bathurst będzie kresem ich podróży, czy też będą musieli szukać innej miejscowości na wybrzeżu, któraby odpowiadała wymaganiom Towarzystwa.

Otóż, ostatnia ta alternatywa nie mogła im dostarczyć zadowalającego wyniku. W istocie – sądząc z map, wprowadzić bardzo niedokładnych – wybrzeże począwszy od przyłodka

bardzo niedokładny – wybrzeże, począwszy od przylądka Bathurst, zbacząc na zachód, zniżało się poniżej siedemdziesiątego równoleżnika, podnosząc się powyżej dopiero w części Ameryki należącej do Rosjan, w której Anglicy nie mieli prawa się osiedlać. Nie bez słuszności zatem zdążył Jasper Hobson do przylądka Bathurst, jedyne z przylądków Ameryki angielskiej, sięgającego poza siedemdziesiąty równoleżnik i znajdujący się między setnym i setnym pięćdziesiątym południkiem. Należało więc ostatecznie dowiedzieć się, czy istotnie przylądek znajduje się na długości i wysokości oznaczonej na najnowszych mapach.

Słońce zbliżało się już do swego punktu kulminacyjnego. Tomasz Black i Jasper Hobson nastavili swoje lunety w kierunku wznoszącego się słońca. Zapomocą zwierciadeł pochyłych, ustawionych na przyrządzie, słońce miało być pozornie sprowadzone do horyzontu, a chwila, w której zdawać się będzie, że niższy brzeg tarczy słonecznej dotyka horyzontu, będzie to właśnie chwila, w której dosięgnie ono najwyższego punktu łuku dziennego, a tem samem chwila, w której przechodzić będzie przez południk, to jest południe dla danej miejscowości.

Wszyscy oczekiwali w milczeniu.

– Południe! – zawołał wkrótce Jasper Hobson.

– Południe! – odezwał się w tej samej chwili Tomasz Black.

Opuszczono natychmiast lunety. Porucznik i astronom odczytali na skalach wartość kątów dopiero co otrzymanych i

wzięli się zaraz do obliczeń.

Po kilku minutach tej pracy porucznik Hobson wstał i zwracając się do swych towarzyszy rzekł:



– Przyjaciele, od tego dnia, 6 lipca Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej obowiązuje się przeze mnie, podnieść w dwójnosób waszą płacę!

– Hurra; hurra! niech żyje Towarzystwo! – zawołali dzielni towarzysze porucznika Hobson.

Istotnie przylądek Bathurst i przylegająca do niego okolica znajdowała się bezsprzecznie powyżej siedemdziesiątego równoleżnika.

Oto zresztą, z dokładnością co do sekundy, jak przedstawiają się te współrzędne, mające odegrać tak ważną rolę w przyszłości nowego fortu: Długość:  $127^{\circ}36'12''$  na zachód od południa Greenwich. Szerokość:  $70^{\circ}44'37''$  północna.

Tego samego to dnia dzielni ci podróżnicy zdala od świata

zamieszkałego, przeszło osiemset mil od fortu Reliance zobaczyli promieniejące ciało na brzegach horyzontu zachodniego w całej pełni swej tarczy płomiennej.

Słońce o północy ukazało się pierwszy raz ich oczom.



## Rozdział XIII

### *Fort Nadziei.*



Wybór miejsca pod budowę fortu był nieodwołalnie dokonany. Odpowiedniejszego znaleźćby trudno. Położenie między przylądkiem Bathurst a wschodniem wybrzeżem jeziora, tworzyło jedną równą płaszczyznę. Jasper Hobson postanowił rozpocząć natychmiast budowę głównego domu. Tymczasem każdy ulokować się musiał według upodobania. Sanki zostały użyte bardzo pomysłowo do urządzenia prowizorycznego obozowiska.

Zresztą porucznik, licząc na sprawność swych ludzi,

przypuszczał, że główny dom stanie w przeciągu miesiąca. Miał on być dość rozległy, ażeby móc pomieścić tymczasowo dziewiętnaście osób, wchodzących w skład oddziału. O ile zaś czas pozwoli przed nadejściem chłódów, miano zbudować mieszkanie dla żołnierzy i składy dla futer. Jasper Hobson wątpił jednak czy prace tę będą wykończone do końca września. Z początkiem zaś października zaczynają się długie noce, zła pogoda, pierwsze przymrozki, siłą rzeczy przerywające robotę.

Z dziesięciu żołnierzy, których był wybrał kapitan Craventy, dwóch tylko, Sabine i Marbre byli myśliwymi. Reszta zaś władała z równą sprawnością siekierą, jak karabinem. Na podobieństwo marynarzy byli oni uzdolnieni do wszystkiego. Ale obecnie mieli oni być przede wszystkim robotnikami nie żołnierzami, skoro chodziło o budowę fortu, któremu żaden wróg nie groził jeszcze. Petersen, Belcher, Raë, Garry, Pond, Hope, Kellet byli zręcznymi i zapalonymi cieślami; Mac Nap zaś, Szkot ze Stirlingu, znający się doskonale na budowie domów, a nawet okrętów, mógł z powodzeniem objąć nadzór nad pracą. Narzędzi nie brakowało, jak siekier, toporów, ręcznych piłek, toporków, hebli, pił, świdrów, młotków, dłut i innych. Jeden z żołnierzy, Raë, kowal z zawodu, mógł nawet, przy pomocy przenośnej kuźni, fabrykować kołki, śrubki, nity, gwoździe, śruby i naśrubki, słowem wszystkie przybory do robót ciesielskich. Mularza nie było ani jednego wśród tych robotników ale też nie był on potrzebny, gdyż wszystkie domy faktoryj północnych są zbudowane z drzewa. Na szczęście drzew nie brakowało w okolicy przylądka, zato, co było dość

osobliwe, nie było wcale skał, kamieni, a nawet kamyków. Ziemia tylko i piasek, nic więcej. Na wybrzeżu leżała niezliczona ilość muszli złożonych, rozbitych przez nadpływające bałwany i rośliny morskie albo zoofity, czyli zwierzokrzewy, składające się przeważnie z dwu gatunków: niedźwiadków i gwiazdeczek (oursins et astéries). Na ten zupełny brak kamieni, jakichkolwiek krzemieni lub odłamków granatu, zwrócił uwagę Pauliny Barnett Jasper Hobson. Przyłodek zatem był utworzony przez nagromadzenie piasków ruchomych, których cząsteczki związane były zaledwie kilku roślinami.

Owego to dnia, po południu, Jasper Hobson i mistrz Mac Nap, cieśla, udali się na miejsce, gdzie miał być zbudowany fort, aby wyznaczyć dokładnie miejsce, na którym stanąć miał główny dom. Z płaskowzgórza można było objąć wzrokiem jezioro i okolice położoną na zachód na przestrzeni dziesięciu do dwunastu mil. Na prawo, lecz w odległości nie mniej czterech mil, piętrzyły się skały dość znacznej wysokości, ginące w mgłę. Na lewo, przeciwnie ciągnęły się rozległe równiny, rozległe stepy, które, zimą musiały stanowić jedno z zamarznąłą powierzchnią jeziora i Oceanu.





Wybrawszy odpowiednie miejsce, Jasper Hobson i Mac Nap zakreślili sznurkiem obwód domu. Był to prostokąt wydłużony na sześćdziesiąt stóp, którego szerokość wynosiły stóp trzydzieści. W przedniej ścianie domu wychodzącej na wewnętrzne podwórko od strony przylądka, miały być drzwi i trzy okna, w ścianie zaś tylnej od strony jeziora – cztery okna. Drzwi zamiast pośrodku miały być na lewym rogu, dla wygody domu. Istotnie tego rodzaju rozkład miał zabezpieczyć od przystępu zewnętrznego zimnego powietrza pokoje, znajdujące się w tyle domu.

Plan domu był prosty: dom podzielony na cztery części, z których pierwszą stanowił przedpokój zaopatrzony w podwójne drzwi, drugą kuchnia, gdzie miały odbywać się wszystkie prace kuchenne, aby ochronić inne części mieszkalne od wilgoci, trzecią wielka sala, gdzie miano wspólnie spożywać posiłek; wreszcie w czwartej, podzielonej na kilka części, mieściły się oddzielne pokoje.

Żołnierze mieli zajmować tymczasowo wielką salę, w której miano pomieścić łóżka polowe. Porucznik, Mrs. Paulina Barnett, Tomasz Black, Madge, Mrs. Joliffè, mrs. Mac Nap i mrs. Raë, mieli zajmować pokoje czwartej części domu. Pomieszczenie to było nieco przyciasne, ale stan ten nie miał trwać długo, gdyż wraz z ukończeniem mieszkania dla żołnierzy w domu głównym pozostałby tylko porucznik, Mrs. Paulina Barnett z nierozłączoną



wierną Madge i Tomasz Black. A wtedy może dałoby się podzielić czwartą część mieszkania na trzy pokoje, usuwając cele prowizoryczne, gdyż zasadą mieszkańców stref północnych jest „unikac kątów”. W istocie kąty są zbiornikiem zimna, ściany utrudniają przewiew powietrza, powodując nagromadzenie się wilgoci, która zmienia się w śnieg, czyniąc pokoje niezamieszkalne i powodując choroby nieraz bardzo poważne. To też żeglarze północni, zmuszeni do zimowania wśród lodowców, urządzają na okrętach jedną wspólną salę, gdzie mieszczą się wspólnie kapitan i cała załoga. Jasper Hobson wszakże nie mógł iść za ich przykładem dla łatwo zrozumiałych powodów.

Jak widać z tego przedwczesnego opisu siedziby, której jeszcze nie było, główne mieszkanie domu składało się tylko z jednego piętra, nad którym wznosił się rozległy dach o spadzistych bokach, aby wody mogły łatwo spływać. Śnieg zaś, marznąc potrafi się na nim utrzymać, przynosząc podwójną korzyść; warstwą swoją bowiem zakryje wszelkie szczeliny domu, a tem samem przyczyni się do ujednostajnienia temperatury. Śnieg, jak wiadomo, jest złym przewodnikiem ciepła; nie przepuszcza go do mieszkania, ale jednocześnie nie pozwala mu się zeń wydostać.

Nad dachem cieśla miał ustawić dwa kominy, jeden prowadzący do kuchni, drugi do pieca wielkiej sali, mającego jednocześnie ogrzewać cele czwartej części mieszkania. Budowla tego rodzaju nie stanie się zapewne dziełem architektonicznym lecz nosiadać będzie wszelkie możliwe

warunki mieszkalne. Cóż więcej żądać było można? Zresztą wśród tego ciągłego zmroku, wśród tych nieustannych zawiei śnieżnych, napół pochowany w lodzie, pokryty szronem od góry do dołu, ze swym mglistym zarysem, dymem szarawym, pokręconym przez wiatr, dom ten zwróciłby swym wyglądem osobliwym, ponurym i oplakany uwagę artysty.

Tak więc plan domu był wyznaczony. Pozostawało tylko go wykonać. A to już było zadaniem mistrza Mac Nap'a i jego pomocników. Podczas zaś pracy cieśli, myśliwi mieli dostarczać codziennych zapasów żywności, słowem pracy nie brakowało nikomu.



Mistrz Mac Nap zajął się przedewszystkiem wyborem drzewa podatnego do budowli. Na pagórkach znalazł znaczną liczbę sosen, przypominających bardzo sosny szkockie. Drzewa te, średniej wysokości, nadawały się dobrze do budowy domu. W tych siedzibach bowiem pierwotnych mury, podłogi i sufity, przegrody, krokwie, szczyty domów, gonty, wszystko słowem

zrobione jest z desek, belek i słupów.

Oczywiście budowa tych domów nie wymaga robotników wykwalifikowanych, więc Mac Nap mógł poprzestać na swoich pomocnikach, co zresztą nie wykluczało trwałości mieszkania.

Mac Nap wybrał drzewa proste, które zostały ścięte na stopę ponad ziemią. Długość tych sosen w liczbie stu, nieociosanych, nie obranych z kory, wynosiła dwadzieścia stóp. Siekiera i topór obciosaly je tylko przy końcach, aby móc włożyć w nie kołki, które miały je połączyć z sobą. Pracę tę wykonano w kilka dni i wkrótce gotowy materiał zawieziono przy pomocy psów na miejsce ich przeznaczenia.

Plac pod budowę domu był starannie zrównany. Grunt, składający się z ziemi i piasku, ubito starannie. Trawy niskie i suche, jak również niewielkie krzaki rosnące na placu spalono, a pozostała stąd gęsta warstwa popiołu zabezpieczała całkiem dom od wilgoci. W ten sposób Mac Nap otrzymał podstawę czystą i suchą na której mógł budować bezpiecznie.

Po skończeniu tej pierwszej pracy założono w rogach domu i miejscach, gdzie miały stać przegrody, prostopadłe belki, mające utrzymać cały kadłub domu. Opaliwszy je w ogniu, wbito na kilka stóp w ziemię. Na belkach wydrążonych po bokach oparły się poprzeczne dyle, mające tworzyć ściany domu. Nie omieszkało oczywiście zostawić odpowiednich miejsc dla drzwi i okien. W górnej swej części belki te połączone były z sobą innymi belkami, które osadzone mocno w fugach utrwały zespół budowli. Na końcach tych belek, wystających z obu

stron domu, spoczyły wysokie krokwie dachu, którego niższy koniec pochyłał się nad ścianami, jak w szaletach. Na utworzonym w ten sposób kwadracie ułożono w górnej części dyle, tworząc sufit, w dolnej zaś, na warstwie popiołu – podłogę.

Dyle te, zarówno zewnętrzne, jak wewnętrzne przylegały tylko do siebie. Aby połączyć dyle ściślej, kowal Raë prześwidrował je i połączył długimi żelaznymi kołkami, które zostały wbite silnymi uderzeniami młota. Lecz połączenie to nie było zupełnie ścisłe. Dla wypełnienia szczelin Mac Nap zastosował z powodzeniem okrętowy sposób utykania szpar pakułami, które tamują dostęp wody całkowicie. Do tego utykania użyto, jako pakuł, pewnego gatunku suchego mchu, którym pokryte było całe wschodnie zbocze przylądka. Mech ten wprowadzony był do szczelin zapomocą kawałka żelaza, okręconego kłakami i wbijanego młotkiem drewnianym, następnie zalewano każdą szparę kilku warstwami smoły, której dostarczyły sosny w wielkiej obfitości. Ściany i podłogi w ten sposób zaopatrzone były niedostępne dla wilgoci, a ich grubość zabezpieczała je przed nawałnicami i mrozem.

Drzwi i okna, choć bardzo pierwotne, były mocno osadzone. Okna składały się z małych szyb, które nie były niczem innym jak tylko substancją rogową, żółtawą, zaledwie przezroczystą, utworzoną z suszonego kleju rybiego, lecz trzeba było się nią zadowolić. Zresztą podczas lata okna były otwarte dla przewiewu. Podczas zimy zaś, ponieważ i tak zmrok panował ciągle, okna były szczelnie zamknięte grubymi okutymi

okienkami, aby mogły stawiać skuteczny opór szalejącym nawałnicom.

Urządzenia wewnętrznego domu dokonano również szybko. Drzwi postawione w tyle drzwi wejściowych w części domu przeznaczonej na przedpokój, pozwalały wchodzącym i wychodzącym uniknąć gwałtownego przejścia od temperatury zewnętrznej do wewnętrznej i odwrotnie. Tym sposobem wiatr mroźny, lub przesycony mroźną wilgocią nie miał bezpośredniego dostępu do pokoiów. Zato pompy powietrzne, przywiezione z fortu Reliance, były tak urządzone, że dostęp świeżego powietrza był zapewniony w razie gdyby nie można było otwierać drzwi i okien z powodu zbyt silnych mrozów. Jedną z nich miało wydobywać się powietrze zepsute, drugą zaś napływać do rezerwoaru świeże powietrze. Porucznik szczególną wagę przywiązywał do tego urządzenia, które, w razie potrzeby, oddać mogło wielkie przysługi.

W kuchni najważniejszym przedmiotem był olbrzymi piec z lanego żelaza, przywieziony częściami z fortu Reliance. Kowal miał go tylko złożyć, co nie było ani trudną ani długą rzeczą. Ale rury przeznaczone do odprowadzenia dymu, zarówno z pieca kuchennego jak i z pieca umieszczonego w wielkiej sali, wymagały więcej czasu i pomysłowości. Nie można było użyć rur blaszanych, które nie byłyby wytrzymały wiatrów panujących podczas porównania dnia z nocą, należało więc pomyśleć o materiale bardziej wytrzymałym. Po kilku nieudanych próbach z drzewem Jasper Hobson musiał pomyśleć o innym materiale. Gdyby miał do swego rozporządzenia kamień, sprawa byłaby

wkrótce załatwiona. Ale jak to już mówiliśmy, na skutek dość osobliwej okoliczności, kamieni nie było wcale w okolicach przylądka Bathurst.

Zato, jak to już powiedzieliśmy również, muszla znajdowała się w wielkich masach na piaszczystym wybrzeżu.

– A więc – rzekł porucznik do mistrza Mac Nap’a – zbudujemy nasze rury z muszel.

– Z muszel! – zawołał cieśla.

– Tak z muszel – rzekł porucznik – lecz z muszel zniażdżonych, spalonych i zamienionych na wapno. Z tego wapna zrobimy małe cegielki i układać je będziemy jedne na drugich.

– Niech będą muszle! – zgodził się mistrz cieśla.

Pomysł Jasper Hobson’a był dobry, to też nie ociągano się z jego wykonaniem. Wybrzeże było pokryte mnóstwem muszel wapnistych, z których składa się pokład niższych terenów trzeciorzędnych. Zebrano ich kilka ton, zbudowano odpowiedni piec, ażeby rozłożyć węglan wchodzący w skład tych muszel i otrzymano wapno nadające się w zupełności do robót mularskich.

Praca ta trwała dzień cały. Nie możemy powiedzieć bez przesady, że przygotowano tym prymitywnym sposobem doskonale wapno tłuste, bez obcej domieszki, rozpuszczające się łatwo w wodzie, działające jak produkty dobrego gatunku i mogące utworzyć ciastowatą masę z nadmiarem płynu. Ale

ciągące utworzyć ciastowatą masę z nadmiarem pyłu. Nie wapno to, zamienione w cegielki, mogło zupełnie dobrze odpowiadać celowi, do jakiego było przeznaczone. W kilka dni później dwie rury stożkowe wznosiły się nad szczytem dachu, a ich grubość mogła skutecznie opierać się sile wiatru.

Mrs. Paulina Barnett wieszowała porucznikowi i Mac Nap'owi wykonania w krótkim czasie tak trudnej pracy.

– Byleby tylko nasze kominy nie dymiły! – dodała ze śmiechem.

– Będą dymiły – rzekł filozoficznie porucznik – będą dymiły, niech pani nie wątpi. Wszystkie kominy dymią!

W przeciągu miesiąca budowa domu była skończona. 6 sierpnia miała się odbyć inauguracja siedziby. Podczas gdy mistrz Mac Nap i jego pomocnicy pracowali bez przerwy, sierżant Long, kapral Joliffe – Mrs. Joliffe bowiem była zajęta w wydziale kulinarnym – i dwu myśliwych Marbre i Sabine, pod kierunkiem Jasper Hobson'a zwiedzali okolice przylądka Bathurst. Z wielkim zadowoleniem mogli się byli przekonać, że ani zwierząt, ani ptactwa w nich nie brakowało. Ponieważ zaś chcieli zbadać dokładnie te strony im obce zupełnie, nie urządzali polowań na wielką skalę. Pomimo to jednak udało im się schwytać kilka reniferów, których miano oswoić. Zwierzęta te miały dostarczać potomków i mleka. To też należało zbudować dla nich zagrodę o pięćdziesiąt kroków od domu. Żona Mac Nap'a, Indjanka, wiedziała, jak obchodzić się z niemi, więc powierzono jej pieczę nad temi zwierzętami.

Co do Mrs. Pauliny Barnett, zajęła się ona przy pomocy Madge wewnętrznem urządzeniem domu i wkrótce wpływ tej inteligentnej i dobrej kobiety stał się widoczny w tysiącnych szczegółach, o któreby się nie zatroszczyli byli ani Jasper Hobson, ani jego towarzysze.

Zbadawszy okolicę w promieniu kilku mil, Jasper Hobson przekonał się, że tworzy ona szeroki półwysep o powierzchni stu pięćdziesięciu mil kwadratowych w przybliżeniu. Przesmyk, szerokości co najwyżej czterech mil, łączył go z lądem amerykańskim, ciągnąc się od środka zatoki Whasburn na wschód do podobnego wgłębienia na przeciwległym wybrzeżu. Granica tego półwyspu, któremu porucznik dał nazwę Wiktorji, zarysowała się bardzo dokładnie.

Następnie Jasper Hobson chciał się dowiedzieć, w jakie twory obfituje jeziorko i morze. Mógł być zadowolony. Woda jeziorka, zresztą o niewielkiej głębokości, obiecywała znaczną ilość pstrągów, szczupaków i innych ryb wód słodkich. Mała rzeczka Paulina była przytulkiem łososi, które swobodnie w niej pływały, jak również gromady stynek i innych żwawych rybek. Morze zato było w tej części wybrzeża mniej zaopatrzone niż jeziorko. Ale od czasu do czasu widać było jak na pełnem morzu przesuwały się wieloryby, kaszaloty, które uciekały zapewne od harpunów rybaków cieśniny Berynga i nie było rzeczą niepodobną, aby jeden z tych wielkich ssaków nie osiadł czasem na mieliźnie wybrzeża. Byłby to szczęśliwy wypadek, gdyż w ten tylko sposób mogli go złowić koloniści przyładka



Bathurst. Zaczynają zas częśc wybrzeża nawiedzana była w tym czasie przez fokę; ale Jasper Hobson zabronił swym towarzyszom narazie polowania na te zwierzęta. Może w przyszłości okażą się potrzebne.

Tak więc 6 sierpnia koloniści przyłądka Bathurst wzięli w posiadanie swą nową siedzibę. Uprzednio i na ogólnem zebraniu dali jej nazwę dobrze wróżącą, uchwaloną jednogłośnie.

Siedziba ta bowiem, a raczej fort – najbardziej wysunięta placówka Towarzystwa na lądzie amerykańskim – została nazwana fortem Nadziei.

Jeżeli zaś nie znajduje się obecnie na najnowszych mapach stron podbiegunowych, to dlatego, że w najbliższej przyszłości miał go spotkać los straszny ku uszczerbkowi nowoczesnej kartografii.



## Rozdział XIV

### *Kilka wycieczek.*





urządzenia nowej siedziby dokonano szybko. W wielkiej sali stały łóżka polowe i szeroki stół, o grubych nogach, ciężki i masywny, roboty cieśli Mac Nap'a. Naokoło stołu postawiono ławki, nie mniej masywne, lecz pomimo to przytwierdzone do podłogi. Oprócz tego kilka stołków i dwie duże szafy dopełniały prostego umeblowania tego pokoju.

Czwarta część mieszkania była również gotowa. Grube ściany dzieliły ją na sześć cel, z których dwie tylko miały okna wychodzące na obie strony domu. W każdej celi stało jedynie łóżko i stół. Mrs. Paulina Barnett i Madge zajmowały celę z widokiem na jezioro. Przeciwną celę również z oknem, wychodzącą na podwórze, oddał Jasper Hobson Tomaszowi Black, sam zaś zadowolił się celą nawpół ciemną, przylegającą do sali jadalnej i do której dochodziło światło przez małe okrągłe okienko w wewnętrznej ścianie. Mrs. Jolife, Mrs. Mac Nap i Mrs. Raë zajmowali wraz z małżonkami pozostałe cele. Trzy te małżeństwa łączyła ścisła przyjaźń, więc rozłączać ich byłoby rzeczą okrutną. Zresztą liczba mieszkańców nowej siedziby miała być wkrótce powiększona i – pewnego dnia – Mac Nap zwrócił się z prośbą do Mrs. Pauliny Barnett, aby zechciała zostać matką chrzestną przy końcu bieżącego roku, na co podróżniczka zgodziła się chętnie.

Na strychu, do którego prowadziła drabina postawiona w głębi przedpokoju, złożono różne narzędzia, prowizje, amunicje narazie niepotrzebne. Ubrania zaś zimowe, obuwie, czapki, jak również futra i skóry, schowano do dużych szaf,

zabezpieczających od wilgoci.

Po dokonaniu tych czynności zajęto się przygotowaniem znacznego zapasu paliwa, porucznik bowiem wiedział, że w zimie całymi tygodniami wyjść z domu było niepodobieństwem. Nie zapomniał również o zapasie tłuszczu, który dostarczyć mogły znajdujące się na wybrzeżu fok, gdyż zabezpieczenie się przed ostrym chłodem polarnym było rzeczą nieodzowną. Z jego też zlecenia i pod jego kierunkiem postawiono w domu kondensatory, mające być zbiornikami wilgoci, którą po zamrożeniu łatwo z nich usunąć.

Sprawa paliwa, bez wątpienia bardzo ważna, obchodziła żywo porucznika.

– Proszę pani – mówił on nieraz podróżnicze, – jestem dzieckiem stref polarnych i mam pewne doświadczenie w tym względzie, tak osobiste jak i zaczerpnięte z dzieł i opisów innych podróżników. Skoro trzeba przebyć zimę w stronach podbiegunowych, nawet przesadna przezorność nie jest zbyt duża. Należy wszystko przewidzieć, gdyż jedno zapomnienie może pociągnąć za sobą niepowetowane następstwa.

– Wierzę panu, – odpowiedziała Mrs. Paulina Barnett, – i widzę, że chłód ma w panu groźnego przeciwnika. Ale czy do sprawy żywności nie przywiązuje pan również wielkiego znaczenia?

– Oczywiście, proszę pani, i liczę w tym względzie na zapasy

znajdujące się w okolicy, aby zaoszczędzić naszych prowizyj. To też za kilka dni, skoro urządzimy się zupełnie, mam zamiar rozpocząć szereg polowań dla zaopatrzenia nas w żywność. Co zaś do polowania na zwierzęta o cennych futrach, o tem pomyślimy później. Zresztą nie jest to odpowiednia pora do polowania na kuny, gronostaje, lisy i tym podobne zwierzęta. Nie mają jeszcze swego zimowego pokrycia, więc ich futra stanowiłyby dwadzieścia pięć procent wartości, gdyby je złożono obecnie na składzie. Ograniczmy się zatem do zapewnienia zapasu żywności naszemu fortowi, do czego służyć nam będą w zupełności renifery, łosie, wapitisy, o ile zabłąkają się w te strony. Oczywiście, wyżywić dwadzieścia osób i sześćdziesiąt psów nie jest rzeczą łatwą!

Widzimy stąd, że porucznik był dobrym gospodarzem. Działał planowo i o ile mu pomogą jego towarzysze, nie wątpił, że wywiąże się dobrze z włożonego nań zadania.

Pogoda wciąż sprzyjała pracy naszych podróżników. Okres śniegów miał się dopiero rozpocząć za pięć tygodni. Po ukończeniu głównego domu zajęto się budową psiarni. Ten „dog-house” miał stanąć u podnóża przyładka, przy samem jego zboczu, o czterdzieści kroków od prawej strony domu. Przyszłe mieszkania dla żołnierzy miały znajdować się naprzeciwko psiarni, na lewo, składy zaś i prochownia – w tylnej części zagrody.

Zagrodę tę postanowił Jasper Hobson zbudować jeszcze przed zimą. Miała się składać z drewnianych belek, dobrze

osadzonycy i osiro zakończonych. Wzniesienie tej zagrody było konieczne, zabezpieczało bowiem nie tylko od napadu niedźwiedzi, lecz również od napaści ludzkiej w razie, gdyby Indianie lub inni współzawodnicy chcieli się zbliżyć do fortu. Porucznik bowiem nie zapomniał o śladach pozostawionych przez nieznaną garstkę ludzi o niecałych dwieście mil od fortu Nadziei. Wiedział do jakich czynów gwałtownych zdolni są myśliwi koczujący i dlatego wołał zabezpieczyć się od nich. Zakreślono więc linię ogrodzenia do koła faktorji a z obu rogów części wychodzącej na jezioro, miał Mac Nap zbudować, dwie budki drewniane dla strażaków.

Przy wielkiej pilności, a tej nie brakowało robotnikom, zabudowania mogły być wykonane przed zimą.

Tymczasem Jasper Hobson zarządził różnego rodzaju polowania. Odłożywszy na później wyprawę na foki, zajął się głównie zdobyciem zwierząt, których mięso osuszone i uwędzone miało stanowić pożywienie mieszkańców fortu podczas zimowych miesięcy.



Tak więc, od 8 sierpnia Sabine i Marbre, sami, lub w towarzystwie porucznika i sierżanta Long, polowali w okolicy w promieniu kilku mil. Często także niezmordowana Mrs. Paulina Barnett brała strzelbę do ręki, którą władała bardzo sprawnie, pomagając swym towarzyszom z powodzeniem.

Myśliwskie te wyprawy zajęły cały miesiąc sierpień, przynosząc plon obfity, to też strych zapelniał się nim w mgnieniu oka. Marbre i Sabine nie omieszkali zastosować wszelkich wybiegów, koniecznych dla upolowania zwierząt zamieszkałych w tych krainach, a szczególnie reniferów, które odznaczają się wielką czujnością. Z jakąż cierpliwością dwaj myśliwi dawali baczenie na kierunek wiatru, aby zmylić czujny węch tych zwierząt! Nieraz przyciągali je, poruszając nad krzakiem karłowatej brzozy wspaniałymi rogami, zdobytymi na poprzednich polowaniach, a renifery, – a raczej „karibu”, aby zachować ich nazwę indyjską, – zmyłone pozorem, zbliżały się do myśliwych, których kule dosięgały je niechybnie. Często także, ptak donosiciel, znana myśliwym sowa dzienna, wielkości gołębia, zdradzała legowisko reniferów, wzywając myśliwych ostrym krzykiem, podobnym do krzyku dziecka, skąd została nazwaną przez Indian „ostrzegaczem”. Upolowano około pięćdziesięciu reniferów, których mięso, pokrajane na długie pasy, dostarczyło znacznej ilości zapasu żywności, skóra zaś wygarbowana miała służyć dla wyrobu obuwia.

Wszakże nietylko karibu przyczyniły się do powiększenia zapasów fortu. Zające północne, rozmnożone w tej okolicy w

wielkiej ilości stanowiły pokazną ich część. Mniej lękliwe, niż ich krewniacy europejscy, dawały się upolować niezmiernie łatwo. Wielkie te gryzonie o długich uszach, brunatnych oczach, futrach łabędziej białości, ważyły od dziesięciu do piętnastu funtów. Mięso ich jest niezwykle smakowite. To też znaczną jego część wędzono, z reszty zaś Mrs. Joliffe przyrządzała doskonałe pasztety.

Tak myśląc o przyszłości i przygotowując zapasy, nie zapomniano bynajmniej o chwili obecnej, z zajęców przyrządzając również doskonałą codzienną strawę, którą zarówno myśliwi jak i robotnicy zajadali ze smakiem. W laboratorium Mrs. Joliffe zajęcia te podlegały najrozmaitszym przeistoczeniom kulinarnym, ku wielkiemu zadowoleniu kaprała, który z dumą słuchał pochwał wygłaszanych na cześć swej pomysłowej małżonki.

Urozmaicano również codzienny posiłek wodnemi ptakami, jak różnego gatunku kaczkami, zalegającemi wybrzeża jeziora i osobliwym gatunkiem kuropatw, zlatujących gromadami do miejsc, gdzie rosły wierzby w nielicznej ilości. Gdy Mrs. Paulina Barnett spytała myśliwego Sabine o nazwę tych ptaków, usłyszała taką odpowiedź:

– Proszę pani, Indianie nazywają je „cietrzewie wierzb”, ale dla nas, myśliwych Europejczyków, są to najprawdziwsze cietrzewie.

Istotnie, wyglądały jak kuropatwy białe o wielkich piórach nakrapianych czarnemi centkami na końcu ogona. Doskonała to

zwierzyna i niezmiernie łatwa do przyrządzenia, gdyż piecze się szybko na dobrym ogniu.



Do tego różnorodnego mięsiwa dodać należy jeszcze mięso rybie, którego dostarczał z jeziora i rzeczki nieporównany rybołówca sierżant Long, władający z równą sprawnością, czy to wędką nieruchomą z zawieszoną na niej przynętą, czy też wędką ruchomą z pustymi haczykami, którą smagał wodę, spędzając rybę. W zawodzie tym nikt nie mógł z nim współzawodniczyć, nikt, oprócz wiernej Madge, towarzyszkii Mrs. Pauliny Barnett. Oboje poważni zwolennicy sławnego Isaaka Walton<sup>2</sup> siedzieli całymi godzinami, jedno przy drugim, z wędką w rękę, śledząc swą zdobycz okiem surowym, w najgłęszem milczeniu; to też dzięki im ryb nie brakowało w faktorii, szczególnie wspaniałych okazów z rodzaju łososiów.

Podczas swych wycieczek myśliwi mieli do czynienia nieraz ze zwierzętami bardzo niebezpiecznymi, nie brak było bowiem niedźwiedzi w tej części łądu. Prawie codziennie jedna lub dwie



pary ukazywały się w pobliżu. Niejeden strzał padł w ich stronę. Pojawiały się to niedźwiedzie brunatne, najliczniejsze w tej części Ziemi Wykłejtej, to niedźwiedzie polarne olbrzymiego wzrostu, które z pierwszemi chłodami miały zawitać w znacznej liczbie do przylądka Bathurst, o czem donosiły opisy podróżników i poławiaczy wielorybów, którzy z niemi walczyć musieli.

Marbre i Sabine zauważyli również niejednokrotnie stada wilków, które na widok myśliwych uciekały na podobieństwo fali ruchomej. Wycia ich rozlegały się donośniej, gdy goniły za reniferem lub wapiti. Wilki te, wysokości trzech stóp, szarej barwy, odznaczały się długim ogonem, który wraz ze zbliżeniem się zimy, nabierał białej barwy. Mając żer obfity ze zwierząt zamieszkujących okolicę, rozmnażały się szybko. Nierzadko spotykano w lesistych miejscowościach nory, w których się okopywały, jak lisy. Podczas lata, gdy były syte, uciekały od myśliwych z tchórzostwem, cechującym ich rasę. Ale głodne, zwierzęta te mogły stać się groźne swą liczbą, a ponieważ miały tu swe legowiska, należało się spodziewać, że nie opuszczają okolicy nawet podczas zimy.

Pewnego dnia myśliwi przynieśli do fortu jakieś odrażające zwierzę, którego nie znali ani Mrs. Paulina Barnett ani Tomasz Black. Zwierzę to z gatunku kotów, przypominające rosomaka amerykańskiego, jest niezmiernie drapieżne, o krótkim torsie, krótkich nogach uzbrojonych w zakrzywione pazury, o olbrzymich szczękach, oczach złych i okrutnych, z giętym zadem jak u całej rasy kociej.

– Jak się nazywa to straszne zwierzę? – spytała podróżniczka.

– Proszę pani, – odpowiedział Sabine tonem nieco dogmatycznym, jakiego używał często, – Szkot powiedziałby, że to jest „quickhatch”, Indianin, że to jest „okelcoo-haw-gew”, Kanadyjczyk, że to jest „carcajou”...

– A wy?

– My nazywamy go „wolverene”, – odpowiedział Sabine, zachwycony zapewne zwrotem, jaki nadał swej odpowiedzi.

Istotnie była to nazwa zoologiczna tego osobliwego czworonożnego zwierzęcia, tego groźnego włóczęgi nocnego, mieszkającego w dziuplach drzew lub we wgłębieniach skał, wielkiego niszcyciela bobrów, pizmowców i innych gryzoniów, wroga zajadłego lisa i wilka, z którymi nie obawia się walczyć o zdobycz, zwierzęcia niepomiernie chytrego o silnych mięśniach, bardzo czujnym węchu, które przebywa w stronach najbardziej wysuniętych na północ i którego futro, o sierści krótkiej, prawie czarne w zimie, ceni się dość poważnie na rynkach zbytu Towarzystwa.

Podczas wycieczek mieszkańcy fortu zwracali również uwagę i na florę okoliczną. Oczywiście rośliny nie przedstawiały tego urozmaicenia, co zwierzęta, nie będąc obdarzone władzą ruchu, któraby im pozwalała przenosić się w strefy cieplejsze przy nastających chłodach. Najczęściej spotykano sosny i jodły na pagórkach tworzących wschodnie wybrzeże jeziora. Jasper Hobson zauważył również kilka „tacamahacs”, rodzaj topoli balsamicznych. niezmierniei wysokości o liściach żółtych podczas

ich rozwoju, zielonych na jesień. Drzewa te jednak spotykano dość rzadko, jak również rzadkiemi były wątle modrzewie, których ukośne promienie słońca niezdolne były ożywić. Zato jodły czarne rozwijały się lepiej, szczególnie w parowach, które je chroniły od wiatrów północnych. Widok tego drzewa obudził powszechne zadowolenie, gdyż z jego pączków wyrabiają piwo, znane w Północnej Ameryce pod nazwą „piwa jodłowego”. Nie omieszkało zebrać wielką ilość tych pączków i schować je starannie w spizarni fortu.

Oprócz tych drzew rosły karłowate brzozy, wysokości dwu stóp, rozwijające się dobrze w zimnym klimacie, i kępy cedrów, których drzewo dostarcza doskonałego paliwa.

Co zaś do roślin jednorocznych, wyrastających samorzutnie na tej ubogiej glebie, a które mogłyby być służyć za pożywienie, były one niezmiernie rzadkie. Mrs. Joliffe, zainteresowana bardzo botaniką kulinarną, znalazła tylko dwie rośliny godne jej zajęcia.

Jedna z nich o korzeniu bulwiastym, trudna do rozpoznania z powodu, że liście jej opadają właśnie w chwili, gdy kwitnąć zaczyna, jest zwykłym porem dzikim. Por ten dostarcza wielkiej ilości cebulek, wielkich jak jajko, które używano jako jarzyny.

Druga, znana w Północnej Ameryce pod nazwą „herbaty labradorskiej” rosła obficie na brzegach jeziora, między kępami wierzb i mącznic, będąc ulubionym pożywieniem zajęcy polarnych. Herbata ta zaparzona gotującą wodą, z dodatkiem

kilku kropki oranżady lub czynnę, była doskonałym napojem, dzięki jej można było zaoszczędzić herbaty chińskiej przywiezionej z fortego Reliance.

Jasper Hobson wszakże, wiedząc, że brak tu będzie roślin warzywnych, przywiózł z sobą pewną ilość nasion, aby je zasiać w odpowiedniej porze. Były to nasiona szczawiu i łyżczyca, roślin, które z powodu swych własności antyskorbutycznych są nieocenione w tych stronach. Porucznik miał nadzieję, że jeżeli zostaną posiane w miejscu osłoniętym od ostrych wiatrów spalających wszystko, jak płomień, wydadzą plon w przyszłym roku.

Oprócz tego w aptece nowego fortego były produkty artyskorbutyczne w postaci kilku skrzyń cytryn i „lime-juice”, bez których żadna wyprawa na północ obejść się nie może. Ale zapasu tego należało bardzo oszczędzać, gdyż nadspodziewanie długa zima mogła uczynić niedostępną komunikację między fortem Nadziei a południowymi faktorjami.



## Rozdział XV

*Piętnaście mil od przylądka Bathurst.*



adszedł wrzesień. Za trzy tygodnie przy najszczęśliwszych okolicznościach zima zmusi do przerwania robót. Należało więc się spieszyć. Na szczęście nowe zabudowania stanęły szybko. Mistrz Mac Nap i jego pomocnicy dokazywali cudów pracowitości. Psiarnia była na ukończeniu. Zagroda wznosiła się już prawie cała dookoła fortu. Zajęto się więc bramą, mającą prowadzić do wewnętrznego podwórza. Zagroda, zbudowana z grubych, spiczastych słupów, wysokości piętnastu stóp, tworzyła półkole w tylnej części fortu. Aby jednak ufortyfikować siedzibę należycie, trzeba było również zabezpieczyć szczyt przylądka Bathurst, który górował nad położeniem. Jak widać z tego, porucznik Jasper Hobson uznawał system zagrody ciągłej i fortów odosobnionych. Był to wielki postęp w sztuce Vauban'ów i Cormontaigne'ów. Tymczasem jednak palisada broniła skutecznie nowe zabudowania zarówno od zwierząt jak i od ludzi.

4 września Jasper Hobson oznajmił myśliwym, że udadzą się na polowanie na fok. Trzeba było zaopatrzyć się w paliwo i światło przed nadejściem zimy.

Legowisko fok było oddalone na piętnaście mil. Miano się doń wybrać w towarzystwie Mrs. Pauliny Barnett, która przyjęła zaproszenie porucznika, nie dlatego, aby ją zachęcał widok ginących zwierząt, lecz ażeby móc zwiedzić okolice przylądka Bathurst.

Bathurst, a szczególnie część wybrzeża, na którym wznosiły się urwiste skały.

Mrs. Paulinie Barnett i porucznikowi towarzyszyli sierżant Long i żołnierze Petersen, Hope i Kellet.

Podróźni wyruszyli o ósmej zrana. Dwoje sanek zaprzężonych w trzy pary psów jechało wraz z nimi dla zabrania zabitych zwierząt.

Ponieważ narazie sanki były puste, gromadka wędrowców zajęła w nich miejsca. Pogoda była piękna, lecz mgły przysłaniały promienie słońca, którego żółtawa tarcza znikiała w tej porze lata na kilka godzin nocnych.

Wybrzeże, na zachód od przylądka Bathurst tworzyło równą płaszczyznę wznoszącą się zaledwie na kilka metrów nad poziom morza. Położenie tego gruntu zwróciło uwagę Jasper Hobson'a dla następujących powodów:

Przyływy i odpływy na morzach podbiegunowych są dość silne. Wielu z żeglarzy, jak Parry, Franklin, dwaj bracia Ross, Mac Clure, Mac Clintock, znajdując się na morzach północnych w czasie największych przyływów widziało, jak morze wznosiło się wtedy na dwadzieścia do dwudziestu pięciu stóp nad średni poziom. O ile dane te były dokładne – a nie było powodu, dla którego możnaby wątpić o prawdomówności tych badaczy – porucznik Hobson zapytywał siebie, dlaczego ocean, wezbrawszy pod działaniem księżyca, nie zalewał tego wybrzeża tak mało wznoszącego się nad poziom morza, skoro na swej drodze nie znajduje żadnej przeszkody w postaci jakiej bądź

wyniosłości gruntu, dlaczego nie zalał okolicy aż do najdalszych krańców widnokregu, a tem samem nie złączył wód jeziora z wodami oceanu Lodowatego. Otóż było oczywiste, że żadnego wylewu nie było tu nigdy.

Jasper Hobson podzielił się swem spostrzeżeniem z towarzyszką, która odpowiedziała, że prawdopodobnie przyływy te i odpływy nie musiały nigdy być tak wielkie, jak powszechnie mniemano.

– Ależ przeciwnie, proszę pani – odparł Jasper Hobson. – Wszyscy żeglarze potwierdzają zgodnie w swych opowiadaniach, że przyływy i odpływy są bardzo wydatne na morzach polarnych i jest rzeczą nieprawdopodobną, aby mylić się mogli.

– A więc niech pan mi wytłumaczy, – odezwała się podróżniczka – dlaczego fale oceanu nie pokryją tej krainy tak mało wzniesionej nad poziom morza?

– O to właśnie mi chodzi, lecz zjawiska tego objaśnić sobie nie mogę. Podczas miesięcznej naszej bytności na tem wybrzeżu stwierdziłem kilkakrotnie, że poziom morza wznosi się zaledwie na stopę w zwykłym czasie, a ręczyłbym, że za dwa tygodnie, 22 września, przy porównaniu dnia z nocą, to jest w chwili, gdy zjawisko dosięgnie swego maximum, morze nie podniesie się więcej nad półtorej stopy w okolicy przyładka Bathurst. Zresztą przekonamy się o tem.

– Ależ wreszcie, panie Hobson, zjawisko to musi mieć swoją

przyczynę, ponieważ wszystko ma przyczynę na tym świecie.

– A więc, – odpowiedział porucznik, – jedno z dwojga: albo żeglarze podali mylne wiadomości, – co trudno przypuścić, wzięwszy pod uwagę takie nazwiska, jak Parry’ego, Franklina, Ross’ów i innych – albo przyływy i odpływy w tych miejscach wybrzeża są tak nieznaczne, jak na morzu Śródziemnym i innych, u których zbliżenie wybrzeży jest znaczne i wąskość przesmyków tamuje dostęp wód oceanu Atlantyckiego.

– Przyjmijmy tę ostatnią hipotezę, panie Jasper, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett.

– Musimy ją przyjąć, – rzekł porucznik, – potrząsając głową, – a jednak nie zadowala mnie ona bynajmniej, i czuję, że tu tkwi coś osobliwego, z czego sprawy zdać sobie nie mogę.



O dziewiątej wędrowcy zajęchali do zatoki, w której zwykle przebywają foki. Sanki pozostawiono wtyle, aby zwierząt nie płoszyć.



Jakże odmiennie przedstawiało się tu wybrzeże w stosunku do wybrzeża przylegającego do przylądka Bathurst!

W miejscu, gdzie zatrzymali się myśliwi, wybrzeże ciągnące się dziwną linią wykręconą i poszarpaną na całej swej rozległości, zdradzało najwyraźniej swe pochodzenie wulkaniczne, różniące się jaskrawo od formacji osadowych, cechujących przylądek Bathurst. Nie woda lecz ogień okresów geologicznych przyczynił się najoczywiściej do utworzenia tych terenów. Kamień, którego brak zupełny na przylądku Bathurst, – osobliwość, mówiąc nawiasem, nie dająca się wytłumaczyć inaczej jak brakiem przyływów i odpływów – pojawił się tu w postaci bloków nieregularnych i skał, osadzonych głęboko w gruncie. Wszędzie, na piasku czarniawym, wśród law pęcherzykowatych, widniały kamyki należące do krzemianów, znanych pod ogólną nazwą feldspatów, których obecność wskazywała niechybnie, że wybrzeże powstało drogą formacji krystalicznej. Na jego powierzchni błyszcząły różne labratoryty, różne okrągłe kamyki o barwach żywych i mieniających się, niebieskie, czerwone, zielone, a gdzie nigdzie pumeksy i rodzaj czarnego kamienia, używanego na zwierciadła. W dali piętrzyły się wysokie skały, wznoszące się na dwieście stóp nad poziomem morza.

Jasper Hobson miał zamiar wejść na szczyt jednej z tych skał, aby przypatrzeć się wschodniej części kraju. Mógł skutecznić to z łatwością, gdyż chwila polowania na fokę nie nadeszła jeszcze. Dopiero kilka par tych zwierząt zabawiało się na wybrzeżu, tymczasem chodziło o to, aby zgromadziły się w

znacznej liczbie dla odpoczynku, a raczej aby można je zaskoczyć podczas snu, wywołanego u tych morskich ssaków południowym słońcem. Przytem Jasper Hobson zauważył, że nie są to foki w całym znaczeniu tego słowa, jak o tem twierdzili jego towarzysze, lecz konie morskie i krowy morskie, znane pod nazwą morsów, których cechą są długie kły, wystające ze szczęki wierzchniej ku dołowi.

Tak więc myśliwi, okrążywszy zatokę, którą ochrzcili nazwą zatoki Morsów, wstąpili na urwiste wybrzeże. Petersen, Hope i Kellet zostali na małym przylądku, aby dopilnować ukazania się fok i w odpowiedniej chwili dać o tem znać wstępującym na szczyt skały Mrs. Paulinie Barnett, Jasper Hobson'owi i sierżantowi Long.



Po upływie kwadransa wędrowcy nasi dosięgli szczytu, skąd mogli z łatwością podziwiać roztaczający się przed ich oczyma krajobraz.

U ich stóp ciągnęło się rozległe morze, zlewające się na

północy z niebem. Ani ziemia ani lodowe góry nie przerywały ciągłości krajobrazu, i prawdopodobnie pod tym równoleżnikiem ocean był dostępny dla żeglugi aż do cieśniny Berynga. W porze letniej zatem okręty Towarzystwa będą mogły swobodnie dopłynąć do przylądka Bathurst, przywożąc potrzebne zapasy i wywożąc futra.

Na zachodzie zaś krajobraz był zupełnie odmienny i tutaj Jasper Hobson znalazł potwierdzenie swych domysłów, co do szczątków wulkanicznego działania rozproszonych po wybrzeżu.

W odległości dziesiątka mil ciągnęły się pagórki o kształcie wulkanicznym, ze ściętymi stożkami, których dostrzec nie było można z przylądka Bathurst, gdyż były zasłonięte urwistem wybrzeżem. Niepewny ich zarys odbijał od tła nieba, jak gdyby kreślony jaką drżącą ręką. Jasper, przyjrząwszy się im uważnie, zwrócił na nie uwagę Mrs. Pauliny i sierżanta, poczem przeniósł się wzrokiem w przeciwległą stronę.

Na wschodzie ciągnęła się tu długa równa linja wybrzeża, dochodząca do przylądka Bathurst. Przy pomocy dobrej lunety możnaby widzieć fort Nadziei, a nawet dym niebieskawy, wydostający się prawdopodobnie w tej chwili z kuchni, której kapłanką była Mrs. Joliffè.

Poza nimi okolica nie przedstawiała się jednolicie. Z jednej strony na wschód i południe rozległa równina graniczyła z przylądkiem, z drugiej zaś – za urwistem wybrzeżem, od zatoki Morsów do gór wulkanicznych, ślady widoczne wstrząśnienia ladu świadczyły o jego pochodzeniu wulkanicznym

Porucznikowi, przypatrującemu się uważnie tym dwu zupełnie odmiennym krajobrazom, wydało się to rzeczą niezwykle dziwną.

– Czy pan sądzi, panie poruczniku, – spytał sierżant Long, – że te góry na zachodzie wybrzeża są wulkanami?

– Bez wątpienia, sierżancie – odpowiedział Jasper Hobson. – Pumeksy, labratoryty i inne kamienie, które widzieliśmy w okolicach zatoki Morsów, zawdzięczają im swe pochodzenie, a gdybyśmy się posunęli o trzy mile dalej, napotkalibyśmy lawę i popiół.

– I pan sądzi, panie poruczniku, że wulkany te są jeszcze czynne? – spytał sierżant.

– Na to nie umiałbym odpowiedzieć.

– W każdym razie dym się nad nimi nie unosi w tej chwili.

– To nic nie znaczy, sierżancie Long. Czy nie wypuszczasz nigdy fajki z ust?

– Prawda, panie poruczniku.

– To samo jest z wulkanami, sierżancie. Dym nie unosi się nad nimi bez przerwy.

– Rozumiem, panie poruczniku, – rzekł sierżant Long, – nie rozumiem tylko, jak mogą istnieć wulkany w tych stronach podbiegunowych.

– Nie są one tu liczne – odezwała się Paulina Barnett

– To prawda, – rzekł porucznik, – w każdym razie jest ich dosyć: na wyspie Jean Mayen, na wyspach Aleuckich, na Kamczatce, w części Ameryki należącej do Rosjan, na Islandji, następnie na południu w Ziemi Ognistej, w okolicach Australji. Wulkany te są jak gdyby kominami tej wielkiej kuchni, gdzie przygotowują się produkty chemiczne naszej kuli ziemskiej i przypuszczam, że Stwórca zbudował te kominy wszędzie, gdzie okazały się potrzebne.

– Zapewne, panie poruczniku, ale na biegunach, w tym mroźnym klimacie...

– Nie ma to żadnego znaczenia, sierżancie, czy znajdują się one pod biegunem, czy pod równikiem. Powiem więcej, okna te są potrzebniejsze pod biegunami, niż gdziekolwiek indziej.

– A to dlaczego, panie poruczniku? – spytał sierżant Long.

– Dlatego, że te okna otworzyły się pod naciskiem gazów wewnętrznych, w tem właśnie miejscu, gdzie skorupa ziemska jest mniej gruba. Otóż zdaje mi się, że z powodu spłaszczenia ziemi przy biegunach, jest rzeczą naturalną... Ale spostrzegłem znak dany nam przez Kellet'a – rzekł porucznik, przerywając swe dowodzenie. – Czy pani zechce nam towarzyszyć?

– Zostanę tu, panie Hobson, – odpowiedziała podróżniczka.  
– Widok rzezi morsów nie pociąga mnie bynajmniej.

– W takim razie zechce pani zejść za godzinę. Wrócimy razem do fortu.

Rozstawszy się z podróżniczką, Jasper Hobson, i sierżant Long podążyli ku zatoce Morsów, gdzie znaleźli się w kwadrans później.

Morsy zalegały wybrzeże w liczbie stu co najmniej. Niektóre z nich pełzały na piasku na swoich krótkich pletwistych nogach. Ale większa ich część spała. Jeden czy dwa samce, długości trzech metrów, o sierści rzadkiej, barwy rudawej, zdawały się czuwać nad resztą stada.



Myśliwi musieli się zbliżyć z największą ostrożnością, pod zasłoną skał i wyniosłości gruntu, aby móc zagrozić morsom drogę do morza. Na ziemi bowiem zwierzęta te są ociężałe i niezgrabne. Poruszają się tylko, skacząc od czasu do czasu na swych krótkich nogach, lub pełzają, wyginając kość pacierzową. Natomiast w wodzie, będąc w swoim żywiole, odzyskują żwawość, a nawet, jako znakomici pływacy, zagrażają bezpieczeństwu szalup, które na nich polują.

Tymczasem trzy czuwające samce zaczęły się nienokoić.

czując zbliżające się niebezpieczeństwo. Podnosiły głowę, wodząc oczami na wszystkie strony. Ale zanim zdążyły dać znak ucieczki, Jasper Hobson i Kellet z jednej, sierżant, Petersen i Hope z drugiej strony wybiegli, trafiając celnie w pięciu morsów, które następnie zakłuli lancami, podczas gdy reszta stada rzuciła się w morze.

Rezultat tego łatwego zwycięstwa był nadspodziewany. Morsy były okazałe. Kość ich kłów, choć nieco ziarnista, była przedniego gatunku, ale porucznik zwrócił główną uwagę na ich grube i tłuste cielska, mogące dostarczyć obfitego zapasu tłuszczu. Wciągnięto je niebawem na sanki i wyruszono zpowrotem do fortu wraz z Mrs. Pauliną Barnett, która była nadeszła.

Oczywiście podróż odbyto pieszo, gdyż sanki wiozły pożądaną ciężar. Podróżni mieli przed sobą przeszło dziesięć mil drogi w kierunku prostym, a ponieważ, jak mówią Anglicy, „niema dłuższej drogi nad drogę bez żadnego wygięcia”, więc droga wydała im się niezmiernie długą.

Dla jej urozmaicenia myśliwi rozmawiali o tem i owem. Mrs. Paulina brała żywy udział w rozmowie tych dzielnych ludzi, od których zasięgnęła niejednej pożytecznej wiadomości. Droga wydała się tem dłuższa, że sanki wiozące ciężar wążący kilka tysięcy funtów, pospieszać nie mogły. Na zamarznętej powierzchni gruntu przebyćby można było odległość dzielącą fort Nadziei od zatoki Morsów w niespełna dwie godziny.

Kilkakrotnie musiano przystawać, gdyż nie było zwykłe

Kurakowicze musiało przystawać, gdyż psy były niezwykle zmęczone, wioząc ciężar nadmierny, co nasunęło sierżantowi Long następującą uwagę:

– Mogłyby też te morsy obrać sobie za legowisko miejsce bardziej zbliżone do fortu.

– Miejsca takiego nie znalazłyby, – odpowiedział porucznik, potrząsając głową.

– Dlaczego nie? panie Hobson – spytała Mrs. Paulina Barnett, zdziwiona tą odpowiedzią.

– Dlatego, że wodoziemne zwierzęta zbliżają się tylko do wybrzeża o lekkiej pochyłości, ażeby mogły na niej pełzać po wyjściu z morza.

– A przecież wybrzeże przylądka...

– Wybrzeże przylądka jest urwiste jak mur wieży. Wybrzeże to nie jest wcale pochyłe, przeciwnie jest jak gdyby prostopadłe ścięte. Jest to również jedną z osobliwości tej strony, skoro więc nasi rybołowcy zechcą na wybrzeżu zająć się połowem ryb, będą zmuszeni zaopatrzyć się w wędkę co najmniej trzystu sążni długości! Dlaczego wybrzeże to ma ten kształt, a nie inny, tego nie wiem, przypuszczam jednak, że przed wiekami musiało nastąpić jakieś gwałtowne załamanie pod wpływem działalności wulkanicznej, na skutek czego jedna część wybrzeża została oderwana i spoczywa obecnie na dnie morza Lodowatego!







1 Sławny tancerz Opery Paryskiej, (1729-1808). (przyp. tłum.)

2 Autor dzieła o rybołówstwie zapomocą wędki.



**Jules Verne**

**W KRAINIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**

**(Rozdział XVI-XX)**

*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*  
*Ilustracje Férat i Beaurepaire*  
*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*  
*Poznań 1925*



© **Andrzej Zydorczak**



## **Część PIERWSZA**

### **Rozdział XVI**

*Dwa strzały.*



ierwsza połowa września minęła. Gdyby fort Nadziei był położony na samym biegunie, to jest o dwadzieścia stopni wyżej, 21 września noc polarna pograżyłaby go w zupełnym mroku. Ale nad horyzontem siedemdziesiątego równoleżnika słońce zataczać będzie swój krąg jeszcze przeszło miesiąc. Wszakże temperatura obniżała się stopniowo. W nocy termometr Fahrenheita spadał na trzydzieści jeden stopni powyżej zera (1° Cels.). Gdzie niegdzie lód ukazywać się zaczął, znikając podczas dnia pod wpływem ostatnich promieni słonecznych. Od czasu do czasu zjawiały się zawieje śnieżne wśród deszczu i wiatru. Były to niechybne oznaki zbliżającej się zimy.

Jasper Hobson, po należytem zaopatrzeniu fortu, zwrócił swą uwagę na sprawy dotyczące bliżej Towarzystwa, a mianowicie na zdobycie futer. Nadeszła właśnie pora, kiedy zwierzęta pokrywają się gęstszym włosem, przez co futra stają się cenniejsze i kiedy można polować na nie tylko przy pomocy strzałów, zanim ziemia nie pokryje się jednolitą złodowaciałą warstwą śniegu, stając się podatną dla zakładania łapek. Jasper Hobson przeto zarządził polowanie. Na dostawę futer przez Indian liczyć nie było można, gdyż zajmują się oni dostawą futer dla faktoryj tylko w stronach bardziej na południe położonych. Porucznik Hobson więc, Marbre, Sabine i kilku ich towarzyszy, musieli sami polować, aby zaopatrzyć składy Towarzystwa i nie możemy wątpić że wzięli się do tego z całym zapałem

Wypatrzone właśnie legowisko bobrów nad dopływem rzeczki w odległości sześciu mil od fortu. Tam też skierowano pierwszą wyprawę. Ongi, kiedy dla wyrobów kapelusznich używano powszechnie futra bobrowego, płacono za nie do czterystu franków za kilogram. Mimo że popyt na nie zmniejszył się stosunkowo, futro nie traciło na wartości, gdyż z powodu ciągłego tępienia tych zwierząt liczba ich zmniejszyła się znacznie.

Skoro myśliwi znaleźli się na miejscu wskazanem, porucznik zwrócił uwagę Mrs. Pauliny Barnett na pomysłowość bobrów w zakładaniu ich siedziby podwodnej. Zajmowały one parami, – a była ich setka, – jamy wykopane w sąsiedztwie dopływu. Ale zaczęły już budowę swego zimowego legowiska, nad którym pracowały skrzętnie.

Wpoprzek strumienia, dość jednak wartkiego i głębokiego, aby łódź nie dosięgnął niższych warstw wodnych, nawet podczas najsroźszej zimy, bobry zbudowały tamę o kształcie nieco łukowatym w górnej swej części; tama ta składała się ze słupków prostopadłych, szczelnie z sobą powiązanych giętkimi gałęziami i pniami drzewek, ułożonemi poprzecznie; to wszystko było spojone ściśle gliną, którą nogi bobrów rozrobiły przedtem; następnie, przy pomocy ogona – o kształcie szerokim, owalnym, spłaszczonym poziomo i pokrytego łuskowatą sierścią – ulepiły glinę w małe kłębki, przykrywając nimi cały szkielet tamy.

– Tama ta, proszę pani – rzekł Jasper Hobson – jest zbudowana w celu utrzymania wody na stałym poziomie. Dzięki

jej inżynierowie bobrów mogą budować wzniosłe domki okrągłe, których szczyty wystają ponad wodę. Są to budowle bardzo mocne; ściany z drzewa i gliny mają dwie stopy grubości, a wejście do nich prowadzi przez drzwi wąskie, znajdujące się pod wodą. Zmusza ono mieszkańców do zanurzania się pod wodę za każdym razem, gdy chcą wejść do domku lub go opuścić, ale zarazem zabezpiecza spokój jego lokatorów. Domek ten składa się z dwu pięter; piętro niższe służy za skład, w którym złożone są zapasy żywnościowe na zimę, jak gałęzie, kora, korzenie, piętro zaś wyższe, nad wodą, jest mieszkaniem właściciela i jego rodziny.

– Nie widzę jednak żadnego z tych pomysłowych zwierząt – zauważyła Mrs. Paulina Barnett. – Czyżby opuściły już swe mieszkania?

– Nie – odpowiedział porucznik Hobson – ale w tej chwili odpoczywają, albo śpią. Zwierzęta te pracują tylko w nocy, obecnie są w swych jamach i tam je zaskoczmy.

Istotnie pojmania bobrów dokonano bez trudności. W przeciągu godziny sto wpadło w sidła a z tych dwadzieścia, o futrze zupełnie czarnem, przedstawiało wielką wartość handlową. Inne miały włos jedwabisty, długi, błyszczący, lecz z odcieniem czerwono-kasztanowatym, a pod tym włosem puszek delikatny, gęsty, szaro-srebrzysty. Myśliwi wrócili do fortu bardzo zadowoleni z rezultatów polowania. Futra bobrów złożono do składu, a w spisie zostały oznaczone pod nazwą „pergaminów” lub młodych bobrów, zależnie od wartości.

Połowania te trwały do połowy października zawsze z dobrym skutkiem.

Między upolowaną zdobyczą znajdowało się kilka zaledwie borsuków. Są one poszukiwane dla skóry, z której wyrabiają ozdoby do zaprzęgów koni pociagowych i dla sierści, która służy do wyrobu szczotek i pendzli. Mięsożerne te zwierzęta – które istotnie są tylko małymi niedźwiadkami<sup>1</sup> – należą do gatunku borsuków carcajou, przebywających w Ameryce Północnej.

Inne jeszcze okazy plemienia gryzoniów wchodziły i to w znacznej ilości, w skład futer faktorji. Były to piżmowce, mające stopę długości, nie licząc ogona. Futra tych zwierząt są dość cenne. Schwytano je w jamach i to bez trudu, gdyż rozmnażają się niesłychanie, co stanowi właściwość ich gatunku.

Nie wszystkie jednak zwierzęta dały się pojmać bez strzału. Niektóre z nich, należące do rodziny kotów, jak ostrowidz (lynx) mogły być pokonane tylko przy broni palnej. Zwierzęta te zwinne, żwawe, o sierści blado-rudawej, nakrapianej czarnymi centkami, groźne nawet dla reniferów, są rodzajem rysiów, które bronią się dzielnie. Ale Marbre i Sabine nie walczyli z nimi po raz pierwszy, to też pod ich celnymi strzałami zginęło około sześćdziesięciu tych zwierząt.

Kilka wolwrenów zostało zabitych w ten sam sposób.

Gronostajów było mało. Zwierzęta te należące do rodzaju kun, jak tchórze, nie były jeszcze opatrzone w swą zimową szatę, która jest zupełnie biała z wyjątkiem ogona, zakończonego

szacę, która jest zupełnie biała z wyjątkiem ogona, zakończonego płamą czarną. Futro ich o tej porze było jeszcze z wierzchu rude, pod spodem zaś szaro-żółtawe. Jasper Hobson nakazał więc towarzyszom, aby oszczędzano je narazie. Należało zaczekać, aby „dojrzały”, mówiąc językiem myśliwego Sabine, to znaczy aby ozdobiły się swem białym zimowym futerkiem.

Co do tchórzów, z którymi zetknięcie jest niebardzo pożądane z powodu niemiłego zapachu, jaki wydają, pojmano ich znaczną liczbę, to osaczając w dziuplach drzew, służących im za legowiska, to dosięgając je strzałem w chwili, gdy przemykają się wśród gałęzi.

Kuny właściwe zwróciły szczególną uwagę myśliwych. Wiadomo, że skóra tych mięsożernych zwierząt jest ceniona, aczkolwiek w mniejszym stopniu niż futro sobole, które zimą nabiera czarniawej barwy. Soból ten przebywa w północnych stronach Europy i Azji aż do Kamczatki; polują na niego głównie mieszkańcy Syberji. Na wybrzeżu zaś morza Lodowatego znajdują się inne gatunki kun, jak wizony i pekany, inaczej mówiąc „kuny kanadyjskie”.

Kuny te i wizony, w miesiącu wrześniu, dostarczyły myśliwym tylko nieznacznej liczby swych futer. Są to zwierzęta bardzo żywe, bardzo zwinne, o długim giętkim ciele, dla którego nazwane zostały „glistowate”. W istocie, mogą się wydłużać jak robak, a tem samem przeciskać się przez najwęższe otwory, przez co uchodzą skutecznie przed strzałami myśliwych. To też w zimie złapać je łatwiej nastawioną na nie pułapką, na co z niecierpliwością oczekiwali Marbre i Sabine, ciesząc się nanrząd

ze zdobyczy, którą powiększą składy Towarzystwa.

Dla zakończenia naszego wyliczenia nadmienić należy o niebieskich i srebrzystych lisach, których futra są uważane na rynkach Rosji i Anglii za najcenniejsze.

Najcenniejszym jednak z wszystkich tych zwierząt jest niebieski lis w zoologii znany pod nazwą: isatis. Piękne to zwierzę o pyszczku czarnym posiada futro popielate lub blondciemne, a bynajmniej nie niebieskie. Futro to o włosie bardzo długim, gęstym, miękkim jest niezwykle piękne, gdyż zawiera w sobie wszystkie zalety futra, jak lekkość, trwałość, długość włosa, grubość i barwę. Niebieski lis jest niezaprzeczenie królem wśród zwierząt o cennych futrach. To też skóra jego warta jest sześć razy tyle, co skóry wszystkich innych zwierząt, i płaszcz, należący do cesarza Rosji, zrobiony ze skórek szyi niebieskich lisów, został oceniony na wystawie londyńskiej z 1851 r., na trzy tysiące czterysta funtów szterlingów.

Kilka tych zwierząt ukazało się w okolicach przyłodka Bathurst, ale myśliwi nie mogli ich pojmać, tak są przebiegłe i zwinne, a tem samem trudne do ujęcia. Zato udało im się upolować kilkanaście srebrzystych lisów, których futro o wspaniałej czarnej barwie, jest nakrapiane białymi centkami. Jakkolwiek futro to nie jest równej wartości z futrem niebieskiego lisa, niemniej stanowi ono cenną zdobycz, poszukiwaną bardzo na rynkach Anglii i Rosji.

Jeden z tych srebrzystych lisów odznaczał się niezwykle



pięknością i wielkością. Uszy, ramiona, ogon były koloru szarego, ale koniec ogona i brwi były białe.

Osobliwe okoliczności, wśród których zostało zabite to zwierzę, godne są zaznaczenia, gdyż potwierdziły w zupełności przeczucie Jasper Hobson'a i słuszność, jaką miał myśląc o środkach obronnych dla swego fortu.

24 września zrana, Mrs. Paulina Barnett, porucznik, sierżant Long, Marbre i Sabine wyruszyli sankami do zatoki Morsów, gdyż dnia poprzedniego natrafiono na ślady lisów w miejscu pokrytem małymi krzewami wśród skał. Myśliwi podążyli w te strony, aby upolować cenną zdobycz, i nie nadarmo, gdyż w dwie godziny później byli w posiadaniu pięknego srebrzystego lisa.

Ponieważ zauważono jeszcze obecność paru tych zwierząt, myśliwi rozłączyli się, aby je osaczyć. Marbre i Sabine mieli jedno zwierzę wytropić, porucznik zaś, Paulina Barnett i sierżant Long mieli zagrodzić drogę drugiemu, który starał się ukryć za skałami.

Upolowanie tego lisa było niezmiernie trudne, gdyż chronił się dobrze przed strzałami.

Pół godziny trwały zabiegi, aby go dosięgnąć, lecz bezskutecznie. Lis wszakże był osaczony z trzech stron, a z czwartej zagradzało mu drogę morze. Zrozumiawszy w jak niekorzystnym znajduje się położeniu, przedsięwziął krok stanowczy, wznosząc się w powietrze olbrzymim skokiem, tak, że można go było dosięgnąć tylko w locie.

Rzucił się więc szybko, przelatując nad skałą, ale Jasper Hobson śledził go tak zapamiętale, że gdy zwierzę mignęło jak cień, dosięgnął je kulą.

W tej samej chwili drugi wystrzał dał się słyszeć, a gdy zwierzę śmiertelnie ranione upadło na ziemię, Jasper Hobson zawołał:

– Hurra, hurra, należy do mnie!



– I do mnie! – odezwał się nieznajomy, który położył jedną nogę na lisie w chwili, gdy Jasper Hobson wyciągnął rękę, aby go zabrać.

Porucznik oniemiał ze zdziwienia, cofnął się. Zdawało mu się, że drugi strzał był dziełem sierżanta Long, tymczasem przed nim stał nieznajomy myśliwy, którego strzelba dymiała jeszcze.

Współzawodnicy zmierzli się wzrokiem.

W tej samej chwili zbliżyła się Mrs. Paulina Barnett z

sierzantem Long i myśliwymi Marbre i Sabine, z drugiej zaś strony z za skał ukazało się kilkunastu ludzi, którzy zbliżyli się do nieznanego, uchylającego grzecznie kapelusza przed podróżniczką.

Nieznanomy, wysokiego wzrostu, przedstawiał skończony typ tych „podróżników kanadyjskich”, których współzawodnictwa obawiał się tak bardzo Jasper Hobson. Myśliwy miał na sobie ten tradycyjny kostjum, jaki z taką dokładnością opisał pisarz amerykański Washington Irving: pled ułożony nakształt peleryny, koszula bawełniana w paski, szerokie sukienne spodnie, skórzane kamasze, obuwie ze skóry daniela, pasek z kolorowej wełny, za którym tkwił nóż, kapciuch, fajka i kilka przyborów, słowem, ubranie napół cywilizowane, napół dzikie. Czterej jego towarzysze byli odziani podobnie do niego, choć z mniejszym wyszukaniem. Ośmiu innych byli to Indianie Chippeways.

Jasper Hobson nie omylił się. Miał przed sobą Francuza, lub co najmniej potomka Francuzów z Kanady, a może w dodatku agenta jednego z Towarzystw, któremu polecono czuwać nad nowo założoną faktorją.

– Lis ten należy do mnie, – odezwał się porucznik Hobson, po kilku chwilach milczenia i wzajemnego przypatrywania się.

– Należy do pana, o ile pan go zabił, – odpowiedział nieznanomy w dobrym angielskim języku, lecz z akcentem cudzoziemskim.

Pan się myli, zwierze to należy do mnie – odparł porucznik

– I ani się myli, zwiędzę w należy do mnie – odparł porucznik Hobson – nawet gdyby pan je osiągnął kulą, nie ja!

Nieznajomy uśmiechnął się pogardliwie, jak gdyby w tym uśmiechu chciał zawrzeć całe lekceważenie, z jakim się odnosił do roszczenia sobie prawa Towarzystwa do wszystkich terytoriów znajdujących się między zatoką Hudsonską, Atlantykiem i oceanem Spokojnym.

– A zatem, – ciągnął dalej nieznajomy, opierając się z wdziękiem na swej strzelbie, – pan uważa Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej za jedyne władcę terenów Północnej Ameryki?

– Niewątpliwie, – odrzekł porucznik Hobson, – i jeżeli pan, jak przypuszczam, należy do jednego z Towarzystw amerykańskich...

– Do Towarzystwa Saint Louis, – odezwał się nieznajomy z ukłonem.

– Byłby pan w kłopotcie, – ciągnął dalej porucznik, – gdyby pan był zmuszony pokazać dokument świadczący o prawach Towarzystwa do jednej z części tego terytorjum.

– Dokumenty! prawa! – rzekł pogardliwie Kanadyjczyk, – są to wyrażenia starej Europy, które brzmią dziwacznie w Ameryce.

– To też nie jest pan wcale na gruncie amerykańskim, lecz na gruncie należącym do Anglii! – odpowiedział Jasper Hobson z dumą.

– Panie poruczniku – rzekł nieznajomy nieco podniesionym

głosem – nie jest to miejsce odpowiednie do dyskusji w tym względzie. Wiemy dobrze, jakie są roszczenia Anglii wogóle a Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej w szczególności do terenów myśliwskich; ale przypuszczam, że wcześniej, czy później, ten stan rzeczy ulegnie zmianie, i że Ameryka będzie ziemią amerykańską od cieśniny Magellana do bieguna Północnego.

– Nie przypuszczam, – odparł oschle porucznik.

– Bądź co bądź, – odezwał się Kanadyjczyk, – zostawmy tę kwestję międzynarodową. Jakikolwiek są roszczenia Towarzystwa, oczywistą jest rzeczą, że części lądu najbardziej wysunięte na północ, należą do tego, kto je zajął pierwszy. Pan założył faktorję na przylądku Bathurst, a więc nie będziemy polowali na pana ziemiach, a pan ze swej strony, uszanuje nasze ziemie, gdy przedstawiciele Towarzystwa Saint Louis założą nowy fort na północnej granicy Ameryki.

Jasper Hobson sposepniał, wiedział bowiem dobrze, że w niedalekiej przyszłości Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej napotka groźnych współzawodników, że jego dążenie do posiadania wszystkich terenów Północnej Ameryki uznane nie będzie i że bez walki się nie obejdzie. Zrozumiał jednak również, że nie to odpowiednia chwila do rozstrzygania tych spornych punktów, bez niezadowolenia przeto przystał na zmianę tematu rozmowy.

– Co do sporu naszego o zwierzynę – rzekł Kanadyjczyk, – jest to sprawa małego znaczenia i przypuszczam, że załatwimy ją

Jako myśliwi. Nasze surzeby są odmiennego koloru, więc kula nasze rozstrzygną spór. Niech więc lis należy do tego, kto go zabił rzeczywiście!

Propozycja była całkiem słuszna i łatwa do spełnienia.

Przy zbadaniu zwłok zwierzęcia okazało się, że kula porucznika trafiła lisa w bok, a nieznajomego w serce.

– Zwierzę to należy do pana, – Hobson, nie mogąc ukryć swego niezadowolenia z utraty tak cennej zdobyczy.

Nieznajomy wziął lisa, i, w chwili, gdy zdawało się, że zarzuci go sobie na plecy, zwrócił się do Mrs. Pauliny Barnett z temi słowy:



– Panie zwykle lubią piękne futra. Gdyby wiedziały kosztem jakiego trudu nieraz są one zdobyte, może nie byłyby ich żądne tak bardzo. Ale tymczasem przyznać trzeba, że je lubią. Niech więc pani mi pozwoli, że futro to ofiaruję pani jako pamiątkę naszego spotkania.

Mrs. Paulina Barnett zaważała się w przyjęciu tego daru, ale myśliwy kanadyjski zwrócił się do niej z taką uprzejmością i gotowością, że odmowa byłaby dla niego obrażą.

Podróżniczka więc dar przyjęła, podziękowawszy zań nieznanemu.

Wtedy nieznamy skłonił się przed Mrs. Pauliną Barnett, pożegnał się z Anglikami i wraz z towarzyszami zniknął za skałami wybrzeża.

Mieszkańcy fortu wyruszyli w powrotną drogę. Jasper Hobson wszakże nie otrząsnął się ze swego zamyslenia. Położenie faktorii założonej jego staraniem było obecnie wiadome współzawodniczącemu Towarzystwu, a spotkanie z podróżnikiem kanadyjskim mogło pociągnąć za sobą niejedno niepożądane następstwo w niedalekiej przyszłości.



## Rozdział XVII

*Nadejście zimy.*





adszedł dzień 21 września, to jest zrównanie jesienne dnia z nocą, a wraz z niem stopniowe zmniejszenie się dnia. Powrót dłuższych nocy był mile witany przez mieszkańców fortu, gdyż pozwalał im na pełniejszy wypoczynek. Oko bowiem, zmęczone nieustannym światłem, łaknie mroku, w którym dopiero znajduje prawdziwy wypoczynek.

Wiadomo, że podczas porównania dnia z nocą, przyływy i odpływy potęgują się znacznie, skoro bowiem słońce i księżyc występują wspólnie, pod ich równoczesnym wpywem morze wznaga swą działalność. Tak więc nadarzała się sposobność dla zbadania przyływu i odpływu na wybrzeżu przylądka Bathurst. Kilka dni przed ukazaniem się tego zjawiska Jasper Hobson postawił rodzaj wodowskazu, na którym miał badać dokładne wznoszenie się i opadanie wody. Otóż tym razem również stwierdził, wbrew wszystkiemu, co dotąd o tem zjawisku głoszono, że wpływ słońca i księżyca zaledwie odczuwać się daje na tej części wybrzeża morza Lodowatego. Przyływ i odpływ był tu nieznaczny, – co przeczyło twierdzeniom żeglarzy.

– Jest w tem coś niezwykłego, – zauważył porucznik.

Istotnie, stanął przed zagadką, ale inne zajęcia nie pozwoliły mu zastanawiać się nad nią dłużej.

29 września temperatura uległa widocznej zmianie. Termometr wskazywał do czterdziestu jeden stopni Fahrenheit'a (+ 5° Cels.) Niebo pokryło się mgłą, która niebawem zamieniła się w deszcz. Zima nadchodziła.



Mrs. Joliffe zajęła się posiewem swych nasion przed zjawieniem się śniegu. Liczyła na to, że szczaw i łyżczyca, pod grubą warstwą śniegu, wytrzymają ostrość zimy i zaczną kiełkować na wiosnę. Na przygotowanym więc zgóry terenie na przestrzeni kilku akrów poza urwistem wybrzeżem przylądka, posiano te pożądane warzywa w ostatnich dniach września.

Jasper Hobson zalecił swym towarzyszom, aby przed nadejściem zimy wdziali na siebie zimowe ubrania. Wkrótce wszyscy mieli na sobie wełnianą spodnią odzież, płaszcze ze skóry daniela, spodnie ze skóry fokowej, czapki futrzane i obuwie nieprzemakalne. Równocześnie zaopatrzone pokoje. Ściany przykryto futrami, aby je zabezpieczyć przed warstwą lodową, jaka utworzyłaby się łatwo mogła przy nagłych zmianach temperatury. Mistrz Raë ustawił w tym czasie kondensatory przeznaczone do zbierania pary z powietrza, które trzeba było opróżniać dwa razy w tygodniu. Co zaś do pieca, to utrzymywano w nim ogień, zależnie od temperatury zewnętrznej, w ten sposób, aby termometr pokojowy wskazywał 50 stopni Fahrenheita (+ 10° Cels.). Zresztą dom miał się pokryć w krótkim czasie grubą warstwą śniegu, co zabezpieczy ciepło pokojowe od ulatniania się. Wszystkie te zabiegi miały obronić mieszkańców fortu przed dwoma groźnymi wrogami: chłodem i wilgocią.

2 października wraz ze spadkiem temperatury gęsty śnieg pokrył całą okolicę przylądka Bathurst. Wiatr jednak był łagodny, więc nie było śnieżnych zawiei tak zwykłych w stronach

podbiegunowych, a którym Anglicy nadali nazwę „drifts”. Wielki, równy, śnieżny kobierzec zrównał wkrótce swą białością przylądek, zagrodę fortu i całe wybrzeże. Od tego białego tła odbijała szarawa, mętna i brudna barwa wód morza i jeziora, które jeszcze nie poddały się wpływowi chłodu. Na horyzoncie północnym jednak rysowały się już pierwsze góry lodowe na tle mglistego nieba. Nie były to jeszcze zatory lodowe, ale natura przygotowywała się już do nich powoli, dostarczając materiału, który przy zetknięciu z mrozem zamienić się miał w nieprzeniknioną barjerę.

Zresztą „pierwsze lody” miały niebawem ściąć powierzchnię ruchomą morza i jeziora. Jezioro uległo pierwsze. Ukazały się na niem gdzie niegdzie szerokie białe-szare plamy, zwiastuny rychłego mrozu, któremu sprzyjał spokój w atmosferze. W istocie, gdy jednej nocy termometr utrzymał się na piętnastu stopniach Fahrenheit’a ( $-9^{\circ}$  Cel. ) nazajutrz powierzchnia jeziora byłaby zadowolona najwybredniejszych łyżwiarzy Serpentyń<sup>2</sup>. Następnie niebo pokryło się osobliwą barwą nazwaną przez poławiaczy wielorybów „blink” utworzoną przez odbłask pól lodowych. Morze zamarzło na wielkiej przestrzeni. Z kawałków rozrzuconego lodu utworzyło się rozległe pole lodowe, przywierające do wybrzeża. Ale pole to nie przypominało bynajmniej gładkiego zwierciadła jeziora. Ruchomość fal popsula jego jednolitość. Tu i ówdzie falowały długie kry, złączone nieściśle krańcami, znane pod nazwą „drift-ices”, w wielu zaś miejscach wznosiły się występy lodowe nieraz ostro zakończone, a powstałe pod wpływem ciśnienia i nazwane

przez poławiaczy wielorybów „hummocks”.



W przeciągu kilku dni krajobraz przyłądka Bathurst i jego okolic zmienił się zupełnie. Mrs. Paulina Barnett z ciągłym zachwytem śledziła tę zmianę! Na jakie cierpienia i na jaki niedostatek gotowa się była skazać ta dzielna podróżniczka, aby móc podziwiać widok tylu wspaniałych rzeczy! Nic piękniejszego nad to zwycięstwo zimy, nad jej władczą potęgę w tych stronach podbiegunowych! Cała perspektywa okolicy uległa przeobrażeniu! Paulina Barnett nie mogła odnaleźć ani dawnego krajobrazu, ani dawnych widoków. Przed jej oczyma wznosiła się kraina całkiem nowa, kraina pełna majestatycznego smutku. Szczegóły ginęły w krajobrazie śnieżnym wynurzającym się zaledwie z gęstej mgły. Nie było już morza tam, gdzie ongi widniał rozległy ocean. Nie było już ziemi o barwach różnorodnych, lecz kobierzec śnieżny. Nie było już lasów jodłowych, lecz kręte sylwetki, przyprószone szronem. Nie było już promieniejącego słońca, lecz zblakła tarcza, przesuwająca się na mglistej zasłonie i kreśląca na horyzoncie zwężony łuk

podczas swej kilkogodzinnej obecności. Wreszcie, nie było już jasnego zarysu morza na widnokręgu, lecz nieskończony łańcuch gór lodowych, dziwacznie wystrzępionych, tworzący tę nieprzebytą zaporę, którą wzniosła natura sama między biegunem a jego śmiałymi zdobywcami!

Ileż uwag, ile tematu do rozmowy nasuwała ta zmiana wrażeń! Tomasz Black był może jedynym, którego nie wzruszało piękno tego krajobrazu! Ale czegoż innego spodziewać się było można od tego astronoma zasklepionego w swych badaniach i nie biorącego prawie żadnego udziału w życiu mieszkańców fortu? Uczony ten przestawał tylko ze zjawiskami niebieskimi, przechadzał się po drogach błękitnych nieba, rozmawiał tylko z gwiazdami! A tu nagle niebo zgasło, gwiazdy unikały jego wzroku, a gęsta nieprzenikniona zasłona mgły stanęła między nim i zenitem. Gniewało go to niemało! Ale Jasper Hobson starał się go pocieszyć, mówiąc, że nadejdą wkrótce piękne noce zimowe, tak podatne dla badań astronomicznych, zorze północne, kręgi jasne, odbicie księżyca w chmurach i inne zjawiska, godne jego podziwu.

Tymczasem temperatura była znośna. Nie było wiatru, który powoduje ostrość mrozu. Skorzystano z tego, aby polować przez kilka dni jeszcze. Nowe futra powiększyły liczbę dawnych w składzie, jak również nowe prowizje zajęły miejsce w spiżarni. Kuropatwy i inne ptactwo, odlatujące do stref umiarkowańszych, dostarczyły mięsa świeżego i pożywnego. Północne zajace mnożyły się i były już przywdziane w swe zimowe sukienki. Niektóre gatunki ptactwa, wzmocniły

ZIMOWE SUKIENKI. Niektóre gatunki gyzoniow urozaitacay  
pożywienie mieszkańców fortu. Przelatywały łabędzie-świszaki,  
należące do piękniejszych gatunków Ameryki Północnej.  
Myśliwi upolowali kilka par tych pięknych ptaków, długości do  
czterech lub pięciu stóp, z białymi piórami lecz z miedzianym  
odcieniem na głowie i górnej części szyi. Dążyły one do stref  
bardziej gościnnych, gdzie mogły znaleźć wodne rośliny i owady  
potrzebne im do pożywienia, z całą szybkością swego lotu, jako,  
że powietrze i woda są ich właściwym żywiołem. Widziano  
również, jak inne gatunki łabędzi, tak zwane „łabędzie-trębacze”,  
których głos przypomina odgłos trąbek, przelatywały w licznych  
stadach. Były one tak białe jak łabędzie-świszaki, tylko z  
czarnymi nogami i dziobem. Ani Marbre, ani Sabine nie byli dość  
szczęśliwi, aby dosięgnąć kilku tych łabędzi-trębaczy, lecz posłali  
im na pożegnanie znaczące „dowidzenia”. Ptaki te istotnie miały  
powrócić wraz z pierwszym powiewem wiosennym, i w tej to  
porze najłatwiej polować na nie. Pióra i puch tych ptaków są  
bardzo poszukiwane przez myśliwych i Indian i bywają lata, że  
faktorje wysyłają na rynki starego ładu dziesiątki tysięcy tych  
łabędzi, które sprzedają się na miejscu po pół gwiney za sztukę.

Podczas tych wypraw myśliwskich, trwających już tylko kilka  
godzin dziennie i często przerywanych wskutek złej pogody,  
spotykano nierzadko całe stada wilków. Zbliżały się nawet do  
faktorji, gdyż zwierzęta te, skoro są głodne, stają się nieco  
odważniejsze. Mając węch niezmiernie wrażliwy, czuły zdaleka  
wyziewy kuchenne. Podczas nocy wyły złowrogo. Mięsożerne te  
zwierzęta, o ile pojedynczo nie są groźne, o tyle są

niebezpiecznie, gury występują gromadnie. 10 też myśliwi muszą być dobrze uzbrojeni, wychodząc poza zagrodę fortu.

Oprócz wilków groziło im niebezpieczeństwo od niedźwiedzi, które są o tej porze roku daleko więcej napastliwe. Nie minął dzień, żeby kilka tych zwierząt nie zjawiało się w okolicy, a w nocy dochodziły do samej zagrody fortu. Niektóre z nich, dosięgnięte celnym strzałem, oddalały się, pozostawiając ślady krwi na śniegu. Ale do 10 października cenne ich futro nie wpadło w ręce myśliwych. Zresztą Jasper Hobson nie pozwalał wychodzić na spotkanie tych olbrzymich zwierząt. Bezpieczniej było poprzestać na defensywie, czekając chwili, gdy niedźwiedzie, zmuszone głodem, spróbują dostać się do fortu. Wtedy będzie można walczyć i zarazem zaopatrzyć się w ich futra.

Nastało kilka dni pogodnych i mroźnych. Zlodowaciała powierzchnia śniegu sprzyjała wielce wycieczkom. To też nie omieszkało wybrać się na wybrzeże jak również w stronę południową fortu. Porucznikowi chodziło przede wszystkim o dowiedzenie się czy przedstawiciele Towarzystwa Saint-Louis, opuściwszy okolicę, nie pozostawili śladów swej bytności, ale poszukiwania okazały się bezowocne. Przypuszczano więc, że Amerykanie podążyli ku jednej z faktoryj, położonych bardziej na południu, by spędzić tam zimę.

Piękne te dni nie trwały jednak długo. W początku listopada wiatr obrócił się w kierunku południowym, wskutek czego, pomimo, że powietrze było łagodniejsze, śnieg upadł obficie, pokrywając ziemię na wysokość kilku stóp. Należało codziennie

poniżając ziemię na wysokość kilku stóp. Należało codziennie oczyszczać wejście do domu, jak również odkopywać drogę do bramy, do obory i do psiarni. Wycieczki stały się rzadkością i wymagały użycia rakiet<sup>3</sup>, czyli obuwia na śnieg.

O ile bowiem na zamrożonym śniegu można się łatwo utrzymać, o tyle na miękkim śniegu niepodobna uniknąć zanurzenia się po kolana przy pierwszym postawieniu kroku. Ażeby zapobiec temu, Indianie wymyślili rakiety.

Porucznik Hobson i jego towarzysze przyzwyczaili się do używania „snow-shoes”, na miękkim więc śniegu prześlizgiwali się z szybkością łyżwiarzy na lodzie. Mrs. Paulina Barnett również nabyła wprawy w tym sporcie i mogła współzawodniczyć skutecznie ze swymi towarzyszami. Wybierano się na długie przechadzki po zamrożonej powierzchni morza. Można było nawet przejść kilka mil po twardej powierzchni oceanu, gdyż lód dosięgał grubości kilku stóp. Ale wycieczki te były uciążliwe, pole lodowe bowiem było wyboiste; napotymano spiętrzoną krę, występy lodowe, które należało okrążyć; dalej zaś łańcuch gór lodowych, które stanowiły nieprzebytą zapórę, gdyż szczyty ich sięgały wysokości pięciuset stóp! Góry te lodowe malowniczo ułożone, były wspaniałe! To wyglądały jak zbielełe ruiny miasta z ich zabytkami, kolumnami i zwalonymi ścianami bastjonów, to znów przypominały okolicę górzystą i grunt wulkaniczny nagromadzeniem kry, układającej się w łańcuchy gór o szczytach wyniosłych, o pasmach poprzecznych i dolinach – niby Szwajcaria z lodu utworzona! Kilka spóźnionych ptaków, jak

petrele, nurzyki, puffiny, ożywiały tę pustynną okolicę swym przejmującym krzykiem. Wielkie białe niedźwiedzie zjawiały się wśród występów lodowych i zlewały się z ich olśniewającą białością. Zaiste wrażeń i wzruszeń nie brakowało podróżnicze, jak również jej wiernej Madge. Jakże były daleko od stref podzwrotnikowych Indyj lub Australji!

Powracano kilkakrotnie na to lodowe pole, którego gruba powłoka mogła być unieść ciężkie działa lub nawet całe budowle. Ale wkrótce wycieczki te stały się tak uciążliwe, że trzeba było ich się wyrzec. Temperatura bowiem obniżyła się tak znacznie, że najmniejszy wysiłek wywoływał zaparcie tchu, tamujące ruchy. Olśniewająca białosc śniegu drażniła wzrok swem silnem odbiciem światła, powodującem często wypadki ślepoty u Eskimosów. Wreszcie na skutek osobliwego załamywania się promieni słonecznych odległość i głębokość nabierała odmiennych rozmiarów i nieraz zdawało się, że przestrzeń między dwoma występami lodowemi wynosi jedną do dwu stóp, gdy w rzeczywistości były od siebie oddalone na pięć, sześć stóp. Złudzenie to optyczne wywoływało nieraz wypadki nieprzyjemne, nawet bolesne.

14 października termometr Fahrenheit'a wskazywał trzy stopnie powyżej zera ( $-16^{\circ}$  Cel.). Mróz był tem trudniejszy do zniesienia, że dał silny wiatr. Zdawało się, że powietrze przesycone jest igłami. Nie można było wyjść z domu bez narażenia się na „frost bitten” to jest na natychmiastowe odmrożenie jakiej części ciała, co zdarzyło się niektórym mieszkańcom fortu między innymi Garrv'emu Belcher'owi i



Hoppe'owi, których musiano nacierać silnie śniegiem, aby przywrócić obieg krwi.

W tych warunkach praca ręczna ustać musiała. Zresztą o tej porze roku, dni są niezmiernie krótkie. Słońce ukazywało się nad horyzontem zaledwie kilka godzin, ustępując miejsca długiemu zmrokowi. Zima rozpoczynała się na dobre, pociągając za sobą przymusowe zamknięcie w domu. Ostatnie ptaki opuściły ponure wybrzeże. Zostało tylko kilka par sokołów-kuropatw, nakrapianych, którym Indjanie nadali właśnie nazwę „hiveneurs” t. j. zimujących, dlatego że pozostają w stronach podbiegunowych aż do początku nocy polarnej, wkrótce jednak i one opuszczą okolicę.

Porucznik Hobson przeto zalecił spieszne wykończenie łąpek i siideł potrzebnych do polowania podczas pory zimowej.

Łapki te składały się z ciężkich tarcic ułożonych w kształcie czwórki z trzech kawałków drzewa o równowadze niestącej, tak że najmniejsze ich poruszenie wywoływało wypadek. Były to łąpki, jakie zakładają ptasznicy na polach, lecz na wielką skalę. Na końcu kawałka drzewa położonego poziomo znajdowała się przynęta w postaci mięsa. Gdy zwierzę średniej wielkości, jak lis lub kuna, sięgnęło po nie łapą, niechybnie ulegało zmiżdżeniu. Są to te same łąpki, które słynni myśliwi, opiewani tak poetycznie przez Cooper'a, nastawiają w zimie i to na przestrzeni nieraz kilkumilowej. Dookoła fortu Nadziei postawiono z trzydzieści takich łąpek, do których zaglądali często oczekiwani goście.



12 listopada liczba mieszkańców fortu powiększyła się o jednego zdrowego, dobrze zbudowanego chłopaczka, syna mistrza Mac Nap'a, z którego ojciec był niezmiernie dumny. Mrs. Paulina Barnett była jego matką chrzestną. Dano mu imię Michał-Nadzieja. Obrządek chrztu odbył się uroczyście. Dzień ten był dla faktorji świętem na cześć tej małej istotki, która przyszła na świat powyżej siedemdziesiątego stopnia szerokości północnej!

20 listopada słońce skryło się za horyzont, mając powrócić dopiero po dwu miesiącach. Rozpoczęła się noc polarna.



## Rozdział XVIII

## *Noc polarna.*



anowanie tej długiej nocy zaczęło się od gwałtownej burzy. Mróz nie był silny, lecz zato powietrze było przesiąknięte wilgocią. Pomimo wszelkich środków zapobiegawczych wilgoć dostawała się do domu, a co rana w kondensatorach znajdowano kilka funtów lodu.

Nazewnątrz zawieja szalała w zawrotnych wirach. Kierunek śniegu nie był prostopadły, lecz prawie poziomy. Jasper Hobson zakazał otwierania drzwi, gdyż śnieg w jednej chwili wypełniłby cały korytarz. Mieszkańcy fortu byli prawdziwymi więźniami.

Okiennice domu były szczelnie zamknięte. Lampy paliły się bez przerwy podczas godzin, w których nie spoczywano.

Na dworze szalała burza, przerywając swym odgłosem majestatyczną ciszę stron podbiegunowych. Wiatr, dmąc między domem i urwistem wybrzeżem, zamienił się w jeden przeciągły poryk. Dom drżał w swej podstawie. Gdyby nie trwałość budowy, nie mógłby się być oprzeć naporowi. Na szczęście śnieg, gromadząc się na ścianach domu, zmniejszał siłę wiatru. Obawiano się tylko o kominy, które składając się z cegiełek wapiennych, mogły łatwo ulec silnemu prądowi powietrza. Oparły się mu jednak skutecznie, tylko trzeba była oczyścić

często ich wyloty, zasypane śniegiem.

Wśród świstu zawiei dawały się niekiedy słyszeć nadzwyczajne odgłosy, z których sprawy zdać sobie nie mogła Mrs. Paulina Barnett. Było to usuwanie się gór lodowych, które upadały z łoskotem, odbijając się doniosłym echem na podobieństwo odgłosów gromu. Upadek gór lodowych wywoływał pęknięcie powierzchni lodowej morza, która trzeszczała pod naporem ciężaru. Trzeby było być szczególnie oswojonym z burzami tego ostrego klimatu, aby nie odczuwać silnego przygnębienia. Dla porucznika Hobson'a i jego towarzyszy nie były one nowością. Mrs. Paulina Barnett zaś i Madge przyzwyczyły się do nich powoli. Zresztą siła wiatru nie była dla nich rzeczą obcą. Podczas swych podróży doświadczyły nieraz tego straszego wiatru, który przebywa przestrzeń czterdziestomilową w godzinę i może poruszyć z miejsca ciężkie działo. Ale tu, na przylądku Bathurst, z siłą wiatru łączył się jeszcze mrok i śnieg. Jeżeli wiatr północny nie niszczył, natomiast zasypywał wszystko, i było prawdopodobne, że wkrótce dom, psiarnia, skład stanowiąc będą jedną warstwę śniegu.

W tem uwięzieniu mieszkańcy fortu nie tracili czasu, urządziwszy sobie odpowiednio rozkład dnia. Dzielni ci ludzie rozumieli się wzajemnie i życie wspólne na tak małej przestrzeni nie krępowało ich bynajmniej. Czyż zresztą nie byli przyzwyczajeni do tych warunków w forcie Reliance? Mrs. Paulinę Barnett nie zdziwiło wcale ich zgodne zachowanie.

Praca, czytanie i zabawy wypełniały wszystkie chwile dnia. Zajmowano się szyciem i naprawianiem odzieży i obuwia, oczyszczaniem broni, prowadzeniem dziennika, w którym Jasper Hobson dzień po dniu zapisywał stan pogody, temperatury, kierunek wiatrów, zjawianie się meteorów tak częstych w stronach podbiegunowych i t. p. Zajmowano się również sprzątaniami domu, przewietrzaniem futer, które pod wpływem wilgoci mogły ulec zniszczeniu; paleniem i oczyszczaniem kominów, wreszcie osuszaniem wilgoci, pojawiającej się we wszystkich kątach. Każdy miał swój dział pracy, ściśle wyznaczony i ogłoszony na regulaminie, wiszącym w wielkiej sali. Mieszkańcy fortu nie byli przeciążani pracą, aczkolwiek stale zajęci. Tomasz Black zaś odkręcał i przykręcał swoje narzędzia, przeglądał obliczenia astronomiczne. Zamknięty w swej celi, narzekał na burzę, która mu przerywała badania nocne. Co do trzech zamężnych kobiet, to Mrs. Mac Nap była zajęta dzieckiem, a Mrs. Joliffe przy pomocy Mrs. Raë królowała na terenie kuchennym.



Poświęcano również parę godzin dziennie na rozrywkę. Niedziela zaś była wolna od trudów codziennych. Główną rozrywką było czytanie. Biblia i kilka pożytecznych książek stanowiły całą bibliotekę fortu, ale wystarczała ona dla jego dzielnych mieszkańców. Najczęściej czytała głośno Mrs. Paulina Barnett ku wielkiemu zadowoleniu słuchaczy. Słuchali oni z zajęciem dziejów biblijnych lub opisów podróży; Mrs. Paulina Barnett czytała głosem przejmującym i melodyjnym, szczególnie niektóre ustępy z ksiąg świętych. Legendowe postacie w jej ustach nabierały mocy ożywczej! To też radość była wielka, gdy uprzejma podróżniczka brała książkę do ręki o zwykłej godzinie. Była ona zresztą duszą tego małego światka: ucząc się sama i ucząc innych, pytając o radę i służąc radami, gotowa zawsze i wszędzie do oddania przysługi. Łączyła ona w sobie wszystkie zalety kobiece wraz z energią męską i podwójna ta cecha jej istoty zjednywała serca tych prostych żołnierzy, którzyby życie swe oddali za nią. Trzeba dodać, że Mrs. Paulina Barnett nie zasklepiła się w swej celi, lecz przestawała z wszystkimi, pracowała wraz z nimi i przez swe pytania i uwagi pobudzała każdego do brania udziału w rozmowie. Nie próżnowały więc ani ręce, ani języki w forcie Nadziei, a stąd wynikał dobry humor podtrzymujący zdrowie i ułatwiający znoszenie niewygód tak długiego zamknięcia.

Tymczasem burza nie zmniejszała wcale swej siły. Od trzech dni nie można było wyrzeć za próg domu, gdyż wiatr szalał z równą gwałtownością. Jasper Hobson zaczął się niecierpliwić. Należało koniecznie odświeżyć powietrze w domu, przesycone

zbytńio kwasem węglanym. Chciano użyć do tego pomp powietrznych, ale nie mogły funkcjonować, gdyż rury były zapełnione lodem, a cały dom zakopany w śniegu. Porucznik przeto, naradziwszy się z sierżantem Long, odważył się 23 listopada otworzyć okno.

Nie była to wcale sprawa łatwa. Samo okno otworzyć było łatwo, ale okiennica zawałona śniegiem stawiała opór wszelkim wysiłkom. Trzeba było ją wyjąć z zawiasów. Następnie odgarnięto śnieg przy pomocy oskarda i motyki. Warstwa śnieżna liczyła dziesięć stóp grubości. Należało więc wykopać rodzaj rowu, którym powietrze dostało się do wnętrza.

Jasper Hobson, kilku żołnierzy, nawet Mrs. Paulina Barnett udali się do tego okopu nie bez trudu wszakże, gdyż wiatr przedostawał się do niego z niezwykłą siłą.

Widok na przylądek Bathurst i przyległą do niego równinę był imponujący. Było to w samo południe, kiedy słaby odbłysk słońca w postaci lekkiego zmroku widniał na południowej stronie horyzontu. Mróz nie był tak silny, jak można było się spodziewać, gdyż termometr Fahrenheit'a wskazywał piętnaście stopni powyżej zera ( $-9^{\circ}$  Cel.). Ale wiatr szalał z nieporównaną siłą i porucznik, jego towarzysze i podróżniczka zostaliby niechybnie przewróceni, gdyby nie podtrzymywała ich warstwa śniegu, w której byli zanurzeni do połowy ciała. Płatki śniegu, padające gęsto, odbierały im mowę i zasłaniały wzrok. W pół godziny byliby zasypani. Jedna masa śnieżna otaczała ich zewsząd. Zagroda, dach i ściany domu tworzyły jedną śnieżną

powierzchnię tak, że gdyby nie dwa kłęby błękitnawego dymu, niktby domyślić się nie mógł, że to siedziba ludzka.

W tych warunkach „przechadzka” była krótka. Ale ciekawemu oku podróżniczki nie uszedł smutny ten krajobraz. Dostrzegła ponury horyzont smagany śniegiem, jak również całe groźne piękno tej północnej zawiei. Uniosła więc niezatarte wspomnienie z tych kilku chwil spędzonych w całej, pełni rozszalałego żywiołu.

Tymczasem pod wpływem czystego i ożywczego prądu atmosferycznego powietrze w mieszkaniu oczyściło się zupełnie z przenikających je wyziewów. Porucznik i jego towarzysze stwierdzili to z przyjemnością po swym powrocie do domu. Okno zamknięto niebawem, ale odtąd codziennie odgarniano śnieg, aby je móc otworzyć.

W ten sposób upłynął cały tydzień. Na szczęście renifery i psy były zaopatrzone w żywność, nie trzeba więc było do nich zaglądać. Osiem dni takiego zamknięcia wydały się nieskończenie długimi dla tych żołnierzy i myśliwych przyzwyczajonych do swobody. To też przyznać trzeba, że powoli czytanie straciło dla nich swój urok i „cribbage”<sup>4</sup> nużyć zaczynała. Zасыpiano z nadzieją, że rano będzie pomyślniejszy, tymczasem śnieg zasypywał wciąż okno, wiatr huczał, góry lodowe zapadały się z odgłosem gromu, dym zawracał do wnętrza powodując ciągle kaszle, i nie tylko, że zawieja nie miała się ku końcowi, lecz zdawała się nie mieć końca wcale!

Wreszcie 23 listopada barometr aneroid, znajdujący się w



wielkiej sali, zapowiadała bliską zmianę pogody, podnosząc się znacznie. Jednocześnie termometr, wystawiony nazewnątrz, spadł nagle o cztery stopnie poniżej zera ( $- 10^{\circ}$  Cel.). 29 listopada w istocie burza ustała.

Mieszkańcy fortu opuścić mogli swe więzienie. Nie mogąc drzwi otworzyć, wyszli przez okno. Pierwszem ich zajęciem było odgarnąć śnieg, tamujący wstęp do domu. Tym razem jednak musiano posługiwać się tylko oskardami, gdyż warstwa śnieżna pod wpływem wznagającego się mrozu, stwardniała zupełnie.

W pół godziny drzwi były otwarte, więc wszyscy mieszkańcy fortu, z wyjątkiem Mrs. Mac Nap, która nie wychodziła jeszcze, wyszli na podwórze.

Mróz był silny, ale ponieważ wiatr ustał zupełnie, nie dawał się zbyt we znaki. Tylko przed wyjściem z mieszkania musiano zabezpieczyć się odpowiednio, aby nie odczuć zbyt silnie różnicy pięćdziesięciu czterech stopni ( $30$  Cel.) między temperaturą wewnętrzną i zewnętrzną.

Była ósma rano. Gwiazdy świeciły jasno od zenitu, gdzie błyszczała gwiazda polarna, do samej granicy horyzontu. Zdawało się, że jest ich nieskończona liczba, pomimo że gwiazd widzialnych gołym okiem niema więcej nad pięć tysięcy na sklepieniu niebieskiem. Tomasz Black podziwiał je z zachwytem, patrząc z wdzięcznością na niebo gwiazdziste, niezasnute najlżejszą chmurką. Piękniejszego nieba nie widział nigdy żaden z astronomów.

Podczas gdy Tomasz Black, obojętny na rzeczy ziemskie, zachwycał się sklepieniem niebieskimi, inni mieszkańcy fortu poszli obejrzeć zagrodę. Ale nie obyło się bez wypadku, warstwa bowiem śnieżna, zlodowaciała od silnego mrozu, była niezmiernie śliska.

Podwórze było wypełnione śniegiem. Dach tylko unosił się nad tą masą śnieżną, wygładzoną zupełnie podmuchami wiatru. Z palisady widać było tylko spiczaste wierzchołki słupów, tak że bronieć fortu nie mogła. Ale na to nie było rady. Któż był w stanie odgarnąć dziesięciostopową warstwę śniegu ciągnącą się na tak rozległej przestrzeni! Co najwyżej można było tylko oczyścić wewnętrzną część zagrody, a przez to samo utworzyć fosę, której skarpa zewnętrzna zabezpieczałaby palisadę. Był to wszakże początek zimy i fosa mogła być zasypana w krótkim czasie.

Gdy porucznik był zajęty pracą przy palisadzie, Mrs. Joliffe myślała o zwierzętach odgradzonych od świata żyjących.

– A nasze psy, nasze renifery! – zawołała z przejęciem.



Rzeczywiście należało się dowiedzieć, co się z nimi dzieje. Psiarnia i obora, mniejsze od domu głównego, zasypane były śniegiem, więc powietrze mogło nie mieć do nich dostępu. Na szczęście przekonano się niebawem, że mur z lodu, który ciągnął się od północnego rogu domu do skał nadbrzeżnych, ochronił w części obydwie zabudowania, przez co były zasypane tylko na cztery stopy śniegiem. Otwory więc w ścianach pozostały wolne. Zwierzęta nie poniosły żadnego szwanku, a gdy drzwi się otworzyły, psy wypadły szczekając radośnie.

Tymczasem mróz wzmógł się znacznie i po godzinie wszyscy pomyśleli o dobroczynnym cieple pieca syczącego w wielkiej sali. Na dworze roboty już nie było, powrócono też spiesznie do domu, zamknięto okno i niebawem wszyscy znaleźli się przy stole jadalnym.

Oczywiście rozmawiano o tym nagłym mrozie i o zlodowacialej warstwie śniegu. Okoliczność to była niepomysłna, gdyż narażała poczęści bezpieczeństwo fortu.

– Ale czyż nie możemy liczyć, panie Hobson, – spytała Mrs. Paulina Barnett – na odwilż, pod której wpływem stajałby wszystek ten śnieg?

– Nie, proszę pani, odwilż o tej porze roku jest rzeczą nieprawdopodobną. Przypuszczam, przeciwnie, że mróz wzmacniać się jeszcze będzie i szkoda, że nie mogliśmy usunąć śniegu, gdy był mokry.

– A więc pan przypuszcza, że temperatura spadnie jeszcze?

– Bez wątpienia. Cóż znaczy cztery stopnie ponizej zera ( $-20^{\circ}$  C.) na tej szerokości geograficznej?

– Cóż więc byloby na biegunie? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– Biegun, bardzo prawdopodobnie nie jest najzimniejszym miejscem ziemi, skoro zeglarze dowodzą, że morze tam nie zamarza. Sądzę nawet, że na skutek pewnych warunków geograficznych i hydrograficznych miejsce, w którym średnia temperatura jest najniższa, znajduje się na dziewięćdziesiątym piątym południku i na siedemdziesiątym ósmym równoleżniku, to jest na wybrzeżu Georgji północnej. W tej miejscowości średnia temperatura roczna wynosi dwa stopnie ponizej zera ( $-19^{\circ}$  Cel.). To też punkt ten jest znany pod nazwą „bieguna chłodu”.

– Ależ, panie Hobson, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett, – znajdujemy się o osiem stopni ponizej tej strasznej miejscowości.

– To też, – odrzekł porucznik, – liczę na to, że nie doświadczymy takiego chłodu, jaki panuje w Georgji północnej! Ale jeżeli mówię pani o biegunie chłodu, to dlatego, aby zaznaczyć, że nie należy go mieszać z biegunem Północnym istotnym, gdy chodzi o spadek temperatury. Zauważmy zresztą, że i w innych częściach kuli ziemskiej zdarzają się wypadki niebywałego chłodu. Tylko nie trwa on długo.

– A mianowicie gdzie? – spytała Mrs. Paulina Barnett. – Obecnie kwestja chłodu zajmuje mnie szczególnie.

– O ile sobie przypominam, – odpowiedział porucznik Hobson – podróżnicy stwierdzili, że na wyspie Melville temperatura spadła do sześćdziesięciu jeden stopni poniżej zera, a w porcie Félix do sześćdziesięciu pięciu.

– Czyż wyspa Melville i port Félix nie znajdują się na wyższej szerokości geograficznej, niż przylądek Bathurst?

– Zapewne, ale w pewnych razach, szerokość nie ma znaczenia. Chłód nieraz zależy od najrozmaitszych wpływów atmosferycznych. I jeżeli mnie pamięć nie myli, w 1845... Sierżancie Long czy nie byłeś w owym czasie w forcie Reliance?

– Byłem panie poruczniku, – odpowiedział sierżant Long.

– A zatem, w owym to roku, czy nie w styczniu panował ten chłód niezwykły?

– Tak jest, panie poruczniku, i przypominam sobie dobrze, że termometr wskazywał siedemdziesiąt stopni poniżej zera ( $-50^{\circ},7$  C.).

– Co? – zawołała Mrs. Paulina Barnett, – siedemdziesiąt stopni, w forcie Reliance, nad jeziorem Niewolniczem?

– Tak, pani, – rzekł porucznik, – i to na sześćdziesiątym piątym równoleżniku, równoleżniku, na którym znajduje się Chrystjanja i Petersburg!

– Tak więc, panie Hobson, należy spodziewać się wszystkiego!

Tak prosiła pani, wszystko, zimą, skoro się zima w

— tak, proszę pań, wszystkiego, zaiste, skroto się zimą w stronach podbiegunowych.

Podczas dni 29 i 30 listopada mróz się nie zmniejszył, musiano przeto usilnie palić, aby wilgoć w domu nie zamarzała. Ale opału nie brakowało. To też temperatura pokojowa utrzymywała się stale na pięćdziesięciu dwu stopniach (+10° C.).

Pomimo obniżenia się temperatury, Tomasz Black zachwycony czystością nieba, nie omieszkał badać gwiazd. Chciał odkryć kilka tych wspaniałych ciał niebieskich promieniejących na zenicie. Ale wkrótce musiał zaniechać swej pracy. Narzędzia „paliły” mu ręce. Palić jest jedynem słowem, którego użyć można dla określenia wrażenia, jakie się otrzymuje przy dotknięciu metalowego przedmiotu wystawionego na podobne zimno. Z punktu fizycznego zresztą zjawisko jest identyczne. Czy bowiem ciepło jest gwałtownie wprowadzone do ciała przez przedmiot gorejący, czy też gwałtownie wyprowadzone przez przedmiot zlodowaciały, wrażenie jest to samo. A szanowny uczoney doświadczył tego zjawiska tak dalece, że skóra jego palcy przywarła do lunety. To też przerwał swe badania.

Ale niebo, jakby chcąc mu wynagrodzić ten zawód, dostarczyło mu niezrównanego widoku, pokazując najpiękniejsze swe zjawiska: najpierw paraselen, następnie zorzę północną.

Paraselen, albo krąg księżycowy, tworzył dokoła księżycy koło białe, zlekka u brzegów zabarwione blado-różową barwą.

Srednica swietlnego tego kręgu, wywołanego załamaniem się promieni księżycy poprzez małe kryształki lodu, które unosiły się w atmosferze, wynosiła około czterdziestu pięciu stopni. Księżyc świecił żywym blaskiem w ośrodku tej korony, podobnej do łuków mlecznych i przezroczystych tęcz księżycowych.

W piętnaście godzin później, wspaniała zorza północna, opisująca łuk przeszło stustopniowy, ukazała się w stronie północnej horyzontu. Wierzchołek łuku widniał na południku magnetycznym, a przez przypadek osobliwy, zauważony niekiedy nawet na niższych szerokościach geograficznych, zjawisko przedstawiało wszystkie barwy tęczy, wśród których górowała barwa czerwona. Na niektórych punktach nieba gwiazdy zdawały się pływać we krwi. Ze skupienia mglistego, które tworzy jądro zjawiska, promieniowały płomieniste opary, z których kilka dosięgało zenitu i gasiło światło księżycy pogrążone w falach elektrycznych. Promienie te drgały, jak gdyby jakiś prąd powietrzny poruszał ich cząsteczki. Żaden opis nie mógłby oddać wspaniałości tej zorzy, która jaśniała w całej swej świetności na biegunie Północnym świata. Późem, po półgodzinnym niezrównanej piękności blasku, bez żadnego przygotowania, wspaniałe zjawisko znikło samorzutnie, jak gdyby jaka ręka niewidzialna zniszczyła nagle źródło elektryczne, które je ożywiało.

Zjawisko znikło w porę dla Tomasza Black. Gdyby trwało było jeszcze pięć minut, astronom byłby zamarzył na miejscu.

## Rozdział XIX

### *Sąsiedzkie odwiedziny.*



Drugiego grudnia mróz zelżał. Zjawisko paraselenu jest dla meteorologów niechybną oznaką zmiany pogody. Wnoszą oni o tej zmianie z pewnej ilości wilgoci, którą przesiąknięte jest wtedy powietrze. I rzeczywiście. Barometr spadł nieco, a termometr podniósł się na piętnaście stopni Fahrenheita ( $-9^{\circ}$  C.).

Dla mieszkańców stref umiarkowanych chłód ten wydałby się zbyt ostry, lecz ludzie przyzwyczajeni do tego klimatu, znosili go łatwo. Zresztą powietrze było spokojne. Porucznik Hobson, zauważywszy, że wierzchnia warstwa śniegu zmiękła, polecił oczyścić zewnętrzną stronę zagrody. Mac Nap i jego pomocnicy wzięli się odważnie do dzieła i w kilka dni skończyli swą pracę. Liczne ślady świadczyły o obecności zwierząt o cennych futrach w pobliżu przylądka Bathurst, a ponieważ pożywienia nie miały, złapanie ich w sidła z tkwiącą w nich przynętą nie było rzeczą trudną



Idąc za radą myśliwego Marbre przygotowano również łapkę na renifery, naśladując w tem Eskimosów. Był to rów szerokości dziesięciu stóp, głębokości zaś dwunastu. Deska ruchoma, podnosząca się własnym ciężarem, przykrywała go w zupełności. Przy końcu deski położono gałęzie i trawy jako przynętę. Zwierzę zbliżywszy się do niej, wpadało w rów niechybnie, deska zaś, wracając automatycznie do dawnego położenia, przyciągała zwierzęta w dalszym ciągu. Jedyną trudnością w kopaniu dołu była ścisłość gruntu, a raczej stwardniałej jak skała warstwy śnieżnej, na którą natrafił był Marbre, po wykopaniu ziemi i piasku z rowu na cztery do pięciu stóp.

Jasper Hobson zdziwił się niemało z tego powodu.

– Warstwa ta wskazuje, – rzekł porucznik, – że na części wybrzeża, na którym się znajdujemy, musiał przed laty panować ostry mróz w przeciągu bardzo długiego czasu; następnie, że ziemia i piasek powoli zasypywały złodowaciałą masę, położoną prawdopodobnie na podłożu granitowem.

– Warstwa ta nie szkodzi bynajmniej naszej łapce, – odezwał się myśliwy Marbre. – Przeciwnie nawet, gdyż renifery, chcąc się z niej wydostać, nie poradzą sobie ze śliską powłoką śniegu.

Marbre się nie mylił, o czem można się było wkrótce przekonać.

5 grudnia, Sabine i on, zbliżywszy się do rowu, usłyszeli cichy pomruk, który się znowu uduchał.

głuchy pomruk, który się zeni wydobywał.

– To nie jest ryk reniferów, – rzekł Marbre, – i nietrudno mi określić zwierzę, które wpadło w łapkę.

– Niedźwiedź! – odezwał się Sabine.

– Tak jest, niedźwiedź! – odpowiedział Marbre z błyskiem zadowolenia w oczach.

– Nie tracimy nic na tej zamianie. Befszyk z niedźwiedzia nie jest gorszy od befszyka z renifera, a w dodatku mamy futro.

Oczywiście myśliwi byli uzbrojeni. Wsunąwszy kule do strzelb, stanęli nad łapką. Deska była na swoim miejscu, tylko przynęta, wciągnięta prawdopodobnie do rowu, znikła.

Marbre i Sabine uchyliwszy deskę, zajrzeli do rowu. W głębi jamy w kącie widniała biała masa futra białego, mająca zaledwie w mroku, a w niej dwoje oczu błyszczących. Ściany rowu były głęboko poryte pazurami i bez wątpienia, gdyby nie ich śliska powłoka, niedźwiedź byłby się z niego wydostał.



W tych warunkach upolowanie zwierzęcia nie przedstawiało żadnej trudności. Dwa celne strzały zabiły je na miejscu. Najważniejszą obecnie rzeczą było wydostanie ciała z jamy. Myśliwi musieli powrócić do fortu, dla zapewnienia sobie pomocy. Dziesięciu ludzi zaopatrzonych w sznury podążyło wraz z nimi do łapki, skąd wyciągnięto z trudem ogromne zwierzę, wysokości sześciu stóp, wagi najmniej sześciuset funtów. Niedźwiedź ten należał do jednego z gatunków białych niedźwiedzi, o czym świadczyły czaszka spłaszczona, ciało wydłużone, pazury krótkie i mało zakrzywione, pysk cienki i futro całkiem białe. Mięso zwierzęcia odesłano do Mrs. Joliffe, która przyrządziła z niego smaczną potrawę z apetytem spożytą przy obiedzie.

W ciągu następnego tygodnia łapki dały plon obfity. Złowiono dwadzieścia kun ustrojonych w najpiękniejsze swe szaty zimowe, lecz trzy tylko lisy. Sprytne te zwierzęta, domyśliwszy się nastawionych na nie sidła, wykopywały ziemię przy łapce, zabierały przynętę i z łatwością wydostawały się z więzienia. Sabine z tego powodu wrzał z gniewu, dowodząc, że taki podstęp nie jest godny „uczciwego lisa”.

Okolo 10 grudnia zerwał się południowo-zachodni wiatr. Śnieg zaczął znów padać, lecz małemi, rzadkimi płatkami, które wnet zamarzały pod wpływem ostrego chłodu. Mróz, z powodu silnego wiatru, był tak dokuczliwy, że mieszkańcy fortu musieli zamknąć się ponownie w mieszkaniu. Jasper Hobson, zalecił swym towarzyszom użycie pastylek wapiennych

antyskorbutowych i soku cytrynowego, jako zabezpieczenie przeciwko skorbutowi, powstającemu łatwo pod wpływem przeciągłego mrozu i wilgoci. Dotychczas jednak, dzięki zabiegom higienicznym, mieszkańcy fortu byli wszyscy zdrowi.

Noc polarna była w swej pełni. Zbliżało się przesilenie zimowe dnia z nocą, w którym słońce osiąga najniższego swego odchylenia na północnej półkuli. W południe na południowej stronie długich, białych równin widniała nieco jaśniejsza barwa. Nad krajobrazem polarnym, pogrążonym zewsząd w ciemnościach, unosił się smutek bezbrzeżny.

W głównym domu faktorii mijały dni spokojnie. Odkąd odgarnięto śnieg od zagrody, nie obawiano się dostępu dzikich zwierząt, pomimo, że groźny pomruk dawał się słyszeć nieraz. Co do odwiedzin myśliwych indyjskich, czy kanadyjskich, można było być o nie spokojnym o tej porze roku.

W tym czasie zdarzył się wypadek, który wymownie świadczył, że nawet wśród zimy pustynne te strony nie są całkiem wyludnione. Istoty ludzkie krążyły po wybrzeżu, polując na morsy i obozując pod śniegiem. Byli to „zjadacze surowych ryb”,<sup>5</sup> przebywający na lądzie Północnej Ameryki, od morza Baffińskiego do cieśniny Berynga, a na południe do jeziora Niewolniczego.

14 grudnia, o dziewiątej zrana, sierżant Long, powróciwszy z wycieczki do wybrzeża, doniósł porucznikowi w swym raporcie dziennym, że, o ile go oczy nie mylą, jakieś koczownicze plemię obozuje o cztery mile od fortu w pobliżu małego przylądka.

– Któż to być może? – spytał Jasper Hobson.

– Są to ludzie, albo morsy – odpowiedział sierżant. – Nic pośredniego.

Dzielny sierżant byłby wielce zdziwiony, gdyby mu powiedziano, że niektórzy przyrodnicy przyjęli właśnie to „pośrednie”, którego nie przyznawał on, sierżant Long. I, w istocie, niektórzy uczeni, mniej lub więcej poważnie, uważali Eskimosów za „gatunek pośredni między człowiekiem a foką”.

Porucznik Hobson, Mrs. Paulina Barnett i Madge wybrali się natychmiast, aby przekonać się o obecności gości wybrzeża. Odpowiednio odziani, uzbrojeni w strzelby i siekiery, w butach futrzanych, wyszli bramą w kierunku wskazanym.

Księżyc, w ostatniej swej kwadrze, rzucał poprzez mgłę słabe światło na pole lodowe. Po godzinnej drodze porucznik stwierdził, że sierżant musiał się omylić, lub co najmniej, że dostrzegł tylko morsy, które dostały się do wody przez otwory, utrzymywane przez nie stale w tych polach lodowych.

Ale sierżant Long, wskazując na kłęb dymu, unoszący się nad stożkiem śniegu, czemś w rodzaju lepianki, wznoszącej się na polu lodowem, odpowiedział spokojnie:

– A więc to jest dym, pochodzący od morsów!





W tej chwili właśnie jakieś żyjące istoty wyszły z lepianki, pełzając po śniegu. Byli to Eskimosi, ale czy byli to mężczyźni, czy kobiety, trudno było poznać, ubranie ich bowiem nie różniło się wcale.

W samej rzeczy, pomimo, że nie hołdujemy bynajmniej pogładowi wyżej wspomnianych przyrodników, przyznać trzeba było, że wyglądali jak foki, jak istne ziemnowodne zwierzęta w swem przykryciu futrzanem. Było ich sześciu, czterech dużych, dwu małych, o budowie barczystej, wroście średnim, nosie spłaszczonym, oczach zasłoniętych olbrzymimi powiekami, o szerokich i grubych wargach, o włosach czarnych, długich, twardych i twarzach bez zarostu. Ubranie ich składało się z okrągłej tuniki ze skóry morsa, z kaptura, butów, rękawiczek tego samego wyrobu. Stworzenia te nawpół dzikie, zbliżyły się do Europejczyków, spoglądając na nich w milczeniu.

– Czy nikt z was nie włada językiem Eskimosów? – spytał Jasper Hobson swych towarzyszy.

Nikt z obecnych nie znał tego narzecza, ale w tejże chwili dał się słyszeć głos, pozdrawiający po angielsku:

– Welcome! welcome!

Był to Eskimos, a raczej, jak to wkrótce stało się wiadomem, Eskimoska, która, zbliżywszy się do Mrs. Pauliny Barnett, pozdrowiła ją ruchem ręki.

Podróżniczka, niezmiernie zdziwiona, odpowiedziała kilku słowy, które Eskimoska zdawała się być rozumieć, poczem zaproszono osobliwych mieszkańców wybrzeża do fortu Nadziei.

Eskimosi, porozumiewszy się wzrokiem, po pewnem wahaniu udali się za porucznikiem, krocząc w zwartym szeregu.

Skoro zbliżono się do fortu, Eskimoska na widok domu, którego istnienia nie domyślała się nawet, zawołała:

– House! house! snow-house?

Pytanie to było bliskie prawdy, gdyż dom znikał pod masą śnieżną. Objasniono ją, że jest to dom drewniany. Eskimoska, zwróciwszy się do swych towarzyszy, rzekła im kilka słów, na które odpowiedzieli potakującym ruchem głowy. Poczem wszyscy weszli do bramy i niebawem znaleźli się w wielkiej sali.

Gdy zdjęli swe kaptury, łatwo było rozróżnić ich płęć. Było wśród nich dwu mężczyzn, od czterdziestu pięciu lat, o cerze żółtoczerwonawej, o zębach spiczastych, o wydatnych policzkach, co czyniło ich podobnymi nieco do zwierząt mięsożernych; dwie kobiety, jeszcze młode, których splecione włosy były ozdobione kłami i pazurami niedźwiedzi polarnych; wreszcie dwoje dzieci, pięcio lub sześćioletnich, małe biedne

stworzonka o dość dyskretnym spojrzeniu, które rozglądały się szeroko rozwartymi oczyma.

– Należy przypuszczać, że Eskimosi są zawsze głodni – odezwał się Jasper Hobson. – Sądzę, że nie pogardzą kawałkiem mięsa.

– Kapral Joliffe, z polecenia porucznika, przyniósł kilka kawałków reniferowego mięsa, na które przybyli rzucili się z żarłocznością zwierzęcą. Jedna tylko Eskimoska, ta, która się była odezwała po angielsku, okazała się bardzo wstrzemięźliwą. Przypatrywała się ona z zajęciem Mrs. Paulinie Barnett i innym obecnym kobietom. Poczem, spostrzegłszy małeństwo, siedzące na ręku Mrs. Mac Nap, zerwała się i podbiegła do niego, przemawiając słodkim głosem i obdarzając je pieszczotami.

Młoda Eskimoska wydawała się bardziej okrzesa, niż jej towarzysze, co uwydatniło się, gdy, zakaszawszy, zasłoniła ręką usta, według wszelkich prawideł dobrego wychowania.

Szczegół ten nie uszedł uwagi niczyjej. Mrs. Paulina Barnett, rozmawiając z Eskimoską, przyczem dobierała najłatwiejszych zwrotów, dowiedziała się, że młoda kobieta służyła przez rok jeden u duńskiego gubernatora z Upperniwik, którego żona była Angielką, że następnie opuściła Grenlandję, aby wraz z rodziną udać się do terenów myśliwskich; że towarzyszący jej dwaj mężczyźni byli jej braćmi, kobieta zaś – była żoną jednego z nich, a matką dwojga dzieci; że powracali oni wszyscy z wyspy Melbourne, położonej na wschód, na części wybrzeża Ameryki, należącej do Anglii, dążąc do przylądka Barrow, jednego z



przyłęków Georgji zachodniej, należącej do Rosji, skąd ród ich pochodził, i że ze zdziwieniem dowiedzieli się o istnieniu faktorji na przyłęku Bathurst. Dwaj Eskimosi potrząsali głową, patrząc na faktorję. Czyżby nie pochwalali budowy fortu w tem miejscu wybrzeża? Czy uważali, że miejsce to jest źle wybrane? Pomimo całego wysiłku, porucznik Hobson nie mógł się od nich dowiedzieć niczego, lub też nie chcieli mu odpowiedzieć.

Młoda Eskimoska, nazwiskiem Kalumah, zapalała wielką przyjaźnią do Mrs. Pauliny Barnett. Biedna ta istota, pomimo swych cech towarzyskich, nie żałowała wcale swego dawnego stanowiska i zdawała się być bardzo przywiązaną do swej rodziny.



Po spożyciu mięsa, po wypiciu pół kwarty wódki, z której część dostała się dzieciom, Eskimosi pożegnali się z gospodarzami fortu. Przed opuszczeniem gościnnego domu młoda Eskimoska zwróciła się do Mrs. Pauliny Barnett z prośbą, aby zechciała obejrzeć jej śnieżną lepiankę. Podróżniczka obiecała przyjść następnego dnia, o ile pogoda będzie sprzyjała.

Ukcała przysze nazajutrz, o ile pogoda będzie sprzyjała.

Nazajutrz, Mrs. Paulina Barnett w towarzystwie Madge, porucznika Hobsona i kilku żołnierzy uzbrojonych – wszakże nie przeciwko tym biednym ludziom, lecz niedźwiedzim, włóczącym się po okolicy – udała się do przyłądka Eskimos, tak bowiem nazwano występ ziemi, w pobliżu którego Eskimosi rozłożyli się obozem.

Kalumah wybiegła naprzeciwko swej wczorajszej znajomej i pokazała jej lepiankę z rozpromienionem obliczem. Był to wielki stożek śnieżny; na szczycie stożka znajdował się wąski otwór, przez który ulatniał się dym z ogniska. Śnieżne te lepianki, budowane niezmiernie szybko, krajowcy nazywali „igloo”. Są one doskonale przystosowane do klimatu, a ich mieszkańcy znoszą, nawet nie paląc, chłód czterdziestostopniowy. Podczas lata Eskimosi obozują pod namiotami ze skór reniferowych i fokowych, które noszą nazwę „tupic”.

Wejść do tej lepianki nie było rzeczą łatwą. Wejście bowiem znajdowało się na poziomie gruntu i ażeby się do niego dostać, trzeba było czołgać się korytarzem trzech do czterech stóp długości, gdyż tej grubości były ściany lepianki. Ale zawodowa podróżniczka, laureatka Królewskiego Towarzystwa, wahać się nie mogła. To też Mrs. Paulina Barnett wsunęła się do wąskiego otworu za Eskimoską, a za nią Madge. Porucznik Hobson i inni uwolnili się od tych odwiedzin.

Mrs. Paulina zauważyła wkrótce, że najcięższem zadaniem nie było wejście do lepianki, lecz pobyt w niej. Powietrze, rozgrzane

przez ognisko, na ktorem paliły się koscie morsow, zanieczyszczone oliwą palącej się lampki, przesycone wyziewami tłustej odzieży i mięsem morsów, które jest głównem pożywieniem Eskimosów, było nie do zniesienia. Madge wyszła natychmiast, Mrs. Paulina Barnett jednak, nie chcąc zasmucać Eskimoski, pozostała w lepiance całych pięć minut – całych pięć wieków! Dwoje dzieci wraz z matką dotrzymywało towarzystwa podróżnicze. Mężczyzn nie było, gdyż udali się na polowanie na morsy, o cztery czy pięć mil od obozowiska.

Mrs. Paulina Barnett, wyszedłszy z lepianki, odetchnęła pełną piersią. Świeże powietrze odżywczo podziało na nią. Poblądle policzki odzyskały swą świeżą barwę.

– A więc, proszę pani – spytał porucznik – co pani powie o mieszkaniach Eskimosów?

– Uważam, że ich wentylacja jest niedostateczna – odpowiedziała spokojnie Mrs. Paulina Barnett.

Zajmująca ta rodzina obozowała tydzień cały w pobliżu przyłodka Eskimos. Na dobę poświęcali Eskimosi dwanaście godzin na polowanie morsów.

Z cierpliwością, o której Eskimosi tylko mogą mieć pojęcie, wyczekiwali na zjawienie się morsów w otworach, które wychodziły ziemnowodne te zwierzęta na pole lodowe. Gdy mors się zjawiał, zarzucano mu sznur na piersi i wyciągano go nie bez trudności, poczem zabijano siekierą. Był to raczej połów niż polowanie. Na zakończenie pito krew gorącą zabitego zwierzęcia którą Eskimosi zaniiali się z rozkoszą

Kalumah, pomimo ostrego chłodu, odbywała codzienne wycieczki do fortu Nadziei. Z największą przyjemnością chodziła po pokojach, przypatrywała się szyciu i gotowaniu. Zapytywała o nazwę angielską każdej rzeczy i rozmawiała godzinami z Mrs. Paulina Barnett, o ile słowo „rozmawiać” może być zastosowane do osób, które, aby wypowiedzieć swą myśl, muszą namyślać się długo nad każdym słowem. Skoro podróżniczka czytała głośno, Kalumah słuchała jej z niezmierną uwagą pomimo, że prawdopodobnie nie rozumiała jej wcale.

Kalumah śpiewała niekiedy głosem dość miłym piosenki o rytmie osobliwym, piosenki, z których wiał chłód i melancholja. Mrs. Paulina Barnett miała cierpliwość przetłumaczenia jednej z takich „sagas” grenlandzkich, ciekawej próbki poezji stref podbiegunowych, której melodia smutna, pełna długich pauz, następujących nierównymi interwałami, dodawała nieopisanego uroku. Zresztą podajemy poniżej jedną z tych poezyj, przepisaną w albumie podróżniczki.

### Piosnka grenlandzka.

Niebo jest czarne  
i słońce po niem się włoczy  
zaledwie!

Ciemnej rozpaczy  
ma biedna dusza niepewna  
jest pełna!

Jasnowłose dziewczę z mych czułych piosenek się śmieje,  
zima lodem ścięła jej serce.

Aniele wyśniony,  
ożywcza twa miłość  
upaja mnie.  
Zwyciężyłem  
mróz, by cię widzieć, by iść za twoim  
śladem

Niestety! pod pocałunków mych ciepłą słodyczą  
nie tają śniegi twego serca!

Ach, gdyby jutro  
z twą duszą zgodziła się  
moja,  
Oby twą rękę  
moja miłośnie

ujęła.

Niechaj słońce rozbłyśnie wysoko na naszym niebie  
a miłość stopi lody serca twego.

20 grudnia rodzina Eskimosów przyszła do fortu Nadziei pożegnać się z jego mieszkańcami. Kalumah przywiązała się do podróżniczki, która zatrzymałaby ją z przyjemnością przy sobie, ale młoda Eskimoska nie chciała opuścić swoich bliskich. Zresztą obiecała powrócić na przyszłe lato do faktorji.

Pożegnanie Kalumah było niezmiernie czułe. Ofiarowała Mrs. Paulinie Barnett mały pierścionek miedziany, a wzamian otrzymała naszyjnik z dżetu, w który ubrała się natychmiast.

Jasper Hobson nie pozwolił odejść tym biednym ludziom, nie obdarowawszy ich dużym zapasem żywności, którą obładowano ich sanki. Po kilku słowach Kalumah, któremi usiłowała wyrazić swą wdzięczność, Eskimosi, kierując się na zachód, znikli w gęstej mgle wybrzeża.



## Rozdział XX

## *Gdzie rtęć zamarza.*



ogoda sprzyjała myśliwym jeszcze dni kilka. Nie oddalali się wszakże od fortu. Obfitość zwierzyny zresztą w najbliższej okolicy pozwalała nie oddalać się zbytnio. Porucznik Hobson mógł być zadowolony z wyboru miejscowości. Łapki dostarczały wielkiej ilości zwierząt o cennych futrach. Sabine i Marbre zdołali upolować dość dużo zajęcy polarnych. Niemalą też liczbę zgłodniałych wilków osiągnięto celnymi strzałami. Krwiożercze te zwierzęta zbliżały się gromadami do fortu podczas nocy, wyjąc przeraźliwie. Od strony zaś pól lodowych ciągnęły niedźwiedzie, zmuszając mieszkańców do zdwojenia baczności.

25 grudnia wszelako i te wycieczki ustały. Zerwał się bowiem wiatr północny i mróz wzmógł się znacznie. Termometr Fahrenheita spadł do osiemnastu stopni poniżej zera (– 28° Cels.). Wiatr dał z niesłychaną gwałtownością. Nie omieszkano zaopatrzyć zwierząt w obfitą ilość żywności na wypadek kilkotygodniowego zamknięcia.

25 grudnia, jako dzień Bożego Narodzenia, tak drogi dla Anglików, był obchodzony z całą uroczystością. Mieszkańcy spędzili go na modlitwie, dziękując Opatrzności za jej dotychczasową nad nimi opiekę, wieczorem zaś urządzono

wspaniałą ucztę, uświetnioną olbrzymim puddingiem.

Nie brakło również gorejącego ponczu. Zgaszono lampy. Sala oświetlona sinawym błyskiem napoju, przybrała pozór fantastyczny. Poczciwe twarze żołnierzy ożywiły się na ten widok, a gorący napój miał niebawem dopełnić miary radości.

Poczem płomień zaczął gasnąć, rozdzielając się na błękitnawe smugi, wreszcie znikł zupełnie.

Wtedy stała się rzecz niespodziewana! Pomimo że lamp nie zapalono, w sali było jasno. Silne światło przedostawało się przez okno, światło czerwone, którego nie dostrzeżono przedtem z powodu płonących lamp.

Biesiadnicy zerwali się zdumieni, spoglądając na siebie pytająco.

– Pożar! – zawołało kilku z nich.

Ale była to rzecz nieprawdopodobna.

Porucznik zbliżył się pośpiesznie do okna.

Przyczyna zjawiska widniała przed nim. Był to wybuch wulkanu.

Istotnie. Na zachodzie, poza skalistym wybrzeżem, poza zatoką Morsów, horyzont był cały w ogniu. Nie można było dostrzec szczytu pagórków, z których wydobywał się płomień, gdyż znajdowały się o trzydzieści mil od przylądka Bathurst, lecz snop światła, wznosząc się na znacznej wysokości, oświetlał całą okolice swym odbłyskiem.





– Zjawisko to jest jeszcze piękniejsze od zorzy północnej! – zawołała Mrs. Paulina Barnett.

Tomasz Black zaprzeczył temu żywo. Jakże zjawisko ziemskie mogło być piękniejsze od niebieskiego! Ale zamiast zastanawiać się nad tem twierdzeniem, wszyscy wybiegli z sali, nie zważając na smagający wiatr, aby przypatrzeć się temu świetlnemu snopowi, rozpościerającemu się na mrocznym tle nieba.

Gdyby Jasper Hobson, jego towarzyszkę i towarzysze nie mieli uszu zakapturzonych grubymi futrami, mogliby byli usłyszeć głuche odgłosy wulkanu, przenikające powietrze. Ale w tym stroju ani słyszeć, ani mówić nie mogli. Zadowolili się musieli tylko patrzeniem. To jednak, na co patrzyli, było tak wspaniałe, że pozostawiło niezatarty ślad w ich umyśle. Między głębokim mrokiem nieba a olbrzymim kobiercem śniegu, płomień wulkanu wywoływały odbłyski świetlne, jakich żaden pędzel, żadne pióro oddaćby nie mogło! Silne odbicie światła sięgało aż

poza zenit, gasząc stopniowo blask gwiazd.

Śnieg połyskiwał złotem. Kra na polu lodowym, a za nią olbrzymie góry lodowe wyglądały jak żarzące zwierciadła, mieniające się różnemi barwami tęczy. Światłne snopy załamywały się i odbijały na wszystkich krawędziach, kątach, płaszczyznach rozmaicie pochylonych, nabierając silniejszego blasku i nowego zabarwienia. Zaiste, promienne to zjawisko było czarujące! Zdawało się, że natura zdobi się w ten przepych bajeczny dla godnego uczczenia tego święta światła!

Nadmierny mróz zmusił jednak wkrótce widzów do powrotu do ciepłego mieszkania; niejeden z nosów byłby odpokutował ciężko za rozkosz, na jaką sobie pozwolił wzrok przy takiej temperaturze.

Dni następnych mróz wzmógł się ze zdwojoną siłą. Zdawało się, że termometr rtęciowy nie wystarczy i że trzeba będzie użyć termometru alkoholowego. W nocy z 28 na 29 grudnia rtęć spadła do trzydziestu dwu stopni poniżej zera ( $-37^{\circ}$  Cels.).

Aczkolwiek piece były rozżarzone, temperatura pokojowa sięgała 20 stopni ( $-7^{\circ}$  Cels.), a o dziesięć stóp od pieca ciepło ulatniało się zupełnie. To też najlepsze miejsce oddawano małemu dziecku, które kołysał każdy pokolei, stojąc przy ognisku. Nie można było wcale otworzyć ani drzwi, ani okna, gdyż para, nagromadzona przez ciepło, byłaby się natychmiast zamieniła w śnieg. W korytarzu oddech ludzi wywoływał ten sam skutek. Słysząc było zewsząd wystrzały, które zadziwiały osoby, nie przyzwyczajone do zjawisk tego klimatu. Był to trzask pni

nie przyzwyczajone do zjawisk tego klimatu. Był to czas pni drzew, z których były zbudowane ściany domu, pękających pod wpływem mrozu. Musiano znieść ze strychu zapas wódki, likierów i dżynu, aby nie uległy zamarznięciu. Piwo, zrobione z pączków jodłowych, marznąc, rozsadzało baryłki. Drzewo, jak gdyby skamieniałe, paliło się z trudnością i Jasper Hobson musiał poświęcić część tłuszczu morsów, aby pobudzić jego działalność. Na szczęście przewiew w kominach był dobry, więc wynikię stąd wyziewy ulatniały się nazewnątrz, zatruwając okoliczne powietrze.

Zaznaczyć należy, że nadmierny ten mróz wywoływał niezwykle pragnienie. Aby je zaspokoić, trzeba było ustawicznie rozmarzać płyny przy piecu, gdyż płyn zamarznięty nie mógł służyć do tego celu. Drugim objawem działania mrozu była uporczywa senność, przeciwko której walczono z trudem. Mrs. Paulina Barnett, jednakowo dzielna zawsze, radami, rozmową, ciągłym ruchem starała się pomóc sobie i innym. To czytała na głos opis jakiej zajmującej podróży, to śpiewała jaką starą piosenkę angielską, której wtórowali wszyscy. Śpiewy te, chcąc nie chcąc, budziły uspiionych, zachęcając ich z kolei do śpiewania. W tem zamknięciu upływał dzień po dniu. Mróz wzmagął się ciągle. 31 grudnia rtec zamarzła w termometrze. Chłód więc przeszedł czterdzieści cztery stopnie (-42 Cels.).

Nazajutrz, 1-go stycznia 1860 r. porucznik złożył noworoczne życzenie Mrs. Paulinie Barnett, a zarazem winszował jej odwagi i pogodnego usposobienia, z jakim znosiła wszelkie trudy ciężkiego tego zimowania. Nie omieszkał również złożyć życzeń

astronomowi, dla którego wszakże Nowy Rok miał o tyle znaczenie, o ile miało w nim nastąpić zaćmienie słońca. Wszyscy członkowie wyprawy, tak ściśle z sobą związani węzłami sympatji, wieszowali sobie wzajemnie zdrowia, które na szczęście było dotychczas doskonałe. Kilka bowiem objawów skorbutu zostało skutecznie usuniętych dzięki zastosowaniu w porę „lime-juice” oraz pastylek wapiennych.

Lecz nie należało się cieszyć przedwcześnie! Pozostawały jeszcze trzy miesiące do końca zimy. Że słońce ukaże się nad horyzontem było to rzeczą niewątpliwą, lecz ręczyć nikt nie mógł, czy mróz nie wzmoże się jeszcze, gdyż w stronach podbiegunowych w miesiącu lutym temperatura dosięga zwykle swego najniższego punktu. W każdym razie w pierwszych dniach stycznia stan atmosferyczny nie rokował nic dobrego, a 5 stycznia termometr alkoholowy, wystawiony w oknie korytarza, wskazywał sześćdziesiąt sześć stopni poniżej zera ( $-52\text{ C.}$ ). Brakowało jeszcze kilku stopni, ażeby chłód dosięgnął a może przewyższył pamiętną temperaturę z r. 1845, zanotowaną w forcie Reliance.

Uporczywy ten mróz niepokoił wiele porucznika Hobson. Obawiał się, że poszukiwane przez niego zwierzęta o futrach cennych opuszczą okolicę przylądka Bathurst, udając się bardziej na południe, gdzie klimat jest mniej ostry, a tem samem wiosna nie przyniosłaby mu pożądanej zdobyczy. Oprócz tego, z podziemnych warstw ziemi dobywały się głuche odgłosy, związani zwykle z pobudzoną działalnością wulkanów. Na zachodniej stronie horyzontu ukazywały się ciałe płomienie i

niebezpieczną dla faktorji. Słuchając tych podziemnych odgłosów, porucznik zdawał sobie sprawę z groźnego położenia, w jakim się znajduje fort i jego mieszkańcy, z myślami swemi wszakże nie podzielił się z nikim.

Tymczasem mróz trwał ciągle a wraz z nim zamknięcie w domu jego mieszkańców. Zresztą nikomu na myśl nie przyszło, aby go opuścić. Co zaś do zwierząt, były one zaopatrzone w żywność dostatecznie, a zresztą zwierzęta te, przyzwyczajone do długich postów zimowych, nie potrzebowały pomocy swych panów. Nie było więc żadnego powodu dla narażania się na mróz tak dotkliwy, tem bardziej, że i w mieszkaniu, pomimo gorącego pieca, temperatura była zaledwie znośna. Pomimo usilnych zabiegów, wilgoć wkradała się w nieprzewietrzone pokoje, tworząc na belkach warstwę lodu codzien grubszą. Kondensatory były pełne zlodowaciałej wody, a nawet jeden z nich pękł pod jej naciskiem.

W tych warunkach porucznik Hobson nie oszczędzał opału. Gdy pod wpływem gasnącego ognia termometr spadał do piętnastu stopni Fahrenheita ( $-9^{\circ}$  Celsj), kazał dorzucać paliwa musiano więc stale czuwać przy palącym się ognisku.

– Zabraknie nam wkrótce drzewa – rzekł sierżant do porucznika.

– Zabraknie? – zawołał Jasper Hobson.

– Chcę powiedzieć – odezwał się sierżant – że zapasy, złożone w domu, się wyczerpują i że trzeba będzie sięgnąć do składu. A o tej porze wyjść z domu – to jest narazić swe życie.

– Tak – rzekł porucznik – popełniliśmy wielki błąd, nie zbudowawszy drwalni bliżej domu i nie połączywszy go z nią bezpośrednio. Za późno myśleć o tem obecnie. Nie powinienem był zapominać, że mamy zimować powyżej siedmdziesiątego równoleżnika. Ale stało się. – Powiedz mi, sierżancie, ile mamy drzewa w domu?

– Zaledwie na dwa lub trzy dni.

– Może da Bóg – odezwał się Jasper Hobson – że do tego czasu mróz będzie mniejszy i udanie się do składu nie będzie rzeczą tak niebezpieczną.

– Wątpię, panie poruczniku – odparł sierżant Long, potrząsając głową. – Powietrze jest czyste, gwiazdy błyszczą, wiatr jest północny i dziwiłbym się wielce, gdyby pogoda uległa zmianie przed nowiem, to jest przed dwoma tygodniami.

– A zatem, zacny sierżancie, nie damy się mrozom, i jak przydzie czas, że trzeba będzie narazić się...

– To się narazimy, panie poruczniku – odpowiedział spokojnie sierżant Long.

Jasper Hobson uściskał rękę sierżanta, o którego poświęceniu przekonał się już nieraz.

Możnaby przypuszczać, że Jasper Hobson i sierżant Long

przesadzają, twierdząc, że nadmierny mróz jest w stanie wywołać śmierć. Ale długoletnie ich doświadczenie przemawiało przez nich. Widzieli oni nieraz ludzi silnych, którzy padali na ziemię w omdleniu przy zetknięciu się z tym mroźnym powietrzem. Brak im było tchu i byli jak uduszeni. Te nieprawdopodobne wypadki zdarzały się często. Podczas swej podróży do wybrzeży zatoki Hudsonskiej w r. 1746, William Moor i Smith byli świadkami podobnych wydarzeń, gdyż stracili tym sposobem kilku towarzyszy. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że można się narazić na śmierć niechybną, zetknąwszy się z temperaturą, w której rtęć zamarza!

W tak niewesołym położeniu znajdowali się mieszkańcy fortu, gdy niespodziewany wypadek pogorszył je jeszcze bardziej.



1 Borsuki są tak podobne do rodzaju niedźwiedzi, że Linneusz uważał je za jeden z jego gatunków.

2 Rzeka przepływająca przez Hyde-Park w Londynie.

3 Na str. 37 i 41 rakiety mylnie nazwano nartami.

4 Gra w karty bardzo rozpowszechniona w Ameryce.

5 Dosłowne tłumaczenie wyrazu Eskimos.



**Jules Verne**

**W KRAINIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**

**(Rozdział XXI-XXIII)**

*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*

*Ilustracje Férat i Beaurepaire*

*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*

*Poznań 1925*







© Andrzej Zydorczak



## Część PIERWSZA

### Rozdział XXI

#### *Niedźwiedzie polarne.*



czterech okien domu jedno tylko wychodziło na podwórze. Było to okno w korytarzu, którego okiennica nie była zamknięta. Ale wyrzeć przez nie można było dopiero wtedy, gdy warstwa lodu została usunięta wrzącą wodą. Pracy tej dokonywano z polecenia Jasper Hobson'a kilka razy dziennie dla badania okolicy i stanu temperatury na wystawionym

na białym oknie i stanu temperatury na wystawionym  
nazewnątrz termometrze.

6 stycznia, około jedenastej zrana, żołnierz Kellet, stojący przy oknie, zawołał sierżanta Long, aby mu pokazać jakieś masy, poruszające się w ciemności.

Sierżant Long, zbliżywszy się do okna, rzekł spokojnie:

– To są niedźwiedzie.

Wistocie, kilka tych zwierząt zdołało przedostać się przez palisadę, a przyciągnięte silnym wyziewem dymu, zbliżyły się do domu.

Dowiedziawszy się o tem, Jasper Hobson kazał zabarykadować od wnętrza okno korytarza. Było to jedyne możliwe wejście do domu i zdawało się niepodobieństwem, aby niedźwiedzie mogły doń wtargnąć. Cieśla Mac Nap zajął się tą czynnością, zasłaniając okno mocnymi belkami, w ten sposób wszakże, aby wąskim otworem można było śledzić ruchy niedźwiedzi.

– Panowie ci nie wejdą tutaj bez naszego pozwolenia. Mamy więc czas zebrać radę wojenną.

– Tak więc, panie Hobson – rzekła Mrs. Paulina Barnett – użyjemy wszystkich wrażeń zimowania w tych stronach! Po mrozie – niedźwiedzie.

– Jeszcze nie „po” – rzekł porucznik Hobson – ale, co jest najważniejsze, że „podczas” mrozu i to mrozu, który nie pozwala nam wsiść z domu! Nie mam pojęcia, jak poradzimy sobie tych

niebezpiecznych zwierząt.

– Przypuszczam, że stracą cierpliwość i pójdą, jak przyszły.

Jasper Hobson potrząsnął głową.

– Pani nie zna tych zwierząt – odezwał się. – Z powodu ostrej zimy są wygłodniałe i nie odejdą stąd, dopóki nie będą zmuszone siłą!

– Więc pan się ich obawia? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– Tak i nie – odrzekł porucznik. – Niedźwiedzie nie wejdą do domu; ale nie wiem, jak my się zeń wydostaniemy, jeżeli zajdzie tego potrzeba.

Po tych słowach Jasper Hobson podszedł do okna, Mrs. Paulina Barnett zaś, Madge i reszta kobiet, otoczywszy sierżanta, słuchały, co im opowiadał o niedźwiedziach, jako człowiek doświadczony w tym względzie. Nieraz bowiem sierżant Long miał do czynienia z temi mięsożernymi zwierzętami, które spotyka się często nawet w okolicach bardziej na południe wysuniętych, ale w warunkach zgoła odmiennych, gdy można było z nimi walczyć z powodzeniem. Tu wszakże napadnięci pozostawali w zamknięciu, a mróz wyjść im nie pozwalał.

Przez cały dzień śledzono uważnie ruchy zwierząt. Od czasu do czasu zaglądały one w okno, poczem pomrukiwały gniewnie. Po naradzie z sierżantem Long, Jasper Hobson zdecydował, że jeżeli niedźwiedzie nie opuszczą swego stanowiska, trzeba będzie wydrążyć strzelnicę w ścianach domu, aby je spłoszyć

strzałami. Ale miano się wstrzymać dzień lub dwa przed użyciem tego sposobu, aby nie obniżyć temperatury pokojowej i tak już dość niskiej. Tuszcz morsów, który używano do palenia, był tak zmarznięty, że musiano go rąbać siekierą.

Dzień przeszedł bez wypadku. Niedźwiedzie krążyły dookoła domu, lecz dostać się do niego nie próbowały. Żołnierze czuwali całą noc, a o czwartej rano zdawało się, że zwierzęta opuściły podwórze. W każdym razie nie pokazywały się wcale.

O siódmej Marbre udał się na strych po zapasy. Powrócił jednak natychmiast z wiadomością, że niedźwiedzie są na dachu.

Jasper Hobson, sierżant, Mac Nap i kilku żołnierzy, schwyciwszy broń, pobiegli na strych drabiną, prowadzącą doń z korytarza. Ale na strychu było tak zimno, że po kilku minutach powrócili wszyscy, nie mogąc utrzymać strzelb w rękach. Wilgotne powietrze, spowodowane oddechem, spadało płatami śniegu dookoła nich.



Marbre nie mylił się. Niedźwiedzie biegały po dachu, pomrukując. Odgarnawszy pazurami warstwę lodu, wciskały się nimi do łąt dachu, jakby je wyrwać chciały.

Jasper Hobson zastanowił się nad tem poważnie.

– Niedźwiedzie są w tej chwili na dachu – odezwał się do obecnych. – Obawiać się jednak ich nie potrzebujemy, gdyż zwierzęta dostać się nie mogą do mieszkania. Lecz obawiam się, że zdołają wdrzeć się do strychu i pożreć futra tam złożone. Futra te są własnością Towarzystwa, obowiązkiem naszym więc strzec ich pilnie. Proszę was, towarzysze, abyście pomogli mi ukryć je w miejscu bezpiecznym.

Natychmiast żołnierze ustawili się szeregiem w sali, w kuchni, w korytarzu i na drabinie. Zmieniali się kolejno, gdyż długo wytrzymaćby nie mogli na strychu, z powodu panującego tam mrozu, i w godzinę później futra były złożone w wielkiej sali.

Podczas tej pracy niedźwiedzie w dalszym ciągu biegały po dachu, starając się wyrwać zeń krokwie. W kilku miejscach zdawało się nawet, że belki ustępowały pod ich naciskiem. Mac Nap zatrwożył się wielce. Budując dach, nie przypuszczał, że znajdą się na nim tak nieproszeni goście.

Dzień jednak przeszedł, a niedźwiedzie nie wtargnęły do strychu. Ale wróg niemniej groźny wkradał się powoli do pokojów! Ogień gasł w piecach. Zapas drzewa był prawie wyczerpany. Opału starczyło zaledwie na kilkanaście godzin.

Widmo śmierci od mrozu stało przed oczyma mieszkańców

fortu. Biedni ludzie, tuląc się do siebie wokół zagasającego ogniska, czuli jak ciepło ich opuszcza. Nie skarżyli się jednak. Kobiety nawet znosiły mężnie te męczarnie. Mrs. Mac Nap tuliła namiętnie swe dziecko do piersi. Kilku żołnierzy spało, a raczej wpadło w stan bezwładu, którego nie możnaby snem nazwać.

O trzeciej zrana Jasper Hobson spojrział na termometr, zawieszony na murze sali, o niespełna dziesięć stóp od pieca.

Wskazywał cztery stopnie Fahrenheita poniżej zera ( $-20^{\circ}$  Cels.)!

Porucznik, powiodłszy ręką po czole, spojrział na zwartą i milczącą grupę towarzyszy i stanął nieruchomy. Oddech, wydobywający się z jego piersi, a zamieniony na bielejący opar, otaczał go zewsząd.

W tej chwili ktoś położył rękę na jego ramieniu. Była to Mrs. Paulina Barnett.

– Trzeba coś przedsięwziąć, poruczniku Hobson, nie możemy umrzeć, nie starając się bronić!

– Tak, pani – odpowiedział porucznik pod wpływem budzącej się energii – trzeba coś przedsięwziąć!

Porucznik zawołał sierżanta Long, Mac Nap'a i kowala Raë, to jest ludzi najodważniejszych z oddziału. W towarzystwie Mrs. Pauliny Barnett zbliżyli się do okna i, obmywszy je wrzącą wodą, spojrzeli na termometr, znajdujący się na dworze.

– Siedemdziesiąt dwa stopnie ( $-40^{\circ}$  Cels.)! – zawołał Jasper

Hobson. – Towarzysze! nie pozostaje nam nic innego, jak narazić swe życie, dostając się do zapasu drzewa, albo spalić stopniowo ławki, łóżka, przegrody, słowem wszystko, co może służyć za paliwo. Ale to ostatnie jest prowizoryczne, gdyż nic nie zapowiada zmiany pogody.

– A więc ryzykujemy! – odezwał się sierżant Long.

Tego samego zdania byli jego dwaj towarzysze. W milczeniu wzięli się do dzieła.

Oto, co zostało postanowione i co przedsięwzięto, aby zabezpieczyć, o ile to było możliwe, życie tych, którzy poświęcali się dla innych.

Skład, w którym drzewo było złożone, znajdował się o pięćdziesiąt kroków na lewo od domu. Zadecydowano, że jeden z ludzi starać się będzie dostać do składu. Miał zabrać z sobą długi sznur, okręcony dokoła ciała, a drugi, którego koniec był w rękach towarzyszy, miał ciągnąć za sobą. Dostawszy się do składu, miał naładować sanki, złożone w składzie, drzewem, poczem, przywiązując jeden ze sznurów do przedniej części sanek, aby można je było zawrócić do składu, miał ułatwić stałą komunikację między domem i składem, i tym sposobem zapewnić dowóz drzewa do domu. Szarpnięcie odpowiednim sznurem miało wskazywać, w jakim kierunku sanki miały zdążać.

Plan ten był bardzo pomysłowy, lecz jego wykonanie zależało od dwu okoliczności: czy drzwi składu nie są zbyt zamrożone, i czy niedźwiedzie, opuściwszy dach, nie znajdują się między

domem a składem.

Sierżant Long, Mac Nap i Raë, wszyscy trzej gotowi byli udać się do składu. Sierżant jednak zwrócił uwagę swym towarzyszom, że jako żonaci nie mają prawa się narażać i oświadczył, że on sam podejmie się tego zadania. Jasper Hobson chciał go zastąpić, ale Mrs. Paulina Barnett zaprzeczyła temu żywo:

– Panie Jasper – rzekła – pan jest naszym przywódcą, pan nie ma prawa się narażać. Niech sierżant Long idzie sam.



Jasper Hobson, wiedząc, jakie obowiązki nakłada nań rola dowódcy, nie nalegał więcej, i polecił sierżantowi Long podjęcie się trudnego zadania. Mrs. Paulina Barnett uściśliła rękę dzielnego żołnierza.

Reszta mieszkańców, obezwładniona mrozem, nie wiedziała nic o śmiałym tem przedsięwzięciu.

Przygotowano dwa długie sznury. Sierżant, ubrany w futra wartości tysiąca funtów szterlingów określił się jednym ze



sznurów. Drugi przywiązał do paska, do którego również umocował krzesiwo i rewolwer. Poczem w chwili, gdy miał wyruszyć, wypił pół szklanki wódki, mówiąc że pije „dobry haust paliwa”.

Jasper Hobson wtedy wraz z sierżantem, Raë'm i Mac Nap'em wyszli z sali. Przeszedłszy przez kuchnię, w której dogasało ognisko, weszli do korytarza. Raë wszedł po drabinie na strych, aby się przekonać, czy niedźwiedzie są na dachu. Stwierdziwszy ich obecność, powrócił dać o tem znać towarzyszom. Pora działania nadeszła.

Otworzono wewnętrzne drzwi korytarza. Mróz przeniknął wszystkich do szpiku kości. Gdy otworzono drzwi bezpośrednio wychodzące na zewnątrz, musieli się narazie cofnąć przed napływającą mroźną falą powietrza. W jednej chwili opar wilgotny, unoszący się w korytarzu, zamienił się na drobny śnieg, osiadający na ścianach i podłodze.

Powietrze na zewnątrz było niezmiernie suche. Gwiazdy błyszczały blaskiem niezwykłym. Sierżant Long, nie wahając się ani chwili, wypadł z domu, ciągnąc za sobą sznur, którego drugi koniec był w rękach jego towarzyszy. Wtedy przymknięto wejście i Jasper Hobson, Mac Nap i Raë powrócili do korytarza, zamykając za sobą szczelnie drzwi wewnętrzne. W korytarzu zatrzymali się, czekając na rezultat śmiałej wyprawy. O ileby sierżant nie powrócił po kilku chwilach, znaczyłoby to, że dostał się do składu i ładuje drzewo. Zajęcie to powinno było zająć mu najwyżej dziesięć minut. Raë tymczasem pobiegł na

strych pilnować niedźwiedzi. Noc była ciemna, przypuszczano więc, że zwierzęta nie dostrzegą sierżanta.

Po upływie dziesięciu minut Jasper Hobson, Mac Nap i Raë weszli do wąskiego przejścia, dzielącego drzwi, oczekując na umówiony znak co do wciągnięcia sanek do domu.

Lecz pięć minut upłynęło, a sznur nie poruszył się. Można sobie wyobrazić, jaki niepokój ich ogarnął! Minał kwadrans, odkąd sierżant opuścił dom, sznur zaś nie poruszał się.

Jasper Hobson poczekał jeszcze chwil kilka, poczem wyprężając sznur, dał znak towarzyszom, aby mu pomogli. Jeżeli sanki nie były naładowane, sierżant zatrzyma holowanie.

Sznur ciągniono z całej siły. Jakiś ciężki przedmiot sunął zwolna po ziemi. Wkrótce zatrzymał się przy drzwiach...

Było to ciało sierżanta Long. Nieszczęśliwy Long nie dotarł nawet do składu. Porażony siłą mrozu, upadł na drodze. Leżąc prawie dwadzieścia minut wśród tego zabójczego chłodu, musiał paść jego ofiarą.

Mac Nap i Raë z okrzykiem rozpaczony wnieśli ciało do korytarza; w chwili jednak, gdy porucznik chciał zamknąć drzwi zewnętrzne, uczył, że ktoś je odpycha, i jednocześnie usłyszał straszny pomruk.

– Do mnie! – zawołał Jasper Hobson.





Zanim Mac Nap i Raë zdążyli rzucić się mu na pomoc, Mrs. Paulina Barnett była już przy nim. Ale nadaremnie usiłowali drzwi przycisnąć, olbrzymie zwierzę parło całą siłą, chcąc wejść do korytarza... Mrs. Paulina Barnett, wyrwawszy jeden z pistoletów z za pasa porucznika, oczekiwała z zimną krwią na zjawienie się napastnika, gdy zaś ukazała się głowa niedźwiedzia, wystrzeliła w otwartą jego paszczę.

Niedźwiedź upadł, zapewne śmiertelnie rażony, a drzwi zamknięto, barykadując je szczelnie.

Przeniesiono natychmiast ciało sierżanta do wielkiej sali i położono je w pobliżu pieca. Ale ostatnie węgle już dogasały! Jakże można było myśleć o pomocy dla nieszczęśliwego, w którym dogasały ostatnie isierki życia?

– Pójdę! pójdę! – zawołał kowal Raë – pójdę po to drzewo, albo –

– Tak, Raë! – odezwał się głos kobiety – pójdziemy razem!

Kobietą tą była jego dzielna żona.

– Nie. towarzysze. nie! – zawołał Jasper Hobson. – Nie

uszlubyście ani przed mrozem, ani przed niedźwiedziem. Spalimy wszystko, co posiadamy, a później niech nas Bóg ratuje!

Na te słowa wszyscy ci nieszczęśliwi, napoły zmarznięci, zerwali się jak szaleni, chwytając za topory. W jednej chwili stoły, ławki, przegrody, słowem, wszystko było porąbane, ale zato w piecu ukazały się niebawem żarzące płomienie, podniecane tłuszczem morsów.

Temperatura podniosła się o jakie dwanaście stopni. Wtedy zajęto się gorliwie sierżantem Long. Po kilkakrotnem natarciu go wódką zdołano pobudzić krążenie krwi. Białawe plamy, pokrywające miejscami ciało, zaczynały znikać. Ale nieszczęśliwy cierpiał bardzo i dopiero po upływie kilku godzin był w stanie przemówić. Położono go na wygrzanem łóżku; Mrs. Paulina Barnett i Madge czuwały przy nim noc całą.

Tymczasem Jasper Hobson, Mac Nap i Raë naradzali się nad sposobem wyjścia z tego groźnego położenia. Oczywiście było rzeczą, że to nowe paliwo wystarczy co najwyżej na dni parę. A co będzie potem? Nowy księżyc jaśniał już od czterdziestu ośmiu godzin, a stan atmosferyczny nie zmieniał się bynajmniej. Wiatr północny dał z całą siłą. Barometr wskazywał niezmiennie pogodę, a z ziemi zlodowaciałej nie unosił się najmniejszy opar. Można było się obawiać, że mróz stale tu zagości. Ale co przedsięwziąć? Czyż miano znów próbować wycieczki do składu, która stała się tem niebezpieczniejsza, że obudziła czujność niedźwiedzi? Czyż można było walczyć z temi zwierzętami na swobodzie? Nigdy. Byłoby to szaleństwo

opłacone śmiercią wszystkich.

W pokojach wszakże temperatura stała się znośniejszą. Owego to rana Mrs. Joliffè mogła podać na śniadanie ciepłe mięso i herbatę. Płomienistego grogu nie szczędzono wcale, a sierżant Long popijał go z zadowoleniem. Dobroczynne ciepło pieców wpływało dodatnio na stan moralny biednych tych ludzi. Oczekiwali z niecierpliwością na rozkaz porucznika walki z niedźwiedziami. Ale Jasper Hobson, wiedząc, że szanse nie są równe, obawiał się narazić swych towarzyszy. Zdawało się, że dzień upłynie spokojnie, gdy około trzeciej po południu niezwykle hałas dał się słyszeć na strychu domu.

– Otóż i one! – zawołali żołnierze, uzbrajając się spieszenie w siekiery i pistolety.

Było rzeczą oczywistą, że niedźwiedzie, wyrwawszy krokwie z dachu, dostały się do wnętrza strychu.

– Niech nikt się z miejsca nie rusza! – rzekł porucznik głosem spokojnym. – Raë, umocnij drzwi od strychu.

Kowal wybiegł z sali do korytarza i dopadłszy drabiny, zamknął drzwi szczelnie.

Usłyszano przeraźliwy hałas ponad sufitem, który zdawał się uginać pod ciężarem niedźwiedzi. Był to pomruk zwierząt, uderzenie łapami i drapanie potężnymi pazurami.

Czy wtargnięcie niedźwiedzi miało pogorszyć położenie mieszkańców fortu? Oto nad czym zastanawiali się Jasper Hobson i jego towarzysze. Niektórzy sadzili, że wyczerpanie

Hobson i jego towarzysze. Niektórzy sądzili, że przeciwnie, polepszyło się znacznie. Jeżeli – co jest bardzo prawdopodobne – niedźwiedzie dostały się w całym komplecie na strych, można je było osaczyć na tej wąskiej przestrzeni, nie narażając się bezpośrednio na mróz zewnętrzny. Zapewne, walka byłaby bardzo groźna, ale w każdym razie była możliwa.

Należało więc zdecydować się na nią. Walka ta była jednak niezmiernie trudna, gdyż żołnierze przez wąski otwór mogli się dostać na strych tylko pojedynczo.

To też nic dziwnego, że Jasper Hobson wahał się z jej rozpoczęciem. Po naradzie z towarzyszami, postanowił czekać. Może zajdzie coś nieprzewidzianego, co przechyli szalę na ich stronę. Było prawie niepodobne, aby niedźwiedzie podważyły belki sufitu, umocowane dokładniej, niż krokwie dachu.

Postanowiono zatem czekać. Dzień upłynął. Nastała noc. O spoczynku nie było mowy. Hałas na strychu był niemożliwy do zniesienia.

Nazajutrz, o dziewiątej, nowy wypadek pogorszył położenie, a tem samem zmusił porucznika do szybkiego działania.

Jak wiadomo, rury kominów przechodziły przez strych. Rury te, zbudowane z wapiennych cegiełek, bardzo niedokładnie ocementowanych, nie mogły oprzeć się bocznemu naporowi. Otóż niedźwiedzie, czy to drapiąc je pazurami, czy też opierając się o nie dla ogrzania się, powoli je niszczyły. Kawalki cegieł opadały jedno po drugim i niebawem piece stały się niezdadne do użytku.

Był to wypadek tak doniosły i tak niepowetowany, że byłby wytrącił zupełnie z równowagi ludzi mniej energicznych. A do tego, dym paleniska, nie mogąc się wydostać nazewnątrz, zwrócił się do wnętrza i przemknął powietrze swym czarnym, cuchnącym wyziewem. Po kilku chwilach opar ten stał się tak gęsty, że światło lampy w nim znikło. Trzeba więc było, bądź co bądź, wyjść z domu, nie chcąc oczadzić w tej dusznej atmosferze. A znów wyjść z domu, znaczyło zginąć od mrozu!

Rozległ się krzyk kilku kobiet.

– Towarzysze! – zawołał porucznik, chwytając za siekiere – na niedźwiedzie! na niedźwiedzie!



Było to jedyne wyjście możliwe z tego rozpaczliwego położenia. Trzeba było raz skończyć z temi strasznymi zwierzętami! Wszyscy, co do jednego, rzucili się do korytarza, a stąd na drabinę. Jasper Hobson był na czele. Podważono drzwi. Wśród czarnego dymu zabłysnął ogień strzałów. Słychać było

okrzyki, połączone z wyciem, krew lała się obtacie. Walka toczyła się wśród najgłębszego mroku.

Ale w tejże chwili rozległy się w powietrzu jakieś straszne pomruki. Ziemia zaczęła się chwiać pod wpływem silnych wstrząsów. Dom się pochylił, jak gdyby wyrwany z posad. Belki ścian rozluźniły się, a przez utworzone szpary Jasper Hobson i jego towarzysze mogli ze zdumieniem stwierdzić, że niedźwiedzie, niemniej od nich przełknięte, uciekały wyjąć wśród ciemności.



## Rozdział XXII

*W ciągu pięciu miesięcy.*



wałtowne trzęsienie ziemi nawiedziło tę część lądu amerykańskiego. Wstrząśnienia tego rodzaju musiały być częste na tem podłożu wulkanicznym. Związek między tem zjawiskiem a wybuchami wulkanów raz jeszcze znalazł swe potwierdzenie.



Jasper Hobson rozumiał, co się stało, i oczekiwał z wzrastającym niepokojem dalszych wypadków. Pęknięcie ziemi mogło pochłonąć jego i towarzyszy. Lecz tylko jedno silne wstrząśnienie odczuć się dało, a raczej było to odbicie silniejszego jeszcze wstrząśnienia.

Należało zająć się rzeczą najważniejszą, to jest naprawą domu, który, aczkolwiek wstrząśnięty, był jeszcze mieszkalnym. Zatkano więc natychmiast otwory między rozsuniętymi belkami i naprawiono, o ile to było możliwe, kominy.

Rany, które ponieśli niektórzy z żołnierzy w walce z niedźwiedziami, okazały się niegroźne, opatrzone też je szybko.

W tych warunkach upłynęły dwa dni. Biedni rozbitkowie palili wszystko, co było pod ręką: łóżka, deski, przegrody. Mac Nap i jego pomocnicy zajęli się najpilniejszą naprawą wnętrza domu. Pale, stanowiące jego podstawę, a mocno osadzone w ziemi, nie były naruszone. Przypuszczano jednak, że trzęsienie ziemi wywołało niespodziewane zmiany na powierzchni wybrzeża. Jasper Hobson chciał się dowiedzieć jak najprędzej o tych zmianach, gdyż mogły wpłynąć немало na los faktorji. Ale nieubłagany mróz trzymał go w domu.

Niebawem jednak z pewnych oznak wnioskować było można, że pogoda ulegnie zmianie. Gwiazdy stały się mniej błyszczące. 11 stycznia barometr spadł na kilka linii. W powietrzu unosiły się opary, a ich gęstość świadczyła o bliskim zmniejszeniu się mrozu.

Istotnie 12 stycznia wiatr zmienił kierunek na południowo-

zachodni, a śnieg zaczął padać chwilami. Termometr podniósł się nagle do piętnastu powyżej zera ( $-9^{\circ}$  Cels.). Dla nieszczęśliwych mieszkańców fortu temperatura ta równała się wiosennej.

Owego to dnia, o jedenastej zrana, wszyscy wyszli z domu. Wyglądali jak gromada więźniów, wypuszczona nagle na swobodę. Ale porucznik zabronił oddalać się poza zagrodę fortu z obawy, aby nie spotkano niepożądanych wędrowców.

O tej porze roku słońca jeszcze niema, ale zbliża się ono do horyzontu o tyle, że zmrok jest dłuższy. Wskutek tego przedmioty zarysowywały się wyraźnie w promieniu dwu mil. To też Jasper Hobson nie omieszkął przyjrzeć się okolicy, tak niedawno nawiedzanej trzęsieniem ziemi.

Znalazł w niej wielkie zmiany. Wyniosłe skały, tworzące zakończenie przylądka Bathurst, były poczęści zniesione, a duże ich złomy spoczywały w pobliżu wybrzeża. Zdawało się, że cały przylądek pochylił się ku jezioru, a tem samem, że fort usunął się ze swego miejsca. Naogół biorąc, grunt pochylił się ku zachodowi, a wzniosł – ku wschodowi. Zmiana poziomu musiała pociągnąć za sobą to następstwo, że wody jeziora i rzeki Pauliny pod wpływem odwilży rozleją się w kierunku zachodnim i część gruntu będzie zalana. Rzeczka prawdopodobnie utoruje sobie nowe łożysko i zmieni swe ujście. Pagórki wschodniego wybrzeża jakoby zmniejszyły znacznie swą wyniosłość. Co zaś do urwistego zachodniego wybrzeża, było ono zbyt dalekie, aby można coś o niem sądzić. Słowem, ważna zmiana, wywołana trzęsieniem ziemi, polegała na tem, że na przestrzeni czterech do

pięciu mil powierzchnia gruntu z poziomej stała się pochyłą w kierunku zachodnim.

– Pan, panie Hobson – odezwała się żartobliwie podróżniczka – był na tyle uprzejmy, że nazwał rzeczkę i jej ujście moim imieniem i nazwiskiem, a oto, niema już ani rzeki Pauliny, ani portu Barnett! Widocznie nie mam szczęścia!

– Zapewne – odrzekł porucznik – ale jeżeli niema rzeczki, to natomiast zostało jeziorko, które, o ile pani pozwoli, nazwiemy jeziorem Barnett. Przypuszczam, że nie zdradzi pani.

Mr. i Mrs. Joliffe, wydostawszy się z domu, udali się natychmiast jedno do psiarni, drugie do obory, gdzie były renifery. Psy nie ucierpiały zbyt w swem zamknięciu, to też wybiegły, skacząc, na podwórze. Co do reniferów, to jeden z nich zginął nielawno. Inne zaś, choć nieco przychudłe, miały dość zdrowy wygląd.

– Nie spodziewałem się – rzekł porucznik, zwracając się do idącej obok niego Mrs. Pauliny Barnett – że sprawa nasza skończy się tak pomyślnie!

– A ja nie wątpiłam nigdy – odezwała się podróżniczka. – Ludzie tego pokroju co pan i pańscy towarzysze, nie poddają się tak łatwo żelaznej ręce zimy.

– Proszę pani, odkąd przebywam w tych krainach polarnych, nie doświadczyłem nigdy takiego mrozu, a jeżeli mam wyznać prawdę, zdaje mi się, że gdyby był potrwał dłużej, byłibyśmy zombieni.

– A więc trzęsienie ziemi przyszło w porę, aby wystraszyć niedźwiedzie – rzekła podróżniczka – i może ono przyczyniło się części do zmiany temperatury.



– Możliwa to rzecz, a nawet bardzo możliwa – odezwał się porucznik. – Wszystkie zjawiska natury mają łączność wzajemną. Wyznać wszakże muszę, że podłoże wulkaniczne tego gruntu niepokoi mnie niemało. Sąsiedztwo czynnego wulkanu nie jest pożądane dla naszej siedziby. Wprawdzie lava nie dostanie się do nas, lecz wulkan wywołuje wstrząśnienia, które nam grożą. Niech pani patrzy, jak wygląda obecnie nasz dom!

– Pan każe go naprawić na wiosnę, a skorzystawszy z doświadczenia, każe pan wzmocnić jego ściany.

– Zapewne, ale zanim wiosna nadejdzie, musi on pozostać w obecnym stanie, a nie wiem, czy nie wyda się pani zbyt niewygodnym.

– Mnie – odpowiedziała ze śmiechem Mrs. Paulina Barnett – mnie, podróżniczce! Wyobrażać sobie będę, że przebywam w kajucie statku, który przechyla się na jedną stronę, a ponieważ pański okręt nie kołysze się wzdłuż i wpoprzek, nie potrzebuję się obawiać żadnej przypadłości.

– Wiem, wiem – odpowiedział Jasper Hobson – że pani zgadza się ze wszystkim, i brak mi słów dla wyrażenia mego podziwu wobec niezwykłego charakteru pani. Któż zresztą go nie ocenia! Któż nie wie, że swą duchową energią, swem pogodnym usposobieniem podtrzymywała nas pani w ciężkich chwilach, które przebyliśmy, towarzysze moi i ja. To też w ich imieniu i swoim dziękuję pani serdecznie!

– Doprawdy, przesadza pan, panie Hobson...

– Nie, nie, wszystko, co mówię, powtórzą z ochotą inni. Ale pani pozwoli, że ją zapytam o jedno. Pani wie, że w czerwcu, bieżącego roku, kapitan Craventy ma nam wysłać oddział z żywnością, który zpowrotem zabierze złożone futra do fortu Reliance. Prawdopodobnie nasz przyjaciel Tomasz Black, ujrawszy zaćmienie, zechce powrócić z tymże oddziałem. Pozwoli pani, że zapytam się, czy pani ma zamiar mu towarzyszyć?

– Czy pan mnie odsyła, panie Hobson? – spytała z uśmiechem podróżniczka.

– Cóż znowu, proszę pani!...

– A zatem, panie poruczniku – odrzekła Mrs. Paulina Barnett,

wyciągając rękę do Jasper Hobsona – prosić pana będę o spędzenie jeszcze jednej zimy w forcie Nadziei. Prawdopodobnie w przyszłym roku Towarzystwo wyśle do przyłądka Bathurst swój okręt, więc skorzystam zeń, aby, zamiast łodem, odbyć podróż przez cieśninę Berynga.

Porucznik był zachwycony postanowieniem swej towarzyszki. Cenił on i szanował wielce dzielną Mrs. Paulinę Barnett i przywiązał się do niej szczerze, ona zaś, ceniąc jego wybitne zalety serca i umysłu, odpłacała mu równem uczuciem. Zaiste, ciężką byłaby chwila rozstania dla obojga. Któż wie zresztą, czy nie czekają ich jeszcze straszne przejścia i czy nie od nich obojga będzie zależało ocalenie innych...

20 stycznia słońce ukazało się po raz pierwszy, zwiastując kres nocy polarnej. Zabłysło wprawdzie na krótko, lecz niemniej było radośnie witane przez spragnionych jego widoku mieszkańców fortu. Od tej pory dzień przedłużał się stale.

Do piętnastego marca pogoda była jeszcze bardzo zmienna. Mróz naprzemian ze śniegiem zjawiał się nagle. Mróz nie pozwalał myśliwym polować; śnieżne zawieje zatrzymywały ich w domu. To też rzadkie były chwile, w których mogli oddać się swemu zawodowi i to w okolicy najbliższej. Zresztą dalsze wycieczki nie były potrzebne, łapki bowiem przynosiły plon obfity. Kuny, lisy, gronostaje, wolwereny i inne cenne zwierzęta wpadały w zastawione sidła, myśliwi więc nie tracili czasu, nie oddalając się od swej siedziby. W marcu odbyli tylko jedną dłuższą wycieczkę do zatoki Morsów, gdzie przekonać się

mogli, że trzęsienie ziemi nie pozostało bez wpływu na urwiste jej wybrzeże, które obniżyło się znacznie. Poza niem, w dali, góry wulkaniczne, otoczone lekkim oparem, zdawały się odpoczywać po znoju.

Około dwudziestego marca zjawiły się pierwsze łabędzie, które ciągnęły z południa na północ z przeraźliwym krzykiem. Ukazały się również „dzwońce śnieżne” i „sokoły zimujące”. Ale olbrzymia warstwa śniegu pokrywała jeszcze ziemię, a wody jeziora i morza nie pozbyły się jeszcze swej lodowej powłoki.



Dopiero w pierwszych dniach kwietnia lód pękać począł. Pęknięcie to czasami było tak głośne, że przypominało huk dział. Lodowate zwały zmieniły swą postać zupełnie. Niejedna góra lodowa, pod wpływem wstrząśnienia, przewracała się z trzaskiem, wywołując swym ciężarem szybsze pęknięcie lodów na zamrożonej wodzie.

W tej porze temperatura średnia dochodziła do trzydziestu dwu stopni powyżej zera ( $-0^{\circ}$  Cels.). To też powoli lód w

poblizu wybrzeża tajał, a zwały lodowe, pociągane prądami polarnymi, cofały się stopniowo w dal. 15 kwietnia morze było już dostępne dla żeglugi i okręt mógłby być dopłynąć przez cieśninę Berynga do przylądka Bathurst.

Jednocześnie z oceanem Podbiegunowym jezioro Barnett pozbyło się swej lodowej powłoki, ku wielkiemu zadowoleniu kaczek i innych wodnych ptaków, które mnożyły się na wybrzeżach. Ale tak, jak to był przewidział porucznik Hobson, obwód jeziora powiększył się znacznie wskutek zmiany w położeniu gruntu. Jasper Hobson zauważył, że wody jeziora cofnęły się na wschodnim jego wybrzeżu o sto pięćdziesiąt kroków, dążąc na zachód, a tem samem grożąc okolicy powodzią, o ile nie napotkają jakiej naturalnej przeszkody.

Było rzeczą bardzo pomyślną, że pochylenie gruntu nastąpiło ze wschodu na zachód, gdyż w przeciwnym razie faktorja byłaby zalana.

Co do rzeczki znikła ona wraz z odwilżą, jak gdyby woda wróciła do swego źródła, zmuszona do tego pochyleniem w tem miejscu gruntu z północy na południe.

– Oto rzeczka – rzekł Jasper Hobson, zwracając się do sierżanta – którą wykreślić należy z map lądów polarnych. Gdyby rzeczka była jedyną naszą dostawczynią wody, zdatnej do picia, byłibyśmy w niemałym kłopotcie. Na szczęście mamy jeszcze jezioro Barnett i mam nadzieję, że nie wyczerpiemy go do dna.



– Zapewne – odrzekł sierżant Long. – Ale... Czy jego woda pozostała słodka?

Jasper Hobson spojrział uważnie na sierżanta – i zmarszczył brwi. Na myśl mu nie przyszło, że pęknięcie ziemi mogło połączyć morze z jeziorkiem. Niepowetowana ta strata zmusiłaby mieszkańców fortu do opuszczenia faktorii!



Porucznik i sierżant skierowali się natychmiast ku jezioru, ale na szczęście przekonali się, że woda była słodka.

W pierwszych dniach maja warstwa śniegu znikła miejscami, a pod wpływem promieni słonecznych ziemia zaczęła się pokrywać zielenią mchów i traw. Nasiona szczawiu i łyżczycy, posiane ręką Mrs. Joliffe, wychylały swe kielki z ziemi. Gruba warstwa śniegu uchroniła je od mrozów. Lecz obecnie trzeba je było zabezpieczyć od żarłoczości ptaków i gryzoniów, co też uczynił zacny kapral, wywiązując się z tego zadania z sumiennością i powagą straszidła umieszczanego zazwyczaj w ogrodzie warzywnym.

Powróciły dnie długie, a z nimi wyprawy myśliwskie.

Porucznik bowiem chciał wysłać do fortu Reliance jak największy zapas futer, które zabrać miał oddział z żywnością, spodziewany za kilka tygodni. Marbre, Sabine wraz z innymi myśliwymi wzięli się do dzieła. Wycieczki nie były ani długie, ani męczące. Myśliwi nie potrzebowali oddalać się więcej nad dwie mile od przylądka Bathurst, zwierzyna bowiem w wielkiej obfitości znajdowała się w najbliższej okolicy. Kuny, renifery, zające, karibu, lisy, gronostaje wpadały same pod strzały myśliwych.

Zaznaczyć jednak należy, że ku wielkiemu zmartwieniu myśliwych, niedźwiedzie nie pojawiały się wcale i można było sądzić, że napastnicy, uciekając, pociągnęli za sobą cały swój ród. Być może, że trzęsienie ziemi przyczyniło się do tego, zwierzęta te bowiem są nadzwyczaj wrażliwe, a nawet „nerwowe”, o ile można użyć tego wyrażenia, mówiąc o zwykłych czworonogach.

Miesiąc maj był dość dżdżysty. Śnieg i deszcz padały naprzemian. Temperatura średnia dochodziła tylko do czterdziestu jeden stopni powyżej zera (+ 5° Cels.). Mgła zjawiała się często, a nieraz była tak gęsta, że niebezpiecznie było oddalać się od fortu. Dwu żołnierzy, Petersen i Kellet, zapuściwszy się w głąb okolicy, błakali się w niej czterdzieści osiem godzin ku zmartwieniu swych towarzyszy. Straciwszy kierunek drogi, nie mogli jej odnaleźć, a sądząc, że są w zatoce Morsów, znaleźli się na południu. To też powrócili zmęczeni i

nawpół żywi z głodu.

Lato w prawdziwym znaczeniu tego słowa zaczęło się dopiero w czerwcu. Powietrze nieraz było upalne. Mieszkańcy fortu rozstali się z zimowym ubraniem. Zabrano się do naprawy domu. Jednocześnie Jasper Hobson nakazał budowę rozległego składu w południowym krańcu podwórza. Okolica była tak bogata w zwierzynę, że budynek ten okazał się potrzebny. Zapas futer był tak znaczny, że wymagał osobnego dla siebie pomieszczenia.

Tymczasem Jasper Hobson oczekiwał z dnia na dzień nadejścia oddziału z fortu Reliance. Niejednej bowiem rzeczy brak było w faktorii, a przede wszystkim amunicji. Jeżeli oddział opuścił fort Reliance w pierwszych dniach maja, to powinienby dotrzeć do przylądka Bathurst w połowie czerwca. Przypominamy sobie, że przylądek Bathurst miał być miejscem umówionem spotkania między kapitanem i porucznikiem. Ponieważ zaś Jasper Hobson tu właśnie zbudował faktorię, więc wysłańcy kapitana Craventy powinni byli znaleźć go na miejscu.

Od 15 czerwca począwszy Jasper Hobson polecił straży baczenie śledzić okolicę przylądka. Flaga brytyjska, zawieszona na szczycie urwistego wybrzeża, widniała zdaleka. Przypuszczał zresztą, że oddział będzie trzymał się drogi przebytej przez niego, wzdłuż wybrzeża od zatoki Koronacji do przylądka Bathurst. Droga ta, choć nie najkrótsza, była najpewniejszą o tej porze roku, w której niezamarznięte morze, odcinając się od wybrzeża, zaznaczyło wyraźnie granice lądu stałego.

Czerwiec jednak minął, a oddziału widać nie było. Jasper

Hobson zaczął się niepokoić, szczególnie gdy gęsta mgła zasnuła horyzont. Obawiał się, aby oddział nie zabłądził w tych pustynnych stronach i aby mgła nie była przyczyną poważnych następstw.

Porucznik dzielił się często swą troską z Mrs. Pauliną Barnett, sierżantem, Mac Nap'em i Raë'em. Astronom Tomasz Black niepokoił się również, gdyż miał zamiar po zbadaniu zaćmienia powrócić wraz z oddziałem. O ile zaś oddział nie zjawiłby się, musiałby przepędzić jeszcze jedną zimę w tych stronach, co nie uśmiechało mu się wcale. Zacny ten uczoney wypowiadał swą troskę przed Jasper Hobson'em, który nie miał żadnych danych, aby go pocieszać.

4 lipca kilku ludzi wysłanych na wywiady powróciło z niczem.

Należało przypuszczać, że oddział z fortu Reliance nie wyruszył wcale, lub zabłądził po drodze. Niestety, ostatnie to przypuszczenie zdawało się być bliskiem prawdy. Jasper Hobson, znając słowność kapitana Craventy, nie wątpił, że oddział wyruszył w dniu umówionym.

To też niepokój jego wzrastał z dnia na dzień. Lato mijało. Za dwa miesiące zima polarna wraz z wiatrem północnym, zawieją śnieżną, nocą nieskończoną, zawita w te strony.

Porucznik Hobson wszakże nie należał do rzędu ludzi, którzy w takich okolicznościach pozostawaliby długo w niepewności! Po naradzie z towarzyszami oto co postanowił ku wielkiemu zadowoleniu Tomasza Black.

Ponieważ za dwa tygodnie, to jest 18 lipca miało być zaćmienie słońca, nazajutrz więc astronom mógł opuścić fort Nadziei. Postanowiono więc, że o ile oddział nie zjawi się do tego czasu, to kilku ludzi wraz z czworgiem lub pięciorgiem sanek wyruszy z faktorii do jeziora Niewolniczego. Zabiorą oni z sobą część najcenniejszych futer i w ciągu sześciu tygodni najwyżej, to jest w końcu sierpnia, będą mogli dotrzeć do fortu Reliance.

Dowiedziawszy się o tej decyzji, Tomasz Black, spokojny już zupełnie, powrócił do swych badań, oczekując chwili, w której księżyc, znalazłszy się ściśle między słońcem a „nim”, zaćmi całkowicie tarczę słoneczną.



## Rozdział XXIII

*Zaćmienie 18 lipca 1860 r.*



gła nie ustępowała. Słońce ukazywało się tylko poprzez ostate zasłone onarów. Często nawet wzmacniały się one

Poprzez swoją osobę opuszcili szczyt i zaczęli walczyć się o  
tak silnie, że z podwórza fortu nie można było dojrzeć szczytu  
przyłądka.

Jasper Hobson nie przestawał myśleć o losach oddziału, mającego przybyć z fortu Reliance. Nie wątpił już wcale, że zabłądzić on musiał w tej pustynnej okolicy. A przytem złe przecucia nurtowały jego duszę. dzielny ten człowiek patrzył w przyszłość z pewnym niepokojem. Dlaczego? Nie mógłby odpowiedzieć. Zdawało się przecież, że los mu sprzyja. Jego towarzysze, mimo ciężkiej zimy, cieszyli się najlepszym zdrowiem. Żadnej niesnaski nie było między nimi. Obowiązki swe spełniali gorliwie. Okolica obfitowała w zwierzynę. Futra cenne złożone w składzie, przynosiły mu chlubę w oczach Towarzystwa. Przypuściwszy, nawet, że zapasy fortu Nadziei wyczerpią się, czyż dla przyszłego zimowania nie dostarczy ich ta bogata w drzewo i zwierzynę okolica? Dlaczegoż więc troska zasepiała czoło porucznika?

Mrs. Paulina Barnett uspokajała go nieraz temi argumentami, pewnego zaś razu przechadzając się z nim wzdłuż wybrzeża starała się jeszcze z większym naciskiem wykazać bezpodstawność jego obaw.

– Przyznaję pani słuszność, – odpowiedział na jej słowa porucznik, – lecz trudno walczyć z przecuciem! Wszak nie należę do rzędu ludzi, którzy poddają się urojeniom! Ileż to razy w mem życiu żołnierskiem znalazłem się w okolicznościach bardzo krytycznych, a jednak nie wzruszałem się niemi

dykajmniej. Pierwszy w raz, że z niepokojem pauzę w przyszłość! Gdybym miał do czynienia z niebezpieczeństwem wiadomem, nie obawiałbym się wcale. Ale niebezpieczeństwo, którego nie znam, a które przeczuwam, przejmuje mnie trwogą...

– Ale jakie niebezpieczeństwo? – spytała Mrs. Paulina Barnett, – i czego się pan obawia, ludzi, zwierząt, czy żywiołów?

– Zwierząt? żadną miarą, – odrzekł porucznik. – Niech one obawiają się przyładka Bathurst. Ludzi? Nie. Stron tych nie odwiedza nikt prócz Eskimosów, Indianie bowiem rzadko zjawiają się tutaj...

– I pozwolę sobie zwrócić panu uwagę, że Kanadyjczycy, których odwiedzin mógłby się pan poczęści obawiać w porze letniej, nie zjawili się wcale...

– Czego mocno żałuję!

– Co? pan żałuje tych współzawodników, którzy byli prawdopodobnie wrogo usposobieni dla Towarzystwa?

– Żałuję i nie żałuję!... Trudno mi to wytłumaczyć! ... Niech pani zechce zwrócić uwagę na to, że wysłańcy z fortu Reliance mieli przybyć i nie przybyli. Podobnie agenci Towarzystwa St. Louis, mogli byli przyjść i nie przyszli. Nawet żaden Eskimos nie zjawił się na tem wybrzeżu...

– I cóż pan z tego wnioskuje, panie Hobson? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– Że może nie tak to „łatwo” dostać się do przyładka Bathurst

...że może nie tak to „łatwo” dostać się do przystanku Eadwina  
i do fortu Nadziei, jakby się to zdawało!

Podróżniczka spojrzała na posepne czoło porucznika i zastanowiła się nad wyrazem „łatwo”, który wymówił z tak osobliwym naciskiem.

– Poruczniku Hobson, skoro pan się nie obawia ani zwierząt, ani ludzi, przypuszczam więc, że to żywioly...

– Proszę pani, – rzekł porucznik, – nie wiem czy umysł mój wyszedł z równowagi pod wpływem mego przeczucia, lecz kraina ta wydaje mi się dziwną. Gdybym ją był znał lepiej, nie byłbym się może w niej osiedlił. Wspominałem pani o niektórych osobliwościach, których wytłumaczyć sobie nie mogłem, jak brak zupełny kamieni w tych stronach i to tak widoczne ścięcie wybrzeża! Pierwotna formacja tego krańca lądu nie wydaje mi się zupełnie jasna! Wiem, że sąsiedztwo wulkanu może wywołać pewne zjawiska... Pani sobie przypomina, co mówiłem o zjawisku przyływu i odpływu.

– Doskonale, panie Hobson.

– Tam, gdzie przyływ morza, stosownie do twierdzenia odkrywców tych stron, miał dosięgać piętnastu lub dwudziestu stóp, morze podnosi się zaledwie na stopę!

– Zapewne – rzekła Mrs. Paulina Barnett, – ale pan równocześnie tłumaczył, że zjawisko to jest związane z budową osobliwą wybrzeża, ze zwężeniem cieśnin...

– Staralem się tylko wytłumaczyć! – odezwał się Jasper



Hobson, ale przedwczoraj zauważyłem zjawisko jeszcze bardziej niezwykle, którego przyczyny nie potrafiłbym objaśnić i wątpię, żeby uczeni wypowiedzieć się mogli w tym względzie.

Mrs. Paulina Barnett spojrzała na porucznika.

– Jakież to zjawisko? – spytała.

– Przedwczoraj, była pełnia księżyca i według rocznika astronomicznego przyływ miał być bardzo silny. Tymczasem morze nie podniosło się nawet o stopę, jak to bywało dotąd! Nie podniosło się „wcale”.

– Pan musiał się omylić.

– Bynajmniej. Przedwczoraj, 4 lipca, zauważyłem sam, że przyływu nie było wcale w okolicy przylądka.

– I wnioskuje pan stąd...

– Wnioskuje, że albo prawa, rządzące przyrodą zmieniły się, albo... że kraina ta znajduje się w położeniu wyjątkowym... a raczej... nie wnioskuje, nie tłumaczę... nie rozumiem... i dlatego... jestem niespokojny!

Mrs. Paulina Barnett nie nalegała więcej. Oczywiście było rzeczą, że nieobecność przyływu jest zjawiskiem niezwykle, zjawiskiem tak wyjątkowym, jakim byłaby nieobecność słońca na południku w porze południowej, chyba że trzęsienie ziemi zmieniło skład budowy wybrzeża i stron podbiegunowych... Przypuszczenie to jednak nie zadowoliliby poważnego badacza zjawisk ziemskich.

Że zaś porucznik nie mylił się, o tem mogła przekonać się Mrs. Paulina Barnett sama, gdy owego to dnia, 6 lipca, wraz z porucznikiem stwierdziła, na umieszczonej w tym względzie skali na wybrzeżu, że morze, które w roku zeszłym podniosło się było na stopę, obecnie nie zmieniło wcale poziomu!



Uwagą tą nie podzielono się z nikim. Porucznik nie chciał trwożyć towarzyszy. Ale sam stawał często milczący, nieruchomy na szczycie przylądka, wpatrzony w morze falujące swobodnie u jego stóp.

W lipcu ustало polowanie na zwierzęta o cennych futrach, w tym czasie bowiem tracą one zimowe swe szaty. Musiano więc zadowolić się polowaniem na zwykłą zwierzynę jadalną, jak karibu, zające północne i inne, które, dziwnym przypadkiem – jak to zauważyła Mrs. Paulina Barnett, – mnożyły się w okolicy przylądka Bathurst, pomimo że nie oszczędzano ich wcale.

Do 15 lipca nie zaszło nic nowego. Żadnej wiadomości o wysłańcach z fortu Reliance. Jasper Hobson postanowił przeto

udać się do kapitana Craventy, skoro kapitan nie przybywał do niego.

Oczywista, że przywódcą małego oddziału, który wysłać zamierzał, nie mógł być nikt inny, jak tylko sierżant Long. Sierżantowi Long było markotno rozstawać się z porucznikiem. Wiedział bowiem, że do fortu powrócić będzie mógł dopiero za osiem miesięcy to jest z początkiem przyszłego lata. Mac Nap i Raë mogliby byli zapewne zastąpić sierżanta, ale byli żonaci i zresztą jeden jako cieśla, drugi jako kowal, byli potrzebni w faktorji.

To też sierżant Long poddał się rozkazowi Jasper Hobson'a po „wojskowemu”. Mieli mu towarzyszyć Belcher, Pond, Petersen i Kellet – czterej żołnierze, którzy oświadczyli gotowość wyjazdu.

Czworo sanek przygotowano w tym celu. Miały one zabrać zapasy żywności i futra najcenniejsze, jak lisy, gronostaje, kuny, łabędzie, ostrowidze, pizmowce, wolwereny. Wyjazd był naznaczony na 19 lipca rano, nazajutrz po zaćmieniu. Tomasz Black, jak o tem wspominaliśmy, miał towarzyszyć wyprawie, a jedne z sanek były przeznaczone dla niego i jego przyrządów.

Przyznać należy, że godny ten uczony w nieszczęśliwych warunkach oczekiwał tak upragnionego przez siebie zaćmienia. Zmienność pogody, częste mgły, powietrze dżdżyste lub wilgotne, niestały kierunek wiatru, wszystko to niepokoiło go wielce. Nie jadł, nie pił, nie spał wcale na myśl, że, jeżeli podczas tvch kilku minut. w ciągu których trwać będzie

zaćmienie, niebo będzie zasnuwane mgłą, on, Tomasz Black, astronom wysłany do zbadania zjawiska, nie ujrzy ani księżyca, ani słońca, a tem samem chybi celu! I cały jego trud, całe poświęcenie pójdzie na marne!

– Dążyć z tak daleka, aby zobaczyć księżyc i nie widzieć go wcale!” – wołał z komicznym patosem.

Nie! zgodzić się z tą myślą było ponad jego siły. Wraz z nadejściem mroku szedł na szczyt przyłądka i przyglądał się niebu. Nawet nie miał tej pociechy, żeby móc podziwiać jasną planetę w tej chwili! Księżyc miał się ukazać dopiero za trzy dni; towarzyszył on słońcu w jego drodze kolistej, więc znikał w jego promieniach!

Tomasz Black zwracał się często ze swą troską do Mrs. Pauliny Barnett. Zaczynała mu współczuć, a razu pewnego, gdy barometr podniósł się nieco, starała się go pocieszyć, donosząc mu o tem i dodając, że w lecie o zmianę atmosferyczną nie trudno.

– W lecie, – zawołał Tomasz Black, wzruszając ramionami. – Czy lato istnieje w tej krainie!

– Ależ, panie Black – odpowiedziała Mrs. Paulina Barnett, – przypuściwszy nawet, że to zaćmienie ominie pana, to w każdym razie nie będzie ono ostatnie.

– Nie będzie ostatnie, zapewne, – odpowiedział astronom. – Po niem nastąpi pięć całkowitych zaćmień do 1900 r.: pierwsze 31 grudnia 1861. na Atlantyku, morzu Śródziemnem i w pustyni

Saharze; drugie 22 grudnia 1870, na wyspach Azorskich, w południowej Hiszpanji, Algerze, Sycylii i Turcji; trzecie 19 sierpnia 1887 na północo-wschodzie Niemiec, w południowej Rosji i Rosji środkowej; czwarte 9 sierpnia 1896, w Grenlandji, Laponji i Syberji, wreszcie w 1900, 28 maja w Stanach Zjednoczonych, Algerze i Egipcie.

– A więc, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett – jeżeli ominie pana zaćmienie z 18 lipca 1861, pocieszy się pan następnem z 31 grudnia 1861 r. Cóż znaczy siedemnaście miesięcy!

– Pocieszyć mógłbym się dopiero za dwadzieścia sześć lat – odpowiedział poważnie astronom.

– A dlaczego?

– Dlatego, że ze wszystkich tych zaćmień jedno tylko 9 sierpnia 1896, nastąpi całkowicie w stronach podbiegunowych, jak Laponia, Syberja lub Grenlandja.

– Ale z jakiego powodu chce pan badać koniecznie zaćmienie na tak wysokiej szerokości geograficznej? – spytała Paulina Barnett.

– Z jakiego powodu? – zawołał Tomasz Black, – ależ z tego powodu, że dla nauki ma ono największe znaczenie. Rzadko kto badał zaćmienie słońca w tych stronach podbiegunowych, gdzie tarcza słoneczna, znajdując się nisko nad horyzontem wydaje się z pozoru największa. To samo da się powiedzieć o księżycu, który zakrywa ją pozornie, a w tych warunkach badanie wieńca świetlnego i protuberancji jest dokładniejsze. Oto dlaczego

jestem tu w tej chwili, powyżej siedemdziesiątego równoleżnika! Okoliczność ta powtórzyć się może dopiero w 1896 r.! Czy pani zapewni mnie, że dożyję tej chwili?

Pytanie to musiało pozostać bez odpowiedzi, Tomasz Black więc niepokoił się w dalszym ciągu, gdyż pogoda nie wróżyła nic dobrego.

16 lipca powietrze było czyste, ale zato nazajutrz niebo zasnulo się gęstą mgłą. Tomasz Black o mało że się nie rozchorował. Stan gorączkowy, który go trawił od dni kilku, groził poważnie jego zdrowiu. Mrs. Paulina Barnett i Jasper Hobson starali się go uspokoić napróżno. Co zaś do sierżanta Long i innych, nie mogli oni zrozumieć, jak można być tak nieszczęśliwym z powodu „miłości do księżyca!”

18 lipca wreszcie nastął wielki dzień. Zaćmienie słońca, wedle danych astronomicznych, miało trwać cztery minuty i trzydzieści siedem sekund, to jest od jedenastej czterdzieści trzy minuty i piętnaście sekund do jedenastej czterdzieści siedem minut i pięćdziesiąt siedem sekund z rana.

– O cóż mi chodzi? – wołał płacząco astronom, wrywając sobie włosy. – O to tylko, aby jeden kąć nieba, jeden kącik, w którym ma się dokonać zaćmienie był czysty, bez obłoków i to na jak długi przeciąg czasu? zaledwie na cztery minuty! A później niech śnieg pada, niech grzmi, niech wszystkie żywioły szaleją, będzie mnie to obchodziło tyle co ślimaka chronometr!”

Nie bez powodu niepokoił się Tomasz Black. Badanie

zaćmienia nie dojdzie zapewne do skutku. O wschodzie słońca horyzont pokrył się mgłą. Gęste chmury ciągnęły z południa właśnie w tej części nieba, gdzie zaćmienie miało nastąpić. Ale widocznie dobry duch astronomów zlitował się nad Tomaszem Black, gdyż około ósmej zerwał się wiatr północny, spędzając chmury zupełnie!

Jakaż radością i wdzięcznością wezbrało serce astronoma! Niebo było czyste, słońce w całym blasku oczekiwało na księżyc, mający je zaćmić stopniowo!

Natychmiast zaniesiono narzędzia astronomiczne na szczyt przyładka, poczem Tomasz Black nastawił lunetę w kierunku południowym i czekał. Odzyskał spokój i równowagę. Czegóż miał się obawiać w tej chwili? Chyba żeby niebo nie spadło mu na głowę! O dziewiątej najmniejsza chmurka nie zasłaniała horyzontu ani zenitu!. Nie można było żądać pomyślniejszych warunków!

Jasper Hobson i jego towarzysze, Mrs. Paulina Barnett i reszta kobiet byli obecni tej uroczystej chwili. Słońce podnosiło się stopniowo, zakreślając wydłużony łuk nad rozległą równiną ciągnącą się na południe. Zjawiska oczekiwano w milczeniu i z wielkim skupieniem.

O pół do dziewiątej rozpoczęło się zaćmienie. Tarcza księżycy pokryła częściowo tarczę słoneczną. Ale całkowite zaćmienie miało nastąpić dopiero po jedenastej, jak to głosił dziennik astronomiczny, nie mylący się nigdy.



Tomasz Black rozdał obecnym przyćmione szkła, które był przywiózł z sobą. Można więc było przypatrywać się zjawisku bez uszczerbku dla oczu.

Brunatna tarcza księżyca zbliżała się powoli. Przedmioty zaczęły nabierać barwy żółtawo-pomarańczowej. Niebo zmieniło swój wygląd. O kwadrans na jedenastą tarcza słoneczna była zaćmiona do połowy. Psy, błądzące swobodnie, zaczęły się niepokoić i szczekać żałośnie. Kaczki, stanąwszy nieruchomo na wybrzeżu jeziora, zaczęły wydawać swe okrzyki wieczorne, szukając na noc legowiska. Matki zwoływały pisklęta, garnąc je pod swe skrzydła. Dla zwierząt zjawisko to było równoznaczne z nocą, to jest z godziną spoczynku.

O jedenastej dwie trzecie tarczy słonecznej były przysłonięte. Przedmioty nabrały barwy czerwono-winnej. Półmrok zapanował wszędzie, zwiastując noc, mającą trwać cztery minuty. Kilka planet, jak Merkury, Wenus zjawily się na niebie, a z nimi konstelacje Kozła, Byka i Oriona. Mrok zwiększał się coraz bardziej.



Tomasz Black, z okiem przy szkiełku lunety, nieruchomy, milczący, badał postęp zjawiska. O jedenastej minut czterdzieści trzy dwie tarcze miały pokrywać się wzajemnie.

– Czterdzieści trzy minuty po jedenastej – odezwał się Jasper Hobson, przyglądając się bacznie wskazówce swego sekundnika.

Tomasz Black, nachylony nad lunetą, nie poruszał się wcale. Upłynęło pół minuty...

Tomasz Black wyprostował się, z okiem szeroko rozwartem. Poczem nachyliwszy się nad szkiełkiem nie odrywał odeń wzroku przez pół minuty, a wyprostowawszy się nagle:

– Ucieka, ucieka! – wykrzyknął głosem zdławionym. – Księżyc ucieka, księżyc znika!

Istotnie. Tarcza księżycowa przesuwała się po tarczy słonecznej, nie zasłaniając jej całkowicie! Dwie trzecie tylko tarczy słonecznej były zasłonięte.

Tomasz Black opadł w osłupieniu! Cztery minuty upłynęły. Rozjaśniało się stopniowo. Zjawisko wieńca świetlnego nie ukazało się wcale.

– Co się stało? – spytał Jasper Hobson.

– Co? – zawołał astronom, – stało się to, że w tym miejscu kuli ziemskiej zaćmienie nie było całkowite. Czy pan słyszy, co mówię: nie było cał-ko-wi-te.

– A zatem dane astronomiczne są fałszywe.

– Fałszywe! niech pan to mówi komu innemu, panie poruczniku!

– A zatem... – zawołał Jasper Hobson, mieniając się na twarzy.

– A zatem, nie jesteśmy pod siedemdziesiątym równoleżnikiem

– Co pan mówi! – zawołała Mrs. Paulina Barnett.

– Przekonany się o tem wkrótce! – rzekł astronom z gniewnym błyskiem w oczach. – Za kilka minut słońce będzie na południku... Gdzie jest mój sekstant?

Jeden z żołnierzy pobiegł prędko do domu i przyniósł żądane narzędzie.

Tomasz Black nakierował sekstant ku słońcu, poczekał, aż dojdzie do południka, poczem, spuszczac przyrząd, i obliczając naprędce w swym notatniku:

– Jakie było – spytał – położenie przyłodka, gdy rok temu mierzyliśmy jego szerokość geograficzną?

– Siedemdziesiąt stopni, czterdzieści cztery minuty i trzydzieści siedem sekund! – odpowiedział porucznik.

– A teraz znajduje się na szerokości siedemdziesięciu trzech stopni, siedmiu minut i dwudziestu sekund! Widzi pan stąd, że nie znajdujemy się na siedemdziesiątym równoleżniku!...

– A raczej, że już nie znajdujemy się na nim! – szepnął Jasper

Hobson.

Nagle nowa myśl zabłysła w jego umyśle! Wszystkie zjawiska, dotąd niezrozumiałe, stały się naraz jasnymi!...

Terytorjum przyłądka Bathurst, od czasu przybycia porucznika Hobsona „posunęło się” o trzy stopnie na północ.



**Jules Verne**

**W KRAINIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**

## (Rozdział I-V)

*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*  
*Ilustracje Férat i Beaurepaire*  
*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*  
*Poznań 1925*



© **Andrzej Zydorczak**



## Część DRUGA

# Rozdział I

## *Pływający fort.*



Fort Nadziei, założony przez porucznika Jasper Hobson'a na granicach morza Polarnego, zmienił swe położenie geograficzne! Czyż należało winić o to dzielnego przedstawiciela Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej? Bynajmniej. Każdy na jego miejscu byłby w błąd wprowadzony. Żaden umysł ludzki nie był w stanie przewidzieć podobnej okoliczności. Porucznik był pewny, że buduje na skale; okazało się zaś, iż budował nawet nie na piasku! Część lądu, znana pod nazwą półwyspu Victoria i jako taka wskazana na najdokładniejszych mapach Ameryki angielskiej, oderwała się nagle. Albowiem półwysep ten okazał się olbrzymim lodowcem o powierzchni stu pięćdziesięciu mil kwadratowych, na który woda składała kolejno warstwy piasku i ziemi tak, że stał się pozornie gruntem stałym, nie pozbawionym ani humusu, ani roślinności. Tak więc półwysep ten, złączony od wieków z lądem stałym, przeistoczył się, prawdopodobnie na skutek trzęsienia ziemi 8 stycznia w wyspę, wyspę ruchomą, unoszoną od trzech miesięcy prądami oceanu Lodowatego.

Tak! Lodowiec to unosił z sobą fort Nadziei i jego mieszkańców! Jasper Hobson zrozumiał przyczynę zmiany, jaka zaszła w położeniu geograficznym przylądka Bathurst.

Przesmyk ziemi, łączący półwysep Victoria z lądem, uległ rozerwaniu kilka miesięcy temu, na skutek wstrząśnienia wulkanicznego. Dopóki morze dzięki ostrej zimie północnej, było zamrożone, położenie geograficzne półwyspu nie zmieniło się wcale. Lecz z chwilą, gdy pod wpływem promieni słonecznych, lód pękać zaczął i zwały lodowe oddaliły się poza granice horyzontu, ziemia ta, spoczywająca na podstawie lodowej, uniesioną została wraz ze swemi łaskami, jeziorkiem i przyładkiem, jednym z prądów morskich. Zjawiska tego nie dostrzeżono w forcie Nadziei, myśliwi bowiem nie oddalali się podczas polowania poza obręb swej siedziby. Ani Jasper Hobson, ani jego towarzysze nie zauważyli, wśród otaczającej ich na kilka mil gęstej mgły i pozornej nieruchomości gruntu, że z mieszkańców stałego lądu stali się mieszkańcami wyspy. Dodać należy, że półwysep, prawdopodobnie uniesiony prądem prostolinijnym, nie zmienił był swego położenia względnie do stron nieba. Gdyby bowiem słońce i księżyc zjawily się były w innych punktach horyzontu nad przyładkiem Bathurst, mieszkańcy fortu, a co najmniej Jasper Hobson, Mrs. Paulina Barnett lub Tomasz Black, byliby zwrócili na to uwagę.

Jasper Hobson, aczkolwiek nie wątpił o dzielności swych towarzyszy, nie śpieszył się z oznajmieniem im całej prawdy. Chciał on przedtem przekonać się dokładnie o obecnem położeniu. Na szczęście dzielni ci żołnierze i robotnicy, niewtajemniczeni w badania astronomiczne, jak również nieświadomi zagadnień, dotyczących się długości i szerokości geograficznej oraz zmiany współrzędnych półwyspu, nie mogli

geograficznej, oraz zimny wspomniany półwysp, nie mogli domyślić się nawet, jak wielki niepokój targał duszą Jasper Hobson'a.

Porucznik, stwierdziwszy grozę tego położenia bez wyjścia, odzyskał dawną energję.

Gwałtownym wysiłkiem woli powrócił on do równowagi umysłu, starając się pocieszyć nieszczęśliwego Tomasza Black, który z rozpaczyny wyrwał sobie włosy.

Astronom wszakże nie wiedział jeszcze całej prawdy. Zajęty wyłącznie faktem, że we wskazanym dniu i w wyznaczonej godzinie księżyc nie zasłonił całkowicie tarczy słonecznej, nie przypuszczał niczego innego, prócz tego, że ku wstydowi obserwatorów, roczniki astronomiczne były fałszywe i że to zaćmienie, tak gorąco przez niego pożądane i dla którego odbył tak uciążliwą podróż, nie miało być „całkowite” dla części kuli ziemskiej, znajdującej się na siedemdziesiątym równoleżniku. To też rozczarowanie jego było i musiało być wielkiem. Niebawem jednak Tomasz Black miał dowiedzieć się całej prawdy.

Jasper Hobson, chcąc utrzymać nadal swych towarzyszy w mniemaniu, że chybione zaćmienie nie obchodzi go bynajmniej, polecił im powrócić do rozpoczętych zajęć. Ale w chwili, gdy miano opuścić szczyt przyłądka Bathurst, kapral Joliffe zwrócił się nagle, do porucznika:

– Panie poruczniku, czy wolno mi zadać jedno pytanie?

– Oczywiście – odrzekł Jasper Hobson, nie wiedząc do czego kapral zmierza. Przeszedł

Kapral jednak zawahał się. Dopiero trącony łokciem przez swą małżonkę, rzekł:

– Panie poruczniku, pytanie moje odnosi się do siedemdziesiątego równoleżnika. O ile zrozumiałem, to nie znajdujemy się tam, gdzie pan sądził...

Porucznik zmarszczył brwi.

– Istotnie – odezwał się wymijająco. – Omyliliśmy się w naszych obliczeniach... Ale dlaczego zastanawiasz się nad tem?

– Chodzi mi, panie poruczniku, o podwójną zapłatę, obiecaną nam przez Towarzystwo.

Jasper Hobson odetchnął. Jak wiadomo, Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej obiecało podwoić gażę żołnierzy, o ileby przekroczono siedemdziesiąty równoleżnik. Kapral Joliffe, interesowny z natury, obawiał się, czy na skutek zaszych wypadków nie minie go obiecana podwójna zapłata.





– Bądź spokojny – odpowiedział Jasper Hobson z uśmiechem – i uspokój swych towarzyszy. Omyłka którą popełniliśmy, nie wpłynie bynajmniej na wasze wynagrodzenie. Na szczęście znajdujemy się powyżej, nie zaś poniżej siedemdziesiątego równoleżnika.

– Dziękuję, panie poruczniku – odezwał się rozpromieniony kapral – dziękuję. Jeżeli się pytam, to nie dlatego, że mi zbytnio zależy na pieniądzach, lecz dlatego, że, niestety! od pieniędzy zależymy wszyscy!

Po tych słowach kapral Joliffe i reszta towarzyszy oddalili się spokojnie, nie domyślając się nawet, jakiej groźnej i osobiwej zmiany uległo terytorjum, które było obecnie ich jedyną ostoją.

Sierżant Long chciał również podążyć za towarzyszami, lecz porucznik zatrzymał go, mówiąc:

– Zostań, sierżancie Long.

Podoficer zawrócił posłusznie.

Na szczycie przylądka pozostali Mrs. Paulina Barnett, Madge, Tomasz Black, porucznik i sierżant.

Podróżniczka od chwili chybionego zaćmienia nie wymówiła ani słowa, śledząc tylko wzrokiem Jasper Hobson'a, który zdawał się jej unikać. Na obliczu dzielnej kobiety malowało się raczej zdumienie, niż niepokój.

Czyżby domyślała się wszystkiego? Czyżby błysk świadomości rozświetlił jej umysł? Zdawałażby sobie jasno

sprawę z położenia i jego następstw? Tak czy inaczej, milczała, wsparta na ramieniu Madge.



Astronom był niezwykle podniecony. Nie mógł ustać na miejscu. Z najeżonymi włosami spoglądał gniewnie na słońce, wydając okrzyki rozpacz i wygrażając mu pięścią.

Po chwili, uspokoiwszy się nieco, skrzyżował ręce, zmarszczył czoło i z wzrokiem rozplamionym stanął przed porucznikiem:

– A teraz – zawołał – rozprawimy się, panie przedstawicielu Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej!

Odezwanie to, głos, postawa, wyglądały na wyzwanie. Jasper Hobson jednak nie zastanawiał się nad tem wcale, patrząc z politowaniem na tego biednego człowieka, tak srodze zawiedzionego w swych nadziejach.

– Panie Hobson – rzekł Tomasz Black ze źle ukrytem podnieceniem w głosie, – czy pan mi wytłumaczy, co to wszystko ma znaczyć? Czy mistyfikację tę panu mam

zawdzięczać? W takim razie upomni się o nią ktoś inny, wyżej postawiony, niż ja i, słyszy pan? odpokutuje pan ciężko za nią.

– Co pan chce przez to powiedzieć, panie Black? – spytał spokojnie Jasper Hobson.

– Chcę przez to powiedzieć, – rzekł astronom – że pan zobowiązał się doprowadzić swój oddział tylko do granicy siedemdziesiątego równoleżnika.

– Albo też powyżej – odpowiedział Jasper Hobson.

– Powyżej – zawołał Tomasz Black. – A cóż ja miałem do roboty powyżej? Ażeby zbadać całkowite zaćmienie słońca, nie powinienem się być oddalać od linii cienia, którą zakreślał w tej części Ameryki angielskiej siedemdziesiąty równoleżnik, a tymczasem znajdujemy się o trzy stopnie powyżej.

– A więc, panie Black – odpowiedział porucznik z nie opuszczającym go spokojem – omyliliśmy się, nic więcej.

– Nic więcej! – zawołał astronom, którego podniecał jeszcze więcej spokój porucznika.

– Zresztą – odezwał się Jasper Hobson – pozwolę sobie zwrócić panu uwagę, że jeżeli ja się omyliłem, to i pan poczęści jest winien, gdyż po przyjeździe do przylądka Bathurst, obaj jednocześnie, pan ze swojemi, ja z mojemi narzędziami, sprawdziliśmy szerokość geograficzną przylądka. Wina zatem spada zarówno na pana, jak na mnie!

Zaskoczony temi słowy Tomasz Black, pomimo swego

podniecenia, zamiski. wymowki nie miał żadnej! Jeżeli ktoś jest winien, to obaj jednocześnie. Ale co powie na omyłkę niezręcznego astronoma świat naukowy Europy i obserwatorium w Greenwich? Astronom Tomasz Black, on, omylił się na trzy stopnie, mierząc wysokość słońca i to w tych wyjątkowych okolicznościach, gdy od tego pomiaru zależało zbadanie całkowitego zaćmienia słońca, które miało się powtórzyć w podobnych okolicznościach dopiero za lat wiele! Tomasz Black, on, uczonec, naraził się na wstyd niepowetowany!

– Ależ jak mogłem omylić się w ten sposób – wołał zrozpaczony, wyrывая sobie włosy. – Czyż nie umiem już obchodzić się z sekstantem? Nie umiem li wyliczyć już kąta? Jestem więc ślepy? Jeżeli tak jest w istocie, pozostaje mi tylko jedno: rzucić się z tego przyładka głową na dół!...

– Panie Black – rzekł wtedy Jasper Hobson głosem poważnym – niech pan się nie obwinia, pan się nie omylił w swem badaniu, pan nie jest winien!

– A zatem pan sam...

– Ani ja również winien nie jestem, panie Black. Zechciej mnie pan wysłuchać, i pani także – dodał, zwracając się do Mrs. Pauliny Barnett – i wy, Madge, i wy, sierżancie Long. Proszę tylko o jedno, mianowicie, o zachowanie tajemnicy i to w najściślejszem znaczeniu tego słowa. Zbędną jest rzeczą budzić obawę, może nawet rozpacz w sercach naszych towarzyszy.

Obecni zbliżyli się do porucznika, zachowaniem swem wrażając milczącą zgrozę na jego prośbę.

– Przyjaciele moi – rzekł wtedy Jasper Hobson – skoro rok temu sprawdzaliśmy położenie geograficzne przyładka Bathurst, znajdował się on dokładnie na siedemdziesiątym równoleżniku; jeżeli zaś obecnie znajduje się powyżej siedemdziesiątego drugiego równoleżnika, to dlatego, że zmienił on swe położenie.

– Zmienił położenie! – zawołał Tomasz Black – Mów pan to innym, nie mnie, panie Hobson! Odkądże to przyładki zmieniają swe położenie?

– A jednak tak jest w istocie, panie Black – odpowiedział poważnie porucznik. – Cały półwysep Victoria jest w tej chwili wyspą lodową. Na skutek wstrząśnienia ziemi oderwał się od stałego lądu, a obecnie unosi go jeden z wielkich prądów północnych.

– Gdzie? – spytał sierżant Long.

– Gdzie się Bogu podoba! – odparł porucznik.

Towarzysze Jasper Hobson'a zadumali się głęboko. Mimowoli wzrok ich podążył ku południowi, poza rozległe równiny oderwanego przesmyku, lecz z miejsca, w jakim się znajdowali, nie mogli dojrzeć morskiego horyzontu, którym otoczeni byli zewsząd. Gdyby przyładek Bathurst wznosił się był wyżej na kilkaset stóp nad poziomem oceanu, obwód ich posiadłości byłby się wyraźnie ukazał ich oczom, a wtedy przekonaby się mogli, że znajdują się na wyspie.

Na myśl, że fort Nadziei, odcięty od stałego lądu, jest w tej

chwili igraszką tal i wiatrow, opanowało ich głębokie wzruszenie

– Tak więc, panie Hobson – rzekła Mrs. Paulina Barnett – wszelkie zagadki, trapiące pana, co do osobliwości niektórych zjawisk, znalazły swe rozwiązanie.

– Tak, pani, rozumiem obecnie wszystko. Półwysep Victoria, który uważaliśmy za niewzruszenie złączony ze stałym lądem, okazał się jedynie rozległym lodowcem, przywartym od wieków do lądu amerykańskiego. Stopniowo wiatr nanosił nań ziemię, piasek i zapłodnił go nasionami, z których wyrosły drzewa i mchy. Obłoki dostarczyły mu wody słodkiej, tworząc rzeczkę i jezioro. Roślinność przeobraziła go! Lecz pod tą ziemią, pod tem jeziorem, pod piaskiem, wreszcie pod naszymi stopami, istnieje warstwa lodowa, unosząca się na morzu na skutek lekkości swego ciężaru gatunkowego. Tak! lodowiec nas unosi i oto dlatego, odkąd tu mieszkamy, nie znaleźliśmy ani kamyka, ani odłamu skały na jego powierzchni! Oto dlatego wybrzeża jego były ścięte prostopadle, dlatego w jamie na renifery natrafiliśmy na warstwę lodową na głębokości dziesięciu stóp, dlatego wreszcie nie było przyływu na jego wybrzeżu, gdyż przyływ i odpływ podnosił i opuszczał z sobą cały półwysep!

– Istotnie, panie Hobson, przecucie pana nie myliło. Pozwolę jednak sobie spytać się pana, dlaczego przyływ po naszym przyjeździe był jeszcze widoczny, później zaś ustał zupełnie?

– Właśnie dlatego, że w chwili naszego przyjazdu półwysep połączony był z lądem swym giętkim przesmykiem. W ten to sposób stawiał pewien opór przyływowi i dlatego to w

północnej stronie powierzchnia wód wznosiła się o dwie stopy, zamiast o dwadzieścia. To też, skoro pod wpływem trzęsienia ziemi półwysep oderwał się od lądu, zjawisko przyptywu i odpływu znikło zupełnie, o czym przekonaliśmy się oboje kilka dni temu, w czasie nowiu!

Tomasz Black, pomimo swej rozpaczki, słuchał z zaciekawieniem objaśnień Jasper Hobson'a. Wydały mu się zupełnie słuszne, lecz niemniej był rozgniewany na dobre, że zjawisko, tak rzadkie, tak niespodziewane, tak „niedorzeczne” jak mówił, zdarzyło się właśnie w tej porze, gdy miał on badać zaćmienie słońca. Astronom zamilkł z ponurym, prawie zawstydzonym wyrazem twarzy.

– Biedny pan Black! – powiedziała wtedy Mrs. Paulina Barnett – trzeba przyznać, że odkąd świat istnieje żadnemu astronomowi nie przytrafiła się tak opłakana przygoda!

– W każdym razie, proszę pana – rzekł porucznik – nie my jesteśmy temu winni! Jedyłą winowajczynią jest tu natura. Trzęsienie ziemi skazało nas na to przymusowe oderwanie się od lądu. Teraz dopiero wytłumaczyć sobie możemy, dlaczego zwierzęta o cennych futrach, uwięzione narówni z nami, w tak wielkiej ilości znajdowały się w pobliżu fortu!

– I dlaczego – rzekła Madge – nie mieliśmy odwiedzin naszych współzawodników, których obecności pan się tak wielce obawiał, panie Hobson.

– I dlaczego – dodał sierżant Long – oddział, wysłany przez kapitana Curwina, nie refleksyjnie do niego dołączył?

kapitana Craveny, nie mogli przybyć do przylądka Banursu!

– I dlaczego wreszcie – rzekła Mrs. Paulina Barnett, patrząc na porucznika – muszę się wyrzec nadziei powrotu do Europy, co najmniej w tym roku!

Podróżniczka uczyniła tę uwagę głosem, który świadczył, że zgadza się ze swym losem z daleko większą pogodą, niż można się było tego spodziewać. Zdawało się nawet, że była poniekąd zadowolona z okoliczności tak osobliwych, które nastęrczały nowe pole dla jej spostrzeżeń podróżniczych. Zresztą gdyby utyskiwała nad swym losem, jak również i wszyscy mieszkańcy wyspy, cóżby na to poradzić było można? Czyż byliby wstrzymali ruchomy kierunek wyspy i mogli ją byli cofnąć do stałego lądu? Nie. W rękach Opatrzności znajdował się los fortu Nadziei. Należało więc poddać się Jej woli.




## Rozdział II

*Gdzie znajduje się wyspa?*





 miana położenia geograficznego, która tak niespodziewanie zaskoczyła agentów Towarzystwa, wymagała ścisłego zbadania. To też Jasper Hobson z niecierpliwością oczekiwał chwili, w której mógł sprawdzić stopień długości geograficznej wyspy Victoria – nazwę tę bowiem zachowano – jak to już miało miejsce z jej szerokością. Mogło to nastąpić dopiero nazajutrz, gdyż dla dokładnego obliczenia należało sprawdzić wysokość słońca dwa razy, przed i po południu, jak również zdjąć pomiar kątów godzinowych.

O drugiej po północy porucznik Hobson i Tomasz Black sprawdzili przy pomocy sekstantów wysokość słońca nad horyzontem. O dziesiątej zaś z rana mieli powtórzyć swą czynność, aby z tego podwójnego badania wywnioskować o długości geograficznej wyspy.

Zanim jednak udano się do fortu, upłynęło sporo czasu na rozmowie. Jasper Hobson, astronom, sierżant, Mrs. Paulina Barnett i Madge dzielili pomiędzy siebie swe wrażenia. Madge nie myślała wcale o sobie, złożywszy swe losy w ręce Opatrzności, lecz nie mogła patrzeć na swoją panią, swoją „córkę Paulinę” bez wzruszenia, myśląc o przyszłości, która mogła jej zgotować niejedną ciężką chwilę do przybycia, jeżeli nie nieszczęście. Madge nie zawahałaby się oddać swe życie dla ukochanej pani, czy jednak poświęcenie to ocaliłoby życie tej, którą umiłowała ponad wszystko na świecie? Pocieszała się tylko tem, że Mrs. Paulina Barnett stawiała mężnie czoło przeciwnościom, które, trzeba przyznać, nie przedstawiały się

dotąd rozpaczliwie.

Istotnie, w obecnej chwili nie groziło żadne niebezpieczeństwo mieszkańcom fortu, a wszelkie dane przemawiały za tem, że można będzie zapobiec ostatecznemu nieszczęściu. To też Jasper Hobson tłumaczył jasno swym towarzyszom, że w obecnem ich położeniu grożą im tylko dwa niebezpieczeństwa, mianowicie: prądy morskie mogą unieść wyspę do tych stref polarnych, skąd powrót jest niemożliwy albo prądy morskie uniosą ją na południe, przez cieśninę Berynga, do oceanu Spokojnego.

W pierwszym wypadku, mieszkańcy fortu, odcięci od reszty świata nieprzebytymi zwałami lodu, byliby skazani na śmierć niechybną od głodu i chłodu.

W drugim – wyspa Victoria pod wpływem cieplejszych prądów morskich traciłaby powoli swą lodową podstawę i znikłaby z powierzchni morza.

W obu wypadkach mieszkańcy fortu byli narażeni na nieuniknioną katastrofę.

Ale czy wypadki te nastąpią? Było to mało prawdopodobne.

Lato, w istocie, miało się ku końcowi. Za parę miesięcy morze zamrze pod wpływem pierwszych chłódów polarnych. Utworzone tem samem pole lodowe pozwoli, przy pomocy sanek, dostać się, czy do Ameryki rosyjskiej, o ile wyspa podaży na wschód, czy też do Azji, w razie przeciwnym.

– Albowiem – dodał Jasper Hobson – nie rozporządzamy bynajmniej naszą pływającą wyspą. Nie mogąc nią kierować jak

okrętem, musimy zdać się na jej wolę.

Dowodzenie Jasper Hobson'a trafiło wszystkim do przekonania. Rzeczą było pewną, że pole lodowe unieruchomił wyspę Victoria, a prawdopodobną – że nie oddali się ona ani zbyt na północ, ani również na południe. Przejechanie zaś kilkuset mil po polu lodowym nie przstraszało ludzi odważnych i stanowczych, przyzwyczajonych do ostrego klimatu stron podbiegunowych. Wprawdzie, groziło to rozstaniem się z fortem Nadziei, przedmiotem tylu starań, jak również zrzeczeniem się owoców pracy, tak pomyślnie przeprowadzonej, ale na to rady nie było. Faktorja, założona na gruncie ruchomym, nie mogła być użyteczną dla Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej. Zresztą, prędzej czy później, pogrążenie się wyspy w głębinach oceanu było nieuniknione. Należało więc ją opuścić, o ile zdarzy się ku temu sposobność.

Jedyną niepomyślną okolicznością był fakt, – na co porucznik nalegał ze szczególnym naciskiem – że przez przeciąg paru miesięcy, dzielących ich od zimy, wyspa może być uniesiona zbyt daleko w kierunku północnym lub południowym. I w samej rzeczy, w opisach podróżników znajdujemy przykłady podobnych wypadków, którym zapobiec nie było można.

O losie mieszkańców fortu miały zadecydować prądy morskie tworzące się w pobliżu zatoki Berynga, nic więc dziwnego, że Jasper Hobson chciał się przekonać o ich kierunku z mapy oceanu Polarnego. W tym celu zaprosił Mrs. Paulinę Barnett, Madge, astronoma i sierżanta do swego pokoju, gdzie się

znajdowała potrzebna mapa; ale, zanim opuszczono szczyt przyłądka Bathurst, porucznik zwrócił się powtórnie do obecnych z prośbą o zachowanie ściśle powierzonej im tajemnicy.

– W każdym razie położenie nasze nie jest rozpaczliwe, – dodał, – więc uważam, że niema potrzeby trwożyć naszych towarzyszy, którzy przyjełby może mniej krytycznie niż my tak wstrząsającą wiadomość.

– Czy nie należałoby wszakże – odezwała się Mrs. Paulina Barnett – pomyśleć już od tej chwili o budowaniu statku, któryby mógł nas pomieścić wszystkich i wytrzymałby przejazd kilkaset milowy?

– Myśl to bardzo roztropna – odpowiedział Jasper Hobson – i wezmę ją pod uwagę. Pod jakimkolwiek pozorem polecę naszemu cieśli, aby się zajął budową trwałego statku, Ale, mojem zdaniem, środek ten dostania się na stały ląd użyty być może tylko w razie ostatecznym. Najważniejszą rzeczą dla nas powinno być opuszczenie wyspy przed ruszeniem kry, to jest przebycie pola lodowego pieszo. Byłoby to najlepsze wyjście z obecnego położenia. Zbudowanie statku o pojemności trzydziestu pięciu tonn wymaga co najmniej trzech miesięcy czasu, a wtedy posługiwać się nim nie będzie można, gdyż morze będzie już zamrożone. Pozostanie więc tylko dostać się pieszo na ląd stały, co byłoby najlepszym rozwiązaniem sprawy, gdyż wsiąść na statek w chwili pęknięcia lodów to przedsięwzięcie niezmiernie ryzykowne.

Słuszne było zapatrywanie Jasper Hobson'a, postanowiono więc jednomyślnie użyć statku tylko w razie ostatecznym.

Po tej rozmowie wszyscy udali się zpowrotem do fortu. Niebawem gromadka nasza znalazła się dookoła stołu wielkiej sali fortu Nadziei, niezajętej, gdyż reszta mieszkańców zatrudniona była nazewnątrz budynku. Na stole leżała dokładna mapa prądów atmosferycznych i morskich, którą przyniósł kapitan ze swego pokoju, zajęto się więc badaniem części morza Lodowatego, ciągnącej się od przyłądka Bathurst do cieśniny Berynga.

Dwa główne prądy przechodzą przez niebezpieczne okolice znajdujące się między kołem Polarnem a stroną mało znaną, zwaną „przejściem północno-zachodniem” od czasu śmiałego jej odkrycia przez Mac-Clure'a, – przynajmniej o innych prądach badacze nie wspominają.

Pierwszy z tych prądów, znany pod nazwą prądu Kamczatki, bierze początek w morzu Kamczackim i ciągnie się wzdłuż wybrzeża Azji, poczem przechodzi przez cieśninę Berynga w pobliżu przyłądka Wschodniego, wysuniętej części krainy Czukczów. Płynąc z południa na północ, zmienia nagle kierunek o sześćset mil powyżej cieśniny na wschód, dążąc wzdłuż równoleżnika przejścia Mac Clure'a, i czyniąc je dostępnem dla żeglugi podczas miesięcy letnich.

Drugi prąd, nazwany prądem Berynga, płynie w kierunku przeciwnym wzdłuż wybrzeża amerykańskiego od wschodu na zachód, najwyżej o sto mil od stałego lodu, dążąc ku środkowi

zachodu, najwyżej o sto mil od stałego lądu, uciągając ku Słoukowi cieśniny, gdzie spotyka się z prądem Kameczatki, poczem dążąc na południe i zbliżając się do Ameryki rosyjskiej, wpada do morza Berynga, gdzie załamuje się o rodzaj grobli kolistej, którą tworzą wyspy Aleuckie.

Mapa porucznika wskazywała z całą dokładnością wszystkie ostatnie odkrycia prądów morskich, można więc było polegać na niej.

Po starannem jej obejrzeniu Jasper Hobson, przesunąwszy ręką po czole, jak gdyby dla odpędzenia złowróżbnych myśli, rzekł:

– Miejmy nadzieję, drodzy przyjaciele, że los nie zagna nas do tych oddalonych okolic. Ruchoma nasza wyspa mogłaby już w nich pozostać.

– A to dlaczego? – spytała żywo Mrs. Paulina Barnett.

– Dlaczego, proszę pani? – odpowiedział porucznik. – Niech pani się przyjrzy dobrze tej części oceanu Lodowatego, a znajdzie pani odpowiedź z łatwością. Dwa prądy, dla nas zarówno niepomysłne, płyną w niej w kierunku przeciwnym. W miejscu gdzie się one spotykają, wyspa siłą rzeczy musiałaby być unieruchomiona i to w poważnej odległości od ziemi. W tem właśnie miejscu musiałaby przebyć porę zimową, a po pęknięciu lodów popłynęłaby wraz prądem Kameczatki do samego środka okolic nieznanych północo-zachodu, gdzie, zetknąwszy się z prądem Berynga, popłynęłaby wraz z nim do oceanu Spokojnego, w którym pograżyłaby się niechybnie.

– Tego nie będzie, panie poruczniku, – odezwała się Madge z przejęciem, – Pan Bóg nie dopuści do tego.

– Wszakże nie mogę zrozumieć dotąd, – rzekła Mrs. Paulina Barnett, – gdzie właściwie znajdujemy się w tej chwili, naprzeciwko bowiem przyładka Bathurst widzę tylko ten niebezpieczny prąd Kamczatki, który zdąża wprost w kierunku północno-zachodnim. Czyliż nie potrzebujemy się obawiać, aby nas nie unióś z sobą i abyśmy nie płynęli w stronę Georgji północnej?



– Nie sędzę, – odpowiedział Jasper Hobson, po chwili zastanowienia.

– Dlaczego?

– Dlatego, proszę pani, że prąd ten jest wartki i gdyby unosił nas od trzech miesięcy, dostrzegliśmy już byli jakiegokolwiek wybrzeże.

– A więc odzież możemy się znaleźć? – spytała

... i wrę, gdzie możemy się znaleźć? – spytał  
podróżniczka.

– Oczywiście, – odpowiedział Jasper Hobson, – że między prądem Kamczatki a wybrzeżem, prawdopodobnie w wirze, istniejącym w pobliżu wybrzeża.

– To nie może być, panie Hobson, – odpowiedziała Mrs. Paulina Barnett z żywością.

– Nie może być? a z jakiego powodu, proszę pani? – spytał porucznik.

– Ponieważ wyspa Victoria pod wpływem wiru byłaby uległa ruchowi obrotowemu. Tymczasem położenie jej względnie do stron nieba nie uległo żadnej zmianie od trzech miesięcy, a więc tak nie jest.

– Podzielam zupełnie pani zdanie, – odrzekł Jasper Hobson – i nie znajduję odpowiedzi na pani trafną uwagę. Przypuszczać mogę tylko jedno, że jakiś prąd nieznany, nie wskazany na mapie, istnieje jednakże. Zaiste, niepewność ta jest straszna. Chciałbym już doczekać się jutra, aby wreszcie dowiedzieć się, pod jaką długością znajduje się nasza wyspa.

– Jutro nadejdzie napewno – odezwała się Madge.

Po tych słowach zgromadzeni przyjaciele rozeszli się, wracając do swych zwykłych zajęć. Sierżant Long oznajmił towarzyszom, że zamierzona podróż do fortu Reliance nie przyjdzie do skutku z powodu, jak mówił, zbyt spóźnionej pory roku, aby dotrzeć przed zimą do faktorji, że astronom chciał



jeszcze jedną zimę spędzić w tych stronach dla uzupełnienia swych badań meteorologicznych, że nowych zapasów fort Nadziei nie potrzebuje i t. p. rzeczy, które niewiele obchodziły zacnych tych ludzi.

Jasper Hobson polecił tylko myśliwym, aby nie polowali na zwierzęta o cennych futrach, a zadowolili się tylko zwierzyną jadalną, potrzebną do powiększenia zapasu żywności fortu. Zabronił im również oddalać się od ich siedziby więcej jak na dwie mile, obawiając się, aby Marbre, Sabine lub inni myśliwi nie znaleźli się niespodziewanie przed obszarem morza w miejscu, gdzie przed kilku miesiącami przesmyk ziemi łączył półwysep Victoria z lądem stałym. Odkrycie to bowiem zdradziłoby tajemnicę.

Dzień ten wydał się nieskończony dla porucznika Hobson'a. Kilkakrotnie powracał do przyłądka Bathurst sam lub w towarzystwie Mrs. Pauliny Barnett. Podróżniczka, odporna na wszelkie przeciwności, nie obawiała się niczego. Patrzyła z pogodą w przyszłość. Zdobywała się nawet na ton żartobliwy, mówiąc do porucznika, że prawdopodobnie wyspa, która ich unosi, jest właśnie tym wehikulem, jaki był przeznaczony dla nich na podróż do bieguna Północnego! Dlaczegoż nie mieliby, dzięki sprzyjającemu prądowi, dotrzeć do tego niedoścignionego punktu kuli ziemskiej?

Słuchając optymistycznych wywodów podróżniczki Jasper Hobson potrząsał niedowierzająco głową i nie spuszczał z oka horyzontu, na którym szukał napróżno jakiego bądź skrawka

ziemi. Niebo i ziemia tworzyły jedną nieskazitelnej czystości linię, co utwierdzało porucznika w przekonaniu, że wyspa Victoria płynie raczej w kierunku zachodnim.

– Panie Hobson, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett, – czy pan nie ma zamiaru, i to w najkrótszym czasie, odbyć podróży dookoła naszej wyspy?

– Owszem, proszę pani, – odrzekł porucznik. – Skoro dowiem się o jej położeniu geograficznym, mam zamiar zbadać jej kształt i rozległość. Jest to rzecz nieodzowna dla zdania sobie sprawy, jakie mogą w niej zajść zmiany w przyszłości. Przypuszczam jednak, że oderwanie półwyspu nastąpiło przy samym krańcu przesmyka i że tym sposobem kształt jej nie uległ zasadniczej zmianie.

– Dziwny zaiste jest los nasz, panie Hobson! – odezwała się Mrs. Paulina Barnett. – Inni powracają ze swych podróży, przysparzając nowe ziemie lądowi geograficznemu. My, przeciwnie, zmniejszymy go, wykreślając z mapy półwysep Victoria.

Nazajutrz, 18 lipca, o dziesiątej zrana Jasper Hobson, dzięki czystemu niebu, mógł dokonać pomiaru wysokości słońca. Poczem dodając ten wynik do wyniku wczorajszego, wyznaczył ze ścisłości matematyczną długość geograficzną wyspy.





Astronom nie brał udziału w tem badaniu. Siedział zachmurzony w swym pokoju, – niby dorosłe dziecko, którem był w istocie poza obrębem życia naukowego.

Pomiary wykazały, że wyspa znajduje się pod  $157^{\circ}37'$  długości geograficznej, na zachód od południka Greenwich.

Szerokość geograficzna wynosiła zaś, jak wiadomo,  $73^{\circ}7'20''$ .

Punkt ten oznaczył porucznik na mapie w obecności Mrs. Pauliny Barnett i sierżanta Long.

Z niepokojem oczekiwano rezultatu tego kreślenia. Przedstawiał się on jak następuje:

W obecnej chwili wyspa była przesunięta na zachód, tak jak przypuszczał porucznik Hobson, lecz prąd, nie wskazany na mapie, unosił ją widocznie ku cieśninie Berynga. Niebezpieczeństwo zatem, jakie przewidywał porucznik Hobson, groziło im istotnie, o ile wyspa Victoria nie dopłyne do wybrzeża przed zimą.

– W jakiej odległości możemy być od lądu amerykańskiego?  
– spytała podróżniczka. – Narazie jest to zagadnienie

niezgodnie

najzywniejsze.

– Obecnie znajdujemy się na przeszło dwieście pięćdziesiąt mil od przylądka Barrow, będącego najbardziej wysuniętym na północ krańcem Ameryki rosyjskiej.

– Na ile więc wyspa oddaliła się od swego dawnego położenia? – spytał sierżant Long.

– Przynajmniej na siedemset mil, – odpowiedział porucznik Hobson, przyjrzawszy się mapie.

– A czy nie możnaby oznaczyć pory, w której nastąpiło oderwanie?

– Zapewne w końcu kwietnia, – odpowiedział porucznik. – W tej porze bowiem lodowe pole pękać zaczęło i lodowce, które się oparły działaniu słońca, zostały uniesione w kierunku północnym. Można więc przypuszczać, że wyspa Victoria, uniesiona prądem równoległym do wybrzeża, dąży ku zachodowi od trzech miesięcy, to jest w średnim obliczeniu dziewięć do dziesięciu mil dziennie.

– Czyż nie jest to szybkość znaczna? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– W istocie szybkość to znaczna, – odrzekł porucznik, – i niech pani sama osądzi, dokąd dotrzeć możemy, mając przed sobą jeszcze dwa miesiące lata!

– Tak więc temu położeniu zaradzić nie jesteśmy w stanie? – spytała podróżniczka.

– Nie jesteśmy, proszę pani, – odpowiedział porucznik. – Musimy czekać cierpliwie, i błagać usilnie zimę polarną, te zimę tak groźną dla żeglarzy, o jak najprędzsze nadejście. Zima, to zjawienie się lodu, lód zaś jest jedyną naszą deską zbawienia, jedyną nadzieją, na którą liczyć możemy.



## Rozdział III

### *Podróż dookoła wyspy.*



ocząwszy od owego dnia, postanowiono zapisywać codziennie położenie geograficzne wyspy, jak to ma miejsce na okręcie, o ile oczywiście stan atmosferyczny na to pozwoli. Czyż bowiem wyspa Victoria nie była okrętem, płynącym na los przypadku, bez żagli i steru?





Nazajutrz Jasper Hobson stwierdził po dokonanych pomiarze, że pozostając na tej samej szerokości, wyspa posunęła się jeszcze o kilka mil na zachód. Polecił więc cieśli Mac Nap zająć się budową obszernego statku, pozorując to zlecenie zamiarem podróży wzdłuż wybrzeża aż do Ameryki rosyjskiej w przyszłej porze letniej. Cieśla, nie dopytując się więcej zabrał się zaraz do przygotowania drzewa zdatnego do budowy, składając je na wybrzeżu w pobliżu przylądka Bathurst, aby po dokonaniu dzieła można było z łatwością spuścić statek na morze.

Owego to dnia również porucznik chciał uskutecznić swój zamiar poznania rozległości terytorjum, na którym on i jego towarzysze byli obecnie uwięzieni. Znaczne zmiany mogły zajść w układzie tej wyspy lodowej, wystawionej na wpływ zmiennej temperatury wód, należało więc określić jej kształt obecny, jej powierzchnię, a nawet jej grubość w niektórych punktach. Należało również zbadać dokładnie linię wybrzeża, w której zostało dokonane zerwanie, gdyż na niej można było się przekonać o grubości warstw lodowej i ziemnej, tworzących podstawę wyspy.

Niestety, owego to dnia niebo zachmurzyło się nagle, silny wiatr zerwał się po południu i wkrótce zaczął padać deszcz

ulewny w połączeniu z gęstym gradem, który odbijał się donośnie od dachu domu. Jednocześnie rozległo się kilka oddalonych odgłosów gromu, co było zjawiskiem rzadkiem na tak wysokiej szerokości geograficznej.

Porucznik Hobson przeto musiał odłożyć swą podróż do chwili uśmierzenia się żywiołów. Ale 20, 21 i 22 lipca stan atmosfery nie uległ żadnej zmianie. Burza szalała bez przerwy, a fale uderzały o wybrzeże z ogłuszającym hałasem i z taką siłą, że można się było obawiać o wyspę, której trwałość była bardzo problematyczna, skoro jej napływowy grunt z ziemi i piasku, nie miał żadnej pewnej podstawy. Pożalowania godne były okręty, znajdujące się w tej chwili na morzu! Wyspa jednak nie poddawała się wstrząśnieniom wzburzonych wód, i olbrzymia jej masa zachowywała się obojętnie wobec gniewnego oceanu.

Z 22 na 23 lipca, w nocy, burza uspokoiła się nagle. Silny wiatr północno-wschodni rozpędził chmury. Barometr podniósł się o kilka linii, Jasper Hobson więc postanowił skutecznie zamierzoną swą podróż.

Mrs Paulina Barnett i sierżant Long mieli towarzyszyć porucznikowi w wycieczce, która, jako że miała trwać jeden do dwu dni, nie zdziwiła bynajmniej mieszkańców faktorji. Zaopatrzone się w pewną ilość suszonego mięsa, w suchary i kilka butelek wódki, nie obciążających zbytnio plecaków wędrowców. Dnie wtedy były jeszcze bardzo długie, gdyż słońce znikало z horyzontu zaledwie na kilka godzin.

Nie potrzebowano prawdopodobnie obawiać się spotkania

niebezpiecznych zwierząt, gdyż zdawało się, iż niedźwiedzie, wiedzione instynktem, opuściły wyspę Victoria jeszcze wtedy, gdy była ona półwyspem. Lecz na wszelki wypadek Jasper Hobson, sierżant i Mrs. Paulina Barnett zabrali ze sobą strzelby. Oprócz tego, porucznik i podoficer mieli przy sobie toporki i noże do śniegu, z którymi nie rozstaje się nigdy podróżnik w strefach podbiegunowych.

Podczas nieobecności w forcie porucznika Hobson i sierżanta Long, dowództwo fortu z prawa należało się do kaprała Joliffé, to jest właściwie do jego młodej małżonki, Jasper Hobson zaś wiedział, że zaufać jej można. Co do Tomasza Black, to na niego nie było co liczyć, gdyż nawet nie chciał się przyłączyć do mającej się odbyć wycieczki, obiecał tylko porucznikowi, że nie omieszka zapisywać zmian, jakie zauważy w północnej stronie, czy to na morzu czy to w położeniu wyspy.

Mrs. Paulina Barnett starała się niejednokrotnie uspokoić biednego uczonego, ale usiłowania jej były próżne. Uważał się za oszukanego przez samą naturę i nie mógł jej przebaczyć podobnej mistyfikacji.

Po pożegnaniu się z mieszkańcami fortu Mrs. Paulina Barnett i jej dwaj towarzysze wyruszyli w drogę, kierując się na zachód wzdłuż wydłużonego łuku wybrzeża, ciągnącego się od przylądka Bathurst do przylądka Eskimos.

Była ósma rano. Ukośne promienie słońca ożywiały wybrzeże swem płowem światłem. Kołysanie fal ustępowało powoli. Ptaki, spłoszone burzą, zlatywały się gromadnie. Stada kaczek



powracały do jeziora Barnett. Kilka zajęcy polarnych, kun, piżmowców, gronostajów zrywało się na widok podróżnych, nie śpiesząc się jednak zbyt. Zwierzęta prawdopodobnie dążyły do towarzystwa ludzkiego, wiedzione przecuciem wspólnego niebezpieczeństwa.

– Instynktownie czują, że morze je otacza, – rzekł Jasper Hobson, – i że nie mogą opuścić wyspy!

– Czyż te gryzonie, zajęce czy inne, nie śpieszą zwykle na zimę do łagodniejszego klimatu? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– Owszem, proszę pani, lecz tym razem, o ile nie zdołają uciec polem lodowym, będą uwięzione narówni z nami i należy się obawiać, że wielka ich ilość zginie od głodu i chłodu.

– Przypuszczam – odezwał się sierżant Long, – że zwierzęta te będą nam służyły za pożywienie, i bardzo szczęśliwie się stało, że nie zechciały uciec przed oderwaniem się wyspy.

– Ale ptaki opuszczą nas zapewne? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– Tak, pani, – odpowiedział Jasper Hobson. – Wszystkie one odlecą wraz z pierwszymi chłodami. Mogą one przebyć największe przestrzenie bez zmęczenia i, szczęśliwsze od nas, dostaną się do stałego lądu.

– A zatem czy nie mogłyby być naszymi wysłańcami? – zauważyła podróżniczka.

– Doskonały to pomysł, proszę pani, – rzekł porucznik. –

Dlaczegoż nie mielibyśmy złapać kilka setek tych ptaków, poczem przywiązawszy im do szyi odpowiednią kartkę wypuścić na swobodę, żeby zniosły wiadomość o naszym obecnym położeniu. W ten sposób John Ross w 1848 dał znać o losie swych okrętów *Entreprise* i *Investigator* na morzu Polarnym tym, którzy ocalili w wyprawie Franklina. Schwytał on w sidła kilkaset lisów białych, zaopatrzył je w obrozę miedzianą, na której wypisane były potrzebne wiadomości, poczem wypuścił je w rozmaitych kierunkach.

– Może być, że niejeden z tych wysłańców wpadł w ręce rozbiteków? – zauważyła Mrs Paulina Barnett.

– Być może, – odpowiedział Jasper Hobson. – W każdym razie, przypominam sobie, że jeden z tych lisów, już wtedy stary, był schwytyany przez kapitana Hatterasa podczas jego podróży. Lis ten miał jeszcze na szyi ową obrozę napół zniszczoną i zaledwie widzialną z pod białego futra. Co zaś do nas, nie mogąc posługiwać się czworonożnymi zwierzętami, zwrócimy się do ptaków!

Urozmaicając sobie czas rozmową i rozmyślaniami nad przyszłością, dwaj wędrowcy i ich towarzyszka szli wciąż wzdłuż wybrzeża wyspy. Nie zauważyli oni w niem zmian żadnych. Urwiste ta wybrzeże, pokryte ziemią i piaskiem, nie wskazywało na jakiegokolwiek załamanie, któreby zmieniło wygląd wyspy. Niemniej jednak obawiać się należało, że olbrzymi lodowiec pod wpływem cieplejszych prądów morskich, mógł zachwiać się w swej podstawie, co stanowiło poważną troskę Jasper Hobson'a.

O jedenastej z rana wędrowcy dotarli do przylądka Eskimos, położonego o osiem mil od przylądka Bathurst. Natrafili oni na ślad obozowiska dawniej zajmowanego przez rodzinę młodej Kalumah. Domki śnieżne znikły, lecz popiół ognisk i kości świadczyły o bytności Eskimosów.



Wędrowcy nasi mieli zatrzymać się tu krótko, gdyż zamiarem ich było spędzić kilka godzin nocnych przy zatoce Morsów. Usiadłszy na niewielkim wzniesieniu gruntu, pokrytem rzadką trawą, podziwiali oni roztaczającą się przed ich oczyma pustynię morską, na której nie rysował się ani żagiel, ani góra lodowa.

– Gdyby przed naszymi oczyma zjawił się nagle jaki okręt, czy byłby pan mocno zdziwiony, panie Hobson? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– Mocno zdziwiony, to nie, – odpowiedział porucznik, – przyznaję jednak, że byłbym mile zdziwiony. Nie jest bowiem rzadką rzeczą, że podczas pory letniej poławiacze wielorybów cieśniny Berynga dosięgają do tych wysokości, szczególnie

odkąd ocean Północny stał się stawem dla potfiszków i wielorybów. Ale jesteśmy obecnie przy końcu lipca. O tej porze cała flotyła rybacka znajduje się zapewne w zatoce Kotzebue, u wejścia do cieśniny. Poławiacze wielorybów obawiają się z całą słuszością niespodzianek morza Polarnego, przedewszystkiem zaś zwałów lodowych, w których musieliby być uwięzieni. Otóż tych to zwałów lodowych my pożądamy jak najgoręcej!

– Nadejdą, panie poruczniku, – rzekł sierżant Long – uzbrójmy się tylko w cierpliwość. Za dwa miesiące, a może wcześniej, fale morskie odbijać się nie będą o przyładek Eskimos.

– Przyładek Eskimos! – powtórzyła z uśmiechem Mrs. Paulina Barnett, – czy ta nazwa, jak również i inne, nadawane różnym miejscowościom półwyspu, nie były przedwczesne? Niema już portu Barnett, ani też rzeki Pauliny, może wkrótce znikną także przyładek Eskimos i zatoka Morsów!

– Znikną niezawodnie, – odezwał się porucznik – po nich zaś zniknie cała wyspa Victoria, albowiem skazana jest zgóry na zagładę! Katastrofa to nieunikniona i napróżno silił się wzbogacić nomenklaturę geograficzną. Na szczęście nie jest ona jeszcze potwierdzona przez Towarzystwo Królewskie, szanowny zatem Roderick Murchison<sup>1</sup> nie będzie potrzebował wykreślać tych nazw ze swych map!

– Owszem, jedną z nich! – rzekł sierżant.

– Mianowicie? – spytał porucznik.

– Przyładek Bathurst, – odparł sierżant.

– Masz słuszość, sierzancie, przyładek Bathurst należy obecnie wykreślić z map stron polarnych!

Po dwugodzinnym wypoczynku wędrowcy wyruszyli w dalszą drogę.

Przed opuszczeniem przyłodka Eskimos, Jasper Hobson po raz ostatni objął wzrokiem otaczający go wodny horyzont. Nie zauważywszy na nim nic szczególnego, porucznik wrócił do czekających na niego Mrs. Pauliny Barnett i sierżanta.

– Czy pani nie zapomniała – spytał, zwracając się do podróżniczki – rodziny Eskimosów, którą spotkaliśmy tu zeszłej zimy?

– Bynajmniej, – odpowiedziała Mrs. Paulina Barnett, – a nawet przechowuję miłe wspomnienie o dobrej Kalumah. Obiecała, że odwiedzi mnie w forcie Nadziei, czego w obecnych warunkach uskutečnić nie będzie mogła. Ale dlaczego pan mnie pyta o to?

– Dlatego, że przypominałem sobie fakt, do którego narazie nie przywiązywałem znaczenia, a który obecnie narzuca się mojej pamięci.

– O jakim fakcie pan myśli?

– Czy pani nie przypomina sobie, z jakim zdziwieniem Eskimosi przyjęli wiadomość o założeniu przez nas faktorji u podnóża przyłodka Bathurst?

– Doskonale, panie Hobson.

– Czy przypomina pani sobie również, że nalegałem, aby mi wytłumaczyli przyczynę tego zdziwienia, lecz bez skutku.

– Istotnie.

– Otóż teraz, proszę pani, rozumiem, co miało wyrażać ich znaczące potrząsanie głową; Eskimosi, zżyci z temi stronami, musieli wiedzieć, o pochodzeniu półwyspu Victoria, i, że budujemy na gruncie niepewnym. Ale wiedzieli również, że półwysep ten istnieje od wieków, nie przypuszczali, że nam grozi tak bliskie niebezpieczeństwo i dlatego bliższych objaśnień odmówili.

– Zapewne jest tak, jak pan mówi, – odpowiedziała Mrs. Paulina Barnett, – przypuszczam jednak, że Kalumah o tem nie wiedziała, gdyż byłaby nie zawahała się odkryć mi rzeczywistego stanu rzeczy.

Porucznik podzielił w zupełności przypuszczenie swej towarzyszki.

– Należy jednak wyznać, – odezwał się wtedy sierżant Long, – że dziwnie los nam nie sprzyjał, skoro osiedliliśmy się na półwyspie właśnie wtedy, gdy po całych wiekach miał on być oderwany od lądu stałego.

– Możesz nawet powiedzieć, sierżancie, że tysiące tysięcy lat był z nim złączony – odpowiedział Jasper Hobson. – Wszak ziemia, po której w tej chwili stąpamy, musiała być naniesiona

wiatrem, cząsteczka po cząsteczce, ziarnko po ziarnku! Ileż czasu trzeba było, aby z naniesionych pyłków nasiennych wyrosły te lasy jodeł i brzoź! Kto wie, czy ten lodowiec, na którym obecnie płyniemy, nie przywarł do lądu przed pojawieniem się człowieka na ziemi!

– Tem bardziej mógł sobie poczekać jeszcze kilka wieków zamiast odrywać się nagle! – zawołał sierżant Long. – Ileż oszczędziłby nam niepokojów, a, kto wie, może i niebezpieczeństw!

Po tej bardzo trafnej uwadze wędrowcy wyruszyli w dalszą drogę.



Od przylądka Eskimos do zatoki Morsów wybrzeże ciągnęło się na północ i południe w kierunku sto dwudziestego siódmego południka. W głębi widać było, w odległości czterech do pięciu mil, wystający kraniec jeziora, w którego wodach odbijały się promienie słoneczne, a poza nim skraj lasów, otaczających je ramą zieloności. W powietrzu unosiły się orły-świstaki z

rozpiętymi skrzydły. Wśród krzaków uwijały się kuny, wizony, gronostaje, patrząc spokojnie na podróżnych, jakgdyby rozumiejąc, że nie grozi im niebezpieczeństwo. Jasper Hobson dostrzegł również kilka bobrów bezdomnych po zniknięciu rzeki Pauliny. Pozbawione swych lepianek i bez możliwości zbudowania nowych, były one skazane wraz z nadejściem zimy na niechybną zagładę. Sierżant Long dostrzegł nawet stado wilków biegnących przez równinę.

Wobec tego należało przypuszczać, że wszystkie zwierzęta pozostały na wyspie i że z nadejściem zimy niektóre z nich mogą być niepożądanymi gośćmi dla fortu Nadziei.

Jednakże niedźwiedzi polarnych nie spotkano wcale. Wprawdzie sierżantowi zdawało się, że dostrzegł z poza krzaków jakąś ogromną białą masę; przyjrawszy się jednakże bliżej, był pewien, że to złudzenie.

Część wybrzeża, granicząca z zatoką Morsów, wznosiła się niewiele ponad poziom morza. W niektórych nawet miejscach fale zalewały wybrzeże na dość znacznej przestrzeni. Wydawało się, jakgdyby to obniżenie gruntu było niedawne, trudno jednak było przekonać się o tem, z powodu braku wszelkiej miary porównawczej. Jasper Hobson żałował, że nie przyszło mu na myśl, przed wyjazdem postawić w okolicach przyładka Bathurst stosownej skali, któraby wskazywała na pogłębienie lub obniżenie się wybrzeża. Obiecał uczynić to po powrocie z wycieczki.

Tego rodzaju badanie nie wpływało oczywiście na szybkość



podróży. Zatrzymywano się często, badano grunt, szukano, czy nie uległ gdzie pęknięciu, tak, że nieraz wędrowcy zapuszczali się na pół mili w głąb wyspy. Gdzie niegdzie nawet sierżant powbijał gałęzie wierzb i brzoź, szczególnie w miejscach, gdzie grunt zdawał się być podkopany i niezupełnie pewny, aby w przyszłości można się było przekonać o zmianach zaszłych na powierzchni wyspy.

Powoli jednak zdążano przed siebie i około trzeciej po, południu wędrowcom pozostawały tylko trzy mile do zatoki Morsów. Jasper Hobson zwrócił uwagę Mrs. Pauliny Barnett na zmianę, jaka zaszła z powodu oderwania się półwyspu od łądu, zmianę w istocie bardzo ważną.

Ongi horyzont na południo-zachodzie był zasłonięty wydłużoną linią wybrzeży zlekka zaokrągloną i tworzącą rozległą zatokę Liverpool. Obecnie linię horyzontu stanowiła linia wodna. Łąd znikł. Wyspa Victoria w miejscu, gdzie nastąpiło oderwanie przesmyku, przedstawiała kąć ścięty. Za tem kątem domyślano się obszaru morskiego, który zajął miejsce przesmyku ciągnącego się od zatoki Morsów do zatoki Washburn.

Mrs. Paulina Barnett nie bez wzruszenia spoglądała na ten nowy krajobraz. Na zmianę tę była przygotowana, a jednak serce jej biło gwałtownie. Szukała wzrokiem tego łądu, który obecnie był oddalony o dwieście mil od wyspy, i teraz dopiero zdawała sobie sprawę, że nie znajduje się już na łądzie amerykańskim. Niejedna wrażliwa dusza byłaby współczuła podróżniczce, nie mówiąc już, że Jasper Hobson, a nawet

serżant Long nie mogli oprzeć się wzruszeniu.

Wędrowcy przyspieszyli kroku, aby dotrzeć jak najprędzej do tego ściętego kąta wyspy. Grunt wznosił się nieco w tej części wybrzeża. Warstwa ziemi i piasku była na nim grubsza, co wskazywało na bliskość dawną wyspy z lądem stałym, z którym się dotąd łączyła. Grubość warstwy lodowej i grubość warstwy gruntu, prawdopodobnie zwiększająca się ustawicznie, tłumaczyła, dlaczego wyspa trzymała się tak ściśle lądu, dopóki niespodziewanie wstrząśnienie nie przerwało tej łączności. Trzęsienie ziemi, które 8 stycznia nawiedziło część lądu amerykańskiego, było jednak dość silne, aby wpłynąć na losy półwyspu, zamienionego obecnie na wyspę ruchomą oddaną na pastwę fal oceanu.

O czwartej wreszcie wędrowcy dotarli do celu. Zatoka Morsów już nie istniała, pozostawszy przy stałym lądzie.

– Bardzo szczęśliwie się stało, – rzekł z całą powagą sierżant Long, zwracając się do podróżniczki, – że nie nazwaliśmy ją zatoką Pauliny Barnett!

– W istocie, – odpowiedziała Mrs. Paulina Barnett, – zaczynam bowiem wierzyć, że jako matka chrzestna przynoszę nieszczęście nomenklaturze geograficznej.



## Rozdział IV

### *Nocne obozowisko.*



ak więc Jasper Hobson nie omylił się co do miejsca, w jakim nastąpiło oderwanie półwyspu. Przesmyk padł ofiarą trzęsienia ziemi. Ani śladu lądu amerykańskiego, ani śladu skał i wulkanów na zachodniej części wyspy. Morze widniało zewsząd.

Kąt, utworzony oderwaniem się wyspy, wrzynał się nakształt przyładka w morze, poddając się działaniu prądów cieplejszych, które, prędzej czy później, przyczynić się musiały do jego zniweczenia.

Wędrowcy podążyli dalej, trzymając się nowoutworzonego wybrzeża, które prawie w prostym kierunku dążyło od zachodu na wschód. Oderwanie to było tak równe, jakgdyby dokonane zostało cięciem ostrego narzędzia. Wybrzeże to, napoły z lodu, napoły z ziemi i piasku, wystawało z morza miejscami do dziesięciu stóp i można było przypatrzeć mu się dokładnie. Sierżant Long zauważył nawet kilka kawałków lodu, które oderwawszy się od wybrzeża, topniały w morzu. Widoczną było rzeczą, że fale morskie odrywały łatwiej cząstki tego nowego

brzegu, nie pokrytego jeszcze, jak reszta wybrzeża, pewnego rodzaju wapnem ze śniegu i piasku. To też spostrzeżenia te pocieszającymi być nie mogły. Przed udaniem się na spoczynek wędrowcy chcieli obejrzeć całą stronę południową wyspy. Słońce, kreśląc łuk niezmiernie wydłużony, zachodziło dopiero o jedenastej, czasu więc mieli dosyć. Świetlne ciało, ciągnąc się powoli po linii swego przebiegu, rzucało ukośne promienie, które wydłużały nadmiernie cienie podróżnych, ścielące się u ich stóp. Chwilami rozmawiano z ożywieniem, częściej jednak wpatrywano się w milczeniu w morze, dumając o niepewnej przyszłości.

Jasper Hobson na miejsce nocnego postoju wybrał zatokę Washburn, oddaloną prawie o osiemnaście mil od fortu Nadziei, i mającą według jego obliczeń stanowić połowę zakreślonej drogi dookoła wyspy. Po odpowiednim odpoczynku wędrowcy mieli wybrzeżem zachodniem powrócić do fortu Nadziei.

O siódmej wieczorem dostali się oni bez żadnej przygody do zatoki Washburn. Tu również zauważyli zmianę. Z zatoki została tylko część jej wybrzeża północnego, zakończonego przylądkiem Michel, a liczącego siedem mil długości. Wyspa wszakże w tej części zachowała swój dawny wygląd. Laski jodłowe i brzozowe, zieleniejące o tej porze roku, widniały w głębi, a zwierzęta o cennych futrach przemykały po równinie.

Mrs. Paulina Barnett i jej towarzysze podróży z ciekawością rozejrzeli się dokoła siebie. Z północnej strony ściana skalista zasłaniała im widnokrąg, z południowej wszakże mogli sięgnąć

daleko w przestrzeń. Słońce zakreślało łuk tak wydłużony, że jego promienie, odbijając się o wyniosłość gruntu na zachodzie, nie dosięgały zatoki Washburn. Nie była to wszakże noc, ani nawet zmrok, gdyż tarcza słoneczna widniała na horyzoncie.

– Panie poruczniku, – odezwał się sierżant Long z największą w świecie powagą, – gdyby w tej chwili odezwał się dzwon, jakie znaczenie należałoby mu przypisać?

– Wezwanie do wieczerzy, – odpowiedział Jasper Hobson. – Przypuszczam, że i pani jest tego zdania.

– W zupełności – potwierdziła podróżniczka – a ponieważ jedynym do niej przygotowaniem jest zajęcie miejsc, usiądźmy na tym kobiercu mchowym, – wprowadzie nieco zniszczonym, – który, dzięki Opatrzności, ściele się pod naszymi stopami.

Po wieczerzy Jasper Hobson wrócił do południowo-wschodniego krańca wyspy, Mrs. Paulina Barnett zaś, siedząc pod jodłą nawpół огоłoconą z gałęzi, przypatrywała się pracy sierżanta Long zajętego przygotowaniem nocnego obozowiska.



Jasper Hobson chciał zbadać starannie budowę lodowca, na którym wznosiła się wyspa. Skorzystawszy z częściowego zawalenia się ściany skalistej, dostał się do samego poziomu morza, skąd mógł dokładnie przyjrzeć się urwistemu wybrzeżu.

W tym miejscu wznosiło się ono zaledwie na trzy stopy nad wodą. Pokrywająca je wierzchnia warstwa składała się z ziemi i piasku z przymieszką resztek muszli. Dolną zaś warstwę stanowiła zwarta masa lodu, tak ścisła, że mogła utrzymać ziemię roślinną wyspy.

Warstwa lodu wznosiła się zaledwie na stopę nad poziomem morza. Można było wyraźnie rozróżnić warstwy lodowe, które ją tworzyły. Poziome te pokłady wskazywały na stopniowe ich zamarzanie wśród wód względnie spokojnych.

Wiadomo, że ciała w stanie płynnym zamarzają w górnych ich częściach, całkowite zaś stężenie następuje dopiero pod wpływem przeciągłego trwania mrozu. Zjawisko to jednak ma miejsce tylko przy spokojnym stanie wód. Przeciwnie w bieżącej wodzie, warstwy dolne zamarzają najpierw, wznosząc się stopniowo ku górze.

Co do lodowej podstawy wyspy Victoria, to nie ulegało wątpliwości, że tężała ona wśród spokojnych wód wybrzeży łądu amerykańskiego, a zatem od górnej swej części ku dolnej, z czego należało wnioskować, że tając zacznie od dołu. Pod wpływem zatem cieplejszych prądów morskich podstawa lodowa wyspy zmniejszać się będzie stopniowo, obniżając tem

samem jej poziom w stosunku do poziomu morza.

I w tem tkwiło całe niebezpieczeństwo.

Jak już nadmieniliśmy, podstawa lodowa unosiła się zaledwie na stopę nad poziom morza. – Wiadomo zaś, że każdy lodowiec pogrąży się tylko na cztery piątych w wodzie. To samo ma miejsce z polem lodowem. Dodać jednak należy, że zależnie od układu i ścisłości lodu, ciężar gatunkowy tych mas lodowych ulega pewnej zmianie. O ile są one pochodzenia czysto morskiego, przedstawiają masę mniej zwartą, mglistą, barwy błękitnej lub zielonej, zależnie od działania promieni słonecznych, i lżejszą od lodu utworzonego przez wodę słodką, a tem samem wznoszącą się nieco wyżej ponad poziom morza. Takim lodowcem morskim była podstawa wyspy Victoria. Zastanowiwszy się nad tem wszystkim Jasper Hobson przyszedł do wniosku, że wzięwszy pod uwagę warstwę mineralną i roślinną, ciężącą na lodowcu, musiał on być pogrążony nie więcej nad cztery do pięciu stóp w wodzie.

Wniosek ten zasepił czoło Jasper Hobson'a. Zaledwie na pięć stóp! Nie mówiąc już o przyczynach, jakie wpłynęłyby na jego rozpuszczenie, najmniejsze wstrząśnienie mogło spowodować pęknięcie jego powierzchni. Czyż gwałtowne kołysanie wzburzonych bałwanów nie mogło go rozdzielić na pojedyncze kawałki, a tem samem przyczynić się do zagłady wyspy? Nic nie pozostawało Jasper Hobson'owi, tylko błagać niebiosa o zesłanie straszego mrozu polarnego, któryby ułatwił nieszczęśliwym mieszkańcom wyspy dostanie się do stałego lądu.

Powróciwszy do swych towarzyszy, Jasper Hobson zastał sierżanta Long przy pracy koło obozowiska. Sierżant chciał wykopać w gruncie domek lodowy mogący pomieścić trzy osoby, w którymby zabezpieczone były od chłodu nocnego.

– W krainie Eskimosów – rzekł – najroztropniejszą rzeczą jest zachowywać się jak Eskimosi.

Jasper Hobson’owi zamiar sierżanta podobał się bardzo, zalecił wszakże, aby nie zagłębiał się zbyt w warstwie lodowej, gdyż grubość jej wynosi tylko pięć stóp.

Przy pomocy toporka i noża do śniegu sierżant wykopał wkrótce rodzaj korytarza prowadzącego ku warstwie lodowej, poczem zaczął wyłamywać zeń lód, i po upływie godziny nocleg był gotowy.

Jasper Hobson tymczasem opowiedział Mrs. Paulinie Barnett o rezultacie swych spostrzeżeń nad całokształtem wyspy Victoria. Nie tał przed nią swych obaw co do kruchości jej podstawy lodowej. Jego zdaniem wyspę czeka albo zanurzenie się stopniowe z powodu tajania lodu, albo też rozłam spowodowany rozczłonkowaniem się dotąd zwartej masy lodowej. Na skutek tych wyników doszedł do wniosku, że mieszkańcy fortu, o ile to możliwe, nie powinni oddalać się od faktorji, ażeby uniknąć jakiej niepożądaney niespodzianki.

Przy ostatnich słowach Jasper Hobson’a rozległo się wołanie.

Mrs. Paulina Barnett i porucznik zerwali się natychmiast, nad słuchując pilnie, skąd dochodziły głosy.



Wołanie się powtórzyło.

– Sierżant, sierżant! – zawołał Jasper Hobson, rzucając się w stronę obozowiska. Mrs. Paulina Barnett podążyła za nim.

Stanąwszy nad wykopanym otworem, ujrzeli sierżanta Long, który trzymając się mocno za nóż wbity w ścianę lodową, wzywał na pomoc głosem wprawdzie silnym, lecz spokojnym.



Sierżant był do pasa zanurzony w wodzie. Jasper Hobson, nie tracąc czasu, zsunął się po wykopanym zboczach i zbliżywszy się do sierżanta, wyciągnął rękę, aby ułatwić mu wydostanie na ziemię.

– Mój Boże, – zawołała Mrs. Paulina Barnett, – co się wam stało, sierżancie Long!

– Stało się to, proszę pani, – odpowiedział sierżant, otrząsając się jak zmoczony pudel, – że grunt lodowy usunął się z pod moich nóg, i mimo mej woli użyłem kąpieli.

– Czy zapomniałeś o mojem zleceniu niezagłębiania się zbyt w podstawie lodowej? – spytał Jasper Hobson.

– Bynajmniej, panie poruczniku. Może się pan przekonać sam, że wykopałem lód tylko na piętnaście cali. Lecz należy przypuszczać, że pod tą głębokością znajdowało się coś nakształt pieczary. Gdy lód załamał się, miałem wrażenie, że lecę poprzez sufit, i gdyby nie mój nóż, byłbym obecnie pod wyspą, co nie byłoby rzeczą wesołą, wszak prawda, proszę pani?

– Bardzo smutną, dzielny sierżancie! – odrzekła podróżniczka, wyciągając doń rękę.

Objaśnienie sierżanta było trafne. W tem miejscu, prawdopodobnie pod wpływem nagromadzonego powietrza, lód utworzył sklepienie, a tem samem cieńszą warstwę lodową, która ustąpiła pod ciężarem ciała ludzkiego.

Nowe to odkrycie zaniepokoiło porucznika. Można bowiem było przypuszczać, że niejedno takie sklepienie znajduje się w podstawie lodowej, a tem samem, że podstawa była jeszcze mniej pewną, niż sądził pierwotnie. To też nic dziwnego, iż serce dzielnego porucznika ścisnęło się boleśnie na myśl, że tylko cienka warstwa ziemi i lodu dzieli jego i wierny jego oddział od otchłani morskich!

Sierżant Long, niezrażony swą niepożądaną kąpielą, chciał rozpocząć swą pracę odnowa. Lecz Mrs. Paulina Barnett oparła się temu stanowczo, twierdząc, że spędzą noc w sąsiednim lasku.

Rozłożono się więc obozem o sto kroków od wybrzeża na małej wyniosłości pokrytej rzadko jodłami i brzoźami, a około dziesiątej rozpalono ognisko, którego blask rozświetlał nadchodzący mrok nocy.

Porucznik i sierżant Long, który rad ze sposobności suszył swe przemokłe ubranie, przepędzili krótkie godziny nocne na rozmowie. Od czasu do czasu Mrs. Paulina Barnett, dorzucała do niej słów kilka, starając się rozproszyc smutne myśli porucznika. Zresztą piękna noc polarna, z gęsto usianymi gwiazdami na zenicie, działało kojąco na zaniepokojonych wędrowców. Lekki podmuch wiatru odzywał się szelestem wśród drzew. Morze zdawało się drzemać na wybrzeżu. Fala, niezmiernie wydłużona, zaledwie dotykała powierzchni wody, gubiąc się niepostrzeżenie na skraju wyspy. Ani krzyk ptaka, ani pomruk zwierzęcia nie mąciły milczenia. Od czasu do czasu tylko trzask suchych gałęzi, unoszących się płomieniem w powietrze, lub szept rozmów, ginący w przestrzeni, przerywały urok tej nocnej ciszy.

– Któżby przypuścił – odezwała się Mrs. Paulina Barnett, – że unoszą nas w tej chwili fale oceanu! Zaiste, panie poruczniku, trudno mi jest uwierzyć, że to morze, tak nieruchome z pozoru, włada tak niezwalczoną potęgą!

– A jednak tak jest w istocie, – odrzekł Jasper Hobson. – Gdyby wszakże podstawa naszego wehikułu była mocniejszą, gdyby spód naszego okrętu nie zniknął powoli, a jego pudło nie groziło rozbiciem, wreszcie, gdybym wiedział, gdzie nas

zaprowadzi, z przyjemnością poddałbym się jego mocy!

– Rozumiem pana – odezwała się znów podróżniczka – czyż można bowiem wyobrazić sobie przyjemniejszą jazdę, niż jest nasza? Nie odczuwamy jej wcale. Nasza wyspa płynie z tą samą szybkością, co i prąd, który ją unosi, na podobieństwo balonu szybującego w powietrzu. Gdybyż można było płynąć w ten sposób wraz ze swoim domem, ogrodem, parkiem, a nawet krajem! Wyspa ruchoma, lecz wyspa o podstawie trwałej, byłaby najcudowniejszym z wehikułów. Wszak ongi budowano ogrody wiszące, dlaczegoż więc nie możnaby urządzić parków ruchomych, które przenosiłyby nas na końce świata? Ich wielkość przeciwstawiałaby się wszelkiemu kołysaniu morza. Nie potrzebowałyby się obawiać burz. Być może nawet, że przy sprzyjających wiatrach i odpowiednich żaglach zdołanoby im nadać pewien stały kierunek. Od stron umiarkowanych do stref tropikalnych przenosić się byłoby można, napawając wzrok coraz to bujniejszą roślinnością. Przypuszczam nawet, że przy pomocy sprawnych sterników, znających dokładnie wszystkie prądy, możnaby używać dowolni wiecznej wiosny!

Jasper Hobson odpowiadał uśmiechem na słowa pełne zapału Mrs. Pauliny Barnett. Dzielna podróżniczka unosiła się z takim spokojem na polu swej wyobraźni, z jakim wyspa Victoria płynęła po przestworzu oceanu. Zresztą nie ulegało wątpliwości, że osobliwa ta podróż posiadała wiele uroku, o ile wszakże wypie nie groziłaby katastrofą.

Po niedługim wypoczynku rozpalono znów ognisko, aby rozzerzać się po chłodzie nocnym. Wędrowcy zjedli śniadanie

rozglądać się po cieżkiej nocnym wędrownicy, zjawisz się natychmiast z apetytem, wyruszyli o szóstej rano w dalszą drogę.

Wybrzeże od przylądka Michel do portu Barnett ciągnęło się prawie prostopadle od południa ku północy na przestrzeni około jedenastu mil. Ta część wyspy nie uległa żadnej widocznej zmianie pod wpływem oderwania się od lądu. Wybrzeże to było naogół niskie, miejscami tylko zlekka wyniosłe. Porucznik i sierżant postawili na niem kilka odpowiednich znaków, aby w przyszłości przekonać się, czy nie zmieniło swego kształtu.

Porucznik Hobson miał zamiar tego wieczora jeszcze stanąć w forcie Nadziei, Mrs. Paulina Barnett również dążyła do swych przyjaciół, w warunkach bowiem, w jakich się znajdowali obecnie, nie należało ich pozbawiać opieki dowódcy faktorii.

Przyspieszono więc kroku i skracając drogę dotarto do małego przylądka, który chronił port Barnett od wiatrów wschodnich.

Od tego miejsca do fortu Nadziei nie było więcej nad osiem mil. Przed czwartą też wędrownicy zjawili się w faktorii witani radośnie przez kaprała Joliffe.



## Rozdział V

## *Od 25 lipca do 20 sierpnia.*



ierwszem staraniem Jasper Hobson'a po powrocie do fortu było dowiedzieć się od Tomasza Black, czy nie zaszły jakie zmiany podczas jego nieobecności. W forcie było wszystko po dawnemu, ale wyspa zato, jak sprawdzono, zmieniła swe położenie na jeden stopień szerokości geograficznej, w kierunku południowym a równocześnie i zachodnim. Znajdowała się tedy na wysokości przyłądka Lodowego, jednego z krańców Georgji zachodniej, o dwieście mil od wybrzeża amerykańskiego. Szybkość prądu w tych okolicach zdawała się być mniejsza, niż we wschodniej części morza Północnego, lecz w każdym razie wyspa płynęła wciąż, i ku wielkiemu zmartwieniu Jasper Hobsona, dążyła ku cieśninie Berynga. Był to dopiero 24 lipca, a przy nieco szybszym prądzie wyspa mogłaby znaleźć się po upływie miesiąca w ciepłych falach oceanu Spokojnego, gdzie roztopiłaby się „jak kawałek cukru w szklance wody”.

Mrs. Paulina Barnett opowiedziała Madge o swej wycieczce, o układzie warstw na oderwanej części wyspy, o grubości lodowej podstawy, o niespodziewanej kąpieli sierżanta Long, wreszcie o niebezpieczeństwie grożącym wyspie.



Reszta mieszkańców jednakże nie domyślała się niczego. Któż z nich mógł nawet przypuścić, że fort Nadziei unosi się na falach oceanu i że życie ich jest zagrożone. Wszyscy byli zdrowi, pogoda była piękna, powietrze ożywcze. Mężczyźni i kobiety prześcigali się w dobrym humorze. Małeńki Michałek zaczął dreptać po zagrodzie fortu, a kapral Joliffé, który przepadał za nim, chciał go już nawet uczyć musztry i maszerunku. Jakże pragnął syna i jak dzielnego uczyniłby z niego żołnierza! Ale niebo odmówiło mu pociechy, o jaką błagał codziennie.

Co do żołnierzy, tym nie brakowało zajęcia. Mac Nap, cieśla, i jego pomocnicy Petersen, Belcher, Garry, Pond i Hope pracowali usilnie nad budową statku, która miała trwać kilka miesięcy. Ponieważ jednak statek mógł być użyty dopiero na przyszłe lato, nie zanedbywano przeto pilniejszych robót dotyczących bezpośrednio fektorji. Jasper Hobson nie opierał się temu, nie chcąc zdradzić przed towarzyszami niepokojącej go tajemnicy, pomimo, że Mrs. Paulina Barnett i Madge były przeciwnego zdania. Sądziły one, że dzielni ci ludzie nie

poddawaliby się rozpacz, a cios nagry byłby dla nich cięższym do zniesienia. Ale Jasper Hobson nie dał się przekonać. Sierżant Long był tego samego zapatrywania. Kto wie, czy nie mieli słuszności wobec zmiennej natury ludzkiej i nieprzewidzianego biegu wypadków.

Tak więc zabiegi koło wzmocnienia obrony fortu nie ustawały. Zagrodę naprawiono należycie, a nawet Mac Nap zbudował od strony jeziora dwie małe wieżyczki, które nadawały całokształtowi faktorji pozór wojskowy ku wielkiej radości kaprała Joliffe.

Po ukończeniu tych prac Mac Nap, któremu nie wyszły z pamięci ostre chłody zeszłej zimy, zbudował z prawej strony domu skład na drzewo połączony z nim wewnętrznem przejściem. Z lewej zaś – obszerny budynek, mający służyć za pomieszczenie dla żołnierzy zajmujących dotychczasową ogólną salę. Obecnie sala ta została przeznaczona wyłącznie dla posiłku, zabaw i zatrudnień. W nowym budynku miały się również pomieścić trzy małżeństwa, dla których były przeznaczone osobne pokoje. Zbudowano też osobny skład na futra w tylnej części domu w pobliżu prochowni, oswobadzając tem samem strych, którego dach wzmocniono żelaznemi klamrami dla zabezpieczenia się przed nową napaścią.

Mac Nap nosił się z myślą zbudowania małej kapliczki drewnianej. Ten sam zamiar miał Jasper Hobson, gdy zakładał faktorję. Odłożono jednak budowę do przyszłego lata.

Z jakąż radością brałby udział porucznik Hobson w pracy



swych żołnierzy, gdyby wiedział, że budynki wznoszą się na stałym lądzie! Z jakąż radością byłby ufortyfikował szczyt przylądka Bathurst, gdyby wiedział, że zapewni on obronę fortu Nadziei! Fort Nadziei! Sama nazwa ta wzbudzała w nim niepomierny żal! Przylądek Bathurst zdradził na zawsze ląd amerykański, a fort Nadziei możnaby raczej nazwać fortem Rozpaczy!

Praca jednak w fektorji nie ustawała. Budowa statku postępowała rażno. Miał on być pojemności trzydziestu tonn, gdyż objętość ta wystarczała dla przewiezienia mieszkańców fortu do miejscowości oddalonej o kilkaset mil.

Podczas gdy część załogi zajęta była ciesielstwem, myśliwi polowali na renifery i zające polarne, znajdujące się w wielkiej liczbie w okolicach fektorji. Zresztą Sabine i Marbre, stosując się do wiadomego zlecenia dowódcy, nie zapuszczali się w głąb wyspy.

Wszakże razu pewnego Marbre zapytał porucznika, czy nie należałoby udać się do zatoki Morsów na półow fok tak użytecznych dla gospodarstwa domowego. Jasper Hobson jednak nie omieszkał odpowiedzieć pośpiesznie:

– Nie, to zbyt bezużyteczne w tej chwili!

Wiedział bowiem dobrze, że zatoka Morsów była oddalona obecnie o przeszło dwieście mil od wyspy i że na wyspie fok nie było!

Pomimo smutnego swego nastroju porucznik, jak to już

wspominaliśmy, nie uważał swego położenia za beznadziejne. Twierdził kategorycznie, że podstawa wyspy wytrzyma do zimy, a wraz z jej nadejściem bezpieczeństwo jej mieszkańców zostanie zapewniane.

Jasper Hobson bowiem po powrocie ze swej ostatniej wycieczki wymierzył dokładnie obwód wyspy Ś-tej Heleny, a równa obszarowi Paryża przez co powierzchnia wyspy dosięgała co najmniej stu czterdziestu mil kwadratowych. Dla porównania powiemy, że wyspa Victoria była nieco większa od wyspy Ś-tej Heleny, a równa obszarowi Paryża wraz z linią jego fortyfikacyj. Gdyby więc nawet wyspa rozpadła się na części, mieszkańcy fortu pomieścić się na nich mogli.

Obszar wyspy zdziwił niemało Mrs. Paulinę Barnett, która nie przypuszczała, że pole lodowe może ciągnąć się na tak rozległej przestrzeni. Porucznik Hobson jednak objaśnił ją w tym względzie, przytaczając spostrzeżenia żeglarzy, jak Parry, Penny, Franklin, którzy nie rzadko spotykali w swych podróżach pola lodowe długości stu i szerokości pięćdziesięciu mil. Kapitan Kellet nawet opuścił swój statek na polu lodowem o powierzchni trzystu mil kwadratowych. Co wobec tego znaczył obszar wyspy Victoria?

Wszelako był on dostateczny, ażeby skutecznie opierać się działaniu prądów morskich, to też pod tym względem Jasper Hobson był spokojny, rozpaczając jedynie nad bezowocnie poniesionymi trudami i nad swem nieziszczonem marzeniem. Nic dziwnego, że odnosił się z obojętnością do pracy, jaka wrzała

koło niego!



Mrs. Paulina Barnett, przeciwstawiając się dzielnie zmiennej kolei losu, nie traciła swego pogodnego usposobienia. Zachęcała do pracy swe towarzyszkę a nawet brała w niej udział sama, jakgdyby troska o przyszłość nie zaprzętała jej myśli. Widząc, że Mrs. Joliffe zajmuje się uprawą nasion, służyła jej radą i pomocą. Szczaw i łyżczyca wydały plon obfity, dzięki wytrwałej obronie kaprała Joliffe przeciwko żarłocznej napaści ptaków okolicznych.

Renifery mnożyły się pomyślnie dostarczając mleka dla małego Michałka, który był niem przeważnie żywiony. Stadko tych zwierząt poszło wtedy do trzydziestu sztuk. Pasły się one w miejscach, gdzie rosła trawa, którą mieszkańcy fortu zbierali na paszę zimową. Renifery, oswoiwszy się w krótkim czasie, nie uciekały z zagrody, niektóre zaś z nich użyto do przewozu drzewa.

Oprócz tego pewną liczbę reniferów błądzących w okolicy

dostarczyła łapka umieszczona na pół drogi między fortem Nadziei i portem Barnett. Była to ta sama łapka, w której przeszłego roku pojmano olbrzymiego niedźwiedzia. Obecnie musiano się zadowolić reniferami, z których mięsa przyrządzano zapasy zimowe.

Wkrótce jednak łapka przestała być użyteczną. 5-go sierpnia, Marbre, jak zwykle, zajrzał do łapki, ale to co w niej zobaczył, musiało go zaniepokoić, gdyż powrócił śpiesznie do fortu i zwracając się do porucznika rzekł zmienionym głosem:

– Powracam z codziennej mojej wycieczki do łapki, panie poruczniku.

– A zatem, – odpowiedział Jasper Hobson, – przypuszczam, że prowadzisz z sobą nową zdobycz?

– Nie... panie poruczniku, nie... – mówił Marbre z pewnym wahaniem.

– Co! łapka zawiódła tym razem?

– Tak, a gdyby jakie zwierze dostało się do niej, to musiałyby utonąć.

– Utonąć! – zawołał porucznik, patrząc z niepokojem na myśliwego.

– Tak jest, panie poruczniku, – rzekł Marbre, śledząc uważnie swego dowódcę, – rów jest pełen wody.

– Nic w tym nadzwyczajnego, – odparł Jasper Hobson z pozornym lekceważeniem, – wszak wiesz, że rów ten był

wykopany napoły w lodzie. Ściany lodowe pod wpływem promieni słonecznych roztajały i...

– Niech pan wybaczy, panie poruczniku, że mu przerwę, ale woda ta nie pochodzi od stopionego lodu.

– Dlaczego, Marbre?

– Dlatego, że byłaby wtedy wodą słodką, jak to mi pan porucznik ongi tłumaczył, tymczasem woda ta jest słoną!

Pomimo całego panowania nad sobą Jasper Hobson pobląkł zlekka i nic nie odpowiedział.

– Zresztą, – dodał myśliwy, – chciałem zmierzyć głębokość wody i ku wielkiemu mojemu zdziwieniu na dno nie natrafiłem.

– Cóż chcesz, Marbre? – rzekł Jasper Hobson z żywością, – niema się czego dziwić. Jakaś szczelina zjawiała się w ziemi i przez nią to woda z morza dostała się do łapki! Zdarza się to niekiedy nawet na najtrwalszych gruntach! Bądź więc spokojny; mój dzielny Marbre. Nie myśl narazie o łapce, a zato zajmij się ustawianiem sideł w pobliżu fortu.

Marbre spojrział uważnie na porucznika, poczem oddawszy mu ukłon wojskowy oddalił się.

Jasper Hobson stał kilka chwil zadumany. Wiadomość, którą mu udzielił Marbre, była niemałej wagi. Nie ulegało wątpliwości, że dno łapki pod wpływem cieplejszego prądu wody stopniowo tajało, wreszcie znikło zupełnie, dając wolny dostęp morzu.

Porucznik udał się nośniesznie do sierżanta Long i obai.

niespostrzeżenie, skierowali się ku przylądkowi Bathurst, dotarli do miejsca, gdzie na odpowiedniej skali sprawdzić mogli wysokość poziomu wyspy.

Od ostatniej ich bytności poziom wyspy obniżył się na sześć cali!



– Pograżamy się powoli! – szepnął sierżant Long. – Pole lodowe znika pod nami!

– O, zimo! zimo! – zawołał Jasper Hobson, uderzając nogą o tę ziemię przeklętą.

Ale zima nie nadchodziła. Termometr wskazywał średnio pięćdziesiąt dziewięć stopni Fahrenheit’a (+15° Cels.) w nocy zaś spadał zaledwie o trzy do czterech stopni.

Tymczasem zaopatrywanie fortu na zimę nie ustawało. Można było oczekiwać ze spokojem długiej nocy stron podbiegunowych, gdyż w faktorji nie brakowało niczego, pomimo, że obiecane przez kapitana Craventy zapasy nie

nadeszły. Jedyne z amunicją należało obchodzić się ostrożnie. Był jeszcze znaczny zapas sucharów oraz napojów alkoholowych, których używano niewiele. Mięsiwa zaś świeżego jak również suszonego było poddostatkiem, nie brakowało także warzyw antyskorbutycznych, co razem wzięwszy utrzymywało mieszkańców fortu w najlepszym zdrowiu.

Do nowozbudowanego składu zwożono drzewo z lasków otaczających wschodnią część jeziora Barnett. Niejedna brzoza czy jodła padły pod siekierą Mac Nap'a, który nie oszczędzał drzew. Przypuszczał on prawdopodobnie, nie wiedząc, że półwyspu Victoria już niema, iż część stałego lądu, ciągnąca się od przylądka Michel a obfitująca w najrozmaitsze gatunki drzew, zapewni mu nieprzebrany zapas paliwa.

To też mistrz Mac Nap niejednokrotnie winał porucznikowi odkrycia tej błogosławionej krainy, na której faktoria mogła się tak pomyślnie rozwijać. Drzewo, zwierzyna, zwierzęta o cennych futrach, które wpadały same do składu Towarzystwa! Jezioro pełne różnego gatunku ryb! Trawa dla zwierząt i „podwójna płaca dla ludzi” dodałby niezawodnie kapral Joliffe! Czyż przylądek Bathurst nie był uprzywilejowaną ziemią, nie mającą równej sobie na całym terytorjum podbiegunowego lądu! Zaiste, porucznik Hobson miał szczęśliwą rękę i należało dziękować gorąco Opatrzności za tę wybraną wśród wybranych miejscowość.

W ten to sposób mówił Mac Nap, nie wiedząc, jak srodze rani zbolełe serce swego dowódcy.

Nie zapomniano również o przygotowaniu zimowych ubrań. Mrs. Paulina Barnett, Madge, Mrs. Raë i Mrs. Mac Nap, a nawet Mrs. Joliffë, gdy znalazła wolną chwilę wśród swych zajęć gospodarczych, pracowały usilnie. Podróżniczka wiedząc, że mieszkańców fortu czeka długa przeprawa przez pole lodowe, o ile sposobność się ku temu nadarzy, pragnęła, aby ciepłych ubrań nie zabrakło. Na straszne bowiem zimno narażeni będą, gdy wyspa Victoria stanie wśród pól lodowych. Na szczęście materiału na obuwie i odzież było poddostatkiem. Cenne futra zapełniały składy, o ocaleniu zaś ich mowy być nie mogło, zszywano więc je podwójnie tak, że zewnątrz i wewnątrz włos pokrywał okrycie, któreby pozazdrościły najbogatsze „ladies”, lub księżniczki rosyjskie. Wprawdzie Mrs. Raë, Mrs. Mac Nap i Mrs. Joliffë dziwiły się nieco, że czerpano tak obficie ze składów Towarzystwa, lecz rozkaz porucznika Hobson był dla nich święty. Zresztą czyż brakowało zwierząt o cennych futrach w okolicach fortu Nadziei? Kilką celnych strzałów powetuje szkodę. Gdy zaś Mrs. Mac Nap zobaczyła śliczne gronostajowe futerko, które uszyła Madge dla jej maleństwa, doprawdy użycie cennych futer nie wydało jej się rzeczą tak zdrożną!

Na tych zajęciach przeszło lato do połowy sierpnia! Pogoda sprzyjała, a choć czasem niebo się zachmurzyło, promienie słoneczne rozjaśniały je szybko.

Jasper Hobson niepostrzeżenie oddalał się od fortu, dla dokonania pomiarów położenia i zbadania stanu wyspy. Na



szczęście nie zauważył nic osobliwego!

16 sierpnia wyspa Victoria znajdowała się pod  $167^{\circ}27'$  długości i pod  $70^{\circ}49'$  szerokości geograficznej, to jest cofnęła się nieco na południe, lecz nie zbliżyła się do wybrzeża, które odchyłało się w tej stronie, wyspa zatem była oddalona o przeszło dwieście mil od stałego lądu.

Droga zaś jej przebiegu od czasu oderwania się półwyspu wynosiła mniej więcej tysiąc sto do tysiąc dwustu mil w kierunku zachodnim.

Cóż jednak znaczył ten przebieg wobec obszaru morza? Czyż nie słyszano o okrętach unoszonych na tysiące mil przez prądy morskie, jak okręt angielski Resolute, lub amerykański Advance, lub wreszcie Fox, które były uniesione wraz ze swymi polami lodowymi na przestrzeni kilku stopni aż do chwili gdy zima bieg ich wstrzymała.



1 Ówczesny prezes Towarzystwa.



**Jules Verne**

**W KRAINIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**

**(Rozdział VI-X)**

*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*

*Ilustracje Férat i Beaurepaire*

*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*

*Poznań 1925*





## Część DRUGA

### Rozdział VI

#### *Dziesięciodniowa burza.*



astępnych cztery dni od 17 do 20 sierpnia pogoda była stale piękna, temperatura zaś dość wysoka. Żadna chmurka nie zamąciła czystości nieba. Powietrze dosięgło przejrzystości niebywalej na tej szerokości geograficznej. Nic więc dziwnego, że nowa troska zaległa na czole porucznika.

Tymczasem 21 sierpnia barometr zapowiedział zmianę pogody. Rtęć spadła na kilka milimetrów, nazajutrz podniosła się, poczem znów spadła i dopiero od 23 sierpnia wykazywała stały spadek

24 sierpnia nagromadzona ilość oparów uniosła się, zamieniając się w chmury, które zasłoniły zupełnie tarczę słoneczną. Nazajutrz zaczął dąć wiatr północno-zachodni przerywany rzęsim deszczem. Temperatura jednak nie uległa widocznej zmianie; termometr wskazywał pięćdziesiąt cztery stopnie Fahrenheit'a (+ 12 Cels.).

Na szczęście wszelkie prace w forcie były ukończone Kadłub statku był gotowy. Polowanie stało się zbędne, gdyż zapasy żywności były dostateczne. Zresztą wobec wznagającego się wciąż wiatru i coraz większego deszczu zagrody opuścić nie było można.

– I cóż pan powie na tę nagłą niepogodę? – spytała Mrs. Paulina Barnett porucznika, gdy 27 sierpnia nawałnica rozszalała się na dobre. – Czy wróży nam co pomyślnego?

– Nie mogę pani odpowiedzieć na to, – rzekł Jasper Hobson, – w każdym razie wolę tę niepogodę, niż słońce ogrzewające ustawicznie wody oceanu. Przyczem wiatr północno-zachodni dmie z taką siłą, że nie dziwiłbym się, gdyby zbliżył naszą wyspę do lądu amerykańskiego.

– Niestety jednak, – odezwał się sierżant, – nie będziemy mogli śledzić zmiany jej położenia. Chmury zasłaniają słońce, księżyc i gwiazdy. Jakże tu określić położenie wyspy!

– Wszystko to jedno, sierżancie Long, – odpowiedziała mu Mrs. Paulina Barnett, – ręczę wam, że jeżeli ziemia ukaże się, natrafiwszy ja dojrzeć i witać radośnie. Przypuszczam, że byłoby

potrafił ją dojrzeć i widać radośnie. I zrypuściliśmy, że byłoby to wybrzeże Ameryki rosyjskiej, prawdopodobnie Georgji zachodniej.

– To bardzo możliwe, – dodał porucznik, – gdyż, niestety, w całej tej części morza Północnego niema ani wysepki, ani nawet skały, o którą oprzećbyśmy się mogli!

– A dlaczegoż, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett, – nasz wehikuł nie miałby nas zaprowadzić w prostym kierunku do wybrzeży Azji? Czyż pod wpływem prądów morskich nie mógłby przepłynąć przez cieśninę Berynga i wreszcie dostać się do krainy Czukczów?

– Nie, proszę pani, – odpowiedział porucznik Hobson, – lodowiec nasz spotkałby się niechybnie z prądem Kamczatki i wraz z nim podążałby na północo-wschód, co byłoby bardzo niepożądane. Nie, daleko prawdopodobniejszą rzeczą jest, że idąc z kierunkiem północno-zachodniego wiatru, zbliżymy się do wybrzeży Ameryki rosyjskiej!

– Należy więc pilnie zwracać uwagę, w jakim kierunku płynie wyspa, – odezwała się podróżniczka.

– Nie omieszkamy tego uczynić, – proszę pani, – rzekł Jasper Hobson, – choć gęsta mgła utrudnia nam zadanie. Zresztą wyspa nagle rzucona o wybrzeże, ulegnie silnemu wstrząśnieniu, które nam się da zapewne odczuć. Miejmy nadzieję, że wyspa nie rozleci się wtedy na kawałki. Byłoby to bardzo niebezpieczną rzeczą. Zresztą o ile się to zdarzy, radzić będziemy. Obecnie nie możemy nic przedsięwziąć.

Nie potrzebujemy dodawać, że przy rozmowie reszta załogi nie była obecną. Odbywała się ona w pokoju podróżniczek, którego okno wychodziło na tylną część zagrody. Światło dzienne przedostawało się z trudnością przez zamglone szyby. Ze dworu dochodziły odgłosy szalejącego wiatru, zmagającego się z powodzią deszczu. Na szczęście wyniosłość przylądka Bathurst chroniła siedzibę od bezpośrednich pocisków nawałnicy. Wszelako ziemia i piasek uniesione ze szczytu przylądka, spadały jak grad na dach domu. Mac Nap zatrwożył się znowu o kominy, a szczególnie o kuchenny. Z wyciem wiatru łączył się łoskot morza, którego spienione fale uderzały z niezwykłą mocą o wybrzeże. Burza przeistaczała się w huragan.

Jasper Hobson, pomimo nawałnicy, udał się 28 sierpnia do przylądka Bathurst, aby zdać sobie sprawę ze stanu morza i wznoszącego się nad nim nieba.



Szczelnie otulony swym płaszczem, dostał się bez wielkiego trudu do podnóża przylądka, ale najtrudniejszą rzeczą było

dostać się z boczem prawie prostopadłem na jego szczyt. Porucznik jednak, czepiając się o kępy traw zdołał doń dotrzeć, lecz ustać na nim nie mógł, huragan bowiem miotał nim jak piłką. Trzymając się więc krzaków, położył się na skraju zbocza tak, że głowa tylko była narażona na siłę wiatru.

Jasper Hobson wyteżył wzrok, aby poprzez lejące się potoki deszczu ogarnąć okolicę. Widok oceanu i nieba był straszny. Stanowiły one jedną mglistą masę. Chmury mknęły nisko z zawrotną szybkością, podczas gdy na zenicie opary stały nieruchomo. Chwilami łoskot fal i wycie wiatru ustawały, żeby powrócić z tem większą mocą, wstrząsając podstawą przyładka. Od czasu do czasu deszcz zamieniał się w istny wodospad, który pod wpływem szalejącego wiatru rozpryskiwał się nakształt wodotrysku.

Był to huragan i to huragan pochodzący od najgroźniejszej części morza. Wiatr bowiem północno-wschodni mógł szaleć długo z jednakową siłą. Ale Jasper nie uskarżał się na nawałnicę. On, który w innych okolicznościach byłby przeklinał tę złowrogą burzę, radował się nią w tej chwili. O ile wyspa wytrzyma – co było prawdopodobne – napór nawałnicy, wiatr, silniejszy od prądów morskich, uniesie ją w kierunku południowo-zachodnim, gdzie był ląd stały, gdzie było ocalenie! Tak, dla niego, dla jego towarzyszy, niechby burza trwała jak najdłużej, tak długo, aż doprowadzi ich do jakiego bądź wybrzeża. To co było zgubą dla okrętu, stałoby się zbawieniem dla płynącej wyspy.

Po kwadransie takiego zmagania się z żywiołami, Jasper,

zsunawszy się ze zbocza, powrócił do domu.

Oznajmił on natychmiast swym towarzyszom, że huragan nie osiągnął jeszcze swej najwyższej mocy i że prawdopodobnie trwać będzie dni kilka. Ale wiadomości tej udzielił z tak dziwnym brzmieniem głosu, i jakgdyby z radością, że zwrócił uwagę obecnych, którzy spoglądali na niego wzrokiem pewnego zdziwienia. Czyżby ich dowódca miał być zadowolony z tej walki żywiołów?

30 sierpnia Jasper Hobson udał się znowu, wprawdzie nie na szczyt przylądka, lecz na skraj wybrzeża. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu spostrzegł na jego urwistym skraju naniesione przez fale nieznane mu trawy.

Trawy te, jeszcze świeże, pochodziły niewątpliwie z łądu amerykańskiego. A zatem łąd ten nie był oddalony! A zatem wyspa, wyswobodzona przez wiatr północno-wschodni od prądów morskich, dążyła w stronę łądu. Krzysztof Kolumb na widok traw płynących, które świadczyły o bliskości ziemi, nie odczuwał tej radości, jaką było przepełnione serce Jasper Hobson'a.

Porucznik, powróciwszy do fortu, podzielił się swem odkryciem z podróżniczką i sierżantem. Był tak dobrej myśli, że narazie chciał wyznać wszystko swym towarzyszom, ale po chwili zastanowienia wiedziony przecuciem zawahał się i zamilkł.

Tymczasem mieszkańcy fortu nie próżnowali. To



przygotowywali scieki do odpływu wód na podwórzu, to znow naprawiali wnętrze domu. Słowem praca wypełniała im wszystkie dzienne godziny, odwracając uwagę od szalejącej nawałnicy. Ale w nocy zato burza dawała się podwójnie we znaki. O odpoczynku mowy być nie mogło. Deszcz i wiatr wstrząsały domem całym. Zdawało się chwilami, że wir powietrzny uniesie całą siedzibę. Tarcice trzeszczały, belki pękały, grożąc zawaleniem domu. To też cieśla i pomocnicy nie ustawali w czynności.

Jasper Hobson jednak nie zwracał uwagi na dom zagrożony. Całą swą myślą był przy podstawie lodowej, która wobec rozszalałego morza, mogła ulec rozbiciu. Olbrzymi ten lodowiec, zmniejszony powolnem tajaniem, nie mógł długo wytrzymać zmiennego naporu wód oceanu. To też Jasper Hobson z największym niepokojem pytał siebie, czy wyspa dopłynie w całości do wybrzeża, czy też rozpadnie się przedtem na kawałki?

Był on pewien, że dotąd lodowiec był cały. Gdyby bowiem pole lodowe było się rozpadło na części, utworzyłoby ono tyle wysepek, ile było kawałków lodu, mieszkańcy więc fortu Nadziei nie omieszkaliby odczuć kołysania morskiego na tak małej przestrzeni. Tymczasem wyspa wydawała się tak nieruchomą, jak gdyby złączoną była z lądem.

Wyspa więc dotąd nie rozpadła się, lecz lada chwila rozpaść się mogła!

Najżywszą jednak troską Jasper Hobson'a było dowiedzieć się, czy wyspa zbliżyła się do wybrzeża. Tymczasem wobec

panujących ciemności wszelkie badanie byłoby bezowocne i należało oczekiwać chwili, aż wyspa zbliży się na tyle do lądu, iż można go będzie spostrzec, co zresztą było możliwe tylko w razie, gdyby porucznik udał się na południe tego niebezpiecznego terytorjum. Dotąd bowiem położenie wyspy nie uległo widocznej zmianie. Przyłodek Bathurst był równie zwrócony ku północy jak wtedy, gdy należał do lądu amerykańskiego. Przypuszczać więc należało, że wyspa uderzy o wybrzeże swą stroną południową, mianowicie między przyłódkiem Michel i kątem, który dawniej stanowił część zatoki Morsów. Słowem połączenie jej z lądem powinno się było dokonać tą samą stroną, którą nastąpiło oderwanie. Najpilniejszą więc sprawą było udanie się do tej części wyspy dla sprawdzenia, czy znajduje się ona w dawnym stanie.

Porucznik zatem postanowił, nie zważając na burzę, udać się do przyłodka Michel wraz z sierżantem Long, nie wyjawiając jednak towarzyszom właściwego celu wyprawy.

Owego to dnia 31 sierpnia o czwartej po południu Jasper Hobson wezwał do siebie sierżanta Long.

– Sierżancie Long, – rzekł do niego, – musimy niezwłocznie sprawdzić położenie wyspy, lub przynajmniej, czy gwałtowna ta burza nie zbliżyła jej do lądu?

– I ja tak sędzę, – odrzekł sierżant, – a im prędzej, tem lepiej.

– A do tego potrzeba, żebyśmy udali się na południe wyspy.

– Jestem gotów, panie poruczniku.

– Wiem, że jesteś zawsze gotów do spełnienia obowiązku. Ale nie pójdziesz sam. Pójdziemy razem, albowiem w razie, gdybyśmy ziemię dostrzegli, jeden z nas musiałby zawiadomić o tem naszych towarzyszy. Zresztą muszę przekonać się własnymi oczyma... Pójdziemy więc razem.

– Kiedy tylko zechcesz, panie poruczniku, nawet natychmiast, o ile to panu dogadza.

– Wyruszymy o dziewiątej wieczorem, gdy towarzysze nasi spać będą...

– Będzie to najlepiej, gdyż chcieliby iść z nami, – odpowiedział sierżant, – a nie powinni wiedzieć, dlaczego się oddalamy od faktorii.

– Nie powinni wiedzieć, – rzekł Jasper Hobson, – i jak najdłużej nie będę ich niepokoił wyjawieniem strasznego naszego położenia.

– Więc o dziewiątej, panie poruczniku.

– Weźmiesz z sobą krzesiwo i hubkę. W razie potrzeby, gdyby naprzykład na południu ukazała się nam ziemia, ułatwi to nam porozumienie.

– Tak jest, panie poruczniku.

– Wyprawa nasza będzie ciężka.

– Będzie ciężka, w istocie, ale mniejsza o to, – rzekł sierżant, i dodał – a nasza podróżniczka, panie poruczniku?

– Nie będę jej wspominał o naszej wyprawie, gdyż zechce nam towarzyszyć.

– Byłoby to niepodobieństwem, – rzekł sierżant. – Kobieta nie poddałaby takiej nawałnicy. Niech pan patrzy, co się dzieje w tej chwili!

W istocie, dom cały drżał w swych posadach pod wpływem straszego huraganu.

– Nie! – rzekł Jasper Hobson, – dzielna ta kobieta nie może nam towarzyszyć, lecz zdaje mi się, że będę musiał ją powiadomić o naszej wyprawie, gdyby bowiem nieszczęście przytrafiło się nam w drodze...

– Tak, panie poruczniku, tak! – rzekł sierżant Long. – Nie trzeba przed nią nic ukrywać, a w razie, gdybyśmy nie mieli powrócić...

– A zatem, o dziewiątej, sierżancie.

– O dziewiątej!

Sierżant, skłoniwszy się po wojskowemu, odszedł, porucznik zaś udał się do Mrs. Pauliny Barnett z zawiadomieniem o swej nowej wyprawie. Jak przewidywał, podróżniczka chciała mu towarzyszyć. Jasper Hobson nie starał się przekonywać jej opowiadaniem o niebezpieczeństwach, na jakie się mogła narazić, biorąc udział w wycieczce dokonywanej w tak wyjątkowych okolicznościach, zadowolił się tylko twierdzeniem, że jej bytność w forcie jest potrzebna podczas jego nieobecności i że od tej obecności zależy jego własny spokój.

nieobecności i że od tej chwili, zaczął jego własny spokój. Gdyby bowiem przytrafiło się jakie nieszczęście, byłby spokojny, że dzielna podróżniczka zastąpi go przy towarzyszach.



Mrs. Paulina Barnett nie nalegała więcej. Błagała wszakże porucznika, żeby nie narażał się nadmiernie, żeby nie zapominał, iż jest dowódcą faktorii i że życie jego należy do wszystkich i jest dla wszystkich potrzebne. Porucznik obiecał, że zastosuje się do jej życzenia, o ile to było możliwe w tych warunkach, ale wyruszyć na obejrzenie południowej strony wyspy musi niezwłocznie. Nazajutrz Mrs. Paulina Barnett oświadczyła towarzyszom, że porucznik i sierżant wyruszyli na ostatnie przed zimą wywiady.



## Rozdział VII

### *Ogień i krzyk.*



Jasper Hobson i sierżant Long spędzili cały wieczór w wielkiej sali fortu Nadziei. Znajdowali się w niej wszyscy mieszkańcy z wyjątkiem astronoma, który, zagniewany na świat cały, zamurował się był w swej celi. Mężczyźni czyścili broń, lub naprawiali narzędzia. Mrs. Mac Nap, Raë i Joliffë i Madge zajęte były igłą, Mrs. Paulina Barnett zaś czytała na głos. Czytanie to przerywane było jednak często nie tylko przeraźliwym odgłosem nawałnicy, lecz i krzykiem dziecka. Napróżno kapral Joliffë starał się je zabawić, nie szczędząc swych kolan, zamienionych w ręce rumaki. Wreszcie zmęczony, posadził je na dużym stole, gdzie, nakrzyczawszy się dowoli, usnęło niebawem.

O ósmej, po odmówieniu wspólnej modlitwy i zgaszeniu światła, mieszkańcy fortu udali się na spoczynek.

Nie wszyscy jednakże. Gdy cisza zaległa w domu, Jasper Hobson i sierżant Long przemknęli w milczeniu przez wielką salę, dążąc do korytarza. Spotkali się tu z Mrs. Pauliną Barnett, która chciała się z nimi pożegnać.

– Do jutra, – rzekła do porucznika.

– Do jutra, – odpowiedział Jasper Hobson, – tak... do jutra... niechybnie...

– A jeżeli się pan spóźni?

– To niech się pani nie niepokoi, – rzekł porucznik, – ponieważ zbadawszy okolicę wśród tej ciemnej nocy i ujrawszy światło – co mogłoby się zdarzyć, gdyby wyspa nasza zbliżyła się do Nowej Georgji, – mam zamiar zbadać okolicę również za dnia, a to badanie przeciągnąć się może do dwudziestu czterech godzin. Jeżeli jednak zdołamy dotrzeć do przylądka Michel przed północą, powrócimy do fortu jutro wieczorem. Niech więc się pani nie niepokoi i niech pani wierzy, że będziemy ostrożni.

– A jeżeli panowie nie wrócą jutro, pojutrze, za dwa dni?...

– To znaczy, że nie powrócimy wcale! – odpowiedział Jasper Hobson spokojnie.

Otworzono drzwi. Po oddaleniu się porucznika i sierżanta Mrs. Paulina Barnett z trwogą w sercu powróciła do swego pokoju.

Jasper Hobson i sierżant Long, podtrzymując się wzajemnie i opierając się na okutych żelazem dragach, minęli wśród nawałnicy podwórze, poczem skierowali się ku drodze ciągnącej się między pagórkami i wybrzeżem jeziora.

Szarawe światło zmroku rzucało słaby odbłysek na ziemię. Niebo było zupełnie ciemne. Nów księżycy powiększał grozę nocy, na szczycie krótkiej. Ślad drogi jedynki był widoczny

nocy, na szczęście krotkiej. Ślad drogi jednak był widoczny.

Deszcz i wiatr szły w zawody. Porucznik Hobson i jego towarzysz, w butach i obcisłych płaszczach nieprzemakalnych, zakapturzeni, szli prędko, gdyż wiatr, dmący z tyłu, popychał ich z taką gwałtownością, że często nadażyć nie mogli. Ogluszeni hałasem burzy, zdyszani, nie próbowali nawet mówić do siebie

Porucznik wybrał najkrótszą drogę. Droga wzdłuż wybrzeża nie tylko że była z powodu licznych zakrętów najdłuższą, lecz narażała wędrowców na bezpośrednie działanie huraganu od strony morza. Jasper Hobson miał zamiar iść w prostym kierunku od przylądka Bathurst do przylądka Michel i w tym celu zaopatrzył się w busolę. Ponieważ zaś w tym kierunku do przylądka Michel było tylko dziesięć do jedenastu mil, przypuszczał, że dojdzie do kresu podróży właśnie wtedy, gdy całkowita noc zapadnie.

Tak więc wędrowcy, schyleni pod naporem wiatru, z głowami w ramionach, opierając się na swych drągach szli dość prędko. Dopóki trzymali się wschodniego wybrzeża jeziora, wiatr był jeszcze znośny, całą bowiem swą moc zostawiał w lesistej ścianie pagórków, a moc ta była tak wielka, że groziła pniom i korzeniom drzew. Deszcz nawet dochodził do wędrowców rozdrobniony zaporą, którą spotykał na swej drodze. To też minęli oni cztery mile w lepszych warunkach, niż przypuszczali.

Pomyślnie okoliczności miały się jednak skończyć niebawem. Doszedłszy do południowego krańca pagórków, ujrzeli przed sobą równą płaszczyznę огоłoconą z drzew, po której wiatr od



morza dał z całą, niepodzielną siłą. Do przyłądka Michel mieli sześć mil przed sobą.

– Ciężka droga nas czeka! – zawołał porucznik, nachyliwszy się nad sierżantem.

– Tak, – odezwał się sierżant, – wiatr i deszcz smagać nas będą jednocześnie.

– Obawiam się, że, od czasu do czasu, grad się do nich przyłączy, – dodał porucznik.

– W każdym razie będzie on mniej zabójczy, od kuli! – odparł filozoficznie sierżant. – A przecież, panie poruczniku, nieraz wystawieni byliśmy na nie! Idźmy więc naprzód!

– Tak, naprzód, dzielny żołnierzu!

Była wtedy dziesiąta godzina. Ostatnie odbłyski zmroku znikwały, jak gdyby zalane deszczem lub gaszone wiatrem. Porucznik, korzystając z resztek światła, zapalił krzesiwo i spojrzał na busołą, poczem, otuliwszy się szczelnie, obaj ruszyli odważnie w przestrzeń odkrytą.

W pierwszej chwili zostali oni gwałtownie rzućni na ziemię, lecz zerwali się natychmiast i podpierając się wzajemnie, skurczeni, jak dwaj starszycy, przyśpieszyli kroku, biegnąc od czasu do czasu.

Groza tej burzy miała swoje piękno! Wielkie strzępy chmur, istne łachmany utkane z powietrza i wody, przewalały się po ziemi. Piasek i ziemia latały nakształt pocisków! Ze smaku soli,

która osiadała na wargach wędrowców, domyślił się oni, że rozpylona woda morska z odległości dwu do trzech mil, dochodziła do nich.

Korzystając z chwilowego uciszenia się żywiołów, wędrowcy zatrzymywali się, aby zaczerpnąć tchu. Porucznik wtedy patrzył na swą busołę, poczem ruszali dalej.

Z nadejściem nocy burza zdawała się wzmagać jeszcze bardziej. Powietrze i woda zwarły się z sobą, tworząc zawrotne wiry, które przewracają budynki, wyrwijają drzewa z ziemi, a z którymi okręty walczą pociskami z dział. Zdawało się, że ocean ze swego łóżyska uniósł się i miał cały zawisnąć nad płynącą wyspą.

Jasper Hobson nie mógł zrozumieć, jakim sposobem pole lodowe mogło wytrzymać ten napór żywiołów, jakim sposobem nie roztrzaskało się na kawałki! Kołysanie morza było tak potężne, że jego odgłos dochodził do ich uszu. Niebawem sierżant Long, który szedł przed porucznikiem, zatrzymał się nagle; poczem zbliżywszy się do niego – rzekł przerywanym głosem:





– Nie tędy!

– Dlaczego?

– Morze!

– Jakto! morze? Przecież nie doszliśmy do zachodnio-południowego wybrzeża?

– Niech pan spojrzy, panie poruczniku.

W istocie, rozległa przestrzeń wody widniała w cieniu, odbijając się falą u stóp porucznika.

Jasper Hobson wziął krzesiwo i zapaliwszy hubkę spojrzał uważnie na busolę.

– Nie, – rzekł, – morze jest bardziej na lewo, nie przeszliśmy jeszcze lasu, który nas dzieli od przylądka Michel.

– Więc cóż to jest?

– Jest to pęknięcie wyspy, – odpowiedział Jasper Hobson, który zarówno jak sierżant musiał położyć się, aby stawić czoło nawałnicy. – Albo część wyspy oderwała się zupełnie i płynie woddali, albo też jest to szczelina, którą ominąć będziemy mogli. Chodźmy.

Jasper Hobson i sierżant Long, zerwawszy się, skierowali się na prawo ku środkowi wyspy, idąc wzdłuż płaszczyzny wodnej około dziesięciu minut. Nagle odgłos fal ustał.

– Jest to tylko szczelina, – rzekł porucznik Hobson. – Zawróćmy!

Powrócili więc do dawnego południowego kierunku, wiedząc, że narażają się na największe niebezpieczeństwo, jako że część wyspy Victoria, na której się znajdowali, odgradzona szczeliną od reszty wyspy, mogła oderwać się zupełnie i unieść ich z sobą. Lecz nie zawahali się ani chwili i nie zastanowili się wcale, że może droga powrotna będzie dla nich zamknięta.

Jasper Hobson myślał tylko o jednym. Czy wyspa wytrzyma do zimy? Czy nie jest to początek jej rozpadu? Jeżeli wiatr nie zapędzi jej na wybrzeże, czy nie jest skazana na szybką zagładę? Co za straszna perspektywa dla mieszkańców tego pola lodowego!

Tymczasem burza szalała, a dwaj wędrowcy szli dzielnie naprzód. Doszli w ten sposób do krańca rozległego lasu, graniczącego z przylądkiem Michel. Należało go przejść, aby dostać się jak najprędzej do wybrzeża. Nie zastanawiając się wcale, dwaj wędrowcy zagłębili się w las wśród najzupełniejszego mroku, wśród ogłuszającego świstu wiatru. Dokoła rozległ się suchy trzask. Gałęzie biły ich po twarzy. Byli narażeni co chwila na zmiążdżenie padającym drzewem, lub uderzenie gałęzi złamanych, których dostrzec nie mogli. Ale przynajmniej wiedzieli, gdzie się znajdują, a wycie morza kierowało ich krokami! Słyszeli odgłos olbrzymich bałwanów rozpryskujących się z hałasem, a nawet kilkakrotnie odczuli wstrząśnienie gruntu. Wreszcie, trzymając się za ręce, aby nie

złądzić, doszli do przeciwległego krańca lasu.

Lecz tu nagle huragan ich rozłączył, rzucając na ziemię.



– Sierzancie! sierzancie! gdzie jesteś? – zawołał Jasper Hobson z całych sił.

– Obecny, panie poruczniku! – krzyknął sierżant Long.

Poczem obaj, pełznąć, starali się zbliżyć do siebie. Lecz jak gdyby przytrzymani potężną ręką, nie mogli ruszyć się z miejsca. Wreszcie po nadludzkich wysiłkach, znalazłszy się razem, przywiązali się pasem dla uniknięcia ponownego rozłączenia; następnie dostali się do małej wyniosłości, na której rosło kilka jodeł. Wykopawszy odpowiedni rów, położyli się w nim, wyczerpani zupełnie.

Było pół do dwunastej.

Upłynęło kilka minut, zanim przemówić byli zdolni. Leżeli z przymkniętymi oczyma, nie mogąc się poruszyć. Nieprzewzięciony bezwład zaczął ich ogarniać. podczas gdy

wiatr potrząsał nad nimi gałęzie jodeł, które trzeszczały, jak kości szkieletów. Opanowawszy jednak sen, i wzmocniwszy się kilku łykami wódki, oprzytomnieli.

– Gdybyż przynajmniej te drzewa wytrzymały, – rzekł porucznik.

– I gdybyż ten rów z niemi nie poleciał! – dodał sierżant, opierając się o piasek ruchomy.

– Ale, skoro tu jesteśmy, – odezwał się porucznik, – o kilka kroków od przylądka Michel, i skoro przyszedliśmy tu, aby się przyglądać, przyglądajmy się. Przeczucie mi mówi, że jesteśmy niedaleko ładu, może to jednak tylko przecucie!

Z miejsca, w którym się znajdowali porucznik i sierżant, mogliby byli ogarnąć dwie trzecie południowego horyzontu, gdyby ten horyzont był widzialny. Lecz mrok był zupełny i o ileby nie zauważyli jakiego ognia, byli zmuszeni czekać do wschodu słońca, aby móc się przekonać, czy nie znajdują się w pobliżu jakiego wybrzeża.

Otóż – jak to porucznik powiedział Mrs. Paulinie Barnett, – rybołówstwo jest dość rozpowszechnione w części Ameryki północnej, nazwanej Georgją. Na tem wybrzeżu tubylcy zajmują się również zbieraniem zębów mamutów, które się tu spotyka w wielkiej ilości, jako pozostałość tych wielkich zwierząt przedpotopowych. O kilka stopni poniżej wznosi się Nowy-Archangelsk, główna siedziba Zarządu, rozciągającego się na cały obszar wysp Aleuckich i stolica Ameryki rosyjskiej.

Ponieważ myśliwi odwiedzają dość często tę część Ameryki, szczególnie od czasu gdy Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej wydzierżawiło terytorja myśliwskie Ameryki rosyjskiej, więc Jasper Hobson, nie znając samego kraju, był dokładnie poinformowany o działalności agentów w tej porze roku, przypuszczał przeto, że spotka na wybrzeżu ziomek, nawet kolegów, w braku zaś tychże, oddział Indian koczujących w tych stronach.

Czy jednak Jasper Hobson miał prawo sądzić, że wyspa Victoria znajduje się w pobliżu Nowej-Georgji?

– Tak, po stokroć tak! – powtarzał sierżantowi. – Siedem dni upływa, jak wiatr północno-wschodni dmie z całą siłą. Wiem, że wyspa, bardzo płaska, nie daje mu należytego punktu oparcia, w każdym razie jednak nie pozbawiona jest pagórków i lasów, które służyć jej mogą za rodzaj żagli. Oprócz tego, morze, uderzając silną falą o wybrzeże, musi wpływać na kierunek wyspy. Niepodobna więc, ażebyśmy nie opuścili prądu zachodniego i nie dążyli na południe. Siedem dni temu byliśmy o dwieście mil od ziemi, obecnie zaś...

– Dowodzenia pana porucznika są zupełnie słuszne, – odparł sierżant Long. – Zresztą obok tych sprzyjających okoliczności, mamy jeszcze pomoc Bożą, gdyż wierzę mocno, że Bóg nie pragnie zagłady tylu nieszczęśliwych ludzi, w Nim też pokładam całą moją nadzieję!

Tego rodzaju rozmowę prowadzili Jasper Hobson i sierżant Long, podczas gdy burza wciąż szalała i ciemności ogarniały ich

zawszą.

Okolo pół do drugiej huragan uspokoił się na chwilę. Tylko wzburzone morze nie mogło powstrzymać swego poryku. Fale z niesłychaną gwałtownością uderzały jedne o drugie.

Nagle Jasper Hobson, schwyciwszy za ramię towarzysza, zawołał:

– Sierzancie, słyszysz?

– Co?

– Odgłos morza.

– Słyszą, – odrzekł sierżant, – a nawet od kilku chwil zdaje mi się, że odgłos fal...

– Nie jest ten sam... nieprawdaż sierzancie... słuchaj... słuchaj.. odgłos ten przypomina uderzenie fali o skałę!

Jasper Hobson i sierżant Long wsłuchując się uważnie w odgłosy żywiołu, coraz bardziej przychodzili do przekonania, że nie jest to odgłos fal swobodnie ścierających się z sobą, lecz donośne wstrząśnienia pienistych bałwanów, walczących z nieprzepartą mocą skał, których echo rozlegało się dookoła. Otóż na wyspie nie było ani jednej skały, ani jednego urwistego wybrzeża.

Nie był to tylko złudzenie? Sierżant chciał się podnieść, aby lepiej rozróżnić rodzaj odgłosu, lecz w tejże chwili huragan powalił go na ziemię. Burza powróciła z całą gwałtownością, a wraz z nią świsł wiatru zagłuszył osobliwy poryk morza



widz z nią swist wiatru zagięły i osłabły poręby holca.

Niepokój ogarnął towarzyszy. Co począć? Czy nie należało opuścić rowu wobec usuwającego się z pod ich stóp piasku, wobec trzaskających korzeni drzew? Nie przestawali jednak wpatrywać się w południową stronę horyzontu. Życie ich zawisło na tem spojrzeniu.

Nagle, o pół do trzeciej z rana, sierżant zawołał:

– Widziałem!

– Co?

– Ogień!

– Ogień?

– Tak... oto tam... w tym kierunku!

Przy tych słowach sierżant wskazał na południo-zachód. Czyżby się omylił? Nie, gdyż Jasper Hobson również spostrzegł bladawe światło.

– Tak! – zawołał, – tak sierzancie, ogień! ziemia jest tam!

– O ile nie jest to światło okrętu! – zauważył sierżant.

– Okręt na morzu podczas takiej burzy! – zawołał Jasper Hobson, – to niepodobne! Nie, nie, to ziemia, ziemia o kilka mil od nas!

– A więc, dajmy znać o sobie!

– Tak, sierzancie, na światło z lądu stałego odpowiedzmy światłem wsrny!

Pochodni nie mieli pod ręką, lecz nad nimi wznosiły się jodły żywiczne.

– Oto krzesiwo, sierzancie, – rzekł Jasper Hobson.

Sierzant potarł krzesiwo i zapalił hubkę, poczem przypełznął do kępy drzew. Suchych gałęzi nie brakowało. Uczyniwszy z nich stos podпалиł go, a ogień rozprzestrzeniwszy się przy pomocy wiatru, zajął całą kępę drzew.



– Ach! – zawołał Jasper Hobson, – skoro my zobaczyliśmy ogień, oni również widzieć go muszą!

Jodły paliły się bladym płomieniem, którego ulatniające się sadze przypominały odbłask pochodni. Żywica trzeszczała w starych pniach, paląc się szybko, tak, że wkrótce z kępy drzew zostało spopielone ognisko.

Jasper Hobson i sierżant wypatrywali bacznie nowego światła...

Ale na próżno. Około dziesięciu minut stali nieruchomi z nadzieją w sercu. Światelko znikło niepowrotnie. Natomiast uszu ich doleciał niespodziewanie rozpaczliwy krzyk od strony morza!

Jasper Hobson i sierżant zerwali się i dobiegli do wybrzeża...

Krzyk nie powtórzył się więcej.

Tymczasem zorza ukazała się na horyzoncie. Burza jakby ucichła na widok wschodzącego słońca! Wkrótce na rozświetlonym nieboskłonie porucznik i sierżant ujrzeli obszar morski ze zlewającym się z nim przestworem niebieskim... ziemi nie było ani



## Rozdział VIII

### *Wycieczka Mrs. Pauliny Barnett.*



Jasper Hobson i sierżant Long błądzili cały ranek po wybrzeżu. Pogoda uległa znacznej zmianie. Deszcz przestał prawie padać, wiatr zaś, zmieniawszy nagle kierunek, zaczął dąć z

niezwykłą gwałtownością. Okoliczność ta rozwiała wszelkie nadzieje porucznika. Wiatr bowiem, południowo-wschodni, nie zbliżał, a oddalał wyspę od wybrzeża, oddając ją na pastwę niebezpiecznych prądów oceanu Północnego.

Któż jednak mógłby zaręczyć, iż wyspa zbliżyła się ku wybrzeżu? Nie byłoż to tylko przypuszczenie porucznika Hobson'a? Czyż na horyzoncie widniejącym na przestrzeni kilku mil nie ukazałby się bodaj zarys ziemi? Czyż nie pewniejsze było twierdzenie sierżanta, że ogień pochodził z przechodzącego mimo okrętu i że krzyk był wołaniem tonącego marynarza i że okręt zatonął wśród burzy?

Tak czy inaczej śladów okrętu nie dostrzegli. Na oceanie wzburzonym obecnie wiatrem dmącym od strony lądu wznosiły się tak olbrzymie bałwany, że żaden okręt nie byłby im się oparł!

– Trudno, panie poruczniku, – odezwał się sierżant, – niema na to rady!

– Musimy, sierżancie, – odrzekł Jasper Hobson wodząc ręką po czole, – musimy zostać na naszej wyspie, oczekując zimy! Zima tylko może nas ocalić!

Było południe. Jasper Hobson, chcąc przed wieczorem dotrzeć do fortu Nadziei, wyruszył natychmiast w drogę. Sierżant i on popychani wiatrem, szli krokiem przyśpieszonym, myśląc z niepokojem o szczelinie, która powiększywszy się, mogła rozdzielić wyspę na dwie części.

Dotarli oni w krótkim czasie do lasu, przez który przechodzili

wczoraj. Większa część drzew leżała na ziemi; niektóre z nich były wyrwane z korzeniami, inne, o pniach złamanych, огоłocone z liści wyglądały jak szkielety, klekocące pod wpływem wiatru.

Po przebyciu zniszczonego lasu i dwu mil drogi dostali się do szczeliny, którą teraz dopiero obejrzeć mogli uważnie.

Szczelina ta, szerokości pięćdziesięciu stóp, przecinała wybrzeże na pół drogi do przylądka Michel i dawnego portu Barnett, tworząc rodzaj przystani, ciągnącej się przeszło półtorej mili w głąb wyspy.

Porucznik Hobson, zbliżywszy się do wybrzeża, spostrzegł kawał lodu płynący od wyspy ku morzu.

– W tem tkwi niebezpieczeństwo! – szepnął sierżant Long, poczem obaj zawrócili szybko na zachód, dążąc ku faktorji.

Po drodze nie zauważyli żadnej zmiany. O czwartej byli już wśród swych towarzyszy, których zastali przy zwykłych zajęciach.

Jasper Hobson powiedział im, że chciał, przed zimą, sprawdzić, czy nie natrafi na jakikolwiek ślad z obiecanej przez kapitana Craventy wyprawy, lecz że poszukiwania skończyły się na niczem.

– Zdaje mi się, panie poruczniku, – rzekł Marbre, – przynajmniej w tym roku musimy się pożegnać z myślą ujrzenia naszych towarzyszy z fortu Reliance?

– I mnie się to zdaje, Marbre, – odpowiedział spokojnie Jasper Hobson.

Mrs. Paulina Barnett i Madge dowiedziały się od porucznika o ukazaniu się ognia i usłyszeniu krzyku, których obaj byli zupełnie pewni. Poczem wszyscy czworo orzekli po długim namyśle, że ogień i krzyk pochodziły z tonącego okrętu, jak również, że wyspa nie zbliżyła się bynajmniej do lądu amerykańskiego.

Tymczasem pod wpływem południowo-wschodniego wiatru chmury rozeszły się szybko i opary nie zaciemniały horyzontu. Jasper Hobson przypuszczał, że nazajutrz będzie mógł określić położenie wyspy.

Istotnie! Nazajutrz 2 września słońce ukazało się w całym swym blasku. Porucznik dowiedział się o dwunastej, że wyspa znajduje się pod  $70^{\circ}57'$  szerokości geograficznej, około drugiej zaś, po obliczeniu kąta godzinowego, że długość jej geograficzna wynosi  $170^{\circ}30'$ .

Tak więc, pomimo gwałtownej burzy wyspa pozostała prawie na tej samej szerokości, natomiast prąd unosił ją w dalszym ciągu na zachód. W tej chwili znajdowała się ona w okolicy cieśniny Berynga, ale o czterysta mil na północ od przylądka Wschodniego i od przylądka Księcia Walji, które tworzą największą część cieśniny.

Położenie to było groźne. Wyspa zbliżała się coraz bardziej do niebezpiecznego prądu Kamczatki, który mógł ją łatwo unieść na północ. Oczywiście los jej rozstrzygnie się wkrótce.

uniesie na północ. Oczywiście iś jej rozszczygnie się wkrótce. Bowiem, albo unieruchomi się pod wpływem dwu przeciwnych prądów, oczekując zamrożenia morza, albo też uniesiona zostanie do stron skrajnej północy.

Jasper Hobson, niezwykle przygnębiony, udał się do swego pokoju, którego nie opuszczał dzień cały, nie chcąc zdradzić swego niepokoju. Z mapą w ręku przemyślał on nad sposobami wyjścia z tego trudnego położenia.

Temperatura spadła o kilka stopni tego samego dnia, a opary, które nad wieczorem ukazały się na południo-wschodzie, w nocy zamieniwszy się w śnieg, pokryły dwucalową warstwą ziemię. Zima zbliżała się wreszcie.

3 września Mrs. Paulina Barnett, nie opowiedziawszy się nikomu, w towarzystwie swej wiernej Madge, wyruszyła o ósmej rano na dłuższą wycieczkę do tej części wybrzeża, które ciągnęło się od przylądka Bathurst do przylądka Eskimos. Chciała się ona przekonać, czy burza nie pozostawiła na niej swych śladów. Oczywiście porucznik Hobson byłby z chęcią jej towarzyszył, ale nie chciała odrywać go od zajęć. Niebezpieczeństwo zaś żadne grozić jej nie mogło, gdyż niedźwiedzi polarnych od czasu ostatniego trzęsienia ziemi nie było widać wcale. Mogła więc spokojnie odbyć wycieczkę, która zresztą nie miała trwać dłużej nad kilka godzin.

Tak więc uzbrojone w prosty nóż od śniegu, z tykwą i sakwą w ręku, Mrs. Paulina Barnett i Madge, minawszy zbocze przylądka Bathurst, skierowały się ku zachodniej części wyspy.

Słońce zataczało leniwie swój krąg na niebie, wznosząc się zaledwie na kilka stopni nad horyzontem. Ukośne jednak jego promienie były jasne, przenikliwe, tak że pod ich wpływem warstwa śnieżna tajała miejscami.

Różne gatunki ptaków, a między nimi gęsi dzikie i kaczki, fruując stadami i przesywając powietrze swym krzykiem, ożywiały wybrzeże.

Zwierzęta o cennych futrach w wielkiej liczbie błędziły po równinie i futra ich mogły z łatwością zapełnić składy faktorji, gdyby opłaciło się na nie polować. Nieszkodliwe te zwierzęta, czując się bezpieczne, podchodziły do samej zagrody i oswajały się coraz bardziej. Instynkt ich przeczuwał, że są więźniami narówni z mieszkańcami fortu, wspólny więc los ich łączył. Dziwna w tem wszystkim rzeczą było to, co zauważyła szczególnie Mrs. Paulina Barnett, że Marbre i Sabine, ci zajadli myśliwi, nie kwapili się wcale na tę ceną zdobycz. Wprawdzie zwierzęta nie miały na sobie swej szaty zimowej, co zmniejszało znacznie ich wartość, lecz powód ten nie tłumaczył osobliwej obojętności myśliwych.

Dwie podróżniczki, zabawiając się rozmową, nie przestawały śledzić bacznie piaszczystego wybrzeża. Znać było na niem skutki burzy. Gdzie niegdzie widniały nowe nasypy lub świeże szczeliny, a wybrzeże obniżyło się tak znacznie, że fale sięgały tam, gdzie do niedawna spotykały nieprzepartą barjerę. Widoczne było, że wyspa miejscami opadła do poziomu oceanu.



pokazując towarzyszcze zalane falami wybrzeże, – że położenie nasze znacznie się pogorszyło wskutek ostatniej burzy. Nie ulega wątpliwości, że poziom wyspy się obniża! Ocalenie nasze zależy obecnie wyłącznie od czasu, a raczej od nadejścia zimy.

– Nadejdzie, nadejdzie, moja córko, – odparła Madge z niezachwianą ufnością. – Śnieg już pada, więc tam w górze zaczyna być zimno, i wierzę, że Pan Bóg nam go zsyła.

– Słusznie mówisz, Madge, należy mieć nadzieję. My kobiety, nie zastanawiając się nad fizycznymi przyczynami zjawisk, powinnyśmy krzepić się w wypadkach, gdzie uczeni mężczyźni oddawaliby się może rozpacz. Jest to wielka łaska. Nasz porucznik, niestety, sądzi inaczej. Roztrząsa, oblicza, mierzy i traci już prawie nadzieję!

– A przecież to człowiek energiczny, odważny, – odezwała się Madge.

– Tak, – rzekła Mrs. Paulina Barnett, – i ocali nas, jeżeli to będzie leżało w ludzkiej mocy.

O dziewiątej podróżniczki były o cztery mile od fortu. Niejednokrotnie musiały cofać się w głąb wyspy, aby okrążyć wybrzeże zalane falami sięgającymi nieraz na pół mili. Świadczyło to, że pole lodowe się usuwa w tych miejscach i że zniknąwszy zupełnie, może spowodować szczeliny, które przysporzą wyspie nowych przystani.

W miarę jak się oddalały od fortu, liczba zwierząt zmniejszała się znacznie. Widocznie zwierzęta czuły się bezpieczniej w

się znowu. Wskoczyć zwierzęta czuły się bezprzeznaczone w obecności człowieka, którego do niedawna obawiały się tak bardzo, i garnęły się chętnie do okolic faktorji. Co zaś do dzikich zwierząt, tych musiało być niewiele. Mrs. Paulina Barnett i Madge bowiem spostrzegły tylko kilka wilków błądzących po równinie, które znikły niebawem za pagórkami jeziora.

– Co poczną te zwierzęta, Madge, jak my uwiecznione, skoro z nadejściem zimy zabraknie im pożywienia?

– Zabraknie im pożywienia! co mówisz, Madge, – rzekła Mrs. Paulina Barnett! – Nie potrzebujemy obawiać się ich wcale. Gronostaje, kuny, lisy dostarczą im obfitego żeru. Niebezpieczeństwo nie od nich nam grozi, ale od tego ruchomego gruntu, który lada chwila może się zawalić pod nami! Patrz, jak morze wrzyna się głęboko w tem miejscu! Jeżeli posunie się jeszcze dalej, złączy się ono z jeziorkiem, a wtedy stracimy je, jak straciliśmy port i rzekę.

– Gdyby się to stało, – rzekła Madge, – byłoby to niepowetowane nieszczęście.

– A to dlaczego? – spytała Mrs. Paulina Barnett, patrząc na towarzyszkę.

– Dlatego, że pozbawieni byłibyśmy całkowicie wody słodkiej! – rzekła Madge.

– Wody słodkiej nie zbraknie nam, Madge, Deszcz, śnieg, lód, lodowce oceanu, grunt sam wyspy, wszystko to woda słodka. Nie w tem tkwi niebezpieczeństwo!

Okolo dziewiątej Mrs. Paulina Barnett i Madge dotarły do wysokości przyładka Eskimos, lecz na dwie mile co najmniej w głąb wyspy, gdyż wybrzeżem iść nie było podobnem z powodu licznych szczelin. Obie kobiety, zmęczone tą przydługą przechadzką, udały się do małego lasku brzoźowego, rosnącego na niewielkim pagórku pokrytym mchem żółtawym.

Usiadłszy tam pod kępą drzew, pożywiły się skromnemi zapasami.

Po półgodzinnym odpoczynku Mrs. Paulina Barnett zaproponowała Madge, aby zanim powrócą do faktorji, udały się do wybrzeża przyjrzeć się, jak obecnie wygląda przyładek Eskimos. Madge zgodziła się chętnie, nie omieszkała jednak przypomnieć „swej córce”, że osiem do dziewięciu mil dzieli je od fortu Nadziei, że porucznik Hobson niepokoić się może.

Mrs. Paulina Barnett, jak gdyby wiedziona przeczuciem, nie zmieniła swego postanowienia. Zresztą droga ta nie miała im zająć więcej nad pół godziny czasu.

Nie uszły jednak ćwierć mili, gdy Mrs. Paulina Barnett, zatrzymawszy się nagle, wskazała swej towarzyszce ślady wyraźnie zarysowujące się na śniegu. Ślady te musiały być świeże, gdyż śnieg, który spadł w nocy, byłby je przyprószył.

– Jakież to zwierzę mogło tedy przechodzić? – spytała Madge.

– Nie są to ślady zwierzęce, – rzekła Mrs. Paulina Barnett, schyliwszy się, aby się im lepiej przyjrzeć. – Przypatrz się,

Madge, wszak są to ślady ludzkie?

– Któżby tu przyjść mógł? Ani żołnierz, ani żadna z kobiet nie oddalili się z fortu... A ponieważ jesteśmy na wyspie, musiałaś się omylić, moja córko. Zresztą idźmy temi śladami, zobaczymy, gdzie nas doprowadzą.

Mrs. Paulina Barnett i Madge poszły istotnie w tym kierunku.

Uszedłszy pięćdziesiąt kroków, zatrzymały się nagle.



– Patrz, Madge, – rzekła Mrs. Paulina Barnett – i powiedz, czy się myliłam.

Obok miejsca, na którym leżało widocznie w śniegu jakieś ciało, widniał ślad ręki.

– Ślad ręki kobiety lub dziecka! – zawołała Madge.

– Tak, – rzekła Mrs. Paulina Barnett, dziecko czy kobieta, ktoś wyczerpany, zmęczony upadł tutaj. Poczem biedne to stworzenie wstało i szło dalej. Patrz... znów ślady... i znów uradek ciała

– Ale któż to być mógł? Kto? – pytała Madge.

– Nie wiem, – rzekła Mrs. Paulina Barnett. – Może jakiś nieszczęśliwy uwięziony tak jak my na wyspie od trzech lub czterech miesięcy? Może jaki rozbitek, ofiara ostatniej burzy?... Przypomnij sobie o tym ogniu, o tym krzyku, o których wspominał nam porucznik i sierżant Long... Chodź, Madge, może jaki nieszczęśliwy oczekuje od nas pomocy!...

Przy tych słowach Mrs. Paulina Barnett, pociągnawszy z sobą towarzyszkę, pobiegła w kierunku śladów. Niebawem dojrzała na nich kilka kropli krwi.

Dzielna kobieta biegła na pomoc nieszczęśliwemu, zapominając, że na tej wyspie pogrążającej się w wodach oceanu nie było ocalenia ani dla bliźnich, ani dla niej!

Ślady szły w stronę przyładka Eskimos. Wkrótce jednak znikły, pozostały tylko krwawe plamy, coraz częściej ukazujące się na śniegu i nierówna ścieżka, rysująca się na nim.

– Śpieszmy się, śpieszmy, – powtarzała Mrs. Paulina Barnett z bijącym sercem

Do przyładka było zaledwie pięćset kroków.

Wystawał on ponad morze, odbijając od tła nieba. Na przyładku jednak nie było nikogo.

Ślady wszelako prowadziły prosto do przyładka, skąd dopiero zwracały na prawo kierując się ku morzu.

Mrs. Paulina Barnett rzuciła się w tym kierunku, lecz w chwili gdy miała stanąć na wybrzeżu, Madge powstrzymała ją ruchem ręki.

– Stój! – rzekła.

– Nie, Madge, nie! – zawołała Mrs. Paulina, wiedzona nieprzepartym instynktem.

– Zatrzymaj się, moja córko, i spójrz! – rzekła Madge, wstrzymując energicznie towarzyszkę.

W odległości pięćdziesięciu kroków od przyładka Eskimos, na samym skraju wybrzeża, poruszała się wielka biała masa, porykując donośnie.

Był to olbrzymi niedźwiedź polarny. Obie kobiety przyglądały mu się trwożnie. Zwierzę krążyło około jakiegoś futra rozciągniętego na śniegu, poczem, uniósłszy je, rzuciło natychmiast węsząc. Futro to przypominało ciało nieżywego morsa.

Mrs. Paulina Barnett i Madge stały bezradne, nie wiedząc, czy mają się zbliżyć, gdy na skutek nowego podrzucenia ciała, rodzaj kaptura zsunął się z głowy, ukazując rozwiane włosy czarne.

– Kobieta! – zawołała Mrs. Paulina Barnett, która biegnąć chciała na pomoc nieszczęśliwej.





– Zatrzymaj się, zatrzymaj, – rzekła Madge, – nie wyrządzi jej nic złego.

Niedźwiedź, w istocie, przypatrywał się z zajęciem ciało, obracał je, lecz nie szarpał pazurami. Oddalił się, poczem wrócił, jak gdyby wahając się, co uczynić. Nie spostrzegł bynajmniej obu zatrwożonych kobiet!

Nagle dał się słyszeć trzask, a po nim nastąpiło lekkie wstrząśnienie. Zdawało się, jakby przyłodek Eskimos pograżał się cały w morzu...

Olbrzymia część lodowej podstawy, straciwszy wskutek zmiany ciężaru gatunkowego swą równowagę, wraz z warstwą ziemi i piasku znajdującą się na niej, oderwała się od wyspy, unosząc z sobą zwierzę i ciało kobiety!

Mrs. Paulina Barnett krzyknęła, biegnąc na ratunek nieszczęśliwej, którą lada chwila porwać miał prąd nieubłagany.

– Zatrzymaj się, zatrzymaj, córko! – powtarzała Madge, obejmując kurczowo Mrs. Paulinę Barnett.

W tej chwili niedźwiedź, przestraszony trzaskiem lodowca i

pozostawiając ciało, rzucił się ze strasznym rykiem ku wybrzeżu, a okrążywszy odrywającą się część wyspy, zaczął rwać ziemię pazurami, wyrzucając w powietrze śnieg i piasek, poczem powrócił do odrętwiałego ciała i w oczach osłupiałych kobiet, schwyciwszy swą paszczą ciało, pobiegł ku krańcowi lodowca, znajdującego się naprzeciwko wyspy i rzucił się w morze.

Niedźwiedź, płynąc dzielnie, dotarł w przeciągu kilku chwil do wybrzeża wyspy, uczyniwszy zaś potężny skok, znalazł się na ziemi, na której złożył porwane ciało.

Wtedy Mrs. Paulina Barnett, nie mogąc się powstrzymać pomimo grożącego jej niebezpieczeństwa, wyrwała się z rąk Madge i rzuciła się ku wybrzeżu.

Niedźwiedź spostrzegł biegnącą kobietę. Stanąwszy na tylnych łapach, zmierzał wprost na nią. Ale o dziesięć kroków zatrzymał się, potrząsnął olbrzymią głową, poczem, jak gdyby pod wpływem trwogi, obrócił się, ryknął przeciągle i poszedł w stronę wyspy, nie obejrzawszy się nawet.

Mrs. Paulina Barnett podbiegła natychmiast do rozciągniętego na śniegu ciała.

– Madge! Madge! – zawołała rozpaczliwie.

Madge zbliżyła się.







Było to ciało młodej Eskimoski Kalumah!



## Rozdział IX

### *Przygody Kalumah.*



alumah na pływającej wyspie, o dwieście mil od lądu amerykańskiego!

Mrs. Paulina Barnett nie zastanawiała się nad tem narazie. Cała jej uwaga skupiona była na tem niepokojącym pytaniu, czy młoda Eskimoska żyje, czy oddycha? Serce, aczkolwiek słabo, biło jeszcze; rana na ręce, choć krwawa, nie była niebezpieczna.

Podczas gdy Madge opatrywała skrwawioną rękę, Mrs. Paulina Barnett, uniósłszy głowę zemdlonej, wlewała w jej ściśnięte wargi po kropli wódki, poczem zmoczyła czoło i skronie zimną wodą.

Upłynęło kilka minut. Ani Mrs. Paulina Barnett, ani Madge nie przerywały milczenia, oczekując z trwogą, co dalej nastąpi.

Czuły obydwie, że życie zemdlonej jest tak słabe, jak nić pajęcza. Powoli jednak oddech stawał się głębszy, wreszcie westchnienie wydobyło się z piersi młodej Eskimoski, i ręce poruszały się słabo. Nie otwierając oczu, szepnęła:



– Mistress Paulina, mistress Paulina!

Na te słowa podróżniczka osłupiała. Czyżby Kalumah skierowała się była umyślnie ku wyspie, wiedząc, że na niej spotka Europejkę, która okazała się dla niej tak łaskawą? Ale skąd mogła wiedzieć, że na tej to wyspie znajduje się Mrs. Paulina Barnett i jej towarzysze, jakże mogła przebyć te

obrzynią przestrzeń wodną? Było to wszystko zagadką.

– Żyje! żyć będzie! – rzekła Madge, wyczuwając pod ręką powracające ciepło i szybszy obieg krwi w tem biednym, wyczerpanem ciele.

– Biedne dziecko! – szepnęła Mrs. Paulina Barnett. – W chwili śmierci wymawiała moje nazwisko!

Ale Kalumah nie umarła. Powieki zwolna podnosząc, spojrzała wzrokiem błędnym dokoła. Nagle wzrok ten zajaśniał. Ujrzała na chwilę, na krótką tylko chwilę swoją dobrą panią, ale więcej nie było jej potrzeba. Powtórzyła raz jeszcze to drogie dla niej nazwisko i ręka jej spoczęła w dłoni podróżniczki.

Po usilnych staraniach dwu dzielnych tych kobiet młoda Eskimoska przyszła do siebie. Wyczerpanie jej spowodowane było przede wszystkim głodem, gdyż nie miała nic w ustach od czterdziestu ośmiu godzin, to też nieco mięsa i wódki przyszły bardzo w porę i po godzinnym odpoczynku Kalumah mogła wyruszyć w drogę.

Nie! młoda Eskimoska nie zapomniała swych Europejczyków z fortu Nadziei! Nie zapomniała Mrs. Pauliny Barnett, której obraz tkwił na zawsze w jej sercu i pamięci! Nie! nie przypadek to zaprowadził ją nawpół żywą na wyspę Victoria.

Siedząc na piasku między Mrs. Paulina Barnett i Madge, dziękowała im gorąco za pomoc i w kilku słowach opowiedziała swe dzieje.

Jak wiadomo młoda Eskimoska obiecała swym znajomym z

fortu Nadziei, że powróci do nich w porze letniej. W maju opuściła wybrzeże Nowej-Georgii, gdzie przebywała z jednym ze swoich szwagrów, dążąc do półwyspu Victoria.

Po sześciotygodniowej podróży dotarła do terytorium Nowej Brytanii sąsiadującym z przylądkiem Bathurst. Poznawszy góry wulkaniczne, znajdujące się w pobliżu zatoki Liverpool, skierowała się w tę stronę, i przebywszy dwadzieścia mil, dotarła do zatoki Morsów.

Ale poza zatoką na północ nie znalazła nic! Wybrzeże szło linią prostą ku południo-wschodowi. Znikł przylądek Eskimos, znikł przylądek Bathurst!

Kalumah zrozumiała, co się stało! Albo wyspa Victoria pogrążyła się w otchłaniach oceanu, albo też popłynęła z prądem

Kalumah zapłakała gorzko.

Szwagier jej jednak nie zdziwił się wcale, zastawszy taką zmianę. Legenda rozpowszechniona u plemion koczujących Ameryki Północnej głosiła, że przylądek Bathurst złączony od wieków ze stałym lądem, nie stanowił zwartej z nim części i że prędzej czy później oderwie się od niego niechybnie. Dla tego to ogarnęło Eskimosów zdumienie na widok faktorii zbudowanej przez porucznika Hobson u podnóża przylądka Bathurst! Ale z tą oplakaną ostrożnością, cechująca ich rasę, a może też pod wpływem uczucia ogarniającego każdego tubylca na widok cudzoziemca przywłaszczającego sobie ich kraj, Eskimosi

powstrzymali się od uwag, tem bardziej, że faktorja była wtedy dziełem dokonanem. Kalumah nie znała tej legendy, jednej z licznych zresztą tradycyj, nie mających za sobą potwierdzenia historycznego, nie mogła też uprzedzić mieszkańców fortu o grożącym im niebezpieczeństwie.

Nieodżałowana to szkoda, gdyż Jasper Hobson, znalazłszy potwierdzenie swych przypuszczeń, byłby niezawodnie pomyślał o trwalszym gruncie dla swej faktorji.

Kalumah, nie zastawszy przyładka Bathurst, podażyła dalej da zatoki Washburn, ale i tam nie natrafiła na ślady swych przyjaciół. Z bólem w sercu więc opuściła zatokę Morsów w końcu czerwca wraz ze szwagrem; w końcu zaś lipca zawitali oni do Nowej-Georgji. Nie przypuszczała Kalumah, że kiedykolwiek jeszcze ujrzy Mrs. Paulinę Barnett i jej towarzyszy, sądząc, że pochłonęły ich fale oceanu.

Przy tych słowach młoda Eskimoska zwróciła zażawione oczy na Mrs. Paulinę Barnett, a ująwszy jej rękę, uścisnęła gorąco. Poczem, szepcząc modlitwę, dziękowała swemu Bogu za łaskę ocalenia przez umiłowaną przyjaciółkę.

Kalumah, wróciwszy do swej rodziny, spędzała czas na zwykłych zatrudnieniach, to jest zajmowała się wraz z braćmi rybołówstwem w pobliżu przyładka Lodowego, znajdującego się na siedemdziesiątym równoleżniku, w odległości przeszło sześciuset mil od przyładka Bathurst.

W pierwszej połowie sierpnia nie zaszło nic osobliwego. W

koncu zaś tegoż miesiąca zaczęła szaleć straszna burza, która wstrząsnęła nieszczęsną wyspą, a która nawiedziła całe wybrzeże morza Polarnego aż poza cieśninę Berynga. Na przyładku Lodowym gwałtowność jej nie była mniejsza, niż na wyspie Victoria. W tym to czasie wyspa znajdowała się przeszło o dwieście mil od wybrzeża, jak twierdził porucznik Hobson.

Słuchając opowiadania Kalumah, Mrs. Paulina Barnett porównywała w swym umyśle pewne fakty, które wyświectliły jej wreszcie przybycie na wyspę młodej Eskimoski.

Podczas pierwszych dni trwania burzy Eskimosi nie opuszczali swoich szałasów, nie mogli bowiem ani wychodzić, ani tem mniej zająć się połowem. W nocy z 31 sierpnia na 1 września jednak Kalumah, pod wpływem nieokreślonego przeczucia, wyszła pomimo nawałnicy na wybrzeże, wpatrując się z niepokojem we wzburzone fale morza, wyglądające w mroku jak łańcuch górski.

Nagle, po północy, zdawało jej się, że dostrzega olbrzymią masę płynącą w kierunku wiatru równoległe do wybrzeża. Wzrok jej, niezmiernie przenikliwy, jak zresztą u wszystkich koczujących tubylców, przyzwyczajony do długiego mroku zimowego, nie mógł się mylić. Zobaczyła więc tę olbrzymią masę, która nie mogła być ani wielorybem, ani okrętem, a nawet polem lodowem o tej porze roku.

Zresztą Kalumah nie zastanawiała się. W jej umyśle błysło jakby objawienie. Ukazały jej się postaci towarzyszy z fortu Nadziei. Wszyscy oni przesuwali się w jej wyobraźni. Mrs. Paulina Barnett, Madge, porucznik Hobson, maleństwo, które

okrywała pocałunkami! Tak, to oni tam płyną na tym lodowcu ruchomym!

Kalumah nie zawahała się ani chwilę. Powiedziała sobie, że musi dać znać rozbitkom, że ziemia jest od nich niedaleko. Pobiegała do szalasu, zabrała jedną z pochodni, utworzonych z kłaków i żywicy, a które Eskimosi używają do połowów nocnych, zapaliła ją, i podążywszy na szczyt przyładka Lodowego, zaczęła nią powiewać.

Był to ten sam ogień, który spostrzegli Jasper Hobson i sierżant Long owej nocy 31 sierpnia na przyładku Michel.

Jakąż radością zadrgało jej serce, gdy na znak przez nią dany, odpowiedziano również znakiem, tą jodłową pochodnią, której ciemne błyski sięgały aż do wybrzeża amerykańskiego!

Lecz wkrótce wszystko zgasło. Chwilowa cisza ustąpiła miejsca gwałtownemu południowo-wschodniemu wiatrowi.

Kalumah zrozumiała, że „jej zdobycz” – tak ją nazywała – że jej zdobycz wymknie się jej, że nie zawita do brzegu. Widziała i czuła, że wyspa oddala się wśród ciemności na pełne morze.

Młoda Eskimoska przeżyła chwilę straszną. Powiedziała sobie, że musi ich uprzedzić, że może nie jest za późno, że każda godzina stracona oddali ich od stałego lądu. . .

Nie zawahała się ani chwilę. Kajak był przy niej. Wsiadła do wątlej łodzi, opasała swój pasek skórą fokii przytwierdzoną do kajaku i z wiosłem w ręku puściła się na fale, na los szczęścia.

Przy tych jej słowach Mrs. Paulina Barnett objawszy młodą dzielną Eskimoskę, przycisnęła ją gorąco do serca. Madge zaś słuchając jej opowiadania, płakała.



Kalumah płynęła po wzburzonych falach w stronę wyspy. Zmiana kierunku wiatru była dla niej okolicznością sprzyjającą. Fale zlewały co chwila wątlą łódź, ale były bezsilne wobec lekkiego kajaku, który unosił się jak słomka na grzbiecie fali. Killakrotnie łódka przewracała się pod jej naciskiem, lecz jedno uderzenie wiosła wystarczyło, aby płynęła dalej.

Po godzinnym wysiłku Kalumah znalazła się o ćwierć mili od wyspy.

W owej to chwili wydała krzyk, który doszedł uszu Jasper Hobson'a i sierżanta Long!

Jednocześnie wszakże prąd ją uniół w kierunku zachodnim, przez co oddaliła się od wyspy. Napróżno walczyć chciała przeciw niemu. Prąd unosił wątlą łódkę jak strzałę. Wołania Kalumah ginęły w odległości. O świcie wybrzeże Nowej-Georgji



i kształt wyspy tworzyły już tylko dwie niewyraźne masy na horyzoncie.

Dzielna Eskimoska nie rozpaczała. Do lądu amerykańskiego powrócić nie mogła, gdyż wiatr stawiał jej opór, ten sam wiatr, który, oddalając wyspę od wybrzeża, unosił ją równocześnie w tym samym kierunku.

Kalumah miała tylko jedno wyjście: dostać się do wyspy tym samym prądem, który unosił mieszkańców fortu Nadziei!

Lecz niestety! siły opuściły biedną dziewczynę. Głód upomniał się o swe prawa. Wyczerpanie ubezwładniło wiosło w jej rękach.

Pomimo to walczyła jeszcze z falą godzin kilka w nadziei, że zbliży się do wyspy. Walczyła z nią, pomimo że zakrwawione ręce odmawiały jej posłuszeństwa! Walczyła do chwili, w której straciła przytomność, a wąty kajak, pozbawiony steru, stał się igraszką fal!

Co się z nią stało potem? Ile czasu błądziła po wzburzonym morzu? Nie wiedziała. Odczuła tylko silne uderzenie o ląd i rozbicie kajaku. Gdy się ocknęła, leżała na piaszczystym wybrzeżu. Świt właśnie rozpraszał ciemność nocy. Było około trzeciej z rana.

Od chwili, gdy Kalumah wsiadła do swej wątej łódki, upłynęło zatem siedemdziesiąt godzin.

Młoda Eskimoska nie wiedziała, czy fale wyrzuciły ją na

wybrzeże, czy też na upragnioną wyspę! Sążąc jednak z kierunku wiatru, przypuszczała, że znajduje się raczej na wyspie.

Myśl ta dodała jej otuchy. Zerwała się i, wyczerpana, podążyła wzdłuż wybrzeża.

Zrządzeniem Opatrzności dostała się do części wyspy Victoria, tworzącej północny kraniec zatoki Morsów. Ale z powodu zasłanych zmian w zarysie wyspy, mogła poznać wybrzeża.

Kalumah szła, dopóki jej sił starczyło, to padając, to zrywając się i w ten sposób, trzymając się krętego wybrzeża, dotarła do okolicy lasku, w którym tegoż rana odpoczywała Mrs. Paulina Barnett i Madge.

Od tej chwili sił jej zabrakło do dalszej drogi. Posuwała się tylko, pełznąć. W ten sposób dotarła do przylądka Eskimos. Na jego widok serce Eskimoski zadrgało radośnie! Wiedziała, że tylko osiem mil dzieli ją od faktorji, pamiętała dobrze drogę, która prowadziła do fortu Nadziei!

Tak! myśl ta podtrzymywała ją. Lecz nie na długo. Padła zemdlona i gdyby nie Mrs. Paulina Barnett, już nie żyłaby w tej chwili.

– Wiedziałam, – rzekła – że pani przyjdzie mi z pomocą i że Bóg ocali mnie przez panią!

Mrs. Paulina Barnett opowiedziała młodej swej przyjaciółce, jak wiedzona instynktem, wybrała się na zwiedzenie wybrzeża, jak również wiedzona przecuciem skierowała się ku

przyłaskowi Eskimos, aczkolwiek przez to opóźnić miała swój powrót do faktorji. Nie omieszkała także opowiedzieć, młodej Eskimosce, w jakich okolicznościach nastąpiło oderwanie się lodowca i jaką rolę odegrał niedźwiedź w jej ocaleniu.

– Nie ja ocaliłam cię, moje dziecko, – dodała Mrs. Paulina Barnett, – lecz to zające zwierzę. Gdyby nie ono, nie byłabyś w tej chwili z nami, to też, skoro się zjawi, obejdziemy się z nim, jak z twoim zbawcą!

Po tych słowach Mrs. Paulina Barnett dała hasło odwrotu. Młoda Eskimoska, wypoczęta i pokrzepiona mogła wyruszyć w drogę.

Mrs. Paulina Barnett chciała jak najprędzej powiadomić Jasper Hobson'a o wypadkach tego rana, jak również o tem, co zaszło w tej pamiętnej nocy, gdy wyspa zbliżyła się do wybrzeża.

Przedewszystkiem jednak podróżniczka zaleciła Kalumah zachowanie tajemnicy. Bytność swą na wyspie miała wytłumaczyć w ten sposób, że, obiecawszy odwiedzić swych przyjaciół w porze letniej, przybyła do nich płynąc wzdłuż wybrzeża. Zjawienie się jej było nawet bardzo pomyślną rzeczą, gdyż upewni mieszkańców fortu, o ile niektórzy z nich wątpićby mogli, że żadna zmiana nie zaszła na przyładku Bathurst.

O trzeciej, Kalumah, wsparta na ramieniu Mrs. Pauliny Barnett i Madge, skierowała się ku wschodniej stronie wyspy, gdzie był położony fort, dokąd przybyły przed piątą.



## Rozdział X

### *Prąd Kamczatki.*



łatwością wyobrazić sobie można, jak serdecznie była witana młoda Eskimoska przez mieszkańców fortu Nadziei. Była ona jakby łącznikiem między nimi a resztą świata. Kobiety obejmowały ją i całowały; ona zaś ujrawszy maleństwo, nie mogła się niem nacieszyć.

Młoda Eskimoska była niezmiernie wzruszona tem przyjęciem. Każdy rad był okazać jej swą życzliwość, wszyscy zaś z radością dowiedzieli się, że ma zamiar przepędzić z nimi zimę. Odwz. snózniona nora nie pozwalala iei powrócić do

Nowej-Georgji.

Jeżeli jednak mieszkańcy fortu byli mile zdziwieni na widok młodej Eskimoski, to jakże zdziwił się Jasper Hobson, gdy zjawiała się Kalumah wsparta na ramieniu Mrs. Pauliny Barnett. Nie chciał wierzyć swym oczom. Nagle błysła mu myśl – tak krótka, jak światło błyskawicy – że wyspa Victoria dopłynęła do stałego lądu.

Mrs. Paulina Barnett, wyczytawszy tę myśl w jego oczach, wstrząsnęła przecząco głową.

Niecierpliwie więc czekał Jasper Hobson na rozwiązanie zagadki, która niebawem została mu odkryta.

Przechadzając się z Mrs. Paulina Barnett u podnóża przylądka Bathurst, Jasper Hobson słuchał z niezwykłym przejęciem opowiadania o przygodach Kalumah.

Tak więc wszystkie jego przypuszczenia sprawdziły się! Podczas burzy wiatr północno-wschodni oddalił wyspę od prądu, który ją unosił. Pamiętnej owej nocy lodowiec zbliżył się do stałego lądu na milę! Nie było to światło okrętu, nie był to krzyk rozbitka, które zwróciły uwagę dwu wędrowców! Ziemia była tuż przy nich i gdyby wiatr był o godzinę później zmienił kierunek, wyspa Victoria uderzyłaby o wybrzeże Ameryki rosyjskiej.

Tymczasem się inaczej. Wiatr południowo-wschodni odepchnął wyspę od wybrzeża, oddając ją na pastwę dawnego prądu, który unosząc ją z sobą, doprowadził do zbiegu dwu

prądów, to jest do miejsca, gdzie ulegając jednemu z dwu przeciwnych wpływów, wyspa byłaby narażona na niechybną zgubę!

Po tych smutnych wnioskach porucznik spytał Mrs. Pauliny Barnett, czy zmiany na przestrzeni wybrzeża od przylądka Bathurst do zatoki Morsów były znaczne.

Podróżniczka opowiedziała mu o obniżeniu się poziomu wybrzeża, o falach zalewających je na znaczną odległość, a przede wszystkim zwróciła jego uwagę na oderwanie się części wyspy w tej stronie.

W istocie wypadek ten był groźny. To co się stało z przylądkiem Eskimos, zdarzyć się mogło z przylądkiem Bathurst, widoczną bowiem rzeczą było, że podstawa lodowa taje powoli pod wpływem cieplejszego prądu. Domy faktorji mogły lada chwila pograżyć się w otchłani, a na to nie było innej rady jak nadejście zimy i to zimy ostrej!

Nazajutrz, 4 września, Jasper Hobson stwierdził, że położenie wyspy nie uległo prawie zmianie, to jest, że pozostaje nieruchomo między dwoma prądami przeciwnymi. Była to okoliczność bardzo sprzyjająca, to też porucznik mówił do Mrs. Pauliny Barnett:

– Gdyby zima obecnie nadeszła, a tem samem morze zamarzło, byłibyśmy ocaleni. Jesteśmy obecnie oddaleni od lądu mniej niż o dwieście mil, więc mogliśmy dostać się przez pola lodowe czy do Ameryki rosyjskiej, czy do Azji.

Tymczasem w faktorii stosownie do zlecenia porucznika, prace zimowe nie ustawały. Zajmowano się obecnie składaniem paszy dla zwierząt na długi przeciąg czasu nocy polarnej. Psy, nie mając nic do roboty, wyglądały doskonale, lecz zasługiwały w pełni na ten odpoczynek, jako że niedługo może czekać je miał trud nielada, gdy mieszkańcy fortu, opuszczając wyspę, wyruszą polem lodowem ku stałemu lądowi. Karmiono je też obficie, darząc mięsem zabitych w okolicy przyładka reniferów.

Zadomowionym reniferom zato nie brakowało niczego. Oborę miały dostatnią, a znaczny zapas mchów zapewniał im smaczne pożywienie na zimę. Odpłacały się też gospodarzom obfitością mleka, które Mrs. Joliffe zużytkowywała do przypraw kuchennych.

Kapral i jego małżonka nie omieszkali uprawić gruntu dla zasiania szczawiu, łyżczycy i herbaty labradorskiej które wyhodowali z takim powodzeniem przeszłego lata.

Drzewo w składach sięgało do szczytów. Nie obawiano się już obecnie ostrej zimy. Gdy rtęć zamarźnie w termometrze, nie trzeba będzie palić w piecu porąbanymi sprzętami. Mac Nap i jego pomocnicy dostarczyli paliwa poddostatkiem.

Porucznik Hobson zarządził polowanie na zwierzęta o cennych futrach, nie chcąc sprzeciwiać się żołnierzom, aby nie wzbudzić podejrzeń swym zakazem. Wiedział jednak dobrze, że bezowocne było to tępienie zwierząt zarówno nieszkodliwych, jak cennych. Wszelako mięso ich zużytkowano na karm dla

psow, przez co zaoszczędzono mięsa reniferow, z ktorego zrobiono odpowiedni użytek.

Słowem, żołnierze pracowali z nieustającym zapalem. Nie odnosiliby się tak gorliwie do swej pracy, gdyby wiedzieli, jakie niespodzianki gotuje im przyszłość.



Jasper Hobson sprawdzał codziennie, czy położenie wyspy nie uległo zmianie. Wyspa jednak stała na miejscu, tak, że w poruczniku zaczęła się budzić nadzieja, tem bardziej, że pomimo cieplej temperatury, termometr bowiem wskazywał czterdzieści dziewięć Fahrenheita (+ 9 Cels.), łabędzie i inne ptaki odlatywały do cieplejszych krajów. Wiedziały one, że łąd azjatycki, czy łąd amerykański, są niedaleko i że dofrunąć do nich będą mogły. Niektóre z tych ptaków zdołano pojmać dla zawieszenia im na szyi ceratowej kartki, na której wypisano położenie wyspy i nazwiska mieszkańców. Poczem puszczo je na swobodę, przypatrując się z zazdrością, gdy pofrunęły na południe.



Nie potrzebujemy dodawać, że czynności tej dokonano w ściśle zaufanym kółku.

Co do czworonożnych zwierząt wyspy, były one skazane na zimowanie na niej. Opuszczały zwykle okolice przylądka Bathurst w pierwszych dniach września, udając się w stronę jeziora Wielkiego Niedźwiedzia, lub jeziora Niewolniczego, poniżej koła Polarnego. Lecz obecnie, gdy morze stanęło im na przeszkodzie, musiały czekać, aż lodowa jego powłoka pozwoli im przedostać się na ląd stały. Zapewne zwierzęta te musiały w swoim czasie podążać zwykłą drogą na południe, wiedzione jednak instynktem powróciły do okolic fortu Nadziei, do ludzi, uwięzionych jak oni, a będących dotąd ich największymi wrogami.

Do 10 września położenie wyspy było to samo. Gdybyż jeszcze parę tygodni takiego status quo, a porucznik Hobson mógł być pewny ocalenia swych towarzyszy.

Niestety! ich niedola miała być narażona jeszcze na ciężkie chwile!

W istocie, 10 września porucznik stwierdził nieznaczne poruszenie wyspy w kierunku północnym.





Jasper Hobson osłupiał! Wyspę porwał prąd Kamczatki, unosząc ją w stronę zwałów lodowych, do tych stron pustynnych, gdzie ręka ludzka nie sięga, skąd się nie powraca więcej!

Porucznik podzielił się tą smutną wiadomością z przyjaciółmi. Nowe to zrządzenie losu przyjęli oni ze spokojem i rezygnacją.

– Kto wie, może wyspa zatrzyma się znowu! może płynąć będzie zwolna! Ufajmy... i czekajmy! Zima nadchodzi, a zresztą płyniemy ku niej. Niech się stanie wola Boża!

– Jak sądzicie, drodzy przyjaciele, mam li wyznać prawdę naszym towarzyszom? Położenie jest tak groźne, że ukrywać je przed nimi jest to wziąć na siebie odpowiedzialność bardzo ciężką.

– Co do mnie, zaczekałabym jeszcze – odezwała się bez wahania Mrs. Paulina Barnett. – Dopóki wszystko nie jest jeszcze stracone, nie narażałabym ich na niechybną rozpacz.

– Ja również jestem tego zdania, – dodał spokojnie sierżant Long.

Jasper Hobson myślał to samo, rad więc był, że potwierdzono jego zapatrywanie.

11 i 12 września kierunek wyspy zaznaczył się jeszcze

wyraźniej. Płynęła ona z szybkością dwunastu do trzynastu mil dziennie, to jest zakreślała tę samą drogę, co prąd Kamczatki. Wkrótce minie siedemdziesiąty równoleżnik, na którym ongi znajdował się kraniec przylądka Bathurst, a poza którym nie było już wcale ziemi w tej części okolic podbiegunowych.

Jasper Hobson sprawdzał codziennie położenie wyspy na mapie i mógł przekonać się, do jakich otchłani zdąża. Jedyłą nadzieją, jak mówiła Mrs. Paulina Barnett, było to, że wyspa płynęła ku zimie, to jest ku lodom skrajnej północy, które utrwalały jej podstawę. Ale z drugiej strony jakże powrócą z tej dalekiej podróży i czy wogóle powrócić będą mogli? Ach! gdybyż statek był gotowy, porucznik nie zawahałby się jednej chwili wsiąść nań z towarzyszami, lecz, pomimo całej pilności Mac Nap'a, statek nie mógł być prędko skończony, ponieważ Mac Nap musiał usilnie baczyć, aby okręt, który miał przewieźć dwadzieścia osób i to na morzach tak niebezpiecznych, odpowiedział swemu zadaniu.

16 września wyspa Victoria znajdowała się na siedemdziesiąt do osiemdziesięciu mil na północ od miejsca, gdzie stała unieruchomiona, między dwoma prądami Kamczatki i Berynga. Tegoż dnia śnieg zaczął padać, chwilami nawet gęstymi płatami. Termometr spadł. Temperatura średnia podczas dnia wynosiła czterdzieści cztery stopnie (+ 6° do 7° Cels.), w nocy jednak spadała do trzydziestu dwu stopni (zero Cels.). Słońce zakreślało łuk niezmiernie wydłużony na niebie. W południe podnosiło się zaledwie na kilka stopni, znikало zaś na jedenaście godzin na dobe.

W nocy z 16 na 17 września ukazał się pierwszy szron na morzu. Były to małe odosobnione kryształki, podobne raczej do śniegu. Można było zauważyć wtedy zjawisko, już stwierdzone przez słynnego żeglarza Scoresby, że śnieg ten miał własność uśmierzania kołysania fal na podobieństwo tłuszczu, rozlewanego przez marynarzy dla chwilowego uspokojenia morza. Szron ten skupiłby się na wodzie spokojnej, lecz falowanie morza rozdzielało go ustawicznie.

Jasper Hobson śledził bacznie tę pierwszą oznakę zamarzania powierzchni morskiej. Wiedział dobrze, że wystarczyłoby dwudziestu czterech godzin, żeby złodowaciała warstwa dosięgła grubości trzech cali, grubości wytrzymującej ciężar człowieka. Przypuszczał zatem, że wyspa Victoria unieruchomioną zostanie przez okowy lodowe.

Dotychczas jednak dzień psuł pracę nocy i jeżeli wyspę zatrzymywały w godzinach nocnych większe kawały lodu, podczas dnia kawały te rozpryskiwały się lub tajały, a prąd dość wartki unosił wyspę swobodnie.

To też wyspa posuwała się stale ku północy.

21 września, od chwili porównania dnia z nocą godziny dzienne zaczęły się zmniejszać stopniowo. Zima nadchodziła, lecz bez pośpiechu. Wyspa Victoria znajdowała się wtedy poza siedemdziesiątym równoleżnikiem i wtedy też po raz pierwszy uległa ruchowi obrotowemu o ćwierć obrotu.

Pomocnik Hobson zasenił się wielce. Natura sama odkrywała

tajemnicę, której strzegł tak pilnie. W istocie, na skutek tego ruchu, główne strony nieba uległy zmianie. Przylądek Bathurst był obecnie na wschodzie. Słońce, księżyc, gwiazdy ani wschodziły, ani zachodziły w dawnych stronach horyzontu, niepodobieństwem więc było, żeby ludzie tak spostrzegawczy jak Mac Nap, Raë, Marbre i inni, nie zauważyli tej zmiany.

Ku wielkiemu zadowoleniu jednak Jasper Hobson'a dzielni ci ludzie zdawali się nie zwracać uwagi na to osobliwe zjawisko. Zresztą zmiana ta nie była znaczna, a częste mgły utrudniały wszelkie spostrzeżenia.

Ale ruch obrotowy wyspy zdawał się zbiegać z jej ruchem przenośnym. Wyspa Victoria bowiem od tej chwili płynęła z szybkością mili na godzinę, dążąc coraz bardziej na północ. Jasper Hobson nie rozpaczał, gdyż oddawać się rozpaczy nie było zgodne z jego usposobieniem, lecz zdawał sobie sprawę, że jest zgubiony, i wzywał zimy, a raczej mrozu z głębi swej duszy.

Wreszcie temperatura spadła. Z 23 na 24 września upadł śnieg obfity, a pokrywając sobą krę, powiększał jej grubość. Powoli zaczęło się tworzyć pole lodowe. Wyspa rozbijała je jeszcze swym naporem, lecz napór ten stawał się coraz bezsilniejszy wobec potęgi mrozu. Morze zamarzało naokoło wyspy i jak daleko mógł sięgnąć wzrok.

27 września Jasper Hobson mógł stwierdzić, że wyspa Victoria, w okowach olbrzymiego pola lodowego od dwu dni stała na miejscu pod  $177^{\circ}22'$  długości i  $77^{\circ}57'$  szerokości

geograficznej – o przeszło szescset mil od starego łądu!



**Jules Verne**

**W KRAINIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**

**(Rozdział XI-XV)**

*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*  
*Ilustracje Férat i Beaurepaire*  
*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*  
*Poznań 1925*



© Andrzej Zydorczak



## **Część DRUGA**

### **Rozdział XI**

*Wyjawienie tajemnicy.*



wyspa „zarzuciła kotwicę”, tak się wyraził sierżant Long o położeniu obecnem wyspy. W samej rzeczy była ona tak unieruchomiona, jak wtedy, gdy stanowiła część stałego lądu. Ale sześćset mil dzieliło ją od okolic zamieszkałych, sześćset tych mil zaś należało przebyć sankami po polu lodowem, wśród gór lodowych coraz to liczniejszych z powodu zwiększającego się mrozu i to podczas najcięższych miesięcy zimy północnej.

Przedsięwzięcie to było czemś niesłychanem, a jednak wyboru nie było. Zima, którą wzywał tak usilnie Jasper Hobson, zima ta nadeszła wreszcie, spełniła jego życzenia, rzuciła poprzez przestworza oceanu most, łączący wyspę z lądem stałym! Należało więc korzystać z jej łaskawości i przeprowić się jak można najprędzej.

O tem, ażeby oczekiwać wiosny, a z nią pęknięcia lodów, mowy być nie mogło, gdyż znaczyłoby to to samo, co oddać się odnowa na łaskę i niełaskę prądu Berynga. Pozostawało więc jedno, jak mówił Jasper Hobson do swych przyjaciół, to jest czekać na zupełne zamrożenie morza, co mogło nastąpić za trzy lub cztery tygodnie. W ciągu tego czasu porucznik miał zamiar urządzać częste wycieczki na pole lodowe, otaczające wyspę, ażeby się przekonać o grubości powłoki lodowej, o możliwości przejechania sankami wśród gór lodowych, i którą drogą najdogodniej będzie uskutecznić wyprawę, czy w kierunku lądu Azji, czy też Ameryki?



– Nie ulega wątpliwości, – dodał Jasper Hobson, zwracając się do obecnych Mrs. Pauliny Barnett i sierżanta Long – że w razie gdyby obydwie drogi okazały się zarówno podatne, wybralibyśmy tę, która prowadzi ku Nowej Georgji.

– Wtedy Kalumah oddałaby nam niejedną przysługę, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett, – gdyż, jako że pochodzi z tamtych stron, zna doskonale miejscowe warunki.

– Bez wątpienia, – rzekł porucznik Hobson, – i doprawdy przybycie jej do nas można uważać za zrządzenie Opatrzności. Dzięki jej będziemy mogli dostać się do fortu Michel nad zatoką Norton, a nawet bardziej na południe do Nowo-Archangelska, gdzie spędzilibyśmy resztę zimy.

– Biedny fort Nadziei! – rzekła Mrs. Paulina Barnett. – Zbudowany kosztem tylu trudów i zabiegów i takiej ofiarności jak pańska, panie Hobson! Serce mi się kraje na myśl, że będę musiała zostawić go, wśród tych pól lodowych, może nawet za nieprzepartą barjerą zwałów lodowych. Tak, serce moje płakać będzie, gdy pożegnam go po raz ostatni!

– Nie będę cierpieł mniej od pani, – odezwał się porucznik Hobson, – a kto wie, czy nie bardziej! Było to najpoważniejsze dzieło mojego życia! Włożyłem w nie całą myśl moją, całą energję i nie zapomnę nigdy tego fortu, tak nieszczęśliwie nazwanego Nadzieją! A następnie, co powie Towarzystwo, które mi zaufało i którego jestem tylko przedstawicielem!

– Powie, – zawołała Mrs. Paulina Barnett ze szlachetnym przejęciem – że spełnił pan swój obowiązek że pan nie

odpowiada za niespodzianki przyrody, potężniejszej zawsze i wszędzie, niż ręka i umysł ludzki! Zrozumie, że pan nie mógł przewidzieć tego, co się stało, gdyż to było ponad możliwość ludzką! Stwierdzi wreszcie, że dzięki pańskiemu rozumowi i energii ducha, nie straciła ani jednego z żołnierzy, których powierzyła panu!

– Dziękuję pani, – rzekł Jasper Hobson, ściskając rękę podróżniczki, – dziękuję pani za te słowa płynące z jej zacnego serca, znam jednak ludzi, i niech mi pani wierzy, lepiej wygrać, niż przegrać. Zresztą, niech niebo rozstrzyga!

Sierżant Long, chcąc przerwać smutny nastrój swego dowódcy, zaczął mówić o przygotowaniach do przyszłej podróży i wreszcie spytał, czy nie zamierza wyjawić tajemnicy swym towarzyszom.

– Poczekajmy jeszcze, – odpowiedział Jasper Hobson, – oszczędziliśmy naszym milczeniem niejednego niepokoju tym dzielnym ludziom, poczekajmy więc do chwili, gdy wyjazd nasz będzie rzeczą pewną, wtedy wyznamy im całą prawdę!

Tak więc mieszkańcy fortu, nieświadomi swego istotnego położenia, pracowali nadal z równą gorliwością jak w roku zeszłym o tej porze.

Rok temu warunki atmosferyczne były podobne do obecnych. Mróz ścinał stopniowo wodę wybrzeża. Jeziorko, jako spokojniejsze, uległo mu najpierw. Temperatura dzienna trzymała się powyżej zera na jeden lub dwa stopnie, w nocy zaś

spadała do trzech lub czterech stopni poniżej zera. Przywdziewano zimowe ubrania. Zakładano kondensatory w domu. Oczyszczono rezerwoar i pompy powietrzne. Ustawiano łapki w pobliżu zagrody i Sabine jak również Marbre radowali się obfitością swej zdobyczy. Wreszcie zajmowano się wewnętrznym urządzeniem głównego domu.

W tym roku uczyniono podobne przygotowania. Pomimo, że fort Nadziei obecnie znajdował się o dwa stopnie powyżej szerokości geograficznej, pod którą był położony w roku zeszłym, temperatura nie różniła się wcale od przeszłorocznej, albowiem między siedemdziesiątym, a siedemdziesiątym drugim równoleżnikiem odchylenie termometru jest nieznaczne. Zdawało się nawet, że zima jest łagodniejsza w tym roku, ale prawdopodobnie dlatego, że mieszkańcy fortu oswoili się już z ostrością północnego klimatu.

W każdym razie nadchodząca zima ostrą nie była. Powietrze było wilgotne, przesiąknięte oparami, które zmieniały się to w deszcz, to w śnieg. Słowem nie było dość zimno dla Jasper Hobson'a.

Go zaś do morza, to zamarzało ono, lecz tylko dorywczo. Szerokie czarniawe plamy świadczyły o niedostatecznym połączeniu kry, która z hałasem pękała, gdy pod wpływem deszczu topniały niedość ściśle zwarte jej cząstki. Nie odczuwało się ciśnienia, jakie ma zwykle miejsce, gdy kawałki pod naciskiem ostrego mrozu gromadzą się jedne na drugich. Gór lodowych nie widać było prawie ani też zwał lodowego na

horyzoncie.

– Zima tego rodzaju – powtarzał często sierżant Long – podobałaby się wielce podróżnikom zdążającym ku biegunowi Północnemu, nie sprzyja ona jednak naszym zamiarom bynajmniej!

Miesiąc październik nie przyniósł żadnej zmiany w stanie atmosferycznym. Termometr utrzymywał się średnio przy trzydziestu dwu stopniach. Fahrenheita (zero Cels.). Tymczasem morze zamarza dopiero przy siedmiu lub ośmiu stopniach stałego mrozu.



Zresztą, okolicznością świadczącą o niepewnym stanie pola lodowego było to, że zwierzęta nie opuszczały wyspy. Wilki nawet zbliżały się do zagrody, polując na zające polarne i kuny. Zgłodniałe renifery błądziły stadami w okolicach przylądka Bathurst. Jeden niedźwiedź – prawdopodobnie ten sam, względem którego Mrs. Paulina Barnett i Kalumah zaciągnęły dług wdzięczności – ukazywał się często na wybrzeżu jeziora.

Otóż jeżeli zwierzęta te, przeważnie zaś przeżuujące, nie opuściły dotąd wyspy, znaczyło to, że droga przed nimi była zamknięta.

Jasper Hobson, porównyując temperaturę obecną z przeszłoroczną, stwierdził, że o tej samej porze termometr wskazywał w zeszłym roku dwadzieścia stopni Fahrenheita poniżej zera ( $-10^{\circ}$  Cels.).

Porucznik i sierżant Long wychodzili często badać stan pola lodowego, czy do przylądka Michel, czy też do dawnej zatoki Morsów, chcąc się dowiedzieć, czy nie będą mogli wyruszyć w upragnioną drogę do jednego z łądów, Ameryki lub Azji.

Ale pole lodowe pokryte było kałużami wody, gdzie niegdzie zaś widniały na niem szczeliny, które uniemożliwiłyby jazdę sankami. Nawet przeprawa piesza byłaby trudna na tej przestrzeni napół płynnej, napół zlodowaciałej. Przytem pole lodowe pokryte było wielką ilością kryształków różnych kształtów układających się w grupy stalaktytowe. Wobec tego przeprawa, nawet gdyby była możliwa, byłaby niezmiernie uciążliwa.

Porucznik i sierżant, pomimo tych trudności przebyli pole lodowe na przestrzeni jednej lub dwu mi w kierunku południowym, zabrało im to jednak niemało czasu. Powrócili więc z przeświadczeniem, że należało czekać na pomyślniejsze okoliczności.

Nadszedł listopad. Temperatura spadła zaledwie na kilka stopni. Gęsta mгла zaklaniała całą wyspę. Lamy nalik sie

swopiu. Cęsta mgła zasłaniała całą wyspę. Lampy palły się ustawicznie w pokojach, co groziło wyczerpaniem zapasu oleju i tak niezbyt wielkiego, gdyż morsy nie przyływały do ruchomej wyspy. O ileby stan atmosferyczny się nie zmienił, mieszkańcy byłiby wkrótce zmuszeni posługiwać się dla oświetlenia mieszkania tłuszczem zwierząt lub nawet żywicą z jodeł. Przytem tarcza słoneczna bladła coraz bardziej, dni stawały się coraz krótsze. Tak! była to zima ze swą mgłą, deszczem, śniegiem, tylko zima bez mrozu!

11 listopada w forcie Nadziei obchodzono uroczyste rocznicę urodzin małego Michałka Mac Nap. Mrs. Joliffe wystąpiła ze świątecznym obiadem. Dziecko chowało się dobrze. Oczy miało błękitne, włosy jasne, kręcone. Podobne było do ojca, mistrza cieśli, który był z tego niezmiernie dumny. Po deserze położono je na wadze. Pomimo jego miotania się i płaczu, zdołano dowiedzieć się, że ważyło trzydzieści cztery funty! Winszowano rodzicom wagi dziecka tak wspaniałej i wniesiono okrzyki na cześć Mrs. Mac Nap, jako karmicielki i matki! Niewiadomo dlaczego, kapral Joliffe uważał, że i jemu należała się część powinszowań! Zaczny kapral usypiał dziecko tak często, uspakajał i nosił tak gorliwie, że zdawało mu się zapewne, iż i on przyczynił się do powiększenia ciężaru gatunkowego dziecięcia.

Nazajutrz, 12 listopada, słońce nie ukazało się na horyzoncie. Długa noc polarna wchodziła w swoje prawa, zjawiając się na dziewięć dni wcześniej, niż w zeszłym roku na lądzie amerykańskim.

Brak słońca wszakże nie wpłynął na stan atmosferyczny. Termometr to spadał, to podnosił się. Wiatr zmieniał ustawicznie kierunek. Panująca w powietrzu wilgoć groziła mieszkańcom fortu chorobą skorbutu. Na szczęście, oprócz szczupłego zapasu cytryny i „lime-juice”, było poddostatkiem szczawiu i łyżczycy, które też z polecenia porucznika spożywano codziennie.

Wszelako należało myśleć poważnie o wyprawie na ląd stały, gdyż dostać się doń było można zaledwie za trzy miesiące. Otóż wyruszając późno, wyprawa mogła narazić się na to, że będzie zaskoczona ruszeniem kry. Dlatego było konieczną rzeczą wyruszyć w ostatnich dniach listopada – jeżeli wogóle wyruszyć miano.

O zamiarze wyjazdu nikt wątpić nie mógł. Ale, jeżeli wyprawa taka przy najpomyślniejszych okolicznościach była ciężką, cóż mówić o niej wobec chwiejnego stanu pogody?

13 listopada Jasper Hobson, Mrs. Paulina Barnett i sierżant Long naradzali się nad ustaleniem terminu wyjazdu. Sierżant nalegał, aby opuścić wyspę jak najprędzej.

– Musimy bowiem – mówił on – wziąć pod uwagę wszelkie opóźnienie, jakie zdarzyć się może na przestrzeni sześćsetmilowej. Powinniśmy zaś przed marcem dotrzeć do lądu, gdyż inaczej, możemy się znaleźć w gorszym jeszcze położeniu, niż na naszej wyspie.

– Ale czyż morze pokrywa dość jednostajna powłoka lodowa, abyśmy mogli się przeprawić? – spytała Mrs. Paulina

Barnett.

– Tak, – odparł sierżant Long – i powłoka ta staje się codziennie grubsza. Barometr zaczyna się podnosić. Jest to oznaka spadku temperatury. Otóż zdaje mi się iż, zanim przygotowania nasze ukończone zostaną – co zajmie nie mniej niż tydzień czasu – mróz ustali się na dobre.

– Być może! – rzekł porucznik, – tymczasem jednak zima zapowiada się źle i doprawdy wszystko zdaje się być przeciwko nam. Na tych morzach północnych dzieją się rzeczy osobliwe. Nieraz poławiacze wielorybów żeglowali na tych morzach zimą w tych samych miejscach, gdzie wśród lata nieraz uwięzieni byli w okowach lodowych. Bądź co bądź, przyznaję, że nie mamy czasu do stracenia. Żałuję tylko, że i my natrafiliśmy na jedną z tych niespodzianek.

– Doczekamy się jeszcze mrozu, – rzekła Mrs Paulina Barnett. – Tymczasem musimy się przygotować, aby skorzystać z pomyślnych okoliczności. Na kiedy mógłby pan naznaczyć ostatni termin wyjazdu, panie Jasper?

– Na koniec listopada, jako termin ostateczny, – rzekł porucznik, – gdyby jednak około 20 tego miesiąca przygotowania do podróży były ukończone i przejście przez pole lodowe było dostępne, uważałbym to za okoliczność bardzo szczęśliwą, i wyruszylibyśmy natychmiast.

– Dobrze, – odezwał się sierżant. – Nie będziemy więc traciłi ani minuty czasu.



– A więc pan wyjawi, panie Hobson, swym towarzyszom ukrywaną przed nimi tajemnicę?

– Tak, pani. Wyznać im muszę całą prawdę, skoro przyszedł czas działania.

– I kiedy to nastąpi?

– W tej chwili. Sierzancie, – dodał porucznik, zwracając się do podoficera, który przybrał natychmiast postawę wojskową, – zwołaj wszystkich do wielkiej sali.

Sierzant Long, uczyniwszy ruch wojskowy, oddalił się równym krokiem.

Mrs. Paulina Barnett i porucznik Hobson stali w milczeniu minut kilka.

Sierzant powrócił niebawem z doniesieniem, że jego rozkaz został spełniony.

Jasper Hobson i podróżniczka weszli do sali. Mężczyźni i kobiety, słowem wszyscy mieszkańcy faktorji, byli w niej obecni. Lampa oświetlała ich słabem swem światłem.

Jasper Hobson zbliżył się do nich i głosem poważnym przemówił:





– Przyjaciele moi, chcąc wam oszczędzić niepotrzebnego niepokoju, ukrywałem przed wami nieszczęście, jakie nas spotkało... Trzęsienie ziemi wywołało oderwanie się półwyspu Victoria od lądu, a wraz z nim i przylądka Bathurst. Fort Nadziei znajduje się obecnie na wyspie i to wyspie o podstawie lodowej, wyspie ruchomej...

W tej chwili Marbre, wysunawszy się na czoło swych towarzyszy, rzekł głosem pewnym:


– Wiedzieliśmy o tem, panie poruczniku.



## Rozdział XII

### *Przygotowania do podróży.*



 acni ci ludzie wiedzieli o nieszczęściu, jakie ich spotkało, a jednak udawali, że nie wiedzą o niczem, nie chcąc powiększać troski swego dowódcy!

Jasper Hobson, wruszony do łez, wyciągnął rękę do stojącego przed nim dzielnego żołnierza i uściśnął ją gorąco.

Tak, zacni ci żołnierze wiedzieli o wszystkim, Marbre bowiem domyślił się prawdy! Łapka napełniona wodą słoną, nieobecność oddziału, który miał przybyć z fortu Reliance, codzienne wycieczki porucznika nad wybrzeże dla badania poziomu morza, obecność zwierząt w porze, w jakiej oddalały się zwykle do cieplejszych okolic, zmiana zaszła w głównych stronach sklepienia niebieskiego, wszystko to potwierdzało domysły myśliwego. Nie mógł sobie wytłumaczyć tylko jednej rzeczy, to jest przybycia Kalumah, przypisywał je jednak, – co zresztą było prawdą – przypadkowi, na skutek którego młoda Eskimoska została wyrzucona falą podczas burzy na wybrzeże wyspy.

Marbre podzielił się swoim spostrzeżeniem z cieślą Mac Nap i kowalem Raë. Po naradzie postanowili wyznać prawdę nie tylko reszcie żołnierzy, lecz również i ich małżonkom. Poczem wszyscy zgodzili się na jedno, to jest nie zdradzić się przed dowódcą i wypełniać nadal jego rozkazy.

– Jesteście zacnymi ludźmi, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett, nie mniej wruszona od porucznika, gdy Marbre skończył swe opowiadanie, – zacnymi i dzielnymi żołnierzami!

– I pan porucznik może na nas liczyć, – dodał Mac Nap. – Spełnił on swój obowiązek, my zaś spełnimy to, co do nas należy.

– Tak, drodzy towarzysze, – odezwał się Jasper Hobson, – mam nadzieję, że Bóg nas nie opuści, my zaś ze swej strony uczynimy wszystko, co w naszej jest mocy!

Po tych słowach Jasper Hobson opowiedział im wszystko, co zaszło od chwili, gdy półwysep oderwał się od stałego lądu, jak na wiosnę wyspę uniósł prąd nieznany o dwieście mil od wybrzeża lądu, jak huragan zbliżył ją do ziemi a następnie oddalił w dniu 31 sierpnia, jak odważna Kalumah naraziła swe życie, aby nieść pomoc swym przyjaciółom. Poczem opowiedział im, jakie zmiany zaszły na wyspie, której podstawa lodowa powoli tajała, jak się obawiał, ażeby wyspa nie popłynęła w stronę oceanu Spokojnego, lub też nie została uniesiona prądem Kamczatki. Wreszcie dodał, że wyspa zatrzymała się w swym biegu 27 września.

Poczem, przyniósłszy mapę, wskazał im na niej obecne położenie wyspy, znajdującej się o przeszło sześćset mil od ziemi.

Wtajemniczywszy ich w te szczegóły, wyznał całą grozę obecnego położenia, mówiąc, że wraz z ruszeniem kry wyspa niechybnie pograży się w morzu, więc nie pozostaje im nic innego, jak przeprowić się przez pole lodowe, przez które dostać się będą mogli na ląd stały.

– Sześćsetmłowa droga nas czeka, przyjaciele, i to podczas mroku i mrozu. Ciężkie to zadanie, ale rozumiecie dobrze, że uchylić się przed niem nie będziemy mogli.

– Skoro dasz, panie poruczniku, hasło wyjazdu, podążymy za tobą.

Tak więc wszystko się wyjaśniło i od tej pory, przygotowania do niebezpiecznej wyprawy szły szybko. Sierżant Long wziął ster pracy. Jasper Hobson zaś, Mrs. Paulina Barnett i kilku żołnierzy, odwiedzali pole lodowe, badając jego wytrzymałość. Kalumah towarzyszyła im niejednokrotnie, służąc im swem doświadczeniem. Termin wyjazdu był wyznaczony na dzień 20 listopada, nie było więc czasu do stracenia.

Jak to był przewidział Jasper Hobson, wiatr zmienił kierunek, przez co temperatura spadła; termometr Fahrenheita wskazywał dwadzieścia cztery stopnie ( $-4^{\circ},44$  Cels.). Śnieg zaczął padać obficie, pokrywając ziemię złodowaciałą warstwą. Szczelina w pobliżu przyładka Michel zapelniała się stopniową krą i śniegiem, jako, że woda w niej nie podlegała zbyt silnemu falowaniu. Stan morza jednak nie był zadowalający.

W istocie, wiatr dał bez przerwy i to dość gwałtownie. Falowanie wód stawiało opór jednolitemu zamarzaniu morza. Szerokie kałuże wodne dzieliły przestrzeń lodową, uniemożliwiając przeprawę.

– Zdaje się, że mróz się ustala, – rzekła Mrs. Paulina Barnett do porucznika, gdy 15 listopada zwiedzali pole lodowe. – Temperatura spada miemu więc nadzieje że mróz zetnie

temperatura spada, możemy więc powiedzieć, że może zanieść powierzchnię płynnej przestrzeni.

– I ja tak sędzę, – odpowiedział Jasper Hobson, – niestety jednak sposób tego zamarzania nie odpowiada naszym zamiarom. Rozmiar kry jest mały, jej krańce, nierówne, będą stanowiły znaczną zaporę dla szybkiej jazdy sankami.

– Ale, jeżeli się nie mylę, – odparła podróżniczka, – kilka dni a nawet godzin obfitego śniegu wystarczy, aby zrównać całe pole lodowe.

– Zapewne, proszę pani, lecz o ile śnieg padać będzie, temperatura nie spadnie, przeciwnie, wzniesie się, a wtedy pole lodowe rozdzieli się znowu. Jest to dylemat obustronnie niepomysłny dla nas.

– Zaiste, panie Hobson, bylibyśmy osobliwą igraszką losu, gdybyśmy tu, w tych stronach polarnych, mieli się doczekać łagodnej zimy stref umiarkowanych...

– Bywało tak, proszę pani, bywało. Niech pani sobie przypomni, jak niezwykle ostrą była zeszła zima, którą spędziłyśmy na łódzie amerykańskim. Otóż zauważono, iż rzadkim jest wypadkiem, żeby dwie zimy podobne następowały po sobie, o czym zaświadczyć mogą poławiacze wielorybów. Zapewne, byłaby to osobliwa igraszka losu! Ostra zima, gdy pragnęliśmy umiarkowanej, zima umiarkowana, gdy wdychamy do ostrej! Zaiste, szczęście nam nie sprzyja! A znów gdy pomyślę o tej sześciusetmilowej przeprawie z kobietami, z dzieckiem!...

I Jasper Hobson, wyciągnąwszy rękę, wskazywał na przestrzeń nieskończoną, rozwijającą się przed ich wzrokiem, nakształt całuna białego rozstrzępionego na tysiączne kawałki. Smutny to był widok tego morza napoły zamarzniętego i pękającego ze złowrogim odgłosem! A nad tem wszystkim unosił się księżyc napoły zakryty gęstą mgłą, rzucając swe światło bladawe! Półcień wraz z osobliwem załamywaniem się światła powiększał rozmiar przedmiotów! Średniej objętości góry lodowe przybierały postać apokaliptycznych potworów. Ptaki, nawet najmniejsze, przelatujące z głośnym łopotem, wydawały się większe od kondorów. Wśród gór lodowych zarysowywały się w rozmaitych kierunkach olbrzymie mroczne tunele, przed którymi zawahałby się najodważniejszy człowiek. A od czasu do czasu chwiały się góry lodowe, topniejące u podstawy, dając znać o sobie przeciągłym jękiem, którego echo przenikało powietrze. Krajobraz zmieniał się ustawicznie, przejmując grozą tych, którzy mieli powierzyć swe życie tej przestrzeni lodowej.

Pomimo całej odwagi, pomimo wielkiej mocy duchowej, podróżniczkę ogarniał mimowolny lęk, dusza jej lodowaciała wraz z całą naturą. Mimowoli zamykała oczy, aby nie widzieć, uszy, aby nie słyszeć.

A gdy przez chwilę księżyc zanurzył się w gęstej mgle i krajobraz przybierał postać jeszcze bardziej złowrogą, Mrs. Paulina Barnett wyobrażała sobie tę karawanę złożoną z mężczyzn i kobiet, sunącą poprzez te pustynie lodowe wśród

zawiei śnieżnych, lawin i podczas mroku nocy polarnej!

Podróżniczka jednak opanowała lęk i spojrzała dookoła siebie, chcąc przyzwyczać wzrok do tych groźnych widoków. Lecz nagle okrzyk przerażenia wyrwał się z jej piersi, ręka zawisła na ramieniu porucznika, a drugą wskazywała mu olbrzymią, bezkształtną masę poruszającą się w półcieniu, o sto kroków od nich.

Był to potwór ośniewającej białości, którego wzrost przewyższał pięćdziesiąt stóp. Kroczył zwolna, przeskakując z lodowca na lodowiec, potężnymi skokami, wymachując olbrzymimi łapami, któreby mogły objąć dziesięć dębów w jednym uścisku. Zdawał się on również szukać drogi poprzez pole lodowe, przygotowując się do ucieczki. Lód ugiął się pod jego ciężarem i z trudnością mógł on utrzymać równowagę.

Potwór przebył w ten sposób ćwierć mili. Poczem, nie znalazłszy widocznie dalszej drogi, zawrócił, kierując się ku stronie wybrzeża, na którym stali porucznik i Mrs. Paulina Barnett.

W tej chwili Jasper Hobson schwycił za strzelbę, gotując się do strzału.

Lecz wnet opuścił ją, mówiąc szeptem:







– Wszak to zwykły niedźwiedź, którego rozmiary powiększyło tylko złudzenie optyczne!

Mrs. Paulina Barnett odetchnęła, po chwili zaś zawołała:

– Wszak to mój niedźwiedź bohater! Prawdopodobnie został się sam na tej wyspie! Co jednak zamierza uczynić tutaj?

– Próbuje, czy nie uda mu się uciec z tej przeklętej wyspy, – rzekł Jasper Hobson, potrząsając głową. – Uciec nie może, co wymownie świadczy, że i dla nas droga jest zamknięta!

Jasper Hobson nie mylił się. Po nieudanej próbie zwierzę powracało na wybrzeże. Poruszając głową i pomrukując przeszło ono o dwadzieścia kroków od porucznika i jego towarzyszkę. Czy nie widział ich, czy lekceważył ich obecność, dość, że ciężkim krokiem skierował się ku przylądkowi Michel i znikł wkrótce za pagórkiem.

Tego wieczora porucznik Hobson i podróżniczka powrócili do fortu w milczeniu, ze smutkiem w sercu. Pomimo niepomysłnych tych wróżb przygotowania do drogi nie ustawały. Zajęcia nie brakowało. Należało wszystko przewidzieć, gdyż musiano wziąć pod uwagę nie tylko trudy samej podróży, lecz również i niespodzianki, które zgotować mogła przyroda

polarna, broniąca się zuchwale przed ciekawością ludzką.

Szczególniejszem staraniem otoczono psy, chcąc je przygotować należycie do trudu, który je czekał. W tym celu wypuszczono je na swobodę, do okolic fortu, aby odzyskały swą sprawność po zbyt długim wypoczynku. Zwierzęta były dobrze utrzymane, więc powinnyby, o ileby ich nie nadużywano, wywiązać się dobrze z włożonego na nie obowiązku.

Sanki obejrzano starannie, gdyż chropowata powierzchnia pola lodowego narazi je niechybnie na silne wstrząśnienia. To też wzmocniono płozy i całe obramowanie. Prace tę wykonał cieśla Mac Nap wraz z pomocnikami.



Oprócz tego zbudowano dwoje ciężarowych sań, wielkich rozmiarów, jedne dla przewozu zapasów, drugie dla przewozu futer. Sanki te ciągnąć miały oswojone renifery, wdrożone do tej pracy. Futra były obciążającym balastem, ale Jasper Hobson, dbając o interesy Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej, chciał ocalić ten dobytek, aczkolwiek był zdecydowany zastawić go na

drodze, o ileby utrudniał podróż.

Co do zapasów żywności, lekceważyć ich nie było można. Na upolowaną zdobycz trudno było liczyć, gdyż zwierzyna, poczuwszy możliwość ucieczki, wyprzedzi niezawodnie podróżnych, dążąc na południe. To też konserwy mięsne, pasztety z zajęcy, ryby suszone, suchary, szczaw i łyżczyca, wódka, alkohol i t. p. produkty skrętnie zostały ułożone na ciężarowych sankach. Ciepłych ubrań był również zapas obfity. Zresztą, w razie potrzeby, cenne futra były w pogotowiu.

Co zaś do Tomasza Black, żyjącego wciąż odludnie i nie biorącego wcale udziału w troskach i pracy mieszkańców fortu, zmienił on swe postępowanie dopiero z chwilą, gdy termin wyjazdu był wyznaczony. Ale i wtedy obchodziły go tylko sanki, mające zabrać jego osobę, narzędzia i notatki. Nie można było zeń wydobyć ani słowa. Zapomniał o wszystkim, nawet o tem, że był uczonym, gdyż od czasu, jak zawiodło go zaćmienie i badanie protuberancji księżycowych, nie zwracał wcale uwagi na poszczególne zjawiska zorzy północnej, paraselenu i t. p.

Przygotowania do podróży, dokonywane z pilnością i zapalem, dobiegły końca w dniu 18 listopada. Mieszkańcy fortu byli gotowi do odjazdu.

Na nieszczęście o polu lodowem powiedzieć tego nie było można. Pomimo że temperatura spadła, powłoka lodowa morza nie ustaliła się jeszcze. Śnieg, zresztą bardzo drobny, padał nierównomiernie. Jasper Hobson, Marbre i Sabine odwiedzali codziennie wybrzeże wyspy od przylądka Michel do dawnej

zatoki Morsów. Zapuscili się byli nawet na pole lodowe w promieniu blisko półtoramilowym, lecz powracali zniechęceni, gdyż pole lodowe poprzerzynane było zewsząd szczelinami, wgłębieniami, które uniemożliwiały nie tylko jazdę sankami, lecz również i pieszą przeprawę. Porucznik Hobson i jego dwaj towarzysze wracali z tych krótkich wycieczek zmęczeni niepomernie, a niejednokrotnie, idąc po ruchomych lodowcach, byli w obawie, że nie będą mogli powrócić na wyspę.

Zdawało się doprawdy, że natura zawzięła się na nieszczęśliwych mieszkańców fortu. 18 i 19 listopada temperatura się podniosła, barometr zaś spadł. Ta zmiana atmosferyczna była groźną wróżbą. Równocześnie niebo pokrywało się oparami. Termometr Fahrenheita doszedł do trzydziestu czterech stopni (+1°,11 Cels.). Zamiast śniegu zaczął padać deszcz rzęsimy. Pod wpływem tego względnie ciepłego deszczu, warstwa śnieżna topniała miejscami. Rozdzierający był widok tego upustu wód niebieskich na pole lodowe! Zdawało się, że nastąpiła pora pęknięcia lodów i odwilży. Porucznik Hobson, który pomimo strasznej niepogody, odwiedzał codziennie południową stronę wyspy, stracił był zupełnie nadzieję.

20 listopada nadeszła burza, równająca się swą gwałtownością poprzedniej. Niepodobieństwem było wyrzecz za próg domu, mieszkańcy fortu byli więc znów uwięzieni.



## Rozdział XIII

### *Poprzez pole lodowe.*



wudziestego drugiego listopada nastąpiła zmiana pogody. Burza nagle ucichła. Wiatr obrócił się na północ. Temperatura spadła na kilka stopni. Niektóre gatunki ptaków odleciały. Może nadejdzie wreszcie ta upragniona zima ze swym ostrym mrozem, tak zwykłym o tej porze roku w stronach polarnych. Mieszkańcy fortu żalowali zaiste, że termometr Fahrenheita, jak to miało miejsce w zeszłym roku, nie wskazywał siedemdziesięciu stopni poniżej zera ( $-55^{\circ}$  C.).

Jasper Hobson postanowił, nie czekając dłużej, opuścić wyspę.

O pół do dwunastej z rana zaprzężono psy do sanek, renifery do wozów ciężarowych, poczem skierowano się ku przyładkowi Michel, skąd właściwie wyprawa miała wyruszyć. Powietrze było spokojne, niebo szarawe, tylko wspaniała zorza północna widniała na skraju horyzontu.

Karawana posunęła się najpierw wzdłuż lesistego pagórka na wschód od jeziora Barnett przy zakręcie wszycy mimowoli

wszedł na jezioro Bathurst, przy zamknięciu wszyscy milkowali obejrzeni się rzucając ostatnie spojrzenia na domostwa, które opuszczali na zawsze. W świetle zorzy północnej rysował się mglisto przylądek Bathurst i białe zarysy zagrody. A nad wszystkim unosił się dym dogasającego ogniska, jak gdyby ostatnie tchnienie wyłożonego wysiłku ludzkiego, który poszedł na marne!

– Żegnaj, żegnaj siedzibo nasza! – rzekła Mrs. Paulina Barnett, wyciągając do niej rękę.

Poczem wszyscy w milczeniu ruszyli ze smutkiem w sercach w dalszą drogę.

O pierwszej podróżni dotarli do przylądka Michel bez wielkich trudności, warstwa lodowa bowiem na wyspie była dość jednolita. Niestety! inny był wygląd pola lodowego. Widniały na niem w głębi zatory, lodowe góry, wśród których z jakimże trudem znaleźć było można przejście!

Ku wieczorowi przebyto już kilka mil na tej zlodowaciałej przestrzeni i należało pomyśleć o spoczynku. Podróżni wydrążyli naprędce, na modłę Eskimosów i Indjan, schroniska „snow-houses” w masach lodowych, poczem, posiliwszy się mięsem suszonym, wsunęli się do otworów cieplejszych, niżby się to zdawać mogło.

Przed udaniem się na spoczynek jednak Mrs. Paulina Barnett spytała się porucznika, czy nie mógłby określić długości przebytej drogi?

– Przynajmniej że nie przebyliśmy więcej niż dziesięć mil –

– i rzypuszczali, że nie przebywamy więcej nad dzieśkę inn, –  
odpowiedział Jasper Hobson.

– Dziesięć na sześćset! – zawołała podróżniczka. – Tym sposobem podróż nasza trwać będzie trzy miesiące!

– Może nawet dłużej, proszę pani! – rzekł Jasper Hobson, – pospieszać wszakże nie możemy. Nie jest to śnieżna równina, którą zdążaliśmy w przeszłym roku, do przyładka Bathurst, lecz pole lodowe, uginające się pod ciężarem swych zwałów, zniekształcone, trudne do przebycia! Niejedna przeszkoda nas czeka i nie jestem pewny, czy będziemy mogli ją przewyciężyć! W każdym razie najpoważniejszą rzeczą nie jest dotrzeć szybko, lecz w dobrym zdrowiu i będę bardzo szczęśliwy, jeżeli nie zabraknie nikogo z nas po przybyciu do fortu Reliance. Obyśmy mogli tylko stanąć na ziemi za trzy miesiące! Uważałbym to za szczęśliwe zrządzenie niebios!

Noc przeszła spokojnie, Jasper Hobson wszakże zasnąć nie mógł. Wsłuchiwał się on w złowróżbne odgłosy, świadczące, że pole lodowe nie jest ściśle zwarte, a tem samem, że głębokie szczeliny muszą je dzielić, uniemożliwiając połączenie ze stałym lądem. Zresztą przed odjazdem porucznik zwrócił uwagę na obecność zwierząt w okolicy. Znaczyło to, że jakaś nieprzewyciężona przeszkoda zatrzymywała je w obrębie wyspy. Jasper Hobson jednak nie mógł zwlekać z odjazdem. Musiał wyczerpać wszystkie środki, żeby się dostać do stałego lądu przed odwilżą, nie zważając na to, czy dosięgnie celu, lub zmuszony będzie powrócić. Jasper Hobson, opuszczając faktorie, spełnił tylko swój obowiązek.

Nazajutrz, 23 listopada podróżni nie mogli przebyć nawet dziesięciu mil z powodu napotkanych trudności. Pole lądowe było poszarpane niezwykle, a w niektórych miejscach potworzyły się nieprzebyte zatory nagromadzone naporem kry.

Oczywiście, że karawana złożona z tyłu zaprzęgów nie mogła przejść przez te zwarte masy lodu, ani torować sobie drogi narzędziem. Niektóre z tych zatorów podobne były do ruin zburzonego miasta. Niektóre zaś z nich wznosiły się na trzysta do czterystu stóp nad poziomem pola dźwigając na swym szczycie kłęby lodu o równowadze niestalej, tak że przy pierwszym lepszym wstrząśnieniu mogły stoczyć się na podobieństwo lawin.



To też okrażając te ogromy złodowaciałe, należało dawać wielkie baczenie. Nie można było ani podnieść głosu, ani pobudzać zwierząt trzaskaniem z bata. Najmniejsza bowiem nieostrożność mogła spowodować nieszczęście.

Nic więc dziwnego, że wobec tego rodzaju przeszkód,



zmuszających ciągle do zbaczenia od wytkniętego kierunku, podróżni posuwali się zwolna. Dość powiedzieć, że aby uczynić jedną milę na wschód, musieli drogą dziesięćmilionową okrążyć zator lodowy. Wszelako dotąd lód pod ich stopami był pewny.

Wkrótce jednak nieprzewyciężone przeszkody miały zagrozić im drogę.

24-go, ominąwszy szczęśliwie zwał lodowy, podróżni dotarli do miejsca, gdzie wprawdzie powłoka lodowa była równiejsza, zapewne dlatego, że bardziej oddalona od nurtujących prądów morskich, lecz poprzecinana niezamarzniętymi szczelinami. Temperatura była względnie łagodna, termometr bowiem wskazywał trzydzieści cztery stopnie Fahrenheita ( +1°, 11 Cels.). Woda słona tymczasem zamarza dopiero przy kilku stopniach mrozu. Zwarte części lodowe przyplęły z miejscowości położonych bliżej bieguna i utrzymywały się w stanie stałym dzięki swej własnej temperaturze; ale przestrzeń południowa morza Polarnego nie była jednolicie zamarznięta, a, co więcej, padał ciepły deszcz wpływający ujemnie na spoistość powłoki lodowej.

Owego to dnia podróżni napotkali na swej drodze szczelinę pełną wody, szerokości nie większej nad sto stóp, lecz ciągnącej się na mil kilka.

Podróżni szli dwie godziny wzdłuż zachodniego krańca szczeliny, chcąc ją okrążyć i podążyć znów na wschód; końca jej jednak dojrzeć nie mogli. Zatrzymano się więc, aby zbadać położenie.

Jasper Hobson w towarzystwie sierżanta Long uszedł jeszcze ćwierć mili, śledząc bacznie długość szczeliny i przeklinając łagodną zimę, która dotykała go tak boleśnie.



– A jednak przejść trzeba, – odezwał się sierżant Long, – gdyż zatrzymać się w tym miejscu nie możemy.

– Tak, przejść trzeba, – odpowiedział porucznik Hobson, – gdyż na północ, czy na południe, musimy okrążyć szczelinę. Ale czy minawszy ją nie natrafimy na inną, która znów okrążyć będzie trzeba, i tak ciągnąć się może bez końca dopóki trwa ta oplakana pogoda!

– To też musimy się o tem przekonać, panie poruczniku, – rzekł sierżant.

– Tak, trzeba, sierżancie Long, – odparł głosem stanowczym porucznik, – gdyż inaczej moglibyśmy ująć sześćset mil drogi, okrążając szczeliny i zawracając, a przebyć zaledwie połowę odległości, dzielącej nas od celu. Tak trzeba iść dalej, przekonać

się o stanie pola lodowego, co też zamierzam uczynić!

Poczem, nie wymówiwszy ani słowa więcej, Jasper Hobson rozebrał się szybko, wskoczył do wody i ze zręcznością sprawnego pływacza, po kilku rzutach dostał się do przeciwległego brzegu, gdzie niebawem zniknął w cieniu gór lodowych.

Po kilkugodzinnej wycieczce Jasper Hobson powrócił zmęczony do obozu. Oznajmił on Mrs. Paulinie Barnett i sierżantowi Long, że pole lodowe było niedostępne dla podróży.

– Być może, że człowiek sam jeden bez żadnego ładunku przejśćby mógł, karawana zaś nigdy! Szczeliny mnożą się w takiej ilości ku południu, że nie sanki, lecz okręt byłby nam potrzebny!

– A zatem, jeśli dla jednego człowieka droga ta jest dostępna, – rzekł sierżant Long, – czy nie powinien jeden z nas podążyć nią, aby dać znać o naszym położeniu?

– Właśnie zamierzam to uczynić, – rzekł Jasper Hobson.

– Pan, panie Jasper?

– Pan, panie poruczniku?

Dwa te okrzyki, równocześnie wydane, przekonały porucznika, o ile jego postanowienie było nieoczekiwane i niewczesne! On, dowódca oddziału, miałby opuścić tych, którzy mu zawierzyli, aczkolwiek w ich interesie i z narażeniem swego życia! Nie, było to niepodobieństwem. To też Jasper

Hobson nie nalegał.

– Rozumiem was, przyjaciele, i nie opuszczę was. Lecz również żaden z was narażać się nie może! Zginałby, ktoby się odważył na ten krok śmiały, a po nadejściu odwilży otchłań oceanu byłaby mu grobem. Zresztą, gdyby nawet dotarł do Nowego-Archangelska, jakiejże pomocy dostarczyłby nam był w stanie! Przysłałby nam okręt? Lecz okręt ten dopłynąłby mógł do nas po ruszeniu kry, a wtedy wyspa nasza, uniesiona prądem, byłaby już daleko!

– Oczywiście, panie poruczniku, – rzekł sierżant Long, – Zostańmy wszyscy razem, a jeżeli jaki okręt ma nas ocalić, to będzie nim nie inny, tylko okręt Mac Nap’a, na który przynajmniej nie będziemy potrzebowali czekać!

Mrs. Paulina Barnett słuchała tej rozmowy w milczeniu. Wiedziała dobrze, że skoro pole lodowe jest dla nich zamknięte, jedynym ratunkiem, jaki im pozostawał, był okręt Mac Nap’a.

– A zatem, panie Jasper? – spytała, – co pan zamierza?

– Powrócić na wyspę.

– Wracajmy więc i niech Bóg nas strzeże!

Wiadomość o powrocie na wyspę przyjęto w pierwszej chwili z niechęcią. Biedni ludzie byli tak pewni tej podróży, że rozczarowanie jakie ich spotkało, graniczyło z rozpaczą. Ale zapanowali nad swym wrażeniem i poddali się konieczności.

Jasper Hobson zdał im wtedy sprawę z wyniku swej wycieczki. Powiedział im, że pole lodowe jest nie do przebycia

wycieczki. I oświadczając, że pole lodowe jest nie do przebycia wobec coraz większej liczby szczelin, tworzących się w kierunku wschodnim i że zdążając tą drogą w dalszym ciągu, mogli przeciąć sobie odwrotną drogę do wyspy, ich jedynej ucieczki. Gdyby odwilż zaskoczyła ich na tem polu lodowym byłiby zgubieni.

– Nie ukrywam przed wami niebezpieczeństwa, – dodał wreszcie, – lecz nie powiększam go. Wiem, że mówię do ludzi dzielnych, którzy wiedzą, że nie cofam się nigdy. Powtarzam wam, przyjaciele: stoimy wobec niepodobieństwa.

Istotnie żołnierze porucznika znali go dobrze i dlatego ufali mu w zupełności.

Postanowiono więc powrócić nazajutrz do fortu Nadziei. Pogoda była okropna. Potoki zalewały powierzchnię pola lodowego. Deszcz ulewny padał bez przerwy. Ciemności panowały zupełne. Jakże ciężką drogę przebyć musieli nieszczęśliwi podróżni wśród tego mrocznego labiryntu gór lodowych.

Dopiero po czterech dobach dotarli oni do wyspy. Kilka sanek wraz z zaprzęgami zginęło w szczelinach. Na szczęście obyło się bez ofiar w ludziach, ale na jakież trudy i niebezpieczeństwa byli narażeni nieszczęśliwi mieszkańcy fortu Nadziei!



## Rozdział XIV

### *Miesiące zimowe.*



Porucznik Hobson i jego towarzysze powrócili do fortu Nadziei 28 listopada. Od tej chwili liczyć mogli tylko na budujący się statek, lecz dopiero wtedy, gdy morze pozbędzie się swej lodowej powłoki, to jest za sześć miesięcy.

Innemi słowy mieszkańcy fortu mieli przeżyć zimę na wyspie. Wyładowano więc sanki, zapasy żywności ułożono w spiżarni; broń, narzędzia, odzież i futra znalazły się znowu w składach. Psy powędrowały do „dog-house”, renifery zaś do obory.

Tomasz Black, mocno rozgniewany, przeniósł swoje narzędzia, książki, kajety do pokoju, w którym zamknął się, przeklinając swą dolę.

Mieszkańcy fortu powrócili więc do zwykłego trybu życia, nie zakłóconego narazie żadnym znaczniejszym wypadkiem. Naprawiano odzież, przewietrzano cenne futra, badano przebieg pogody, spoistość pola lodowego, wreszcie zajmowano się głośnym czytaniem i oddawano się zwykłemu rozrywkom. Mrs.

Paulina Barnett była duszą tego małego świątka. Potrafiła ona uspokajać chwilowe sprzeczki żołnierzy, którzy pod wpływem niepewnego swego położenia stracili byli pogodę umysłu, przemawiając do nich z tą siłą moralną, jaka zapewniała jej przewagę nad otoczeniem.

Kalumah przywiązywała się do podróźniczki coraz bardziej. Mrs. Paulina Barnett uczyła ją czytać, pisać, mówić poprawnie po angielsku, a młoda uczennica, chciwa wiedzy, inteligentna zaś z natury, korzystała szybko z nauki. Zresztą nauczycieli nie brakowało. Każdy bowiem z żołnierzy, wychowany w posiadłościach angielskich lub w samej Anglii, umiał czytać, pisać i rachować.

Zabrano się również gorliwie do budowy statku, który wykończono przed końcem miesiąca. Przy świetle pochodni pracowali Mac Nap i jego pomocnicy nad kadłubem statku, podczas gdy część załogi przygotowywała żagle i liny w składach faktorji. Zima pomimo że trwała już parę miesięcy, ustalić się nie mogła. Mróz, niekiedy dotkliwy, nie trwał długo, gdyż wiatr zachodni nie zmieniał kierunku.

Cały grudzień upłynął w tych warunkach: śnieg i deszcz padały naprzemian, temperatura przeskakiwała od dwudziestu sześciu do trzydziestu czterech stopni Fahrenheita ( $-3^{\circ},33$  Cels. i  $+1^{\circ},11$  Cels.). Paliwa używano umiarkowanie, jakkolwiek drwalnia była obficie zaopatrzona. Gorzej było ze światłem. Oliwy była niewielka ilość, tak, że musiano ograniczyć się do kilkugodzinnego oświetlenia. Próbowano zużytkować w tym

względnie tłuszcz reniferowy, lecz wydawał on woń nie do zniesienia, wolano więc przebywać w ciemności, pomimo, że wszelką pracę przerywać musiano i że ta przymusowa beczynność wydawała się nieskończenie długa.

W tym czasie podczas zmiany księżyca zjawily się na niebie kilkakrotnie zorza północna i kilka paraselenów. Tomasz Black miał sposobność badać te zjawiska w całej pełni, lecz astronom nie opuszczał swego pokoju, zachowując się jak obłąkany.

30 grudnia, podczas pełni księżyca zauważono, że wzdłuż wschodniego horyzontu wyspy ciągnie się długa linja gór lodowych. Były to zwały spiętrzonych lodowców, dochodzące do wysokości od trzystu do czterystu stóp. Olbrzymia ta zaporą obejmowała dwie trzecie obwodu wyspy i należało się obawiać, że otoczy ją cała.

Z początkiem nowego roku 1861 niebo wyjaśniło się zupełnie, temperatura zaś spadła do ośmiu stopni Fahrenheita ( $-13^{\circ},33$  Cels.). Pierwszy to raz podczas tej osobliwej zimy temperatura obniżyła się tak znacznie, aczkolwiek względnie mało, wzięwszy pod uwagę wysokość równoleżnika, na jakim znajdowała się wyspa, Jasper Hobson bowiem sprawdził przy pomocy obliczeń położenia gwiazd, że wyspa stoi na miejscu.

W tym to czasie, pomimo całej oszczędności zapas palnego tłuszczu był na wyczerpaniu, słońce zaś miało ukazać się dopiero w pierwszych dniach lutego. Mieszkańcy fortu byliby skazani na przestawanie w ciągłym mroku, gdyby nie odkrycie młodej Eskimoski.



3 stycznia, skierowawszy się ku podnóżu przylądka Bathurst dla zbadania stanu pola lodowego, zauważyła ona, że w północnej części wyspy pole lodowe przedstawiało bardziej jednolitą powłokę nie poprzerzynaną jak dawniej szczelinami. Pochodziło to prawdopodobnie stąd, że zwał lodowy otaczający pode lodowe wywierał na nią większe ciśnienie.

Młoda Eskimoska zauważyła również, że na tej jednolitej powierzchni znajdują się wyraźnie wykrojone otwory, o których wiedziała, iż są dziełem fok. Zwierzęta te, uwięzione pod skorupą lodową, utrzymują te otwory, aby, wydostawszy się z nich, podążyć na wybrzeże, dla wyszukania mchu pod śniegiem.

Kalumah wiedziała także, że niedźwiedzie podczas zimy, przyczaiwszy się przy otworze, czekają na wynurzenie się z wody fok, poczem chwytają je łapami, duszą i unoszą z sobą. Eskimosi zaś, nie mniej cierpliwi od niedźwiedzi, zarzucają im pętlę na szyję bez wielkiej trudności.

Tego samego dokonać mogli tak sprawni myśliwi, jak Marbre i Sabine.

Kalumah nie omieszkała zawiadomić o swem odkryciu Jasper Hobson'a, który natychmiast posłał po myśliwych.

Zanim jednak młoda Eskimoska skończyła opowiadać, w jaki sposób polawiają jej ziomkowie o tej porze foki, już Sabine miał gotową pętlę.

Wtedy porucznik Hobson, Mrs. Paulina Barnett, myśliwi,

Katman i dwu czy trzech żołnierzy udali się do przylądka Bathurst. Mężczyźni pełzając dotarli do otworów, uzbrojeni, każdy w jedną pętlę.



Czekali na zjawienie się foki przeszło godzinę. Wreszcie w jednym z otworów – przy którym był Marbre – ukazała się głowa uzbrojona w dwa długie kły. Była to głowa morsa. Marbre zarzucił pętlę zrecznie, natychmiast ścisnął ją mocno i przy pomocy nadbiegłych towarzyszy wyciągnął zwierzę z wody, poczem zabił kilku uderzeniami siekiery.

Po tej pierwszej próbie tak szczęśliwie dokonanej nastąpiły ponowne połowy zakończone również pomyślnie. Cel więc był osiągnięty. Morsy dostarczyły potrzebnego zapasu oliwy – wprawdzie nie roślinnej, – lecz zdatnej do rozświetlenia mroku, w którym mieli być pogrążeni niebawem nieszczęśliwi mieszkańcy fortu.

Tymczasem temperatura nie obniżała się wcale. Zima była wciąż łagodna, a zwały lodowe chroniły faktorję od wiatrów

połnocnych i zachodnich. Na łądzie warunki te byłyby niezwykle sprzyjające.

Lecz w okolicznościach, w jakich znajdowali się mieszkańcy fortu, łagodna zima była dla nich nieszczęściem. Pole lodowe, otaczające wyspę, nie było dostępne dla żadnej przeprawy, czego dowodem oczywistym była obecność reniferów i zwierząt o cennych futrach, które oswoiły się do tego stopnia, że zdawały się być stałymi gośćmi fortu.

Z polecenia Jasper Hobson'a nie polowano na te zwierzęta, wyjąwszy reniferów, które dostarczały świeżego mięsiva i zapasu suszonego mięsa. Zato kuny, gronostaje, ostrowidze, bobry, lisy wkraczały swobodnie do zagrody, zadziwiając swą puszystą zimową szatą.

Oczekiwano więc końca zimy nie bez troski wśród dni wlokących się bezbarwnie, pomimo że Mrs. Paulina Barnett starała się urozmaicać je, o ile to było możliwe.

Jeden tylko wypadek w ciągu stycznia odbił się smutnym echem w sercach mieszkańców fortu. 7 stycznia dziecko cieśli Mac Nap'a dostało silnej gorączki połączonej z silnym bólem głowy i pragnieniem. Rozpacz rodziców i całej załogi była bezgraniczna! Nie wiadano, jak zapobiec chorobie, jedna tylko Madge nie straciła głowy, zalecając ziółka i kataplazmy. Kalumah nie opuszczała dziecińy ani na chwilę.

Wreszcie na trzeci dzień choroba objawiła się w całej pełni. Czerwone plamy pokryły ciało maleństwa, świadcząc o rozwijającej się szkarlatynie.

Rzadką jest rzeczą, aby roczne dzieci chorowały na szkarlatynę, ale zdarza się to niekiedy. W aptece fortu niestety nie było potrzebnych lekarstw, Madge jednak przypomniła sobie o działaniu skutecznem belladony w tych razach, dawała więc codziennie po parę kropel biednemu dziecku, pilnując, aby się nie zaziębiło.

Wkrótce wysypka ukazała się na języku, wargach, nawet na oczach. Po dwu dniach z czerwonej stała się siwą, wreszcie barwy białej, a wtedy zaczęła się łuszczyć.

Był to okres najniebezpieczniejszy. Nie szczędzono jednak starań małemu pacjentowi, to też około 20 stycznia nastąpiło polepszenie a wraz z niem możność ocalenia dzieciny.

Radość wielka zapanowała w faktorji. Dziecię to było dziecięciem fortu, dziecięciem całej gromadki, dziecięciem pułku! Wszak urodziło się wśród tych dzielnych ludzi, pod tem niebem północnem. Nazwali je Michałem-Nadzieją i chował się wśród nich jak talizman, który Bóg im zesłał, i wierzyli, że zabrać im go nie zechce! Kalumah nie byłaby przeżyła śmierci tego dziecka. Michałek jednak nie umarł, powoli powracał do zdrowia, to też nadzieja wstąpiła w serca nieszczęśliwych rozbitków.

Nadszedł dzień 23 stycznia. Położenie wyspy Victoria nie uległo żadnej zmianie. Noc nieskończona mrocznym całunem pokrywała morze Północne. Śnieg obfity upadł, ścieląc się dwustopową warstwą na polu lodowem.

27 stycznia niespodziewany gość zawitał do fortu. Żołnierze

27 stycznia niepozostawiali gose zawiad do kota. Zanim  
Belcher i Pen stojący na straży przy zagrodzie, zauważyli z rana  
olbrzymiego niedźwiedzia idącego spokojnie w stronę fortu.

– To jest niezawodnie nasz niedźwiedź, – rzekła Mrs. Paulina  
Barnett, zwracając się do Jasper Hobson’a, poczem oboje w  
towarzystwie sierżanta i kilku żołnierzy uzbrojonych udali się do  
bramy.

Niedźwiedź był o dwieście kroków od zagrody, szedł zaś  
krokiem wolnym jak gdyby świadom swego celu.

– Poznaję go, – zawołała Mrs. Paulina Barnett. – To twój  
niedźwiedź, Kalumah, to twój zbawca!

– Och, nie zabijajcie mego niedźwiedzia! – zawołała młoda  
Eskimoska.

– Nie zabijemy go, – odpowiedział jej Jasper Hobson. –  
Towarzysze, nie czyńcie mu nic złego, prawdopodobnie  
odejdzie, jak przyszedł.

– Ale jeżeli zechce wejść do zagrody... – odezwał się sierżant  
Long, który nie wierzył w uprzejmość niedźwiedzi polarnych.

– Pozwól mu wejść, sierżancie, – rzekła Mrs. Paulina Barnett.  
– Zwierzę to straciło swą dzikość. Jest więźniem, jak my, a  
wiesz, że więźniowie...

– Nie rzucają się na siebie, – dodał Jasper Hobson, – jest to  
prawda, proszę pani, lecz o ile należą do tego samego gatunku.  
Wszakże weźmiemy pod uwagę pani zlecenie. Będziemy się  
tylko bronili, jeżeli zechce nas zacześć. Zdaie mi sie iednak. że

przezorniej będzie, gdy powrócimy do domu. Nie należy go wystawiać na zbytnią pokusę.

Posłuchano rady porucznika. Po powrocie zamknięto drzwi, okiennice jednak zostały otwarte.

Można więc było przypatrzeć się zabiegom zwierzęcia. Niedźwiedź, odepchnawszy zlekka niezamkniętą bramę, wsunął głowę, oglądając spokojnie wnętrze dziedzińca, poczem wszedłszy, zatrzymał się w pośrodku podwórza, obejrzał zabudowania i skierował się ku psiarni i oborze; tu przysłuchiwał się przez chwilę szczekaniu psów i beczeniu reniferów, poczem, okrążając palisadę, skierował się ku domowi i wreszcie oparł swą wielką głowę o jedno z okien dużej sali.



Mówiąc szczerze, trzeba dodać, że wszyscy cofnęli się instynktownie, żołnierze zaś chwycili za broń, a sierżant Long zaczął się obawiać, że za wiele pozwolił nieproszonemu gościowi.

Ale Kalumani zbliżyła się ku oknu, twierdząc, że niedzwiedz ją poznał. Czy tak było w istocie, niewiadomo, dość, że zwierzę, zadowolone zapewne, cofnęło się z pomrukiem, poczem skierowało się ku bramie, wracając, skąd przyszło, jak to przepowiedział Jasper Hobson.

W ten sposób skończyły się nieprzewidziane odwiedziny, zresztą nie ponawiane więcej. I znów życie mieszkańców popłynęło zwykłym biegiem.

Michałek wracał szybko do zdrowia a przy końcu stycznia odzyskał swój humor i apetyt.

3 lutego, około południa, na horyzoncie zjawił się słaby odbłysek światła. Tarcza żółtawa ukazała się na chwilę, zapowiadając powrót słońca po długiej nocy polarnej.



## Rozdział XV

### *Ostatnia wycieczka.*



kazanie się słońca przerwało ciągłość nocy polarnej. Od tej chwili rozświetlało ono horyzont na kilka godzin. Mróz, jak zwykle w lutym, wzmożł się znacznie, termometr wskazywał jeden stopień Fahrenheit'a ( $-17^{\circ}$  Cels.). Była to najniższa temperatura tej osobliwej zimy.

– W jakiej porze następuje ruszenie kry? – spytała pewnego dnia podróżniczka Jasper Hobson'a.

– Zazwyczaj – odpowiedział porucznik – kra rusza dopiero w pierwszych dniach maja, ale w tym roku zima była tak łagodna, że o ile mróz nie wzmoże się, ruszy ona w początkach kwietnia, – tak przynajmniej przypuszczam.

– A zatem, pobyt nasz na wyspie przedłuży się do dwu miesięcy? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– Tak, proszę pani, gdyż wcześniej nie moglibyśmy bezpiecznie wyruszyć na naszym okręcie. Zresztą pożądaną byłoby rzeczą, aby wyspa przesunęła się do najwęższej części cieśniny Berynga wynoszącej zaledwie sto mil szerokości, gdyż to ułatwiłoby nam dostanie się do stałego lądu.

– Nie rozumiem pana, panie Hobson, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett, zaskoczona tą odpowiedzią. – Czyżby pan zapomniał, że prąd Kamczatki, prąd północny uniósł nas w te strony i że wraz z ruszeniem kry możemy popłynąć w tym samym kierunku jeszcze dalej?

– Nie sądzę, proszę pani, – rzekł Jasper Hobson, – a nawet śmiem twierdzić, że to się nie zdarzy. Kra płynie zwykle z



północy na południe, czy dlatego że prąd Kamczatki zmienia kierunek, czy, że krę unosi prąd Berynga, czy zresztą dla jakiej innej niewiadomej mi przyczyny. Jest tylko rzeczą pewną, że góry lodowe dążą niezmiennie w kierunku oceanu Spokojnego, rozpluwając się w jego wodach. Niech się pani spyta Kalumah, odpowie pani to samo, co ja.

Kalumah potwierdziła słowa porucznika. Należało zatem przypuszczać, że wyspa w pierwszych dniach kwietnia uniesioną zostanie jak olbrzymi lodowiec na południe, to jest do najwęższej części cieśniny Berynga, nawiedzanej podczas lata przez rybaków z Nowego Archangelska i sąsiadującego z nim wybrzeża. Wziąwszy jednak pod uwagę wszelkie możliwe opóźnienia, nie należało się spodziewać dotarcia do lądu przed miesiącem majem. Co więcej, aczkolwiek zima nie była zbyt ostrą, lodowa podstawa wyspy Victoria musiała pod wpływem mrozu powiększyć swą objętość, a tem samem opierać się prądowi przez kilka miesięcy.

Mieszkańcy fortu musieli się uzbroić w cierpliwość i czekać spokojnie swego losu!

Mały Michałek tymczasem powracał do zdrowia. 20 lutego wyszedł po raz pierwszy po czterdziestu dniach choroby, to znaczy, że przeszedł ze swego pokoju do wielkiej sali, gdzie go obsypano piesszczotami i obdarzono różnemi zabawkami, które przygotowali dla niego zacni żołnierze.

Koniec lutego był dżdżysty i śnieżny. Silny wiatr północno-zachodni dał bez przerwy. Temperatura obniżyła się tak

znacznie, że śnieg spadł obficie. Od strony morza dochodziły odgłosy szalejącej burzy. Góry lodowe wytrącone z równowagi spadały z niesłychanym łoskotem. Kra parta zdałem lodowym gromadziła się w pobliżu wybrzeża wyspy. Obawiano się, że przyłodek Bathurst, będący niczem innym jak lodowcem pokrytym ziemią i piaskiem, zostanie również podważony siłą płynącej kry. Kilka brył lodowych, pomimo swego ciężaru, potoczyło się aż do samej zagrody. Na szczęście przyłodek wytrzymał napór, a tem samem ustrzegł faktorję od zagłady.

Położenie wyspy Victoria, znajdującej się na pełnem morzu naprzeciwko zwięzonej cieśniny, gdzie gromadziła się kra, było groźne. Zewsząd otoczona napierającami na nią lodowcami, mogła być zmiądzona, zanim siłą wypadków została by pograżona w otchłani oceanu. Mrs. Paulina Barnett, zauważywszy to nowe niebezpieczeństwo, nadmieniła o niem porucznikowi, który, niestety, pocieszyć jej nie mógł.

Wreszcie w pierwszych dniach marca burza ucichła, a wtedy mieszkańcy fortu mogli przekonać się naocznie o zmianach zaszłych na polu lodowem. Zwał lodowy, jak gdyby sunąc po niem, zbliżał się do wyspy. W niektórych punktach był on oddalony zaledwie na dwie mile, pędząc nakształt lawiny o kierunku poziomym. Między tą wysoką zaporą a wybrzeżem pole lodowe widniało przeraźliwie poszarpane, nastrzępione wystającami soplami, poprzewracanemi bryłami, jak kołyszące się morze stężało nagle pod wpływem gwałtownej burzy. Rzekłby kto, że to zburzone miasto, przykuwające wzrok pełnią swej kłeski! Nad tą ruiną wznosił się dziwnie zarusowany

swój księżki: rwał ją ręką wzięsł się dziwnie i zająsował  
zwał lodowy, otaczając jakby ramą swemi stożkami, bryłami,  
łańcuchami, malownicze te szczątki.

W tym to czasie Mac Nap ukończył swój statek, zbudowany  
w sposób bardzo pierwotny, niemniej jednak przynoszący  
zaszczyt swemu twórcy. Przypominał swym kształtem barki  
holenderskie, krążące po morzach północnych. Miał dwa żagle,  
jeden, trapezoidalny, w tyle i drugi, trójkątny, z przodu,  
osadzone na jednym maszcie. Do żagli użyto płótna  
namiotowego.

Statek ten mógł z łatwością pomieścić załogę fortu i z  
powodzeniem przepłynąć przestrzeń wodną dzielącą wyspę od  
lądu, o ileby prąd ją skierował ku cieśninie Berynga.

Porucznik Hobson postanowił, dla zbadania stanu pola  
lodowego, odbyć wycieczkę w kierunku południowo-  
wschodnim.

Wyruszone przeto 7 marca. Porucznikowi towarzyszyła  
podróżniczka, Kalumah, Marbre i Sabine. Postanowiono, o ile  
to było możliwe, przedostać się przez zwał lodowy, w każdym  
zaś razie podróż miała trwać nie więcej nad dwie doby.

Podróżnicy, zabrawszy z sobą odpowiednią ilość żywności i  
broni, opuścili z rana fort Nadziei, kierując się ku przyładkowi  
Michel.

Termometr wskazywał wtedy trzydzieści dwa stopnie  
Fahrenheit'a (0 Cels.), powietrze było nieco zamglone, lecz  
spokojne. Słońce zakreśliło nad ziemią swój łuk dzienny przez

spokoju. Słońce zakreślało nad ziemią swój łuk dzienny przez siedem do ośmiu godzin dziennie, rzucając promienie ukośne, oświetlające dostatecznie cały zwał lodowy.

O dziewiątej, po krótkim odpoczynku, porucznik Hobson i jego towarzysze wyruszyli z przylądka Michel na pole lodowe. Z tej strony zwał lodowy był oddalony na trzy mile od wyspy.

Posuwano się zwolna. Co chwila należało omijać to szczelinę głęboką, to górę lodową. O sankach oczywiście nie mogło być mowy wśród tego nagromadzenia brył różnej objętości i kształtu, utrzymujących równowagę, jakby cudem, lub też niedawno przewróconych, o czym można było sądzić z ich krawędzi ostrych jak noże. Przyczem ani śladu wśród nich zwierzęcia lub człowieka. Była to pustynia, którą opuściły nawet ptaki!

Patrząc ze zdumieniem na te zwałiska, Mrs. Paulina Barnett nie mogła sobie wyobrazić, jakim sposobem przeszliby byli w grudniu to pole lodowe, pomimo że wówczas przedstawiało ono bardziej jednolitą płaszczyznę.

Tymczasem zbliżano się zwolna do zwału lodowego. Kalumah przewodniczyła wycieczce. Zwinna Eskimoska, na podobieństwo kozicy alpejskiej, przesuwała się zreźnie wśród lodowców. Z podziwem śledzono pewność jej ruchów, trafny wybór w wyszukiwaniu najlepszego przejścia w tym labiryncie lodowym.

Okolo dwunastej dotarto do zwału. Trzy godziny więc zeszło na przebycie trzech mil.

Wzrost podróżników, spacer z pakietem na tej wiecie

wzrok podłożników spoczął z zachwytem na tej masie lodowej, górującej miejscami na czterysta stóp nad powierzchnią pola lodowego! Jej warstwy zaznaczały się wyraźnie, mieniając się najrozmaitszymi barwami! Gdzie niegdzie przypominały one łuk tęczy, gdzie niegdzie zarys marmuru, a zewsząd były usiane świetlnymi iskierkami. Najfantastyczniejszy łańcuch skalny nie dałby się porównać z tym zwałem lodowym, miejscami ciemnym, miejscami przezroczystym, na którym skrzyżowanie się światła z mrokiem wywoływało zdumiewającą grę barw.

Podróżnicy jednak musieli pilnie baczyć, żeby nie zbliżyć się zbyt blisko do tej groźnej zlodowaciałej masy. Z jej wnętrza dochodził głuchy łoskot, świadczący o destrukcyjnej pracy, jaka się w niej odbywała pod wpływem uwieszonego w niej powietrza i o kruchości tej chwilowej potęgi, którą podtrzymywała moc zimy, a którą zwycięży działanie promieni słonecznych! Stwardniała ta masa zawierała w sobie nieprzeliczone potoki, a nawet rzeki całe, czekające tylko na ciepło słoneczne, aby się pogrążyć w otchłaniach oceanu!



Tymczasem bryły lodowe spadały co chwila z wierzchołków zwału, tak że podróżni musieli kroczyć o sto kroków od niego dla uniknięcia niebezpieczeństwa grożącego im od staczających się lawin. Ostrożność ta nie była zbyteczna, gdyż około drugiej w chwili gdy Mrs. Paulina Barnett i jej towarzysze kierowali się ku jednemu z przejść, ogromna bryła, ważąca przeszło sto ton, stoczyła się ze szczytu zwału, spadając z niesłychanym łoskotem na pole lodowe, które pękło pod tym naporem, wyrzucając z siebie strumień wody znacznej wysokości. Na szczęście kawałki rozpryskującej się bryły nie dosięgły nikogo.

Od drugiej do piątej kroczo wąską, krętą doliną, wgłębiającą się w zwał lodowy. Nie można było dostrzec, czy przecina go na całą szerokość, ale zato podróżnicy przyjrząc się mogli wewnętrznej budowie zwału. Bryły, które go składały, były ułożone prawidłowiej, niż na zewnętrznej jego powłoce. Miejscami widniały pnie drzew stron podzwrotnikowych, uniesione zapewne prądem Gulfstream'u do okolic podbiegunowych, a wraz z lodowcami powracające przez ocean Spokojny do miejsca pierwotnego pobytu. Miejscami znów widniały szczątki rozbitych okrętów.

Okolo piątej zapadający zmrok przerwał dalszą wycieczkę. Podróżnicy przeszli dwie mile drogi, lecz wśród takich zakrętów, przeszkód, że oznaczyć nie byliby mogli, jaka właściwie była długość doliny.

Ponieważ miano się zatrzymać dla nocnego postoju, Marbre i Sabine wydrążyli odpowiednią grootę w zwałie lodowym,

poczem, po spożyciu wieczerzy, udano się na spoczynek...

Nazajutrz o ósmej godzinie podróżnicy skierowali się w dalszym ciągu wzdłuż doliny, chcąc się przekonać, jak daleko ona sięga. Sądząc z położenia słońca na niebie dolina, początkowo ciągnąca się na północo-wschód, obecnie szła w kierunku południowo-wschodnim.

O jedenastej Jasper Hobson i jego towarzysze znaleźli się na przeciwległym krańcu zwału. A zatem przejście przez zwał lodowy istniało...

Część wschodnia pola lodowego nie różniła się swym widokiem od jego części zachodniej. To samo nagromadzenie lodów, te same bryły lodowe. Góry lodowe i wielkie złomy lodu ciągnęły się w nieskończoność, poprzecinane płaszczyznami, na których widniały liczne szczeliny. Ta sama pustka, opuszczenie. Ani śladu zwierzęcia, ani śladu człowieka.

Mrs. Paulina Barnett podziwiała, ze szczytu jednego ze złomów, smutny ten krajobraz. Mimowoli myśl jej zwróciła się ku wyprawie na ląd stały, którą przedsięwzięli byli w grudniu. W swej wyobraźni ujrziała całą załogę fortu sunącą z wolna wśród ciemności, wśród tej pustyni lodowej, narażoną na wszelkie możliwe przeszkody i niebezpieczeństwa, aby móc dostać się do lądu amerykańskiego.

Jasper Hobson przerwał jej zadumę.





– Proszę pani, – rzekł, – minęła doba od chwili, gdy opuściliśmy wyspę. Dowiedzieliśmy się, jaka jest grubość zwału lodowego, powinniśmy więc wrócić do fortu, tem bardziej, że zapowiedzieliśmy swój powrót w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Mrs. Paulina Barnett była tego samego zdania. Cel wycieczki został osiągnięty. Dowiedziano się, że grubość zwału jest średnia, że tając zacznie szybko, a zatem, że okręt zbudowany przez Mac Nap'a będzie mógł swobodnie płynąć po morzu po ruszeniu kry.

Po śniadaniu więc, około pierwszej po południu zabrano się do odwrotu. O piątej zatrzymano się dla odpoczynku, w wydrążonej wczoraj grocie, nazajutrz zaś 9 marca wyruszono w dalszą drogę.

Pogoda sprzyjała. Słońce ukazało się już nad horyzontem. Jasper Hobson i jego towarzysze, idąc ku zachodowi, pozostawiali za sobą tarczę słoneczną, której promienie, odbijając się w ścianach lodowych, krzyżowały się przed nimi.

Szli spokojnie, nie przewidując wypadku, którego największa



szli spokojnie, nie przewidując wypadku, którego największą przenikliwość ludzka przewidzieć nie mogła.

Okolo dziesiątej Marbre i Sabine zatrzymali się nagle, rozmawiając z żywością. Marbre ze zdziwieniem słuchał towarzysza, pokazującego mu busołę, którą trzymał w ręku.

– A to rzecz dziwna – zawołał do zbliżających się Jasper Hobson’a, Mrs. Pauliny Barnett i Kalumah. – Z jakiejże strony znajduje się wyspa względnie do zwału lodowego? Na wschód czy na zachód?

– Wszak wiesz, że na zachód!... – odpowiedział Jasper Hobson zdziwiony tą przemową.

– Wiem... wiem dobrze!... – rzekł Marbre, potrząsając głową. – Ale, jeśli wyspa znajduje się w zachodniej stronie, w takim razie, idąc w tym kierunku, oddalamy się od niej.

– Jakto! oddalamy się od niej! – rzekł porucznik zdziwiony twierdzącym tonem myśliwego.

– Bez wątpienia, panie poruczniku, – ciągnął dalej Marbre, – niech pan spojrzy na busołę i niech się nie nazywam Marbre, jeżeli nie wskazuje, że idziemy na wschód, nie zaś na zachód!

– To niepodobna! – odezwała się podróżniczka.

– Niech pani patrzy, – rzekł Sabine, pokazując busołę, która, istotnie, wskazywała północ w kierunku wręcz przeciwnym, niż przypuszczano. Jasper Hobson zastanowił się chwilę.

– Musieliśmy zmylić kierunek dziś zrana, – rzekł Sabine. –

Zamiast na prawo, poszliśmy na lewo.

– Nie! – zawołała Mrs. Paulina Barnett, – to niepodobna! Nie mogliśmy się omylić!

– Ależ... – zaczął Marbre.

– Ależ, – przerwała mu podróżniczka, – spójrzcie na słońce! Czyż miałoby nie wschodzić obecnie na wschodzie! Od rana mamy je wciąż za sobą, więc oczywistą jest rzeczą, że dążymy ku zachodowi i że w tym kierunku idąc dojdziemy na pewno do naszej wyspy.

Marbre, oszołomiony tym niezbitym argumentem, skrzyżował ręce w milczeniu.

– Dobrze, – rzekł Sabine, – ale w takim razie busola i słońce są z sobą w sprzeczności!

– Tak, przynajmniej w tej chwili, – odezwał się Jasper Hobson, – a przyczyna tego nieporozumienia jest następująca: na tych podbiegunowych szerokościach i w okolicach sąsiadujących z biegunem magnetycznym zdarza się często, że igła magnesowa wskazuje fałszywy kierunek.

– A zatem, – rzekł Marbre, – trzymajmy się dawnej drogi.

– Niezawodnie, – odpowiedział Jasper Hobson. – Zdaje mi się, że między busolą, a słońcem wybór jest łatwy. Słońce nie zna wahań!

Po tych słowach podróżnicy wyruszyli w dalszą podróż tą samą doliną, która przecinała całą szerokość zwału lodowego.

Ze zdziwieniem jednak stwierdzili, że zamiast o dwunastej znaleźli się dopiero o drugiej u skraju doliny.

Spóźnienie to zaniepokoiło porucznika, tem bardziej, że stanąwszy na polu lodowem nie ujrzął wyspy, która powinna być w prostym do nich kierunku!

Nie! wyspy, która dzięki grupie drzew, wieńczących szczyt przylądka Michel, powinna była ukazać się zdaleka, nie było wcale! Zamiast jej zarysu ciągnęło się niezmierzone pole lodowe w świetle promieni słonecznych!

Porucznik Hobson, Mrs. Paulina Barnett, Kalumah, dwaj myśliwi stali w zdumieniu, spoglądając niedowierzająco na siebie.

– Wyspa powinna być tam! – zawołał Sabine.

– A niema jej! – wykrzyknął Marbre. – Panie poruczniku, co się z nią stało?

Mrs. Paulina Barnett oszołomiona tą niespodzianką milczała. Jasper Hobson nie znalazł żadnej odpowiedzi.

Kalumah zaś, zbliżywszy się do porucznika, rzekła, biorąc go za rękę.

– Zbłądziliśmy, zamiast iść w odwrotnym kierunku, poszliśmy wzwyż doliny i obecnie znajdujemy się w tem samem miejscu, w którym byliśmy wczoraj po przebyciu doliny. Chodźmy, chodźmy!

Porucznik, podróżniczka, Marbre i Sabine prawie bezwiednie

podążyli za młodą Eskimoską, w stronę doliny, pomimo że słońce wskazywało im kierunek przeciwny.

Kalumah jednak nie dawała żadnych wyjaśnień, ograniczywszy się tylko do słów powtarzanych prawie bez przerwy:

– Spieszmy się, prędko, prędko!

Podróżnicy, wydobywając ostatek sił, szli przez dolinę, aż po trzech godzinach tej forsownej drogi znaleźli się u przeciwległego krańca zwału. Zalegający mrok nie pozwolił im dojrzeć wyspy. Niepewność ich wszakże nie trwała długo.

O kilkaset kroków od nich, na polu lodowym ukazały się pochodnie i jednocześnie dały się słyszeć liczne strzały i wołania.

Byli to mieszkańcy fortu z Tomaszem Black na czele, którego niepokój o przyjaciół wyrwał ze stanu odrętwienia. Zacni ci ludzie, zaniepokojeni losem towarzyszy, przypuszczali, – co było prawdą – że zblądzili oni w powrotnej drodze.

Ale skąd to przypuszczenie powstać mogło w myśli mieszkańców fortu Nadziei?

Stąd, że od dwudziestu czterech godzin rozległe pole lodowe a wraz z niem wyspa zmieniły swe położenie, a tem samem wyspa zamiast w kierunku zachodnim względem zwału lodowego znalazła się po jego wschodniej stronie!





**Jules Verne**

**W KRAINIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**

**(Rozdział XVI-XX)**

*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*

*Ilustracje Férat i Beaurepaire*

*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*

*Poznań 1925*



© **Andrzej Zydorczak**



## **Część DRUGA**

### **Rozdział XVI**

*Ruszenie kry.*



o dwugodzinnej drodze znaleźli się wszyscy w forcie

Nadziei. Nazajutrz, 10 marca, słońce ukazało się po tej stronie wyspy, która przed kilku dniami zwrócona była na zachód. Przyładek Bathurst, zamiast na północ, zwrócony był na południe. Młoda Kalumah, świadoma tej przemiany, miała słusność, a jeżeli słońce się nie omyliło, to i busola nie pobłądziła!

Tak więc położenie wyspy Victoria uległo zupełnej zmianie, a wraz z nią pole lodowe, w którym była uwięziona. Obrót ten świadczył, że pole lodowe oderwało się od wybrzeża, a tem samem, że tajanie lodów rozpocznie się niebawem.

– W każdym razie, – rzekł porucznik Hobson do Mrs. Pauliny Barnett, – zmiana ta jest dla nas pomyślna. Przyładek Bathurst i fort Nadziei obróciły się na południo-wschód, to jest w stronę, gdzie najbliżej znajduje się ląd i gdzie zwał lodowy nie będzie zagradzał nam drogi.

– A zatem wszystko składa się pomyślnie? – spytała podróżniczka z zadowoleniem.

– Jak najpomyślniej, proszę pani. – rzekł porucznik, mając na myśli obrót wyspy.

Od 10 do 21 marca nic szczególnego nie zdarzyło się, tylko w powietrzu dawała się odczuć zmiana pory roku. Termometr wskazywał stale do pięćdziesięciu stopni Fahrenheita (+ do 10 Cels.). Przy tej temperaturze lód tając musiał. Na polu lodowem zjawiały się coraz to nowe szczeliny, a wraz z nimi woda zaczęła się ukazywać na zlodowaciałej powłoce morza. Według obrazowego wyrażenia pobliżczy wielorubów szczeliny na polu

obrazowego wyłączenia pojawiały wielorybowe szczeliny na polu lodowem były to rany, któremi „sączyła się krew” stężącego organizmu. Trzask pękającego lodu podobny był do wystrzału dział. Kilkodniowy deszcz przyspieszył jeszcze załamanie się powierzchni lodowej.

Ptaki, nieobecne w zimie, nadciągały chmurami na wyspę. Marbre i Sabine nie omieszkali celować do nich z powodzeniem. Niektóre z tych ptaków zachowały na sobie kartkę, przyczepioną im do szyi przez porucznika i Mrs. Paulinę Barnett. Zjawiały się również całe stada łabędzi, przesywając powietrze swym donośnym krzykiem. Co do czworonożnych zwierząt, jak gryzonie i inne, nie przestawały one odwiedzać faktorji, odgrywając rolę zwierząt domowych.

Prawie codziennie, zależnie od stanu nieba, porucznik Hobson badał położenie wyspy. Niekiedy Mrs. Paulina Barnett, władająca zręcznie narzędziem astronomicznem, zastępowała go w tej pracy. Badanie szerokości i długości geograficznej wyspy, było rzeczą niezmiernie ważną, gdyż chodziło o stwierdzenie czy prąd, po ruszeniu kry, uniesie wyspę na północ, czy też na południe.

Mrs. Paulina Barnett nie przestawała być duszą swego otoczenia. Zmęczenie lub zniechęcenie nie miały do niej dostępu. Codziennie, nie zważając na niepogodę, odbywała wycieczki, to w głąb wyspy, to na pole lodowe lub zajmowała się gorliwie nadzorem pracy w faktorji, w czem dopomagała jej z całym oddaniem wierna Madge.



Aczkolwiek nieraz troska o przyszłość przerywała pogodne pasmo jej myśli, nie zwierzała się z tem nikomu. Dla otoczenia miała tylko słowa zachęty i pociechy i niktby się nie domyślił, że ta dzielna kobieta nieraz z trwogą patrzyła w przyszłość. Jasper Hobson podziwiał ją głęboko.

Ufał również w zupełności młodej Eskimosce, na której instynkcie polegał, jak myśliwy polega na instynkcie psa. Zresztą Kalumah, z natury bardzo inteligentna, oswojona była z niespodziankami i zjawiskami stref polarnych. Na okręcie poławiacza wielorybów mogłaby pełnić skutecznie funkcję „ice-master” to jest sternika torującego drogę wśród lodów. Kalumah codziennie badała stan pola lodowego, nasłuchując trzasku pękającego lodu, po którym poznawała, na ile pole lodowe wzruszone zostało. Nikt pewniejszą stopą nie przebiegał po tej szklistej powłoce. Instynktownie czuła pod swemi stopami kruchość lodu, wybierając pewne dla nich oparcie.

Od 20 do 30 marca odwilż posuwała się szybko. Spodziewano się, że za dwa tygodnie morze będzie dostępne dla żeglugi. Porucznik Hobson postanowił nie zwlekać z odjazdem, obawiając się, aby prąd Kamczatki nie uniósł wyspy na północ.

– Nie potrzebujemy się tego obawiać, – powtarzała często Kalumah. – Kra dąży zawsze na południe i tam tkwi niebezpieczeństwo, – mówiła wskazując w stronę oceanu Spokojnego.

Kalumah była pewna swych słów, porucznik Hobson jednak nie obawiał się oceanu Spokojnego. Zanim kra dostanie się do

przestworzy oceanu, on i jego załoga, znajdując się na okręcie w cieśninie Berynga, dotrą do jednego z lądów, czy to do przylądka Wschodniego na wybrzeżu azjatyckim, czy też do przylądka Księcia Walji na wybrzeżu amerykańskim.

Należało tylko dawać pilnie baczenie na zmianę położenia wyspy, jak również przygotowywać się do odjazdu, który mógł nastąpić prędzej, niż się spodziewano.

Wobec możliwości nagłego wyjazdu wszelkie inne prace w faktorji ustały, jak polowanie, utrzymywanie łapek. Składy zresztą były pełne cennych futer, których w całości zabrać było niepodobieństwem. Mac Nap i jego pomocnicy zajęci byli wzmocnieniem ścian domu grubemi belkami, mającemi go podtrzymywać w razie silnego naporu kry na wybrzeże wyspy. W pokojach umieszczono pionowe podpory dla ochrony sufitu. Dach domu, którego wiązania wzmocnione były przez odpowiednie podpory, mógł oprzeć się wadze największej bryły. Prace te, ukończone w pierwszych dniach kwietnia, okazały się niebawem nietylko użyteczne, lecz nawet konieczne.

Tymczasem wiosna nadchodziła szybkim krokiem. Przedwczesne jej zjawienie było również niezwykle, jak osobliwą była ta zima tak względnie łagodna w strefach podbiegunowych. Na drzewach ukazały się pączki. Kora brzoź, wierzb, mącznic wzdymała się w miejscach, gdzie soki odmarzły. Mchy swą barwą blado-zieloną ożywiały zbocza pogórków, stanowiąc łakomy żer dla gryzoniów, które raczyły się nimi obficie.

W tym czasie, nieszczęśliwym był tylko jeden zacny kapral. Wiadomo, że do niego należała ochrona ogrodu warzywnego. W innych okolicznościach wystarczyłby zwykły straszak, tem bardziej, że był nim kapral we własnej swej osobie. Lecz tym razem nietylko ptaki zaglądały do posiewów Mrs. Joliffe. Gryzonie i inne przeżuwacze fauny podbiegunowej, nie opuściwszy tej ziny wyspy, nawiedzały bez przerwy ogród, lekceważąc sobie groźby kaprała. Biedny człowiek nie mógł dać sobie rady z niemi; zanim wypędził je z jednej części ogrodu, zjawiały się już w drugiej.

Mrs. Paulina Barnett nieraz radziła mu, aby nie zadawał sobie tyle trudu wobec bliskiego wyjazdu. Plon był tak obfity, że zużytkować go nie będą mogli. Uparty kapral jednak słyszeć o tem nie chciał.

– Tyle pracy miałoby iść na darmo! – powtarzał zawsze. – Opuścić ogród w chwili gdy daje plon obfity! Porzucić ziarna, które Mrs. Joliffe i ja sialiśmy z taką pieczołowitością!... Nieraz przychodzi mi na myśl, aby tu pozostać, nie odjeżdżać z tej wyspy, którą, jestem tego pewny, Towarzystwo zgodziłoby się chętnie oddać mi na własność...

Mrs. Paulina Barnett przyjmowała ze śmiechem to dziwaczne przemówienie, odsyłając kaprała do swej młodej żony, która nie przejmowała się zbytnio losem swego szczawiu i antyskorbutycznych roślin, wcale zresztą niepotrzebnych.

Zdrowie bowiem mieszkańców fortu było doskonałe. Przynajmniej choroba nie trapiła ich wcale. Młody Michał

przynajmniej choroba nie uapna ich wcale. Włady miałam, zdrow już zupełnie, rozwijał się szybko w ciepłej atmosferze wiosennej.

W pierwszych dniach kwietnia deszcz zaczął padać często i wielkimi kroplami. Wiatr południowo-zachodni przynosił z sobą ciepłe powiewy lądu. W tej zamglonej atmosferze niepodobna było badać położenia wyspy. Słońce i księżyc skryły się poza chmurami. Porucznik Hobson biadał nad tem niemało, gdyż najmniejszy ruch wyspy miał dla niego wielkie znaczenie.

W nocy z 7 na 8 kwietnia kra ruszyła w całym znaczeniu tego słowa. Mrs. Paulina Barnett, Kalumah, porucznik Hobson i sierżant Long stwierdzili, stojąc na szczycie przyładka Bathurst, że zwał lodowy rozpołowił się na dwie części, z których górna dążyła w kierunku północnym.

Byłże to wpływ prądu Kamczatki? Czyżby wyspa podążyła również w tym samym kierunku? Zrozumiałą była trwoga porucznika i jego towarzyszy. Ich los był bardzo niepewny, gdyby bowiem wyspa miała być uniesiona na setki mil na północ, dostanie się na ląd przy pomocy ich wątego statku byłoby prawie niepodobieństwem.

Niepewność ich była tem większa, że nie mogli zbadać położenia wyspy. Zdawało się jednak, że do tej pory wyspa stała na miejscu, – przynajmniej względem zwału lodowego, który poruszał się widocznie. Można więc było przypuszczać, że część pola lodowego oddzieliła się, dążąc ku północy, reszta zaś, okalająca wyspę, była nieruchoma.

Zresztą Kalumah twierdziła, że zmiana zaszła w kierunku zwału, była tylko chwilowa i że wkrótce pod wpływem prądu Berynga uniesiony on zostanie na południe. Kalumah, chcąc poprzeć swe dowodzenie, narysowała kawałkiem drzewa na piasku zarys cieśniny i kierunek zbliżającej się do wybrzeża amerykańskiego wyspy. Stała tak uparcie przy swoim zdaniu, że mimowoli słuchacze uspokoili się i zaczęli wierzyć jej słowom.

Tymczasem dnia 8, 9 i 10 kwietnia były jakby zaprzeczeniem twierdzenia młodej Eskimoski. Część północna zwału oddaliła się jeszcze bardziej na północ. Pole lodowe trzaskało z hałasem i to na całej swej powierzchni. Łoskot był tak wielki, że zagłuszał mowę. Na pół mili od wybrzeża, w części pola okalającej przylądek Bathurst, kra zaczęła się piętrzyć gwałtownie. Zwał lodowy, rozbity na pojedyncze góry lodowe, pędził w kierunku północnym, tak przynajmniej się zdawało nieszczęśliwym mieszkańcom fortu. Porucznik Hobson zaczął znów wątpić w słowa Kalumah, lecz Kalumah powtarzała uparcie swoje mniemanie.

Wreszcie, 11 kwietnia, gdy prawie wszystkie góry lodowe podażyły na północ, Jasper Hobson zwrócił się do Kalumah, wskazując jej na niechybne to zjawisko.

– Nie, nie! – zawołała Kalumah z niezłomnym przekonaniem, – to nie zwał lodowy się porusza, lecz wyspa dąży w kierunku południowym!

Jasper Hobson był zdumiony tą odpowiedzią. Istotnie, czyż nie można było przypuszczać, że ruch zwału jest tylko pozorny, a

nie można było przypuszczać, że ten zwał jest tylko pozorny, a że wyspa płynie ku cieśninie? Ale sprawdzić tego nie było można, nietylko bowiem niebo było wciąż zamglone, lecz pewne zjawisko, właściwe stronom polarnym, zaciemniało je jeszcze bardziej i zmniejszało pole widzenia.

Mianowicie, wraz z ruszeniem kry temperatura obniżyła się o kilka stopni. Gęsta mgła pokryła całe morze Północne, mgła ta jednak nie była mgłą zwykłą. Na powierzchni gruntu zjawiała się biała skorupa, różniąca się od zwykłego lodu, jest bowiem tylko oparem wodnym zamarznietym znąglą. Cząsteczki tej mgły czepiały się do drzew, do krzewów, do ścian fortu, do wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wypukłość, i zamieniały się na warstwę grubą, najeżoną kryształkami, zwracającymi się swemi końcami w kierunku wiatru.

Jasper Hobson przypomniał sobie wtedy o zjawisku, zauważonem na wiosnę przez poławiaczy wielorybów i podróżników w strefach północnych.



– Nie jest to mola – rzekł on do swych towarzyszy – jest to

„nie jest to mgła, rzeki on do swych towarzyszy, jest to „frost-rime”, zlodowaciały dym, gęsty opar zamarznięty.

Tak czy inaczej, zjawisko to było wielce niepożądane, gdyż wznosiło się na wysokości stu stóp co najmniej nad poziom morza, a było tak gęste, że dwie osoby, oddalone od siebie o trzy kroki, widzieć się nie mogły.

Przygnębienie ogarnęło mieszkańców fortu. Zdawało się, że natura pastwi się nad nimi. W chwili, gdy wyspa miała być uwolniona ze swych więzów, w chwili gdy zbadanie jej położenia było rzeczą najważniejszą, ta osobliwa mgła uniemożliwiła wszelką obserwację!

Mgła trwała cztery dni. „Frost-rime” znikło dopiero 15 kwietnia z rana, usunięte gwałtownym południowym wiatrem.



Słońce zaświeciło jasno na niebie. Porucznik Hobson pobiegł do swoich narzędzi. Wynik badania był następujący: Szerokość geograficzna wyspy wynosiła  $69^{\circ}57'$ , długość geograficzna –  $179^{\circ}33'$ .

Kalumah miała słuszność. Wyspa Victoria uniesiona prądem Berynga płynęła w kierunku południowym.



## Rozdział XVII

### *Lawina.*



Jak więc mieszkańcy wyspy nie potrzebowali się już obawiać, że prąd Kamczatki uniesie ich ku północy. Dążyli oni wyraźnie ku cieśninie Berynga. Jasper Hobson musiał tylko codziennie śledzić ruch wyspy, który mógł ulec wahaniom z powodu nieprzewidzianych przeszkód. Nazajutrz 16 kwietnia, stwierdził on, że jeżeli szybkość jej pozostanie jednakowa, wyspa Victoria powinna dotrzeć na początku maja do koła Polarnego, od którego dzieliły ją co najwyżej cztery stopnie szerokości geograficznej.

Jasper Hobson przypuszczał, że wyspa, dostawszy się do najwęższej części cieśniny, zatrzyma się w niej, dopóki kra z niej nie wtłoczy ją wtędy, wyśledzić na ostatni dotrzeć będą mogli z



nie ustąpi, a wiedzy, wsłuchasz na okręci, uotrzec uęuą mogli z łatwością do ładu amerykańskiego.

Mieszkańcy wyspy odzyskali wreszcie spokój, pokładając ufność w pomyślny dla nich przebieg wypadków. Byli bowiem pewni, że zbliżywszy się do jednego z wybrzeży ładu, staną na nim niebawem.

To też wesołość wróciła do fortu. Szczególnie podczas godzin posiłku panował dawny nastrój pogodny, tem bardziej, że żywności nie brakło. Przytem powiew wiosenny radował dusze spragnione pogody i ciepła.

Z często odbywanych wycieczek w głąb wyspy i na wybrzeże przekonano się, że wygląd wyspy nie uległ żadnej zmianie. Ani przyładek Eskimos, ani przyładek Michel nie zmieniły kształtu. Wielka szczelina, która się była zjawiała podczas burzy, zwarła się zupełnie, innych zaś nie dostrzegli wcale.

Podczas tych wycieczek zauważono stada wilków, przebiegających w różnych kierunkach wyspę. Z całej fauny wyspy, dzięki te zwierzęta były jedynemi, które, pod wpływem wspólnego niebezpieczeństwa, nie starały się zbliżyć do zagrody fortu.

Zbawcę młodej Eskimoski spostrzeżono kilkakrotnie. Zaczny ten niedźwiedź przechadzał się melancholijnie po pustynnych równinach, zatrzymując się przed przechodzącymi wędrowcami. Nieraz nawet odprowadzał ich do zagrody fortu, wiedząc, że nic mu nie grozi z ich strony.

20 kwietnia Jasper Hobson stwierdził, że wyspa płynie wciąż w kierunku południowym. Ze zwału lodowego pozostała tylko część południowa, która podążała w tym samym co wyspa kierunku, sądząc z pomiarów astronomicznych, które wykonywał codziennie porucznik.

Badał on również w różnych miejscach, a mianowicie u podnóża przylądka Bathurst i w pobliżu wybrzeża jeziora warstwę lodową, stanowiącą podstawę wyspy. Niestety, stwierdził on, że warstwa ta nie zwiększyła się podczas zimy i że poziom ogólny wyspy nie podniósł się w stosunku do morza, a tem samem, że podstawie lodowej grozi szybkie rozpułnienie się z chwilą zetknięcia się z cieplejszemi wodami oceanu Spokojnego.

25 kwietnia jednak zaszła zmiana w położeniu wyspy. Pole lodowe obróciło się ze wschodu na zachód o ćwierć obrotu. Przylądek Bathurst zwrócił się na północo-zachód. Kraniec zwału lodowego przesunął się na północ. Obrót pola lodowego świadczył, że płynie ono swobodnie po morzu, a tem samem nie dotyka lądu.

30 kwietnia pola lodowe wraz z wyspą mijaly zatokę Kotzebue, której kraniec południowy kończy się przylądkiem Księcia Walji. Wyspa więc mogła dopłynąć do niego, o ile prąd nie utrzyma jej na pełnem morzu.

Pogoda była piękna, termometr dochodził do pięćdziesięciu stopni Fahrenheit'a (+10 Cels.). Mieszkańcy fortu pochowali swe zimowe ubrania. Tomasz Black przeniósł cały swój dobytek

astronomiczny na okręt. Część żywności była również pomieszczona, oraz kilka najcenniejszych futer. Wszyscy bowiem spodziewali się rychłego wyjazdu.

Z obserwacji dokonanych 2 maja dowiedziano się, że kierunek wyspy Victoria przechyla się ku wschodowi a zatem ku wybrzeżu Ameryki. Było to bardzo pomyślną oznaką, gdyż prąd Kamczatki płynie wzdłuż wybrzeża Azji, wyspa przeto wymykała się z pod jego wpływu. To też mieszkańcy fortu zaczęli spokojniej patrzeć w przyszłość.

– Zdaje mi się, że los przestał nas prześladować, – rzekł wtedy sierżant Long do Mistress Pauliny Barnett. – Doszliśmy do kresu naszych nieszczęść i nie mamy się już czego obawiać.

– Istotnie, – odpowiedziała Mrs. Paulina Barnett – podzielim wasze zdanie, sierżancie Long, i uważam, że szczęśliwie stało się, iż kilka miesięcy temu ominęła nas przeprawa przez pole lodowe. Opatrzność czuwała nad nami, czyniąc je niedostępne dla nas!

5 maja Jasper Hobson oznajmił towarzyszom, że wyspa Victoria przekroczyła koło Polarnie. Radość z tego powodu była wielka! Dzielnym tym ludziom zdawało się, że z chwilą, gdy wyspa przekroczyła krąg ziemski, poza którym słońce nie znika całkowicie z horyzontu, powrócili oni do stron zamieszkałych.

To też owego to dnia wznoszone były toasty na cześć koła Polarnego z równym zapalem, z jakim witają Równik żeglarze przebywający go po raz pierwszy!

Od tej pory pozostawało tylko czekać na rozproszenie się pola lodowego, aby okręt mógł, swobodnie żeglując, dopłynąć do lądu!

7 maja wyspa obróciła się jeszcze o ćwierć obrotu. Przylądek Bathurst wraz z resztą lodowców, które się na nim piętrzyły, zwracał się obecnie na północ, wracając tem samem do położenia, w jakim się znajdował, stanowiąc część półwyspu Victoria, a wyspę dosięgały promienie słoneczne stopniowo we wszystkich jej zakątkach.

8 maja stwierdzono, że wyspa, unieruchomiona, znajduje się mniej więcej o czterdzieści mil od przylądka księcia Walji. Tak więc ziemia była względnie niedaleko, a z nią nadzieja ujrzenia lądu zdawała się być pewną.

Wieczorem ucztowano, wznosząc toasty na cześć Mrs. Pauliny Barnett i porucznika.

Tejże nocy Jasper Hobson w towarzystwie tylko sierżanta Long – porucznik bowiem uprosił podróżniczkę, aby zechciała odpocząć kilka godzin, – wybrał się na pole lodowe, chcąc się przekonać, czy od strony południowej nic zaznaczy się w niem jakie możliwe przejście.

Noc była piękna. Niebo, usiane gwiazdami, błyszczało niezwykłym blaskiem, który padając na pole lodowe, odbijał się lekkim światłem, rozświetlającym okolice.

Porucznik i sierżant, wyszedłszy z fortu o dziewiątej udali się wprost na wybrzeże, położone między portem Barnett i

przyładkiem Michel.

Ale jakież widok przedstawił się ich oczom! Nagromadzenie kryształów lodowych, chaotycznie rozrzuconych, jak gdyby morze wzburzone pod wpływem huraganu stężało nagle! A przytem najmniejszego wolnego przejścia dla żeglugi!

Wędrowcy pozostali na wybrzeżu do północy, przypatrując się niewzruszonej masie lodowej. Wreszcie, znużeni, postanowili powrócić do fortu Nadziei.



Nie uszli jednak stu kroków, gdy niespodziewany łoskot zatrzymał ich nagle, niby grom odzywający się w północnej części pola lodowego. Łoskot ten zwiększał się szybko, wkońcu stał się przeraźliwym. Coś niezwykłego zająć musiało nieopodal, a co najważniejsze, grunt zachwiał się pod ich stopami.

– Łoskot ten idzie od strony zwału! – rzekł sierżant Long. – Co się dzieje?

Jasper Hobson nie odpowiedział, tylko w najwyższym

niepokoju pociągnął towarzysza za sobą.

– Do fortu! do fortu! – zawołał. – Może nagle kra ruszyła i będziemy mogli odjechać!

I obaj pobiegli co tchu w kierunku fortu Nadziei.

Tysiączne myśli nasuwały się im po drodze. Cóż mogło spowodować ten niezwykle łoskot? Czy mieszkańcy fortu, w tej chwili pogrążeni we śnie, zdają sobie sprawę z wypadku? Prawdopodobnie, gdyż łoskot podobny do wystrzału z dział, obudziłby nawet, używając utartego wyrażenia, nieboszczyka!


W pół godziny Jasper Hobson i sierżant Long znaleźli się w pobliżu fortu Nadziei. Ale, zanim dosięgli zagrody, ujrzeli biegnących w nieładzie swych towarzyszy, kobiety i mężczyzn, z okrzykiem rozpacz.

Mac Nap z dzieckiem na ręku zbliżył się do Jasper Hobson'a.

– Niech pan patrzy, panie poruczniku, – rzekł, – prowadząc go do wzgórka opodal zagrody.

Jasper Hobson spojrzał.





Resztki zwału lodowego, który znajdował się wieczorem o dwie mile od wyspy, przesunęły się gwałtownie, spadając na wyspę. Nie było już przylądka Bathurst, a pokrywająca go masa ziemi i piasku zasypała faktorię. Dom główny i przylegające doń budynki znikły pod olbrzymią lawiną. Lodowce z przeraźliwym łoskotem piętrzyły się jedne na drugich, miażdżąc wszystko po drodze, niby pochód brył lodowych atakujących wyspę!

Okręt, stojący u podnóża przylądka Bathurst znikł, a wraz z nim ostatnia nadzieja rozbitków!

W tej chwili budynek, w którym mieścili się niedawno żołnierze, runął pod ciężarem zwałającego się nań lodowca. Nieszczęśliwi wydali okrzyk rozpaczny.

– A inni!... nasze towarzyszek!... – zawołał porucznik w najżywszej trwodze.

– Są tam! – rzekł Mac Nap, pokazując na dom zawałony piaskiem, ziemią i lodem.

Tak! pod tym złowrogim stosem znajdowała się Mrs. Paulina Barnett, a wraz z nią Madge, Kalumah, Tomasz Black, których we śnie zaskoczyła lawina!



## Rozdział XVIII

### *Wszyscy do pracy.*



tała się rzecz straszna! Zwał lodowy runął na wyspę! Pograżony w morze na głębokość pięć razy większą, niż wynosiła jego wyniosłość nad poziomem wody, zwał nie mógł się oprzeć działaniu prądów podmorskich. Torując sobie drogę wśród popękanego pola lodowego, runął na wyspę, posuwając ją szybko w kierunku południowym.

Lawina dosięgła najpierw obory, psiarni i domu głównego, dzięki czemu Mac Nap i jego towarzysze mogli uniknąć niebezpieczeństwa, zbudzeni łoskotem. Niebawem i z ich budynku nie pozostało już ani śladu! Wyspa unosila swych mieszkańców ku otchłaniom oceanu! Co się stało z Mrs. Pauliną, Madge, młodą Eskimoską, astronomem? Czy żyją jeszcze? Należało się do nich dostać za wszelką cenę i wydobyć żywych czy umarłych!

Porucznik Hobson, nie tracąc przytomności, zawołał:

– Do oskardów, do motyk! Dom był mocny. Mógł wytrzymać napór. Do roboty!





Narzędzia były pod ręką, ale do zagrody przystąpić nie było można. Ze szczytu gór lodowych wznoszących się na dwieście stóp nad wyspą, staczały się bryły lodowe, miażdżąc wszystko po drodze. Góry te partę nieprzewyciężoną siłą posuwały się w głąb wyspy. Wstrząśnienie gruntu i towarzyszący mu odgłos świadczyły, że raz po raz, zapadają się te olbrzymy lodowe, grożąc wyspie pograżeniem jej w falach oceanu. Już teraz widoczne było poníženie się jej poziomu na tej części wybrzeża, dającego dostęp morzu, które rozlewało się szeroką falą aż do brzegów jeziora.

Położenie mieszkańców było straszne. Przez całą noc oczekiwali bezradni, nie mogąc zbliżyć się do zagrody, nie mogąc przeciwstawić się naporowi lawiny!

Wreszcie nastał dzień. Okolice przylądka Bathurst przedstawiały widok oplakany. Horyzont zasłaniała zaporą lodowa. Pomimo, że chwilowo lawina zatrzymała się w swym rozpędzie, bryły lodowe staczały się gdzieś niegdzie ze szczytów

łamiących się lodowców. Cała ta masa zlodowaciała pogrążona głęboko w morzu parła swą podstawą wyspę, która płynęła szybko w kierunku południowym, to jest w przestworza oceanu.

Nie zauważyli tego jednak mieszkańcy fortu, zajęci wyłączną myślą ratowania swych towarzyszy zasypanych piaskiem i ziemią, a szczególnie tej dzielnej kobiety, za którą wszyscy oddaliby chętnie życie w ofierze. Przystęp do zagrody był wolny w tej chwili. Nie było czasu do stracenia. Od sześciu godzin zasypani czekali wybawienia!

Jak to już powiedzieliśmy, przylądka Bathurst nie było już wcale. Pod naporem zwału, runął on na faktorię, miażdżąc najpierw okręt, następnie oborę i stajnię, a wkrótce potem dom główny. Podwórze fortu było całkiem zasypane. Z palisady nie pozostało ani słupa. Pod tem nagromadzeniem lodowców, ziemi i piasku znajdowały się nieszczęśliwe ofiary.

Porucznik Hobson, zwróciwszy się do cieśli Mac Nap'a, zagadnął go w te słowa:

– Jak myślisz, Mac Nap, czy dom wytrzymał napór lawiny?

– Sądzę, panie poruczniku, i prawie jestem tego pewny. Na szczęście wzmocniliśmy go w swoim czasie. Dach ma silną podpórę, a pionowo ułożone belki między sufitem i podłogą, stanowią silne oparcie. Należy też wziąć pod uwagę, że warstwa ziemi i piasku skutecznie broni dom przed gwałtownym naporem brył lodowych.

– Niech Bóg poprze twe słowa, Mac Nap! – odpowiedział

Jasper Hobson – i oby zechciał oszczędzić nam tak strasznego ciosu!

Następnie porucznik spytał Mrs. Joliffę:

– Czy w domu jest nieco żywności?

– Tak, – rzekła Mrs. Joliffę, – w spiżarni zostało trochę konserw.

– A wody?

– Jest woda i wódka.

– To dobrze, nie zginą od głodu i pragnienia. Lecz czy powietrza im nie zabraknie?

Na to cieśla nie umiał odpowiedzieć. O ile dom wytrzymał napór lawiny, brak powietrza był największym niebezpieczeństwem, które groziło nieszczęśliwym jego mieszkańcom! Ale na to zaradzić było można tylko, biorąc się jak najprędzej do wydrążenia przejścia, przez które powietrze mogło mieć dostęp do domu.

Wszyscy, kobiety i mężczyźni zabrali się do dzieła z motyką i oskardem w ręku. Mac Nap objął kierunek pracy.

Uważał on za wskazane zacząć od szczytu zwaliska. Z tego miejsca bowiem można było zrzucić bryły lodowe w stronę jeziora. Z mniejszymi odłamami dało się to łatwo uskutecznić, większe jednak trzeba było rąbać na części, a nawet roztopiać przy pomocy silnego płomienia z drzewa żywicznego.

Dzięki łodzi nie zastawili w tym celu żadnego kłosa, tylko

Dziemi ludzie nie ustawiali w pracy, ale zwaśisko było tak wielkie, że zdołali oni zaledwie pod wieczór oczyścić część lodowych gruzów. Nie zniechęciło to bynajmniej pracowników, zajętych wyłącznie myślą ocalenia podróżniczki i jej towarzyszy. To też przez noc całą mężczyźni nie przestawali kopać i bić oskardami, kobiety zaś podtrzymywać ognisko.

Do rana jednak upłynęło trzydzieści godzin, od kiedy mieszkańcy domu byli zasypani lawiną!

Po dotychczasowych pracach wstępnych, cieśla wziął się do wiercenia pionowej studni, która miała prowadzić do dachu domu. Studnia ta nie mogła mieć mniej nad pięćdziesiąt stóp głębokości. Wykopanie jej nie przedstawiało trudności, o ile chodziło o warstwę lodową grubości dwudziestu stóp; ale następna warstwa złożona z ziemi i piasku była niezmiernie sypka, należało więc podpierać ją podczas roboty rusztowaniem. Przygotowano tedy odpowiedniej długości belki, poczem przystąpiono do wiercenia studni. Trzech ludzi mogło oddać się wspólnie tej pracy. Zmieniając się więc często, można było posuwać się szybko naprzód.

Jak to zwykle bywa przy podobnych okolicznościach, biedni ci ludzie przechodzili kolejno od rozpaczki do nadziei i odwrotnie. Skoro natrafiali na jaką przeszkodę, która niweczyła zaczątek ich pracy, odchodzili od niej zniechęceni i tylko stanowczy głos mistrza Mac Nap'a przywracał im równowagę. Podczas gdy żołnierze zajęci byli wierceniem studni, Mrs. Raë, Mrs. Joliffë i Mrs. Mac Nap, u podnóża wzgórkka czekały w milczeniu, nogażone w modlitwie. Jednym ich zatrudnieniem

imczem, poglązok w miedwie. Jedytem ich zatrudnieniem było przygotowanie pożywienia dla swych towarzyszy.

Tymczasem wiercenie studni odbywało się zwolna, gdyż warstwa lodowa okazała się niezmiernie oporna. Do wieczora zdołano zaledwie dostać się do warstwy ziemi i piasku, ukończenie więc całkowite studni przewidziane było dopiero przy końcu następnego dnia.

Pomimo że nadeszła noc, nie ustawano w pracy. W tym celu zapalono pochodnie. Dla kobiet i dziecka zbudowano naprędce domek w jednym z lodowców. Zaczął dąć południowo-zachodni wiatr, sprowadzając deszcz ulewny. Ale ani porucznik Hobson, ani jego towarzysze nie myśleli o przerwaniu pracy.

Wiercenie studni wszakże od chwili gdy dostano się do warstwy ziemi i piasku, przedstawiało ogromne trudności, gdyż ziemia zasypywała część dokonanej pracy, należało więc ustawić rodzaj rusztowania w studni, a następnie wiadrem zawieszonym na sznurze wydobywać skopaną ziemię. W tych warunkach wiercenie postępowało niezmiernie wolno; żołnierze musieli zachowywać wszelkie ostrożności, aby ich ziemia nie zasypała.

Mistrz Mac Nap kierował sam pracą, stojąc ciągle w studni i badając oskardem grubość warstwy ziemi. Ale na dach domu dotąd natrafić nie mógł.

Zresztą było to niepodobieństwem, gdyż do rana głębokość studni wynosiła zaledwie dziesięć stóp, pozostawało więc jeszcze dwadzieścia do dachu domu, o ile nie zawałił się pod naporem lawiny.

Minęło pięćdziesiąt cztery godzin od chwili, gdy zaszypani zostali nieszczęśliwi mieszkańcy głównego domu.

Niejednokrotnie przychodziło na myśl porucznikowi Hobson, że nieszczęśliwe ofiary ze swej strony zechcą torować sobie wyjście. Znając przedsiębiorczy umysł Mrs. Pauliny Barnett, przypuszczał, że uczyni wszystko, co będzie w jej mocy, aby wydobyć się ze swego więzienia. Kilka narzędzi pozostało w domu, a nawet cieśla Kellet przypomniał sobie, że jego motyka została w kuchni. Więźniowie więc mogli byli wyłamać drzwi i zacząć kopać korytarz. Ale ponieważ kopać mogli tylko w kierunku poziomym, praca ich więc przedłużyłaby się nieskończenie, gdyż o ile zwałisko liczyło tylko do sześćdziesięciu stóp wysokości, ciągnęło się ono na pięćset stóp wzdłuż. Więźniowie nie mogli zdawać sobie sprawy z tego, ani też, że przed tygodniem nie byłiby w stanie ukończyć swej pracy. A do tej pory żywności, wody, a przede wszystkim powietrza zabrakłoby im niechybnie!

Jasper Hobson nasłuchiwał uważnie, czy jaki odgłos nie da się słyszeć od wnętrza, ale głuche panowało milczenie.

Tymczasem pracownicy wraz z nadejściem dnia zdwoili starań. Praca szła sprawnie dzięki ustawionemu rusztowaniu, które wstrzymywało ruchomy piasek. Kilka brył lodowych stoczyło się z góry lecz, zatrzymane w porę, nie wywołały żadnego groźnego wypadku, prócz lekkiego obrażenia, któremu uległ jeden z żołnierzy. Dzielny człowiek nie przerwał jednak swego zalecia

Dzień więc przeszedł spokojnie. O czwartej głębokość studni dosięgła pięćdziesięciu stóp, to jest tyle, ile według obliczenia Mac Nap'a, wynosiła głębokość zwałiska.

Tymczasem, ku wielkiemu swemu rozczarowaniu i rozpacz, Mac Nap nie natrafił na dach domu.

Stał przez chwilę nieruchomy patrząc na swego pomocnika Sabine.

– Nic? – spytał myśliwy.

– Nic, – rzekł cieśla. – Nic. Kopmy dalej. Dach mógł ugiąć się pod naporem, lecz nie podłoga strychu. Jeżeli po wykopaniu dziesięciu stóp nie natrafimy na podłogę, to...

Mac Nap zamilkł, nie dokończywszy złowroziej wróżby i wrócił do swej pracy.

O szóstej wieczorem wykopano dziesięć do dwunastu stóp, poczem Mac Nap zapuścił oskard. Nie natrafił jednak na żaden opór.

Cieśla, rzucając swe narzędzia, schwycił się za głowę.





– Nieszczęśliwi! – szepnął.

Poczem przy pomocy poprzecznych belek dotarł do otworu studni, gdzie czekali na niego porucznik Hobson i sierżant Long, w najwyższym niepokoju.

Wziąwszy ich na stronę, Mac Nap opowiedział im całą grozę położenia.

– A zatem – rzekł porucznik – dom uległ również zmażdżeniu i ci nieszczęśliwi...

– Nie, – odrzekł cieśla stanowczo – nie, dom nie został zmażdżony, to niemożliwe wobec silnego jego podparcia!

– Więc cóż się stało? – zawołał porucznik ze łzami w oczach.

– Prawdopodobnie grunt, na którym wznosił się dom, ugiął się pod ciężarem, pogrążając go w otchłań oceanu poprzez podstawę lodową, a nieszczęśliwe ofiary...

– Utonęły! – zawołał sierżant Long.

– Tak! sierżancie! utonęły, zanim sobie mogły zdać sprawę z wypadku! Utonęły jak podróżni na tonącym okręcie!

Przez chwilę stali wszyscy trzej bez ruchu. Przypuszczenie Mac Nap'a było bliskie prawdy. Nic prostszego nad to ugięcie się gruntu pod ciężarem zwału lodowego. Dom, dzięki belkom, które go podpierały, musiał przerwać opór podstawy lodowej i



zniknąć w otchłani wód.

– A więc, – rzekł porucznik Hobson, – jeżeli nie możemy ocalić ich żywych...

– Tak, – odparł Mac Nap, – to odnajdziemy przynajmniej ich ciała!

Po tych słowach Mac Nap wrócił do swej pracy. Porucznik podążył za nim.

Całą noc trwało kopanie. Podczas gdy żołnierze, zmieniając się co godzinę, nie ustawali w pracy, Mac Nap i Jasper Hobson zawisli nad nimi na belkach.

O trzeciej zrana, oskard Kellet'a, zatrzymawszy się nagle, wydał suchy dźwięk. Mac Nap odczuł raczej ten dźwięk, niż go usłyszał.

– Dotarliśmy, – zawołał żołnierz. – Ocaleni!

– Milcz i nie przerywaj pracy! – rzekł na to Jasper Hobson głosem zmienionym.

W tej chwili upłynęło siedemdziesiąt sześć godzin od zasypania domu.

Kellet i jego towarzysz powrócili do swej pracy. Głębokość studni dosięgała prawie poziomu morza, Mac Nap zatem stracił wszelką nadzieję.

Po dwudziestu minutach odkopano przedmiot, o który zawadził był oskard. Była to jedna z krokwi dachu. Mac Nap,

zeskoczywszy z belki, zsunął się w głąb studni, schwycił za motykę i począł gwałtownie odrzucać łąty dachu. Po kilku chwilach wejście do domu było wolne...

W otworze zamajaczyła zaledwie dostrzegalna postać w cieniu.

Była to Kalumah!



– Na pomoc! na pomoc! – wymówiła słabym głosem Eskimoska.

Jasper Hobson wsunął się do wnętrza. Ogarnęło go niezwykle chłodne powietrze. Woda sięgała mu do pasa. Dach nie ugiął się był pod naporem, lecz, jak to przypuszczał Mac Nap, dom pogrążył się w warstwie lodowej, dając dostęp wodzie, która jednak nie zalała jeszcze całej wysokości strychu. A zatem jeszcze nie było wszystko stracone!

Porucznik Jasper Hobson, posuwając się wśród ciemności, natknął się na ciało bez ruchu, które pociągnął do otworu, skąd wydostali je Pond i Kellet. Było to Tomasz Black.

wydostali je i Olli i Kellel. Był to Tomasz Diack.

Następnie wydostano ciało Madge. Zapomocą sznurów wyciągnięto ciała obojga nazewnątrz studni, gdzie pod wpływem świeżego powietrza powrócili do przytomności.

W domu pozostała tylko Mrs. Paulina Barnett. Jasper Hobson, prowadzony przez Kalumah, dotarł do krańca strychu, gdzie ujrzał podróżniczkę, stojącą bez ruchu, z głową tylko wystającą ponad wodę. Zdawało się, że jest martwa.

Jasper Hobson wziął ją na ręce, zaniósł do otworu, i po chwili Mac Nap, Kalumah, porucznik i Mrs. Paulina Barnett ukazali się u wyjścia studni.

Wszyscy oczekiwali ich z rozpaczą w sercach.

Młoda Eskimoska, sama zaledwie żywa, rzuciła się na ciało podróżniczki.

Mrs. Paulina Barnett oddychała jeszcze. Serce dawało znaki życia. Świeże powietrze dobroczynnie podziało na jej wycieńczony organizm. Po chwili otworzyła oczy.

Okrzyk radości wyrwał się z piersi jej towarzyszy, okrzyk wdzięczności sięgnął pod niebiosa i odbił się w nich hymnem dziękczynnym.

Tymczasem słońce ukazało się na horyzoncie, rzucając swe promienie w przestworza.

Mrs. Paulina Barnett, nadludzkim wysiłkiem woli, wstała, a ogarniając wzrokiem horyzont, rzekła z osobliwym brzmieniem

w głosie:

– Morze! morze!

Istotnie, z obu stron horyzontu, od wschodu i zachodu, morze, oswobodzone ze swej powłoki lodowej, płynnym pierścieniem okalało wyspę ruchomą!



## Rozdział XIX

### *Morze Berynga.*



wał lodowy, porwany prądem podmorskim, napierał na wyspę z taką siłą, że przepłynęła ona cieśninę, nie zatrzymawszy się u jej brzegów, stąd zaś dostała się do morza Berynga, dążąc do cieplejszych wód, gdzie czekała ją niechybna zagłada!

Mrs. Paulina Barnett, oprzytomniawszy, opowiedziała w krótkich słowach dzieje swego zasypania. Tomasz Black, Madge, młoda Eskimoska usłyszeli odgłos spadającej lawiny.

Rzucono się do drzwi i okien, ale wyjścia już nie było. Prawie jednocześnie usłyszano łoskot brył lodowych, spadających na faktorię.

Nie upłynęło kwadransu, gdy dom pod naporem mas lodowych zaczął się pogrążyć w głąb wyspy. Podstawa lodowa pękła. Woda przedostała się do domu.

Nieszczęśliwi więźniowie, nie tracąc chwili czasu, zabrali z sobą żywność i schronili się na strych. Był to odruch instynktu samozachowawczego, gdyż o ocaleniu nie mogło być mowy! W każdym razie wiedziano, że strych wytrzyma napór lawiny, tem bardziej, że lodowce, wspierając się wzajemnie, osłaniały go przed zbyt dużym naciskiem.

Do strychu dochodził z góry odgłos staczających się odłamów lodu, z dołu woda podnosiła się coraz wyżej. A więc groziło im zniażdżenie lub utonięcie.

Więźniowie musieli się schronić pod sam dach. Tam to pozostawali nieskończone godziny! Zaczynała młoda Eskimoska podawała wszystkim pożywienie, nie zważając na wodę zalewającą strych. Ocalenie mogło przyjść tylko z zewnątrz!

Położenie było straszne! Oddech stawał się coraz trudniejszy w ścieśnionem powietrzu, pozbawionem dostępu tlenu...

Do tortur fizycznych dołączyły się straszniejsze tortury moralne. Mrs. Paulina Barnett domyślała się, że przyczyną katastrofy był zwał lodowy, zasypujący wyspę i swym naporem przesuwający ją na południe. I dlatego pierwszymi słowami,

które wymówiła, były wyrazy: „Morze! morze!”

W tej chwili jednak nie zdawano sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. Wszyscy odczuwali tylko radość w sercu, patrząc na wyrwaną z objęć śmierci umiłowaną towarzyszkę, a wraz z nią Madge, Tomasza Black i Kalumah. Zresztą pomimo tylu ciężkich przeżyć, nie brakowało dotąd nikogo z towarzyszy porucznika Jasper Hobson'a.

Położenie wszakże stawało się coraz groźniejsze. Katastrofa zdawała się być nieuniknioną!

Pierwszem staraniem porucznika Hobson było sprawdzić położenie wyspy.

Pod szczątkami domu odnaleziono narzędzia astronomiczne Tomasza Black.

Niebo zasnuwane było chmurami, lecz od czasu do czasu zjawiało się słońce, porucznik przeto mógł dokonać potrzebnych mu pomiarów.

Okazało się, że tego to dnia, 12 maja, długość geograficzna wyspy wynosiła  $168^{\circ} 12'$  na zachód od południka Greenwich, szerokość zaś –  $63^{\circ} 37'$ , to jest, sądząc z mapy, wyspa znajdowała się w zatoce Norton, między przylądkiem azjatyckim Czaplin a przylądkiem amerykańskim Stephens, w odległości jednak przeszło stu mil od obu wybrzeży.

– Musimy więc wyrzec się wyładowania na stałym lądzie? – spytała Mrs. Paulina Barnett.

– Niezawodnie, – odrzekł porucznik – prąd unosi wyspę na pełne morze, nadzieja więc dostania się do lądu upada. Możemy tylko liczyć na okręt poławiaczy wielorybów, któryby przypadkiem znalazł się w tych stronach.

– Jeżeli nie do lądu – odezwała się podróżniczka – to może prąd skieruje nas ku jednej z wysp, licznie rozsianych po morzu Berynga?

Słaba to była nadzieja, ale nieszczęśliwi ci ludzie chwycili się jej, jak rozbitkowie chwytają się deski ratunku. Istotnie wysp nie brakowało na morzu Berynga. St. Laurent, St. Mathieu, Nouniwak, St. Paul, Georges i inne znajdowały się w okolicach, a nawet wyspa Victoria nie była zbyt oddalona od wyspy St. Laurent, okolonej licznymi wysepkami, a gdyby i to zawiodło, spodziewać się było można, że wyspa napotkawszy archipelag wysp Aleuckich, który znajduje się u południowego wyjścia morza Berynga, zatrzyma się w swym biegu.

Zapewne, wyspa St. Laurent byłaby dla nieszczęśliwych tych ludzi portem zbawienia, a jeżeli nie ona, to St. Mathieu lub jaka inna wysepka z licznych wieńca wysepek otaczających tę wyspę. Ale co do wysp Aleuckich, to były one oddalone na osiemset mil, trudno więc było przypuszczać, że do nich dotrzeć będą mogli! Wyspa Victoria zdążyła szybko do coraz cieplejszych wód, które niszcząc jej podstawę lodową, pogrąży ją siłą rzeczy w otchłanie oceanu, nie mówiąc już o działaniu słońca, w tym czasie wstępującego pod znak Bliźniat!

Obawa ta nie była płonna. W istocie, odległość, na jakiej

utrzymują się lodowce w stosunku do Równika, jest zmienna. Zwykle jest ona krótsza na południowej, niż na północnej półkuli. Spotykano niekiedy lodowce w okolicach przyłądka Dobrej Nadziei, to jest przy trzydziestym szóstym równoleżniku, tymczasem góry lodowe, dążące od morza Północnego, nie przechodzą nigdy czterdziestego stopnia szerokości geograficznej. Ale tajanie lodowców jest oczywiście zależne od stanu temperatury i warunków klimatycznych. O ile zima bywa ostra i długa, lodowce mogą utrzymać się nawet przy niskiej stosunkowo szerokości geograficznej, jeżeli zaś wiosna jest wczesna, dzieje się przeciwnie.

Otóż w owym to roku 1861, wiosna była wczesna, wyspa Victoria zatem zagrożona była zniweczeniem swej podstawy lodowej. Wody morskie straciły już swą barwę błękitną, którą zachowują w pobliżu gór lodowych, jak to był zauważył żeglarz Hudson – nabrały natomiast barwy zielonej. Należało więc być przygotowanym w każdej chwili na katastrofę.

Jasper Hobson, chcąc uprzeczyć niebezpieczeństwo, kazał zbudować tratwę, na której pomieściłby się mogła cała załoga. Mac Nap wybrał do tego odpowiednie drzewo, aby tratwa utrzymać się mogła ze swym ciężarem na powierzchni wody w chwili, gdy wyspa pogrążyć się zacznie.

Zanim jednak wzięto się do tej budowy, odkopano dom dla żołnierzy, który miał odtąd służyć schronieniem dla wszystkich mieszkańców faktorii.

Wydostano również ze szczątków głównego domu niektóre



przedmioty, mniej lub więcej użyteczne, jak narzędzia, broń, pościel, kilka sprzętów, pompy do wentylacji, rezerwowary z powietrzem itp.

Nazajutrz, 13 maja, stwierdzono, że wyspa Victoria oddaliła się od wyspy St. Laurent na wschód, że zatem wszelka nadzieja wylądowania na tej wyspie spełza na niczem. Pozostawały więc tylko wyspy Aleuckie, ciągnące się jak rozległe półkole na przestrzeni kilku stopni geograficznych, ale czyż podobieństwem było je dosięgnąć? Wprawdzie wyspę unosił prąd z niezmierną szybkością, lecz czyż nie było prawdopodobną rzeczą, że z chwilą gdy góry lodowe dla jakiegokolwiek przyczyny oderwą się od wyspy, lub też rozplyną się, wyspa zmniejszy szybkość swego biegu?

Porucznik Hobson, Mrs. Paulina Barnett, sierżant Long i cieśla Mac Nap rozmawiali często o tem i po wielu rozważaniach przyszli do wniosku, że wyspa w żaden sposób dopłynąć nie może do wysp Aleuckich, czy to dlatego, że bieg jej zmniejszy się, czy że znajdzie się poza obrębem prądu Berynga, czy wreszcie, że pod wpływem podwójnego działania słońca i wody pograży się w otchłaniach oceanu.

14 maja Mac Nap i jego pomocnicy rozpoczęli budowę tratwy. Głównem ich zadaniem było zbudować tratwę w ten sposób, ażeby mogła się unieść jak najwyżej ponad poziom fali, a tem samem ustrzec się od zalewu. Nie było to rzeczą łatwą, ale zapał pracowników nie cofnąłby się przed największą trudnością. Kowal Raë znalazł na szczęście w szczątkach składu,

przylegającego do obecnego ich domu, wielką ilość kołków żelaznych przywiezionych z fortu Reliance potrzebnych do silnego spojenia różnych części stanowiących szkielet tratwy.

Należy wspomnieć o miejscu, w którym tratwa miała się budować. Pomysł to był porucznika Hobson'a. Zamiast na ziemi, cieśla Mac Nap układał belki i słupki na powierzchni jeziora. Każdą część tratwy odpowiednio przygotowaną spuszczano pojedynczo na powierzchnię jeziora, gdzie z łatwością można ją było dopasować. Sposób ten dostarczał podwójnej korzyści: 1) cieśla mógł przekonać się natychmiast o lekkości i równowadze tratwy, 2) skoro podstawa lodowa wyspy topnieć zacznie, tratwa będzie już na wodzie i uniknie wstrząśnień, których doznałaby mogła pod wpływem zmiany poziomu wyspy. Były to rzeczy tak ważne, że liczyć się z nimi należało.



Podczas gdy Mac Nap zajęty był budową tratwy, porucznik Hobson sam lub w towarzystwie Mrs. Pauliny Barnett zwiedzał

wybrzeże wyspy. Badał on stan morza i coraz to większe wgłębienia, które rysowały się na wybrzeżu pod wpływem zalewających je coraz bardziej fal. Wzrok jego błdził po horyzoncie, na którym nie było już śladu gór lodowych. Napróżno szukał na nim, jak wszyscy rozbitkowie, tego okrętu „który nie ukazuje się nigdy!” Pustkę oceanu przerywało tylko przejście kilku wielorybów, odwiedzających te wody zielone, w których znajdują mirjady mikroskopijnych zwierzątek, stanowiących jedyne ich pożywienie, lub też kilka drzew, które uniosły z cieplejszych krain prądy morskie.

Pewnego dnia, 16 maja, Mrs. Paulina Barnett i Madge przechadzały się w okolicach przylądka Bathurst i dawnego portu. Pogoda była piękna, powietrze ciepłe, śniegu ani śladu, tylko sterczące w północnej stronie wyspy resztki zwału lodowego przypominały swym widokiem krainę polarną. Z tych brył lodowych wszakże zaczynały się sączyć strumienie, świadczące o powolnem ich tajaniu pod wpływem słońca, które niebawem zniweczyć je miało.

Widok wyspy Victoria wart był podziwu! Wiosna okazała się dla niej niezwykle hojna w tym pamiętnym roku. Bujna roślinność pokrywała ziemię. Mchy, małe kwiatki, zasiewy Mrs. Joliffe rozwijały się z szybkością niebywałą. Cała moc ożywcza ziemi, zdala od stron podbiegunowych, objęła swe panowanie, znacząc swą siłę nie tylko obfitością roślin, lecz żywym ich ubarwieniem. Nie były to już nikłe odcienia, lecz ciepły koloryt odpowiadający blaskowi słońca. Na drzewach widniała ciemna zieleń, pączki nabrzmiałe ciepłymi sokami rozchyły swe listki,

temperatura bowiem dochodziła do sześćdziesięciu ośmiu stopni Fahrenheit'a (+ 20 Cels.). Przyroda stref północnych przeobrażała się na szerokości geograficznej równającej się szerokości Chrystjanji lub Sztokholmu, to jest słynnych ze swej roślinności krain stref umiarkowanych.

Atoli Mrs. Paulina Barnett nie podziwiała tej zmiany. Czyż przez to wyspa stawała się bardziej pewną i bardziej zbliżoną do stałego lądu? Nie. Przecucie bliskiej katastrofy zawładnęło całą duszą podróżniczki. Instynkt samozachowawczy odezwał się w niej tak silnie, jak w tych zwierzętach, które setkami garnęły się do faktorji, czując niebezpieczeństwo, grożące im niechybnie. Nawet wilki stały się mniej dzikie i z ufnością zbliżały się do swych dawnych wrogów, oddając się im jakby w opiekę. Szukały one ratunku u ludzi w chwili, gdy ludzie ci byli bezsilni. Był to jak gdyby hołd oddany wyższości ludzkiej wtedy właśnie, gdy wyższość ta była bez znaczenia.

Nic! Mrs. Paulina Barnett nie podziwiała piękna wyspy. Wzrok jej zawisł na tem morzu nieskończonem, którego jedynem tłem było sklepienie niebieskie.

– Biedna Madge, – rzekła, – z mojej to przyczyny czeka cię nieszczęście. Ty, która byłaś mi tak wierna, doczekałaś się tak okrutnego losu! Czy przebaczysz mi?

– Jednej rzeczy nie przebaczyłabym ci, moja córko, – odrzekła Madge, – to jest śmierci daleko od ciebie!

– Madge! Madge! – zawołała podróżniczka, – gdyby śmierć

moja ocalić mogła nieszczęśliwych mych towarzyszy,  
poświęciłabym życie bez wahania!

– Córko moja, – odezwała się Madge, – czy zwątpiłaś  
zupełnie?

– Zupełnie!... – szepnęła Mrs. Paulina Barnett, tuląc się w  
objęcia towarzyski.

Uczucie kobiece wzięło przewagę nad jej męskim umysłem,  
atoli czyż dziwić się można tej chwili słabości w tak ciężkich  
okolicznościach?



Mrs. Paulina Barnett szlochała! Łzy strumieniem płynęły z jej  
oczu!

Madge pocieszała ją pieśczołą i pocałunkami.

– Madge! Madge! – rzekła podróżniczka, podnosząc głowę –  
nie mów im, że płakałam!

– Nie powiem, – uspokajała ją Madge. – Zresztą, nawet  
odwbyłm powiedziałam nie uwierzyłiby mi. Jest to chwila słabości!

gdybym powróciła, nie uwierzyłoby mi jest to chyba śmiechem. Oddal ją od siebie, ty, duszo nas wszystkich tutaj! Bądź silna i ufaj!

– Więc ty ufasz jeszcze? – zawołała Mrs. Paulina Barnett, patrząc z podziwem na towarzyszkę.

– Ja ufam zawsze! – odrzekła Madge spokojnie.

A jednak, czy można było zachować bodaj iskierkę nadziei, gdy w kilku dni później wyspa Victoria, minawszy grupę wysp St. Mathieu, pozostawiła za sobą ostatnią ziemię, do której dopłynąćby mogła!



## Rozdział XX

### *Na pełnem morzu.*



Wyspa Victoria znajdowała się obecnie na najrozleglejszej części morza Berynga, o sześćset mil od wysp Aleuckich, a o dwieście mil od wschodniego wybrzeża lądu. Płynęła ona z równą zawsze szybkością. W każdym razie nie

Przytępnia ona z łowią zawsze szybkoscią. w kazym razie, nie zwalniając swego biegu, dotrzeć będzie mogła do lądu nie prędzej jak za trzy tygodnie.

Przetrwa li ona tę długą podróż wobec zmniejszającej się ciągle podstawy lądowej wystawionej na działanie ciepłych wód morskich, których średnia temperatura wynosiła pięćdziesiąt stopni Fahrenheit'a (+10° Cels.)?



Porucznik Hobson naglił z budową tratwy. Dolna jej część stała już na jeziorku. Mac Nap dokładał wszelkich starań, aby zapewnić trwałość budowli która miała ich doprowadzić do wysp Aleuckich, o ile szczęśliwym trafem nie spotkanoby jakiego okrętu poławiaczy wielorybów.

Tymczasem wyspa nie wykazywała znaczniejszej zmiany w swym zewnętrznym kształcie. Pomimo to zwiedzano ją z wielką ostrożnością, nie było bowiem wykluczone, że nastąpić może niespodziewane jej rozerwanie, które rozdzieliłoby oddalonych od reszty towarzyszy.

Szczelina, która się była otworzyła w pobliżu przylądka Michel i następnie zamknęła pod wpływem mrozu, obecnie zjawiała się na nowo, ciągnąc się na przestrzeni mili w głąb wyspy aż do dawnego łożyska rzeczki. Obawiano się nawet, ażeby nie posunęła się wzdłuż tego łożyska, już i tak wglębionego znacznie w podstawę lodową. Gdyby się to stało, zniknęłaby część wyspy, znajdująca się między przylądkiem Michel a portem Barnett, czyli przestrzeń kilku mil kwadratowych, gdyż wystarczyłoby silniejsze falowanie morza, aby oderwać tak ważną część wyspy.

Tymczasem w kilku miejscach zbadano grubość podstawy lodowej. Okazało się, że najwytrzymalszą jest ona w okolicach przylądka Bathurst, pod dawną faktorią, co było okolicznością bardzo szczęśliwą. Badając codziennie warstwę lodową, przekonano się, że zmniejsza się ona wciąż, aczkolwiek powoli. Wobec tego, trudno było spodziewać się, aby lód wytrzymał trzy tygodnie, tem bardziej, że wyspę unosił prąd coraz bardziej rozgrzany promieniami słonecznymi.

Od 19 do 25 maja trwała wciąż niepogoda. Zerwała się nawet dość gwałtowna burza z błyskawicami i piorunami. Fale morskie miotane wiatrem północnym zalewały wybrzeże wyspy. Rozkołysane morze kilkakrotnie nawet wstrząsnęło jej posadą. Mieszkańcy zaniepokojeni przygotowywali się do odjazdu na tratwie, prawie już wykończonej. Zaopatrzone ją nawet w nieco żywności i wody na wszelki wypadek.

Podczas tej nawałnicy deszcz spadł obficie ciepłymi, wielkimi



kropiami, które wsączywszy się w ziemię, dostawały się do warstwy lodowej, niszcząc jej trwałość. Na zboczach kilku pagórków ziemia, poryta, odsłoniła białą, zlodowaciałą skorupę. Zasypywano czem prędzej te otwory, aby ustrzec lód od bezpośredniego działania promieni słonecznych.

Burza poczyniła też niepowetowane szkody na lesistych wzgórkach okalających zachodnią część jeziora. Ziemia, podmyta gwałtowną ulewą, zsunęła się z korzeni drzew, które, pozbawione oparcia, padły w wielkiej liczbie. W ciągu jednej nocy zmienił się wygląd wyspy w okolicach portu Barnett i jeziora. Ocalało zaledwie kilka kęp brzoź i jodeł. Wszystko to świadczyło o destrukcyjnej pracy natury, przeciwko której moc ludzka była bezsilna. Porucznik Hobson, Mrs. Paulina Barnett, sierżant, czuli, że wyspa znika powoli, jeden tylko Tomasz Black, milczący, ponury, zdawał się nie być z tego świata.

23 maja, z rana, myśliwy Sabine, nie zważając na gęstą mgłę i nawałnicę, wyszedł z mieszkania. Niespodziewanie wpadł w szczelinę pełną wody, która się otworzyła w nocy na miejscu, gdzie dawniej stał główny dom faktorji.

Dotąd dom ten, w trzech czwartych pograżony w warstwie lodowej, zdawał się utrzymywać w swem nowem położeniu. Ale, prawdopodobnie, kołysanie morza wytrąciło go z równowagi, zapadł się wlec wraz z ziemią i piaskiem, któremi był zasypany, ustępując miejsca zalewającym go wodom.





Towarzysze myśliwego, usłyszawszy wołanie, przybiegli mu na pomoc w porę, gdyż tonąć zaczął.

Wkrótce potem spostrzeżono pływające po morzu belki i deski domu, niby szczątki zatopionego okrętu. Była to ostatnia szkoda, którą burza wyrządziła wyspie, ale szkoda tak znaczna, że mogła przyspieszyć zagładę wyspy, woda bowiem, dostawszy się do jej wnętrza, musiała niechybnie podważyć jej i tak kruchą podstawę.

25 maja wiatr zmienił kierunek na północno-wschodni, deszcz przestał padać, fale były mniej gwałtowne. Noc przeszła spokojnie, a nad ranem zjawilo się słońce, Jasper Hobson mógł więc dokonać pomiaru położenia wyspy, z którego dowiedział się, że wyspa znajduje się pod  $56^{\circ},13'$  szerokości i  $170^{\circ},23'$  długości geograficznej.

Wyspa zatem płynęła z niezmierną szybkością, od chwili bowiem gdy opuściła swe nieruchome stanowisko w cieśninie Berynga, dwa miesiące temu, przepłynęła ona około ośmiuset mil.

Niezwykła ta szybkość wzbudziła isierke nadziei w

poruczniku.

– Drodzy przyjaciele, – rzekł, pokazując towarzyszom na mapie morze Berynga. – Czy widzicie wyspy Aleuckie? Są one obecnie oddalone od nas o dwieście mil! W przeciągu ośmiu dni będziemy mogli dotrzeć do nich!

– Osiem dni! – odezwał się sierżant Long, potrząsając głową, – osiem dni, to bardzo długo!

– Dodam, – rzekł porucznik, że gdyby wyspa była utrzymała się na sześćdziesiątym południku, byłaby już na tym samym równoleżniku, co wyspy. Ale widoczną jest rzeczą, że płynie w kierunku południowo-zachodnim, w którym zbacza prąd Berynga.

Uwaga ta była słuszna. Prąd unosił wyspę zdala od lądu, a może nawet zdala od wysp Aleuckich, sięgających tylko do siedemdziesiątego południka.

Mrs. Paulina Barnett spoglądała na mapę w milczeniu. Nie odrywała wzroku od tego punktu, zaznaczonego ołówkiem, który wskazywał położenie wyspy. Na tej rozległej mapie punkt ten był pyłkiem wobec obszaru morza. Uprzytomniła sobie całą drogę przebiegu wyspy, tę drogę, którą ręka losu, a raczej niezmiennie prawo prądów prowadziło wśród tylu wysp, zdala od dwu lądów, do przestworzy oceanu Spokojnego!

Wreszcie ocknąwszy się ze swych smutnych myśli, rzekła:

– Czyżby nie można było nadać tej wyspie odpowiedniego

kierunku? Osiem dni jeszcze tej samej szybkości, a moglibyśmy dopłynąć do wysp Aleuckich!

– Osiem tych dni, to woła Boża! – odpowiedział porucznik Hobson poważnie. – Niewiadome, jak Bóg zechce nimi rozporządzić. W każdym razie, mówię pani szczerze, On jeden wyratować nas może.

– I ja tak sądzę, panie Hobson, – rzekła Mrs. Paulina Barnett, – ale Bóg żąda naszego współdziałania. Czy nie zaniedbaliśmy niczego dla naszego ocalenia?

Jasper Hobson potrząsnął głową. Dla niego jedynym ratunkiem była tratwa, ale nie wiedział, czy należało przenieść się na nią natychmiast, zaopatrzyć się w jakikolwiek żagiel z prześcieradeł lub koców i popłynąć ku najbliższemu wyrzeźu, czy też czekać na wyspie na dalsze wypadki.

Po naradzeniu się z cieślą Mac Nap, kowalem Raë i myśliwymi Marbre i Sabine, Jasper Hobson postanowił użyć tratwy w razie ostatecznym. W istocie tratwa mogła przedstawiać ostatnią tylko ucieczkę, gdyż będąc narażona na kołysanie fal, mogła nie wytrzymać ich naporu, a przytem szybkość z jakąby płynęła, nie mogła się porównać z szybkością wyspy, popychanej lodowcami ku południu. Co zaś do wiatru, to dmąc przeważnie ze wschodu, odrzucałby ją raczej od lądu, niż doń przybliżał.

Nie pozostawało więc nic innego, jak czekać cierpliwie, zważywszy, że wyspa płynęła z równą wciąż szybkością w stronę wysp Aleuckich. Dopiero w pobliżu tej grupy wysp

surową wyspę z licznymi lodami w pobliżu tej grupy wysp można było pomyśleć o tratwie.

A zatem za osiem dni miały się rozstrzygnąć losy nieszczęśliwych mieszkańców wyspy. Albo wyspa dążyć będzie z tą samą szybkością co dotąd w kierunku południowym i zatrzyma się przy archipelagu Aleuckim, albo uniesiona na południo-zachód do oceanu Spokojnego, znajdzie w nim niechybną zagładę.

Tymczasem nowy wypadek zwiększył niepokój znękanych mieszkańców wyspy. Szybkość jej biegu, która zdawała się być ich deską zbawienia, miała niebawem ulec zmianie.

Z 26 na 27 wyspa Victoria zmieniła jeszcze raz swe położenie, obracając się do półobrotu. Góry lodowe, graniczące z nią od północy, znalazły się wskutek tego obrotu na południu.

Z rana rozbitkowie – czyż można nazwać ich inaczej? – ujrzeli wschodzące słońce od strony przyłodka Eskimos, zamiast od strony portu Barnett.

Lodowce, wprawdzie zmniejszone przez działanie wiosennego słońca, były jeszcze na tyle znaczne, że wpływały na szybkość biegu wyspy.

Czy wraz ze zmianą położenia gór lodowych, nie należało przypuszczać, że oddzielią się one od wyspy, nie będąc z nią ściśle związane?

Nowe nieszczęście zawisło nad biednymi rozbitkami, nieszczęście, którego przecucie wyraziło się w rozpaczliwych

słowach żołnierza Kellet'a:

– Do wieczora stracimy naszą śrubę!

Kellet chciał przez to powiedzieć, że góry lodowe, znalazłszy się obecnie przed wyspą, nie omieszkają w krótkim czasie oddzielić się od niej. Istotnie, one to, znajdując się z północnej, strony wyspy, wpływały na jej szybkość, gdyż podwodna ich masa przewyższała kilkakrotnie ich wysokość nad poziomem morza. W ten sposób pogrążone w prądzie podmorskim udzielały wyspie szybkości, z jaką popychane były same przez prąd, szybkości, którejby wyspa mieć nie mogła, z powodu swego małego zanurzenia.

Tak! żołnierz Kellet miał słuszość. Wyspa była podobną do okrętu pozbawionego masztu i śruby.

Na słowa Kellet'a nie odpowiedział nikt. Tylko w kwadrans później szczyty gór lodowych runęły z hałasem, poczem porwane prądem odpływały od wyspy na południe, podczas gdy wyspa pozostała w tyle.





**Jules Verne**

**W KRAINIE BIAŁYCH  
NIEDŹWIEDZI**

**Powieść fantastyczna w dwóch częściach**

**(Rozdział XXI-XXIV)**


*Tłumaczyła Karolina Bobrowska*

*Ilustracje Férat i Beaurepaire*

*Nakład Księgarni Św. Wojciecha*

*Poznań 1925*





© Andrzej Zydorczak



## Część DRUGA

### Rozdział XXI

*W którym wyspa staje się wysepką.*



o upływie trzech godzin zwał lodowy zniknął za horyzontem. Wraz z nim straciła wyspa szybkość swego biegu. Siła bowiem prądu tkwi w niższych warstwach morza, nie zaś na jego powierzchni.

Zresztą stwierdzono to niebawem. Przez dwadzieścia cztery godzin po oderwaniu się gór lodowych wyspa Victoria posunęła się nie o całą milę.



Obecnie rozbitkowie liczyć mogli tylko na okręt poławiaczy wielorybów, któryby się zjawiał w tych okolicach i zechciał przyjść im z pomocą, zabierając ich czy to z wyspy, czy z tratwy, o ileby wyspa uległa zagładzie.

Wyspa znajdowała się wtedy pod 54°33' szerokości i 177°19' długości geograficznej, o kilkaset mil od najbliższej części lądu, to jest od archipelagu Aleuckiego.

Jasper Hobson zwrócił się tego samego dnia do swych towarzyszy, pytając, co należy przedsięwziąć wobec nowego nieszczęścia, jakie ich spotkało?

Wszyscy zgodzili się na jedno: nie opuszczać wyspy, dopóki nie rozpadnie się, gdyż wielkość jej zabezpieczała ją od kołysania morza, poczem dopiero gdy podstawa lodowa ostatecznie topnieć będzie, przenieść się na tratwę i czekać!

Czekać!

Tratwa była skończona. Mac Nap zbudował na niej budkę, w której pomieścić się mogła cała załoga. Przygotowano maszt i żagle. Tratwa była mocna. O ileby wiatr sprzyjał, a morze byłoby względnie spokojne, być może, że statek ten ocaliliby nieszczęśników.

– Wszystko jest możliwe – mówiła Mrs. Paulina Barnett – w ręku Tego, który kieruje wiatrem i falą!

Zapasu żywności nie było zbyt wiele, gdyż większa jej część została zasypana lawiną, na wyspie jednak zwierząt nie brakło,

jak również trawy, mchu i krzewów, którymi się karmiły, nietrudno więc było o nowe zapasy mięsa suszonego.

Naogół, zdrowie mieszkańców wyspy było dobre. Zima była łagodna, przejścia zaś moralne nie wpłynęły dotąd na ich stan fizyczny. Tylko losu swego oczekiwali z niezmiernym niepokojem. Myśl, że będą musieli powierzyć swe życie tej nikłej tratwie, oddanej na pastwę fal, przejmowała ich trwogą! Nie trzeba bowiem zapominać, że ludzie ci nie byli to marynarze, przyzwyczajeni do walki z żywiołem morskim, lecz żołnierze, przywykli do stałego lądu. Wyspa spoczywała na cienkiej warstwie lodu, ale, w każdym razie na tej warstwie lodu była ziemia, pokryta trawą i krzewami; zwierzęta przebywały na niej; nie poddawała się ruchowi fal i zdawała się być nieruchomą. Tak! miłowali oni tę wyspę Victoria, na której przepędzili dwa lata, te wyspę której znali wszystkie zakątki, którą zasiewali i która dotąd okazała się tak wierną, pomimo nieszczęść, jakie ją nawiedziły. Tak! nie opuszczą jej bez żalu i to dopiero w chwili, gdy odmówi im swego oparcia.

Jasper Hobson wiedział o przywiązaniu swych towarzyszy do wyspy i uważał je za rzecz zupełnie naturalną; wiedział również, że obawiają się oni żeglugi tratwą, ale że siłą wypadków opuścić będą musieli wyspę w krótkim czasie. Istotnie pewne ważne zjawiska zapowiadały się złowroźnie.

Tratwa była czworograniasta, o powierzchni tysiąca stóp; wznosiła się ona na dwie stopy nad poziomem wody; od zalewu fal broniły ją ścianki, gdy morze było spokojne, lecz przy



Porucznik Hobson pocieszył jednak strapiionych towarzyszy.

– Nie martwcie się. Lodu nie brak. Wystarczy kilka kawałków podstawy lodowej, mam zaś nadzieję, że nie wypijemy jej całej, – dodał, starając się uśmiechnąć.

Wiadomo, że woda słona, czy zamienia się w parę, czy też w lód, pozbywa się zawsze ilości soli, którą zawiera.

Wykopano więc kilka brył lodu i stopiono je nietylko dla użytku kuchennego, lecz i dla zaopatrzenia w wodę tratwy.

Nowe to zdarzenie było jednak przestroga, z którą należało się liczyć. Podstawa wyspy topniała widocznie, jej grunt zatem mógł zapaść się w każdej chwili, to też Jasper Hobson zakazał towarzyszom oddalać się, gdyż mogli być niespodzianie porwani prądem.

Zwierzęta, jak gdyby przeczuwając niebezpieczeństwo, garnęły się do ludzi, a w braku wody słodkiej, lizały wykopane bryły lodowe. W ich zachowaniu malował się niepokój, niektóre z nich były jak oszalałe, szczególnie wilki, które zjawiały się rozproszonem stadem, uciekając wnet z dzikiem wyciem. Zwierzęta o cennych filtrach gromadziły się około miejsca, w którym dawniej znajdował się dom i zabudowania. Niedźwiedź błądził w okolicy, nie czyniąc złego, ani ludziom, ani zwierzętom. Wiadomą było rzeczą, że i on przeczuwając niebezpieczeństwo, radby się przed nim uchronić.

Ptaki, dotąd liczne, zrywały się do odlotu na południe, dążąc w stronę wysp Aleuckich. Mrs. Paulina Barnett i Madge, widząc

odlatujące ptaki, ze smutnem wodziły za nimi wzrokiem.

– Jeżeli te ptaki, które mają dostateczne pożywienie na wyspie, odlatują, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett, to nie bez przyczyny!

– Zapewne, – odpowiedziała Madge, – instynkt niemi kieruje. My zaś powinniśmy skorzystać z tej przestrogi. Uważam również, że i zwierzęta objawiają niepokój, większy niż zwykle.

Owego to dnia Jasper Hobson kazał przenieść większą część żywności i przedmiotów na tratwę. Niebawem mieli wszyscy opuścić wyspę.



Ale właśnie w tym czasie zwiększyło się kołysanie morza, które obecnie udzielało się również jezioru zamienionemu wtargnięciem wód słonych na małe morze Śródziemne. Fale, ścieśnione małą jego objętością, objęły się o wybrzeże z niezwykłą gwałtownością, wywołując jak gdyby nawałnicę na jeziorze, a raczej na tej otchłani równie głębokiej, jak morze. Fale miały tratwę, zalewając ją ustawicznie. Musiano nawet

zaprześcić ładowania żywności i sprzętów.

W tym stanie rzeczy o przeniesieniu się na tratwę nie było mowy. Należało poczekać na uspokojenie się wzburzonego morza.

Noc przeszła względnie spokojnie. Wiatr przestał dąć, morze powoli uspokajając się zaczęło. Była to widocznie przelotna burza spowodowana przeładowaniem się elektryczności. O ósmej wieczorem kołysanie morza ustało prawie zupełnie, a powierzchnia jeziora falowała łagodnie.

Zapewne, wyspy ominąć nie mogła zagłada, ale przynajmniej nie groziło jej nagłe rozpadnięcie się, co było rzeczą możliwą, o ileby morze zalewało ją gwałtownymi pienistymi bałwanami.

Po burzy w powietrzu osiadła lekka mgła, która ku wieczorowi stała się gęstsza. Szła ona z północy, pokrywała więc większą część wyspy!



Jasper Hobson, przed udaniem się na spoczynek, obejrzał

starannie liny tratwy, które okręcono dokoła mocnych pni brzoźowych. Dla pewności wzmocniono je jeszcze bardziej. Zresztą, gdyby nawet tratwa oderwała się od wybrzeża, nie mogłaby zginąć w małym obrębie jeziora.



## Rozdział XXII

### *Cztery dni następne.*



oc przeszła spokojnie. Jasper Hobson przebudził się z zamiarem ostatecznego opuszczenia wyspy.

Chcąc się przekonać, co się dzieje z tratwą, podążył ku wybrzeżu jeziora.

Było ono spowite jeszcze w mgłę, lecz słońce dawało już znać o sobie; dzień zapowiadał się piękny.

Mrs. Paulina Barnett, Madge i kilku ich towarzyszy, podążyli również na wybrzeże.

Moła zaczęła się podnosić nad jeziorkiem ukazując

częściowo jego powierzchnię. Tratwy jednak nie było jeszcze widać.

Nagle wiatr się zerwał i rozproszył mgłę całkowicie...

Nie było tratwy! Nie było jeziora! Morze w całej swej pełni ukazało się oczom osłupiałych widzów.

Porucznik Hobson nie mógł powstrzymać okrzyku rozpaczony, a gdy on i jego towarzysze ogarnęli wzrokiem horyzont, jeden okrzyk wyrwał się z piersi wszystkich... Ich wyspa była już tylko wysepką!

Podczas nocy, bez hałasu, bez wstrząśnień sześć siódmych części terytorjum dookoła przylądka Bathurst oderwało się i pograżyło w otchłaniach morskich, a tratwa, znalazłszy swobodne ujście, była tak daleko, że wzrokiem nie można było jej dojrzeć!

Rozbitkowie, stojąc nad otchłanią, która lada chwila mogła ich pochłonąć, bez żadnej możliwości ratunku, poddali się najwyższej rozpaczony. Kilku żołnierzy, jak gdyby oszalałych, chciało się rzucić w morze i tylko Mrs. Paulina Barnett zdolna była ich powstrzymać. Inni płakali.

Istotnie. Położenie było bez wyjścia. Większa część wyspy, a wraz z nią pagórki lesiste, znikły bezpowrotnie. O budowie nowej tratwy mowy być nie mogło. Życie rozbitków zależne było obecnie od czasu trwania wysepki, której podstawa lodowa zaledwie dni kilka wytrzymać mogła, zważywszy, że działo się to w czerwcu, gdy temperatura średnia przewyższała



użłło się to w ciałowcu, gęty temperatura średnia przewyższala sześćdziesiąt osiem stopni Fahrenheit'a (+ 20° Cels.).

Porucznik Hobson udał się niezwłocznie w głąb wysepki, aby stwierdzić, czy nie należało schronić się w miejscu, gdzie podstawa lodowa była trwalszą. Mrs. Paulina Barnett i Madge towarzyszyły mu w tej wycieczce.

– Czy ufasz zawsze? – spytała Mrs. Paulina Barnett swej wiernej towarzyszki.

– Zawsze! – odpowiedziała Madge.

Mrs. Paulina Barnett zamilkła.

Wybrzeże od przylądka Bathurst do przylądka Eskimos, to jest na przestrzeni ośmiu mil, było nienaruszone.

Część wyspy oddzieliła się wzdłuż linii krzywej, poczynającej się od przylądka Eskimos, a ciągnącej się aż do ostatecznego krańca jeziorka w głąb wyspy. Od tego miejsca wybrzeże wyspy tworzył brzeg jeziorka. W jego części górnej widniała szczelina, ciągnąca się od przylądka Bathurst do dawnego portu Barnett. Wysepka więc miała kształt wydłużonego paska, szerokości jednej tylko mili.

Ze stu czterdziestu mil kwadratowych, tworzących powierzchnię wyspy, pozostało zaledwie niecałych dwadzieścia!

Po starannem obejrzeniu kształtu wysepki, Jasper Hobson doszedł do wniosku, że najgrubsza warstwa podstawy lodowej znajduje się niezmiennie pod dawną faktorją. Uważał więc za wskazane nie opuszczać obozowiska. zwierezeta również.

instynktownie nie oddaliły się od swego dawnego schronienia.

Zauważono wszakże, że znaczna liczba przeżuwaczy i gryzoniów i większa część błądzących psów zniknęły wraz z oderwaną częścią wyspy. Niedźwiedź oszalały błądził po wysepce i krążył dookoła niej, jak dziki zwierz w klatce.

Okolo piątej Jasper Hobson i jego dwie towarzyszki powrócili do domu. Zastali w nim zebranych mężczyzn i kobiety, oddanych głuchej rozpaczce. Mrs. Joliffe przygotowywała jakąś skromną strawę. Myśliwy Sabine, mniej przygnębiony od swych towarzyszy, upatrywał zwierzynę, aby zwiększyć szczupłe zapasy żywności. Co do astronoma, usiadł on na uboczu, patrząc na morze wzrokiem obojętnym! Zdawało się, że nic go zadziwić nie było w stanie!

Jasper Hobson opowiadał towarzyszom o rezultatach swej wycieczki. Polecił im, aby nie opuszczali obecnego obozowiska, gdyż nowa szczelina grozi oderwaniem na pół drogi od przylądka Eskimos. Wysepka zatem zmniejszy niebawem swój rozmiar! I wobec tego mieszkańcy byli bezsilni.

Dzień był niezwykle ciepły. Bryły lodowe tajały same przez się. Na urwistych częściach wybrzeża ze skorupy lodowej płynęły wąskie strumienie, wpadając do morza. Poziom wysepki obniżył się widocznie pod wpływem niszczącego działania rozgrzanej promieniami słońca wody.

W obozowisku nikt nie spał tej nocy. Któż bowiem mógł myśleć o spoczynku, gdy lada chwila otchłań otworzyć się

mogła, któż, jeśli nie dziecko, uśmiechające się do matki i tulące w jej objęciach?

Nazajutrz, 4 czerwca, słońce ukazało się w całej pełni na niebie, na którym nie było najlżejszej chmurki! Noc wszakże nie przyniosła żadnej zmiany w obszarze wysepki.

Owego to dnia jeden z niebieskich lisów schronił się do domu i nie chciał zeń wyjść. Reszta zwierząt garnała się doń coraz bliżej. Tworzyły one jakby stado zwierząt domowych. Wilków tylko widać nie było. Prawdopodobnie musiały zginąć wraz z oderwaną częścią wyspy. Niedźwiedź, jakby wiedziony przecuciem, nie oddalał się od przylądka Bathurst, a zwierzęta o cennych futrach zajęte swym losem zdawały się nie spostrzegać jego obecności. Rozbitkowie również nie zwracali nań uwagi. Wspólne niebezpieczeństwo zrównało poziom instynktu z poziomem rozumu.

Nieco po południu rozbitkowie doznali osobliwego wzruszenia, które miało niebawem zmienić się w tem okrutniejsze rozczarowanie.

Myśliwy Sabine, który z najwyższego punktu wysepki przypatrywał się morzu, zawołał nagle:

– Okręt! okręt!

Wszyscy rzucili się ku niemu. Jasper Hobson, nie mogąc wymówić słowa, spojrzał pytająco na myśliwego.

Sabine wskazał na rodzaj dymu białego unoszącego się w kierunku wschodnim na skraju horyzontu. Spoglądano w

milczeniu na okręt zarysowujący się coraz wyraźniej na nieboskłonie. Nikt nie śmiał się odezwać.

Był to istotnie okręt, prawdopodobnie poławiaczy wielorybów. Przypuszczenie stało się pewnością, gdy po upływie godziny zobaczono wyraźnie jego kadłub.

Niestety, okręt ten ukazał się na wschodzie, to jest w stronie przeciwległej kierunkowi wysepki. Okręt ten przypadkowo znalazł się w tych stronach, a jeżeli nie spotkał tratwy, nie mógł domyślać się nawet obecności rozbitków.

A skądinąd, czy okręt ten mógł dojrzeć wysepkę, tak małą wzniesioną nad poziom morza? Czy zboczy w jej kierunku? Czy dojrzy sygnały? Wśród dnia, wśród promieni słonecznych było to prawie niepodobieństwem! Podczas nocy można było zapalić kilka desek z domu, które blaskiem swego płomienia zwróciłyby uwagę nawet na znacznej odległości. Ale czy okręt nie zniknie przed nocą? Nie omieszkało jednak dać sygnałów ogniem i strzałami.

Tymczasem okręt się zbliżał! Poznano nawet, że to trójżagłowiec, prawdopodobnie poławiacz wielorybów z Nowego Archangelska, który okrążywszy półwysep Alaski żeglował ku cieśninie Berynga. W tej chwili płynął on przed wyspą w kierunku północnym. Marynarz byłby poznał od razu, że okręt nie zdąży w stronę wysepki. Rozbitkowie jednak łudzili się nadzieją, że może dojrzy ich wysepkę.

– Jeżeli dojrzy, – szepnął Jasper Hobson, do ucha

sierżantowi, – tem bardziej oddalać się będzie.

Jasper Hobson nie mylił się. Okręty, żeglujące w tych okolicach, obawiają się najwięcej zjawienia się gór i wysp lodowych! Są to błędne skały, o które okręt łatwo rozbić się może, zwłaszcza podczas nocy. To też, ujrzawszy je, żeglarze zmieniają natychmiast kierunek, w którym płynęli dotąd.

Czy okręt ten nie postąpiłby tak samo, dostrzegłszy wysepkę?



Niepodobna prawie opisać stanu duszy rozbitków, miotanych naprzemian nadzieją i rozpaczą! Do godziny drugiej zdawało im się, że Opatrzność zlituje się nad nimi, posyłając im ratunek w postaci płynącego ku nim okrętu. Okręt jak gdyby zbliżał się do nich, zdawał się być nie dalej nad sześć mil. Podwoili sygnały, palili deski domu, wznecając olbrzymi płomień.

Napróżno! Albo okręt nie dostrzegł niczego, albo też dostrzegł lodową wysepkę i uciekał od niej!

O pół do trzeciej widoczne było, że kieruje się w stronę

północno-wschodnią.

Po upływie godziny widniał już tylko obłok biały, który wkrótce znikł zupełnie.

Jeden z żołnierzy, Kellet, roześmiał się wtedy dziko, poczem rzucił się na ziemię, tarzając się na niej, jak szaleniec.



Mrs. Paulina Barnett spojrzała pytająco na Madge, jak gdyby szukając u niej otuchy.

Madge odwróciła głowę!...

Wieczorem tego nieszczęsnego dnia dał się słyszeć trzask oddzielającej się większej części wysepki. Przerażliwe wycia zwierząt rozległy się wśród nocnego mroku. Z wysepki pozostała tylko część wybrzeża, ciągnącego się od miejsca, gdzie stała dawniej faktorja, do przylądka Bathurst.

Pozostał tylko odłam lodowca!



## Rozdział XXIII

### *Na lodowcu.*



Był to tylko lodowiec, lodowiec o kształcie nieprawidłowego trójkąta, liczącego sto stóp podstawy i sto pięćdziesiąt stóp w swym najdłuższym boku! A na tym lodowcu, dwadzieścia jeden istnień ludzkich, setka zwierząt o cennych futrach, kilka psów i niedźwiedź, skulony w tej chwili na jego szczycie!

Tak! wszyscy mieszkańcy dawnego fortu znajdowali się na nim! Nie brakował ani jednego! Oderwanie części wysepki zaskoczyło ich w chwili, gdy wszyscy byli w mieszkaniu. Los ich ocalał, chcąc zapewne, aby do ostatniej chwili pozostali razem!

Noc była straszna. Nie mówiono, nie poruszano się nawet, obawiając się, ażeby najmniejsze wstrząśnienie nie podważyło równowagi podstawy lodowej!

Nie tknięto nawet pożywienia, które im podała Mrs. Joliffe. Na co się ono zdało?

Większa część nieszczęsnych rozbitków spędziła noc na powietrzu. Woleli oczekiwać śmierci na swobodzie, niż wśród ciasnego obrębu mieszkania!

Nazajutrz, 5 czerwca, słońce weszło w całym swym blasku nad głowami tych nieszczęśników! Nie odzywali się prawie do siebie. Odwracali się jedni od drugich, lub spoglądali błędnym wzrokiem na horyzont, którego ośrodkiem był nikły kawałek lodu.

Morze było pustynne. Ani żagła, ani wyspy lodowej, ani nawet kry. Wyspa, na której znajdowali się, była jedynym stałym punktem na morzu Berynga!

Powietrze stajało się coraz gorętsze. Najłżejszy powiew nie przerywał ciszy w atmosferze. Przeciągłe kołysanie usypiało z wolna ten ostatni kawałek ziemi i lodu, który pozostał z wyspy Victoria. Wznosił się i opadał, nie ruszając się z miejsca, jak szczątek z okrętu, bo czemże był innym, jeżeli nie szczątkiem jedynie!

Ta była jednak różnica, że deska z kadłuba, że kawałek masztu, że roztrzaskana reja, mogły płynąć dowoli po falach, gdy nieszczęśliwy ten lodowiec rozplynać się mógł nagle pod wpływem kilku silniejszych promieni słońca!...

Lodowiec ten, jeżeli się dotąd utrzymał, to dlatego, że był najgrubszą częścią podstawy lodowej wyspy. I obecnie musiał przedstawiać dość znaczną grubość. Długotrwałe mrozy morza Polarnego przyczyniły się do niej wtedy. Gdy przyladek Bathurst



był najbardziej wystającą częścią lądu Ameryki.

Wznosił się on dotąd na pięć do sześciu stóp nad poziom morza, należało więc przypuszczać, że i podstawa jego nie jest mniejsza. Nie groziło mu więc nagle załamanie się, wszelako powoli zamieniał się on w wodę, co było widoczne na jego brzegach, które roztapiały się pod wpływem obmywających go ustawicznie fal, usuwając raz po raz kawałek ziemi, pokrytej zielenią, w głębiny morskie.

Tego rodzaju usunięcie się ziemi zdarzyło się tego samego dnia, około pierwszej po południu w tej części wysepki, w której znajdowało się mieszkanie rozbitek. Na szczęście w mieszkaniu nie było nikogo w tej chwili, lecz uratować go nie było można, wyjąwszy kilka desek i słupków, stanowiących część pokrycia dachu. Wraz z niem zginęły prawie wszystkie narzędzia astronoma. Mieszkańcy musieli się schronić na najbardziej wyniosłą część lodowca, nie mając już dachu nad głową.

Tam to znajdowały się jeszcze niektóre z narzędzi, pompy i rezerwoar do wentylacji, który Jasper Hobson obrócił na zbiornik wody podczas padającego ulewnie deszczu. Tym sposobem zaopatrzone się w pewien zapas wody, której lodowiec dostarczać już nie mógł, oszczędzano bowiem każdy najdrobniejszy jego kawałek.

Okolo czwartej, żołnierz Kellet, ten który już przejawiał był pewne wytrącenie z równowagi umysłowej, zbliżył się do Mrs. Davliwy Bennett i rzekł do niej spokojnie:

Paulina Barnett i rzekł do niej spokojnie:

– Proszę pani, idę się utopić.

– Co mówisz, Kellet! – zawołała podróżniczka.

– Powtarzam, że idę utopić się, – rzekł powtórnie żołnierz. – Zastanawiałem się długo. Żadnego wyjścia niema. Wolę umrzeć dobrowolnie.

– Nie zrobisz tego, Kellet, – odpowiedziała na to Mrs. Paulina Barnett, biorąc go za rękę, – nie zrobisz tego!

– Owszem, zrobię, ale ponieważ pani była zawsze dobra dla nas, nie chciałem umrzeć, nie pożegnawszy się z panią. Żegnaj panią!

Po tych słowach Kellet odszedł w kierunku morza. Mrs. Paulina Barnett pobiegła za nim, usiłując go powstrzymać. Na jej wołanie przybiegli porucznik Hobson i sierżant. Ale próżne były ich wysiłki. Nieszczęśliwy żołnierz potrząsał tylko przecząco głową.

Nie było sposobu trafić do tego wykolejonego umysłu. A jednak widok tego szaleńca rzucającego się w morze mógł być zaraźliwy. Niejeden z żołnierzy pod wpływem rozpaczyny mógł zapragnąć tej samej śmierci. Niezbędną więc było rzeczą przeszkodzić zbrodniczemu zamiarowi.

– Kellet, – rzekła wtedy Mrs. Paulina Barnett, przemawiając do niego łagodnie, prawie z uśmiechem, – żywisz dla mnie przyjazne uczucie, nieprawdaż?

– Tak, pani, – odpowiedział Kellet spokojnie.

– A zatem, Kellet, jeżeli chcesz, umrzemy razem... tylko nie dzisiaj.

– Dlaczego?

– Nie jestem jeszcze gotowa... jutro, dobrze, jutro...

Żołnierz utkwiał wzrok w dzielnej kobiecie. Zdawało się, że waha się przez chwilę, spoglądając z dziką pożądlivością na morze, poczem, zakrywszy oczy ręką, rzekł:

– A więc jutro! – i odszedł spokojnym krokiem do swych towarzyszy.

– Biedny, nieszczęśliwy człowiek! – wyszeptała podróżniczka.  
– Prosiłam go, aby się zatrzymał do jutra, nie wiem zaś, czy do tej pory nie będziemy już pogrążeni w otchłani...!

Noc tę spędził Jasper Hobson nieruchomo na wybrzeżu. Zastanawiał się, czy nie było można jakim sposobem powstrzymać tajania wyspy; aby dopłynąć nią do jakiegokolwiek lądu.

Mrs. Paulina Barnett i Madge nie rozłączały się ani na chwilę. Kalumah usiadła u stóp swej pani, chcąc ciałem swem rozgrzać zziębłe jej członki. Mrs. Mac Nap, otulona futrami, zdrzemnęła się, tuląc swe dziecko do łona.

Gwiazdy świeciły blaskiem nieporównanej czystości. Rozbitkowie, rozciągnięci tu i tam, swą martwą postawą przypominali trupy porzucone na szczątkach okrętu. Żaden

odgłos nie przerywał tej złowrogiej ciszy. Tylko szmer fali podmywającej lodowiec dochodził do uszu jak wieszczba złowróźbna.

Sierżant Long od czasu do czasu wstawał, starając się przeniknąć otaczającą go ciemność, poczem kładł się na nowo. Na krańcu lodowca niedźwiedź, zwinięty w biały kłęb, spoczywał nieruchomo.

Wreszcie straszna ta noc minęła bez znacniejszego wypadku! Niskie poranne opary zabarwiły się od wschodu płowym odcieniem. Na zenicie obłoki zniknęły, ustępując miejsca promieniom słonecznym, które rozświetliły powierzchnię wód.

Porucznik ogarnął wzrokiem wyspę. Obwód jej zmniejszył się, ale co ważniejsza, wysokość jej nad poziomem morza obniżyła się znacznie. Fale, pomimo słabego kołysania morza, pokrywały większą część lodowca. Tylko wierzchołek był od nich wolny.

Sierżant Long z niepokojem obejrzał wybrzeże wysepki. Zmiany zaszły w nocy były tak widoczne, że nie miał już żadnej nadziei.

Mrs. Paulina Barnett podeszła do porucznika.

– A więc nastąpi to dzisiaj? – spytała.

– Tak, pani, – odpowiedział porucznik, – dotrzyma więc pani słowa danego żołnierzowi Kellet!

– Panie Jasper, – spytała poważnie podróżniczka, – czy

spełniłmy wszystko co do nas należało?

– Wszystko.

– A więc niech się spełni wola Boża!

Wszelako owego to dnia dokonano ostatniej rozpaczliwej próby. Zerwał się wiatr z nad morza, to jest dmący w kierunku południowo-wschodnim czyli w stronę najbliższych znajdujących się wysp Aleuckich. W jakiej były one odległości, tego sprawdzić nie było można, odkąd narzędzi astronomicznych zabrakło. Lodowiec jednak nie mógł płynąć szybko, wiatr bowiem nie wpływał na jego bieg, jedynie prąd podmorski mógł go z sobą unosić.

Łudzono się jednak. A gdyby lodowiec ten, wbrew możliwości, był bliżej ziemi niż przypuszczano! Gdybyż jaki nieznany prąd unosił go w stronę tak upragnionych wysp Aleuckich! Wiatr dał w stronę tych wysp, pomógłby więc biegowi lodowca, gdyby prąd go unosił. Gdybyż lodowcowi pozostawało tylko kilka godzin drogi, gdybyż za kilka godzin ziemia ukazać się mogła, lub przynajmniej łódź rybacka, która nie oddala się nigdy daleko od brzegu!

Nagle w umyśle Jasper Hobson'a, powstała myśl, zrazu niejasna, która niebawem zaczęła w nim nurtować. Dlaczegoż nie miałby zastosować do tego lodowca żagla, tak jak to uczyniłby z tratwą? Nie było to bynajmniej trudną rzeczą.

Jasper Hobson podzielił się swym pomysłem z cieślą Mac Nap.

– Pan porucznik ma słuszość. Spróbujmy żagli.

Zamiar ten, jakkolwiek nie przedstawiał powodzenia, podniósł na duchu biednych tych nieszczęśników, którzy go się uchwycili jako ostatniej nadziei ratunku.

Wszyscy wzięli się do dzieła, nawet Kellet, który jakoby zapomniał o obietnicy danej mu przez Mrs. Paulinę Barnett.

Słup, ocalony przy zapadnięciu się domu dla żołnierzy, wbito w ziemię na wzgórk. Liny, zawieszono w górze słupa przytrzymały go odpowiednio. Do reji, utworzonej z mocnego draga, przyczepiono pozostałe prześcieradła i koce, reję zaś wzniesiono do wysokości masztu. Żagiel, a raczej ten zbiór żagli, skierowany w odpowiednim kierunku, wydał się pod wpływem wiatru, a z brzozy utworzonej na morzu, należało wnioskować, że lodowiec, przyspieszywszy biegu, dąży w kierunku wysp Aleuckich.

Na ten widok ożywiły się serca nieszczęśliwych rozbitków. A zatem wysepka płynęła, nie stała wciąż na jednym miejscu. Ruch ten, aczkolwiek powolny, napełnił wszystkich otuchą. Cieśla był szczególnie zadowolony z rezultatu swej pracy. Wszyscy zresztą nateżonym wzrokiem wpatrywali się w horyzont, a gdyby im był kto powiedział, że ziemia nie ukaże się ich oczom, nie uwierzyliby mu nigdy!

A jednak tak być miało.

Lodowiec płynął przez trzy godziny po spokojnych wodach morza. Ani wiatr ani fale nie przeciwstawiły się jego biegowi.

przeciwnie, fale sprzyjały mu raczej. Ale na horyzoncie nie zarysowywała się żadna ciemna plama. Wszelako nieszczęśni ufali wciąż.

Około trzeciej po południu Jasper Hobson, oddaliwszy się z sierżantem, rzekł do niego:

– Wprawdzie płyniemy, lecz kosztem mocy i trwałości naszej wyspy.

– Co pan chce przez to powiedzieć, panie poruczniku?

– Chcę przez to powiedzieć, że lodowiec pod wpływem silniejszego tarcia wody zużywa się i kruszy, i że od chwili, jak zawiesiliśmy żagiel, zmniejszył się o jedną trzecią.

– Czy pan jest tego pewien, panie poruczniku?

– Najzupełniej. Lodowiec wydłuża się, staje się węższy. Patrz, woda jest tylko o dziesięć stóp od wzgórza.

Istotnie. Porucznik mówił prawdę i inaczej być nie mogło.

– Sierżancie, jak uważasz, – spytał Jasper Hobson, – czy należałoby przerwać ruch żagla?

– Sądzę, – odpowiedział sierżant po namyśle, – sądzą, że należy spytać o to naszych towarzyszy. Odtąd odpowiedzialność za każde postanowienie powinna ciążyć na wszystkich.

Porucznik Hobson uczynił potakujący ruch głową. Doszedłszy do wzgórką rzekł:

– Szukność ta zużywa lodowiec. Może przetranszować tylko

– Szybkość ta zużywa lodowice. I może przyspieszyć tylko niechybną katastrofę. Orzeczenie, przyjaciele, czy chcecie płynąć nadal?

– Nadal!

Wyrwało się jednogłośnie z piersi wszystkich.

Żegluga więc trwała dalej, a postanowienie rozbitków pociągnęło za sobą nieobliczone następstwa.

O szóstej wieczorem Madge podniosła się, a wskazując na ciemny punkt w południowo-wschodnim kierunku, rzekła:



– Ziemia!

Wszyscy zerwali się w jednej chwili. W istocie, o dwanaście mil od lodowca rysowała się ziemia.

– Płótna! płótna! – zawołał porucznik.

Zrozumiano. Powierzchnia żagla została powiększona. Zawieszono na linach małe żagle z odzieży, futer, z wszystkiego słowem, co mogło oprzeć się wiatrowi.



SŁOWEM, CO MOGŁO OPIRZEĆ SIĘ WIAŁOWI.

Szybkość wzmogła się znacznie, tem bardziej, że wiatr się zwiększał. Ale jednocześnie lodowiec tajał ze wszystkich stron i zaczął trzeszczeć. Mógł lada chwila rozpaść się zupełnie.

Nie chciano o tem myśleć. Nadzieja podtrzymywała wszystkich. Tam na horyzoncie widniał punkt czarny, a ten punkt – to ocalenie. Wołano, dawano sygnały! Szał ogarnął wszystkich!

O pół do ósmej lodowiec zbliżył się znacznie ku ziemi. Lecz jednocześnie zmniejszył się widocznie i pogrążał w wodzie, której fale zalewały go coraz więcej, zabierając z sobą oszalałe z trwogi zwierzęta. Lada chwila mógł się pogrążyć w otchłani morza. Wyrzucano wszystko, co mogło go obciążać, jak z okrętu, który tonie, poczem gromadzono ziemię i piasek na brzegach, ażeby je ustrzec od działania promieni słonecznych. Położono również futra, jako złe przewodniki ciepła. Wreszcie co było w ludzkiej mocy, czyniono, aby opóźnić katastrofę! Ale wszystko to było niewystarczające. Lodowiec trzeszczał w swem wnętrzu, a szczeliny ukazały się na powierzchni. Katastrofa zbliżała się niechybnie.

Noc nadeszła. Nieszczęśliwi ludzie nie wiedzieli co czynić, ażeby zwiększyć bieg lodowca. Niektórzy wiosłowali deskami. Ziemia była jeszcze o cztery mile od nich.

Mrok zapadł zupełny. Księżycy nie było.

– Dajmy sygnał, przyjaciele, – zawołał porucznik Hobson w  
nagłym kłopotliwej chwili. – Może dojrzy nas!

potywie bombierskiej energii. – Może dojrzą nas!

Zebrano wszystko, co mogło ulec spaleniu, kilka desek, słup i podpalono stos. Olbrzymi płomień rozświetlił ciemność.

Tymczasem lodowiec tajał coraz bardziej i pogrążał się jednocześnie. Wkrótce tylko pagórek unosił się nad wodą! Wszyscy schronili się na nim w najwyższej trwodze i rozpaczy, a wraz z nimi pozostałe zwierzęta! Niedźwiedź wył przeraźliwie.

Woda wznosiła się coraz wyżej. Czy dostrzeżono sygnał? Niewiadomo. Pewną rzeczą było tylko to, że zanim kwadrans upłynie, zniknąć mogą z powierzchni morza.

Czyż nie było sposobu wstrzymać tajania lodowca? Trzech godzin było potrzeba, trzech godzin tylko, aby dotrzeć do lądu, który był oddalony o niespełna trzy mile! Ale co począć? co począć?

– Ach! – zawołał Jasper Hobson, gdybyż znaleźć sposób na powstrzymanie tajania tego lodowca! Życie oddałbym zań z ochotą!

W tej chwili ktoś odezwał się krótko:

– Jest sposób!

Był to Tomasz Black, astronom, którego głosu nie słyszano oddawna i który zdawał się już dawno umarły wśród tych żyjących, skazanych na śmierć. Odezwał się wreszcie, odezwał się, ażeby powiedzieć: „Tak, jest sposób, jest środek ocalenia!”

Jasper Hobson rzucił się ku niemu. Jego towarzysze patrzyli

na niego z osłupieniem. Może zdawało im się tylko, że słyszeli.

– A ten sposób! – spytał porucznik.

– Do pomp! – odpowiedział Tomasz Black.

Czyżby astronom oszalał? Czyżby wziął lodowiec za okręt tonący, mający dziesięć stóp wody w swem wnętrzu?

Tymczasem pompy i rezerwoar były na swoim miejscu, czekając odpowiedniego użytku. Ale do czego służyć mogły obecnie? Jakim sposobem powstrzymałby mogły topnienie lodowca?

– Oszalał! – zawyrokował sierżant.

– Do pomp! – powtórzył astronom. – Napełnijcie rezerwoar!

– Róbmy, co mówi! – zawołała Mrs. Paulina Barnett.

Przytwierdzono pompy do rezerwoaru, którego pokrywa została szczelnie zamknięta i ściśnięta intablami. Pompy zaczęły działać natychmiast, a powietrze pod wpływem ciśnienia kilku atmosfer napełniło szybko rezerwoar. Następnie Tomasz Black, biorąc jedną z rur skórzanych złączonych z rezerwoarem, otworzył jej kurek, aby powietrze mogło wydostać się z rezerwoaru, i zaczął prowadzić nią po brzegach lodowca, tam gdzie ciepło miało doń bezpośredni dostęp.

Wpływ ściśnionego powietrza był niesłychany. Wszędzie, gdzie powietrze to wprowadzała ręka astronoma, tajanie ustawało, szczeliny pokrywały się warstwą lodu!

– Hurra! hurra! – zawołali nieszczęśliwi ludzie

— Haha! Haha! — zawołał nieszczęśliwy kuzin.

Praca to była uciążliwa, rąk jednak nie brakło. Zmieniano się kolejno. Brzegi lodowca wzmocniły się jak gdyby pod działaniem silnego mrozu.

— Pan nas ratuje, panie Black, — odezwał się Jasper Hobson.

— Ależ nic prostszego! — odpowiedział spokojnie astronom.

Było to w istocie zjawisko naturalne, które dokonywało się obecnie.

Lodowiec tężał z dwu przyczyn: najpierw, pod wpływem ciśnienia powietrza, woda, parując na powierzchni lodowca, wywoływała ostre zimno; następnie, powietrze ściśnione, chcąc się rozprzestrzenić, zapożyczało ciepła od powierzchni odmarzniętej lodowca, który zamarzał odnowa. Wszędzie, gdzie miała się zjawić szczelina, zimno, wywołane rozprężeniem się powietrza, łączyło jej brzegi, i dzięki temu środkowi, lodowiec powoli wracał do swej pierwotnej trwałości.

Praca ta trwała kilka godzin! Rozbitkowie, podtrzymywani nadzieją, pracowali z nieprzerwanym zapalem!

Zbliżano się do ziemi.

O ćwierć mili od wybrzeża niedźwiedź rzucił się do wody i dopłynął wkrótce do lądu, na którym znikł niebawem.





Kilka minut później lodowiec dotarł do wybrzeża. Pozostałe na nim zwierzęta uciekły na ląd. Poczem rozbitkowie wylądowawszy, upadli na kolana, dziękując Bogu za cudowne swe ocalenie.



## Rozdział XXIV

### *Zakończenie.*



ieszkańcy fortu Nadziei wylądowali na wyspie Bleinik, ostatniej z wysp Aleuckich, przepłynawszy tysiąc osiemset mil od chwili ruszenia lodów! Rybacy aleuccy zajęli się nimi, podejmując ich gościnnie. Wkrótce nawet porucznik

Hobson i jego towarzysze zawiązali stosunki z agentami angielskimi, którzy należeli do Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej.

Wydaje się nam rzeczą zbyteczną uwypuklać bohaterskie czyny dzielnych tych ludzi, którzy okazali się godnymi swego przywódcy. Czytelnik miał sposobność ocenić je należycie. Nie brakowało odwagi, ani mężczyznom, ani kobietom. Idąc za wzniosłym przykładem Mrs. Pauliny Barnett okazali oni energię w rozpaczy, rezygnując w poddaniu się woli Bożej. Wszyscy walczyli do ostatka, zwalczając rozpacz, nawet wtedy, gdy ład, na którym zbudowali fort Nadziei, zamienił się na wyspę ruchomą, wyspa – na wysepkę, wysepka zaś na lodowiec, nawet wtedy, gdy lodowiec ten tajał pod podwójnym wpływem wód ciepłych i promieni słonecznych! Jeżeli usiłowanie Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej zdobycia nowej placówki na wybrzeżu północnego łądu spełzło na niczem, jeżeli fort Nadziei uległ zagładzie, któżby za to winił porucznika Jasper Hobson'a i jego dzielnych towarzyszy, którzy zaskoczeni byli wypadkami przechodzącymi siłę przewidywań ludzkich. W każdym razie z dziewiętnastu osób, które powierzone były pieczy porucznika, nikt nie zginął, liczba ich powiększyła się nawet o dwie osoby, młodą Eskimoskę Kalumah i dziecię cieśli Mac Nap, chrzestnego syna Mrs. Pauliny Barnett.

W sześć dni po wylądowaniu, rozbitkowie przybyli do Nowego-Archangelska, stolicy Ameryki rosyjskiej.

Tam to towarzysze ci, tak serdecznie związani węzłem niedoli, mieli się rozłączyć, może na zawsze! Jasper Hobson i

przydzieleni mu żołnierze mieli powrócić do lotu Reliance poprzez terytorja Towarzystwa, Mrs. Paulina Barnett zaś, Kalumah, która opuścić jej nie chciała, Madge i Tomasz Black mieli powrócić do Europy przez San Francisco i Stany Zjednoczone.

Przed rozstaniem jednak porucznik Hobson wobec wszystkich towarzyszy zwrócił się do Mrs. Pauliny Barnett z następującymi słowy:

– Pani, bądź błogosławiona za wszystko dobro, coś dla nas uczyniła! Byłaś naszą wiarą i nadzieją, naszą pociechą, duszą całego naszego światka! Dzięki ci składam w imieniu wszystkich!

Trzykrotne „niech żyje” wyrwało się jednocześnie ze wszystkich piersi. Poczem każdy z żołnierzy kolejno uściśnął jej rękę. Kobiety objęły ją czule.

Co do porucznika Hobson, który żywił dla Mrs. Pauliny Barnett wyjątkowe uczucie, ścisnął on z ciężkiem sercem jej dłoń po raz ostatni.

– Czy podobna, abyśmy już nigdy widzieć się nie mieli? – rzekł wzruszony.

– Nie, Jasper Hobson’ie, to niepodobna! I jeżeli pan nie przyjedzie do Europy, ja przyjadę do pana tutaj... albo do nowej fektorji, którą pan założy niezawodnie...

W tej chwili Tomasz Black, który wraz z powrotem na ląd odzyskał mowę, zbliżył się do nich:

– Tak zobaczymy się znowu – za dwadzieścia sześć lat! –

... rok, zobaczyły się znowu... za dwadzieścia sześć lat.  
rzekł z przekonaniem – Drodzy przyjaciele, chybiłem zaćmieniu  
z roku 1860, nie chybię jednak tego, które nastąpi w tych  
samyh warunkach i w tem samem miejscu w 1886. A zatem  
dowidzenia, droga pani i dzielny poruczniku, za dwadzieścia  
sześć lat na granicy morza Polarnego.

KONIEC.



<http://jv.gilead.org/il/zydorczak/pays-pl10.htm>